Loretta Chase

Diabeł wcielony

Cykl „Rozpustnicy”

Loretta Chase

Diabeł wcielony

przełożyła Ewelina Kowalczyk-Kurzaj

bis
Warszawa 2019

Tytuł oryginału: *The Last Hellion*

Zdjęcie na okładce: miramiska © 123 RF.com

Copyright © 1998 by Loretta Chekani
All rights reserved.
Copyright © for the Polish translation Wydawnictwo BIS 2019

ISBN 978-83-7551-638-8

Wydawnictwo BIS
ul. Lędzka 44a
01-446 Warszawa
tel. 22-877-27-05, 22-877-40-33

e-mail: bisbis@wydawnictwobis.com.pl
www.wydawnictwobis.com.pl

Spis treści

Prolog
Rozdział 1
Rozdział 2
Rozdział 3
Rozdział 4
Rozdział 5
Rozdział 6
Rozdział 7
Rozdział 8
Rozdział 9
Rozdział 10
Rozdział 11
Rozdział 12
Rozdział 13
Rozdział 14
Rozdział 15
Rozdział 16
Rozdział 17
Rozdział 18
Rozdział 19
Rozdział 20
Epilog
Polecamy

Prolog

Longlands, Northamptonshire
Wrzesień 1826 roku

Książę Ainswood wywodził się z rodu Mallorych. Historycy twierdzą, że ród ów ma korzenie normandzkie i przybył do Anglii w dwunastym wieku.

Znaczenie nazwiska w etymologii tłumaczy się jako „nieszczęsny” bądź „pechowy”, lecz w historii rodu zawsze oznaczało ono Kłopoty przez wielkie K. Niektórzy przodkowie księcia Ainswooda żyli długo, inni krótko, lecz wszyscy pełnią życia, nie licząc się z konsekwencjami. Taka była ich natura. Były to diabły wcielone – z urodzenia, z przyzwyczajenia, z upodobania.

Czasy się jednak zmieniały i rodzina powoli dostosowywała się do tych zmian, cichnąc i cywilizując się z każdym kolejnym pokoleniem. Zdawało się, że czwarty książę – stary satyr, który zmarł przed dekadą – był ostatnim szatańskim pomiotem rodu. Po nim nastąpili zupełnie inni Mallory. Ugrzecznieni, niektórzy nawet cnotliwi.

Z wyjątkiem jedynego syna najmłodszego brata czwartego księcia.

Vere Aylwin Mallory okazał się prawdziwym diabłem. Miał metr osiemdziesiąt wzrostu i był najwyższy z rodziny, niektórzy twierdzili również, że najprzystojniejszy, a z pewnością najbardziej szalony. Po ojcu odziedziczył gęste orzechowe włosy, a w ciemnozielonych oczach tliła się dzikość poprzednich pokoleń i zaproszenie do grzechu. Miał już trzydzieści dwa lata i nie zliczyłby, ile dam odpowiedziało z ochotą na to zaproszenie.

W tej chwili torował sobie drogę przez las otaczający ogromną posiadłość Longlands, letnią rezydencję księcia Ainswooda. Zmierzał do burdelu Pod Zającem i Gołębiem.

Ociekającym drwiną barytonem śpiewał anglikańską mszę za zmarłych na melodię sprośnej ballady. W ostatnich latach tyle razy uczestniczył w pogrzebach, że znał cały rytuał na pamięć, od *Ja jestem Zmartwychwstanie i Życie* do ostatniego *Amen*.

– W tym dniu zapragnął Wszechmogący Pan – śpiewał rubasznie – w wielkim swym miłosierdziu wezwać do siebie duszę naszego drogiego brata!

Jego głos załamał się nagle. Mężczyzna zatrzymał się, po czym z wysiłkiem zdławił suchy szloch wstrząsający jego mocnym ciałem. Otoczył ramieniem pień drzewa, zacisnął zęby, zamknął oczy i nakazał sobie zdusić targający nim żal. Miał już dość żałoby, a w ciągu minionego tygodnia wypłakał wystarczająco wiele łez. Siedem dni temu jego najdroższy kuzyn Charlie, piąty książę Ainswood, wydał ostatnie tchnienie.

Spoczywał teraz w rodzinnym grobowcu wraz ze wszystkimi innymi, których w ciągu dekady zapragnął wezwać do siebie Wszechmogący Pan. Niekończącą się makabrę rozpoczął pogrzeb czwartego księcia, który zastępował Vere'owi ojca od dnia, gdy zginęli rodzice chłopca. Miał wtedy dziewięć lat. Od tamtej pory śmierć zabrała kolejno braci Charliego wraz z ich żonami, synami i córkami, nie oszczędziła też żony Charliego i ich najstarszego syna.

I mimo wielu lat oswajania się z grozą śmierci ten ostatni pogrzeb był dla Vere'a najtrudniejszy. Charlie był jego ulubionym kuzynem i jednym z trzech dżentelmenów, których uważał za swych braci.

Dwaj pozostali to Roger Barnes, wiceksiążę Wardell, i Sebastian Ballister, czwarty markiz Dain. Ten ostatni, smagły olbrzym, znany był powszechnie jako lord Belzebub i uważano go za skazę na honorze rodu Ballisterów. Belzebub i Wardell byli jego kompanami w każdej zbrodni od czasów nauki w Eton. Jednakże Wardell zginął sześć lat wcześniej w jakiejś pijackiej bijatyce, a Dain parę miesięcy temu wyjechał na kontynent i zdawało się, że na dobre osiadł w Paryżu.

Nie został mu już nikt. Z całej męskiej gałęzi rodu Mallorych zostali jedynie Vere i dziewięcioletni Robin, najmłodszy syn Charliego i szósty książę Ainswood.

Kuzyn zostawił po sobie jeszcze dwie dziewczynki, lecz kto by się przejmował żeńską częścią przychówku, na pewno nie Vere. Charlie jednak wyznaczył go na ich opiekuna, choć z pewnością nie zakładał, że mężczyzna faktycznie się nimi zajmie. Oczywiście, więzy krwi i miłość musiały zakładać jakąś dozę tolerancji dla ostatniego szatańskiego pomiotu, lecz nawet Charlie nie mógł być tak zaślepiony, by uznać Vere'a za

odpowiedniego mentora dla swych niewinnych dzieci. Któraś z zamężnych sióstr Charliego będzie musiała roztoczyć nad nimi opiekę.

Stanowisko opiekuna było czystą formalnością. Nie mogło być inaczej. Vere nie poświęcił bachorom ani jednej myśli, odkąd tydzień wcześniej przyjechał, by przygotować Charliego do ostatniej podróży.

Musiał przyznać, że spełnia się co do słowa przepowiednia, jaką wuj wygłosił na krótko przed śmiercią, gdy Vere siedział przy jego łóżku.

– Zobaczyłem to, kiedy stanęli tu razem, wokół mnie – powiedział. – Widziałem, jak wchodzą i wychodzą, nieszczęśni i skazani na zagładę. Wzeszli tak prędko i zostali ścięci, jak kwiaty. Dwóch moich braci odeszło, gdy nie było cię jeszcze na świecie. Potem twój ojciec. A dziś zobaczyłem moich synów: Charlesa, Henry'ego, Williama… A może to tylko majaki starca? Ich twarze pogrążone w cieniu. Cóż wtedy zrobisz ze sobą, mój chłopcze?

Tamtego dnia zdawało mu się, że wuj bredzi. Dziś był już mądrzejszy.

Twarze pogrążone w cieniu.

– I tak się stało, do diabła! – mruknął i odepchnął się od drzewa. – Był z ciebie piekielny prorok, wujaszku.

Podjął mszę za zmarłych w momencie, w którym urwał, śpiewając ją jeszcze lubieżniej. Szedł raźno i co jakiś czas spoglądał ku niebiosom z drwiącym uśmiechem.

Gdyby ci, którzy znali go najlepiej, mogli go teraz zobaczyć, wiedzieliby, że rzuca Bogu wyzwanie, tak jak często rzucał wyzwanie zwykłym śmiertelnikom. Vere Mallory zawsze szukał guza, jednak tym razem chciał spróbować swych sił w starciu z samym Wszechmogącym.

Nie zadziałało. Utracjusz dośpiewał mszę do samego końca, a grom z jasnego nieba nie poraził go za to bluźnierstwo. Zamierzał właśnie zabrać się za inne kościelne pieśni, gdy usłyszał za sobą trzask gałęzi, szelest odgarnianych liści i pośpieszne kroki. Odwrócił się i… ujrzał ducha.

Oczywiście nie prawdziwego ducha, ale i tak prawie pękło mu serce. Gonił go Robin, tak boleśnie podobny do swego ojca. Wysoki i szczupły, z oczami zielonymi jak morze. Vere nie był w stanie patrzeć na chłopca i przez ostatni tydzień udało mu się tego uniknąć.

Robin biegł ku niemu. Mężczyzna nie mógł się już przed nim ukryć, uciekać nie było sensu. Nie był też w stanie udawać, że nie czuje

rozgoryczenia i gniewu. Wstydził się i zżymał, ale miał żal do chłopca, że ten wciąż żyje, gdy jego ojca już nie ma.

Zacisnął zęby i patrzył na Robina. Nie wyglądał zachęcająco, chłopak stanął więc ostrożnie kilka kroków dalej. Nagle poczerwieniał, wyskoczył przed siebie jak sprężyna i z całej siły uderzył głową w żołądek zaskoczonego opiekuna.

Choć brzuch Vere'a był równie stalowy jak reszta jego ciała, Robin zamachnął się jeszcze raz, uderzył głową i zaczął okładać kuzyna pięściami. Nie zwracając uwagi na dysproporcję wieku, wzrostu i wagi, młody książę tłukł krewnego jak oszalały Dawid usiłujący powalić Goliata.

Żaden z nowych, ucywilizowanych Mallorych nie wiedziałby, co zrobić z takim nieuzasadnionym, pełnym rozpaczy i wściekłości atakiem. Vere nie był cywilizowany. Doskonale rozumiał malca, choć wcale tego nie pragnął.

Stał i dawał się okładać, podobnie jak wiele lat wcześniej dziadek Robina, czwarty książę, stał spokojnie pod gradem ciosów osieroconego nagle Vere'a. W tamtej chwili Vere nie wiedział, co innego mógłby uczynić. Może płakać, lecz z jakichś względów to w ogóle nie wchodziło w grę.

Robin tłukł mężczyznę z zapamiętaniem do chwili, gdy wyczerpany i pokonany runął na ziemię.

Vere usiłował sobie przypomnieć, co czuł wobec chłopca parę chwil wcześniej, wzniecić na nowo gniew, odrazę i obojętność na jego losy, lecz nie mógł.

Ostatecznie to syn Charliego. Biedak musi być w desperacji, skoro zdołał zmylić rzeszę ciotek i armię służących, wymknąć się z domu i pobiec przez las. Vere nie był pewny, dlaczego Robin go ścigał, czego potrzebował. Było jednak oczywiste, iż oczekiwał, że opiekun mu to zapewni.

Czekał, aż chłopiec przestanie sapać i dyszeć. Kiedy jego oddech się uspokoił, mężczyzna pociągnął go za ramiona i postawił na nogi.

– Nie powinieneś się do mnie zbliżać, wiesz? – zagaił. – Mam okropny wpływ na ludzi. Zapytaj, kogo chcesz. Choćby ciotek.

– One płaczą – burknął Robin, wpatrując się w ubłocone buty. – Za dużo płaczą. I mizdrzą się do mnie jak do niemowlęcia.

– Owszem, to odrażające – zgodził się Vere. Pochylił się i otrzepał ubranie chłopca. Robin spojrzał na niego oczami swego ojca. Młodszymi i pełnymi zaufania. Vere poczuł pieczenie pod powiekami. Wyprostował się, odchrząknął i powiedział: – Musiałem na chwilę się od nich uwolnić.

Planowałem wybrać się do… Brighton. – Zamilkł i w duchu zaśmiał się sam z siebie. Lecz było już za późno. Chłopiec go dogonił, a jego ojciec nigdy go nie zawiódł. Nie licząc tego, że umarł. – Może masz ochotę pojechać ze mną?

– Do Brighton?

– Tak powiedziałem.

Zbyt młode, zbyt ufne oczy zalśniły nagle.

– Tam, gdzie stoi pawilon?

Niedorzeczna fantasmagoria zwana Królewskim Pawilonem ucieleśniała wyobrażenia króla Jerzego IV o wiejskim domku.

– Stał tam, gdy ostatni raz sprawdzałem – westchnął Vere i ruszył z powrotem do domu.

Chłopak ruszył za nim z powagą, podbiegając co chwilę, żeby dotrzymać mu kroku.

– Czy wygląda tak okazale jak na ilustracjach, kuzynie Vere? Czy naprawdę przypomina pałac z *Księgi tysiąca i jednej nocy*?

– Myślę, że wyruszymy jutro o świcie – odparł Vere. – Im szybciej go zobaczysz, tym szybciej wyrobisz sobie o nim własne zdanie.

Gdyby to zależało od Robina, mogliby ruszać w tej minucie. Gdyby zależało to od jego ciotek, Vere mógłby wyjechać jak najprędzej, byle sam. Ale jedyną osobą, której zdanie miało znaczenie, był Vere. Jako jedyny opiekun Robina nie potrzebował niczyjej zgody na wyjazd z chłopcem do Brighton. Czy do Bombaju.

Ciotki próbowały go zakrzyczeć, lecz zamilkły, słysząc głuche tąpnięcia w hallu. Wybiegłszy z salonu, ujrzeli Robina, ściągającego po zabytkowych schodach Longlands wielki kufer.

– Widzisz? – Vere zwrócił się do najmłodszej siostry Charliego, Dorothei, która protestowała najgłośniej. – Robin nie może się już doczekać wyjazdu. Jesteście nie do zniesienia. Te szepty, płacze, krepa i czerń, to go odstrasza, nie pojmujesz? W domu jest ciemno, a wszyscy dorośli toną we łzach. Robin chce być przy mnie, bo jestem wielki i głośny. Bo wie, że tylko ja dam radę potworom. Odpędzę strach.

Nie wiadomo, czy Dorothea przyjęła jego argumenty, jednak poddała się, a reszta krewnych podążyła jej śladem. W końcu chodzi zaledwie o parę tygodni. Nawet Vere Mallory nie będzie w stanie zdemoralizować dziecka w tak krótkim czasie.

Vere nie miał zresztą zamiaru demoralizować chłopca. I szczerze planował oddać go potem pod opiekę ciotek.

Nie mógł przecież być dla niego ojcem, zdawał sobie z tego sprawę. Nie nadawał się na wzór do naśladowania. Nie miał żony, nie miał nawet zamiaru się żenić, więc nie zdołałby zapewnić chłopcu czułej matczynej opieki, która wyrównałaby jakoś jego szorstkie obejście. Całą jego służbę stanowił lokaj Jaynes o aparycji i charakterze starego pancernika. Odkąd Vere opuścił Oksford, nie zatrudnił nikogo innego.

Nie był w stanie stworzyć odpowiednich dla dziecka warunków, zwłaszcza że musiał się teraz zająć rozległymi posiadłościami księstwa.

Tymczasem parę tygodni rozciągnęło się mimochodem w miesiąc, a potem w kolejny. Z Brighton pojechali do Berkshire, do Doliny Białych Koni, żeby stanąć na szczycie legendarnego białego klifu, potem do Stonehenge i dalej na zachód, penetrując jaskinie piratów przez całą drogę ku Land’s End.

Jesień marzła powoli i przyszła zima, a potem coraz cieplejsze promienie słońca przywołały wiosnę. Wtedy zaczęły ich ścigać listy od krewnych. Dorothea i inne ciotki łagodnie, lecz stanowczo przypominały, że nie można tak długo zaniedbywać nauki Robina, że tęsknią za nim siostry, że im dłużej włóczy się po kraju, tym trudniej mu będzie wrócić do zwykłego życia.

Sumienie Vere’a potwierdzało wszystkie te napomnienia. Robin potrzebował dyscypliny, prawdziwej rodziny, spokoju i domu.

Nie mógł się jednak zmusić do odwiezienia chłopca do Longlands. Nie umiał się z nim rozstać, choć powinien to zrobić. Trzymanie go przy sobie przestało już wydawać się tak odstręczające.

Wracał więc z ciężkim sercem i kryjąc przed samym sobą rozpacz.

Okazało się, że dom w Longlands zmienił się od czasu ich wyjazdu. Zamieszkała w nim Dorothea z mężem i dziećmi oraz siostrami Robina. W pokojach dziecięcych rozbrzmiewały śmiech i bieganina, a żałobne suknie schowano do kufrów.

Było też jasne, że Vere osiągnął swój cel. Odgonił wszystkie demony, pomógł Robinowi pogodzić się z losem i nabrać sił. Po kilku godzinach od powrotu chłopak tarzał się już na podłodze z kuzynami i wespół z nimi dręczył dziewczynki. A gdy nadszedł czas rozstania, Robin nie zdradzał lęku ani wahania. Nie wściekł się i nie uderzył Vere’a, za to obiecał, że będzie regularnie do niego pisał, i wymógł na opiekunie przysięgę, że ten

przyjedzie w sierpniu na jego dziesiąte urodziny. Ukłonił się po męsku i pobiegł do kuzynów, by pomóc im odtworzyć bitwę pod Azincourt.

Vere wrócił znacznie prędzej. Zaledwie trzy tygodnie później gnał do Longlands, zajeżdżając konia, bliski utraty zmysłów.

Szósty książę Ainswood złapał dyfteryt.

Nie znano jeszcze dobrze tej strasznej choroby. Zaledwie pięć lat wcześniej opublikowano we Francji pierwsze artykuły na jej temat. To, co nie budziło żadnych wątpliwości, to fakt, że dyfteryt jest chorobą bardzo zakaźną.

Siostry Charliego błagały Vere'a, by trzymał się z daleka. Ich mężowie starali się go nie wpuszczać, lecz był od nich wszystkich silniejszy. Kierowała nim taka furia, że cały szwadron żołnierzy nie byłby w stanie go powstrzymać.

Wbiegł po schodach i pomaszerował prosto do książęcej sypialni, zamienionej w infirmerię. Odegnał pielęgniarki i zamknął drzwi. Usiadł na łóżku, ujmując drobną dłoń swego podopiecznego.

– Już dobrze, Robin – powiedział. – Jestem przy tobie. Pokonam to wszystko za ciebie. Nie musisz już walczyć, zostaw to mnie, dobrze? Nie trać sił, ja się wszystkim zajmę. Wiesz przecież, że to potrafię, mój drogi.

Drobne i słabe, zimne palce leżały bezwładnie w jego wielkiej i ciepłej dłoni.

– Proszę, nie walcz, odpocznij – nalegał Vere, przełykając łzy. – Nie możesz jeszcze odejść, wiesz, że to za wcześnie. Dopiero pojawiłeś się na tym świecie. Nic jeszcze nie wiesz, nic nie poznałeś. Tak wiele przed nami podróży i odkryć!

Powieki młodego księcia zatrzepotały i uniosły się. W jego oczach zalśniły iskry rozpoznania, a wargi ułożyły się w drżący uśmiech. Trwało to zaledwie chwilę. Robin zamknął oczy.

I tyle. Choć Vere nie przestawał do niego mówić, mruczeć, błagać, zachęcać, choć trzymał go wciąż za rękę, nie zdołał zdjąć z chłopca choroby i wziąć jej na siebie. Nie mógł nic zrobić, nic więcej. Siedział więc i patrzył, jak tyle już razy wcześniej. Nie czuwał zbyt długo. Nie zdążył się nawet pogodzić ze swym losem.

Po niecałej godzinie, gdy noc połknęła resztki światła, życie Robina wymknęło się z jego rąk i uleciało… jak cień.

Rozdział 1

Londyn
27 sierpnia, środa

– Pozwę ich wszystkich! – ryczał Angus Macgowan. – Są paragrafy na takich oszczerców, a jeśli to nie jest oszczerstwo, to ja jestem kupą krowiego łajna!

Ogromny czarny mastif leżący przed drzwiami biura wydawcy uniósł potężny łeb i wodził beznamiętnym spojrzeniem od Macgowana do swej pani. Uznawszy, że tej ostatniej nic nie grozi, suka sapnęła i oparła łeb na przednich łapach, zamykając ślepia.

Jej właścicielka, dwudziestoośmioletnia Lydia Grenville, obrzuciła Macgowana równie obojętnym spojrzeniem. Wytrącić Lydię z równowagi nie było łatwo. Miała jasne włosy i błękitne oczy, lecz sporo ponad metr siedemdziesiąt wzrostu i była równie delikatna jak Walkiria czy Amazonka. Jej ciało przypominające figury mitycznych wojowniczek było tak silne i nieustępliwe jak jej umysł.

Macgowan trzasnął przedmiotem swej furii o biurko. Lydia spokojnie podniosła ostatni numer „Przeglądu Bellweathera”. Znów krytykowano rozwlekle jej ostatni artykuł:

Jak jej imienniczka, lady Grendel, raziła niegdyś niewinnych ludzi trującymi swymi wyziewami, tak i ona zatruwa atmosferę i tak już gęstą od dymów. Jej ofiary wciąż jeszcze się nie podniosły po poprzednich atakach, a kolejne razy sypią się na ich głowy i rzeka obmierzłych jadów zalewa ziemię. Odrażająca ta kreatura nie może być zwana damą, raczej potworem z bezdennych czeluści, dla zachowania resztek przyzwoitości odzianym w halkę…

Lydia skończyła czytać i podniosła oczy na Angusa.

– Biedak, zgubił się zupełnie w tym zdaniu. Nie możesz go pozwać za brak talentu. Ani za brak oryginalnych pomysłów. O ile dobrze pamiętam,

„Przegląd Edynburski” cytował „Beowulfa”, pisząc o mnie. Już mnie znudziło to monotonne nazywanie mnie lady Grendel.

– Ależ to niedopuszczalne! – zawył Angus. – Wszak on w kolejnym paragrafie jawnie nazywa cię bękartem i sugeruje, że powinno się wszcząć śledztwo w sprawie twej przeszłości, a ono bez wątpienia wyjaśniłoby… wyjaśniłoby…

Wyjaśniłoby źródło zdumiewającej skłonności „Argusa” do publikowania bełkotu przedstawicielek starożytnych profesji, których celem jest jedynie sprośność i zniszczenie więzi społecznych – przeczytała Lydia.

– Oszczerstwo! – ryknął Angus, tłukąc pięścią w blat. Mastif podniósł łeb i sapnął, po czym ułożył się z powrotem do snu.

– Ależ on jedynie sugeruje, że byłam wcześniej ladacznicą – odparła niewzruszona Lydia. – Harriet Wilson była panną do towarzystwa, a jednak jej książka sprzedała się całkiem nieźle. Gdyby pan Bellweather obrażał ją w swoim piśmie, z pewnością zbiłaby fortunę. Szczęśliwie skupił się na nas i napełnia nasze sakiewki. Poprzedni numer „Argusa” rozszedł się w dwie doby. Aktualny sprzeda się do wieczora. Odkąd pismaki z innych gazet zaczęły mnie atakować, nasze obroty wzrosły trzykrotnie. Zamiast pozywać pana Bellweathera, powinien mu pan wysłać liścik z podziękowaniem i zachęcić do dalszych tego rodzaju wynurzeń.

Angus rzucił się na krzesło.

– Bellweather ma przyjaciół w rządzie – burknął. – A w ministerstwach nie wszyscy cię lubią.

Lydia wiedziała, że naruszyła nieco godność kręgów skupionych wokół ministra spraw wewnętrznych. W pierwszym materiale dotyczącym londyńskich prostytutek zasugerowała, że warto zalegalizować ten zawód i otoczyć opieką parające się nim damy. Licencje wydawane przez Koronę uporządkowałyby mocno zaburzony rynek, utrudniłyby handel dziewczętami i zapobiegły przemocy.

– Peel powinien mi podziękować – stwierdziła. – Moje sugestie wywołały taki skandal, że jego propozycja utworzenia Metropolitalnej Służby Policyjnej wydała się rozsądna tym samym pieniaczom, którzy wcześniej uważali ją za przejaw skrajnej tyranii. – Wzruszyła ramionami. –

Tyrania, dobre sobie. Gdybyśmy dysponowali sensowną policją, dawno już zamknęliby zmorę spędzającą sen z moich powiek.

Wspomniana zmora nazywała się Coralie Brees. Zaledwie sześć miesięcy wcześniej przyjechała z kontynentu i już znano ją powszechnie jako najgorszą londyńską stręczycielkę. Lydia potajemnie spotykała się z jej dziewczętami i – by usłyszeć od nich cokolwiek – musiała złożyć honorową przysięgę, że nie zdradzi nikomu nazwiska Brees. Zresztą wyjawienie władzom imienia tego potwora w niczym by nie pomogło. Policjanci zwykle byli w zmowie ze stręczycielami i dorabiali sobie do pensji, strzegąc ich tajemnic. Stręczyciele z kolei zmieniali nazwiska jak rękawiczki, podobnie jak ojciec Lydii. Był to prosty sposób na uniknięcie spotkania z wierzycielami. Nic dziwnego, że policja nie kwapiła się do gonitwy za uciekającymi szczurami. Zgodnie z pobieżnie przeprowadzonymi szacunkami, w Londynie było ponad pięćdziesiąt tysięcy prostytutek, a wiele z nich nie miało nawet szesnastu lat. Lydia zdołała się dowiedzieć, że żadna z dziewcząt Coralie nie ma więcej niż dziewiętnaście.

– Przecież ty ją widziałaś. – Angus wtrącił się w ponure rozważania Lydii. – Dlaczego nie poszczułaś jej tym czarnym potworem? – Kiwnął głową w stronę psa.

– Po co aresztować kobietę, skoro nikt nie jest wystarczająco odważny, by przeciw niej zeznawać? – zniecierpliwiła się Lydia. – Dopóki władze nie przyłapią jej na gorącym uczynku, nic na nią nie mamy. Wiesz, że doskonale zaciera za sobą ślady. Nie mamy żadnego dowodu. Żadnego świadka. Susan mogłaby jedynie zagryźć ją albo poturbować.

Susan, słysząc swoje imię, otworzyła jedno oko.

– A skoro pies zaatakowałby ją na mój rozkaz, zostałabym oskarżona o napaść. Albo powieszona za morderstwo. – Lydia westchnęła. – Nie chciałabym zawisnąć za tę odrażającą sadystkę.

Odłożyła „Przegląd Bellweathera” i spojrzała na kieszonkowy zegarek. Należał do jej stryjecznego dziadka, Stephena Grenville’a. Jego żona Eufemia przygarnęła przed laty trzynastoletnią Lydię. Zeszłej jesieni zmarli oboje, jedno po drugim.

Choć Lydia darzyła ich szacunkiem i miłością, nie tęskniła za życiem, jakie wiodła u ich boku. W odróżnieniu od jej ojca posiadali jakie takie zasady moralne, byli jednak płytcy, niezbyt rozgarnięci i beztroscy ponad

wszelką miarę. Poza tym wiecznie gdzieś jeździli i zanim dotarli do jednej przystani, planowali już kolejny wyjazd. Lydia zwiedziła z nimi kawał świata od Lizbony do Damaszku, a także całe wybrzeże Morza Śródziemnego.

Nie mogła pozwolić wydawcy chmurzyć się zbyt długo. Przypomniała sobie dziennik, który zaczęła pisać, gdy ojciec bezceremonialnie podrzucił ją do domostwa Ste i Effie. Dziennik bardzo podobny do tego, jaki pisała jej ukochana, nieodżałowana matka. Lekki uśmiech zadrgał na jej wargach.

W wieku trzynastu lat Lydia była prawie niepiśmienna. Jej notatki puchły od błędów ortograficznych, o stylu nie wspominając. Zdjęty litością kamerdyner Quitch zaczął ją uczyć historii, geografii, matematyki i literatury. To on namawiał ją do pisania i teraz chciała mu się odpłacić za wszystkie trudy.

Pieniądze, jakie Ste zostawił na jej wiano, zamieniła na dożywotnią pensję dla swego mentora. Nie było to wielkie poświęcenie. Pragnęła jedynie pisać, nie miała zamiaru wychodzić za mąż. Teraz, wolna od wszelkich zobowiązań, osiadła w Londynie. Zabrała ze sobą jedynie kilka angielskich i francuskich gazet, które publikowały jej wspomnienia z podróży, i to, co zostało po wielkim majątku opiekunów: zestaw do tryktraka i małą starożytną monetę.

Kieszonkowy zegarek był jedynym osobistym drobiazgiem. Jednak nawet gdy Angus zatrudnił ją na stałe, Lydia nie próbowała odzyskać reszty precjozów, które wyprzedawała przez pierwsze miesiące spędzone w Londynie. Wolała wydawać pensję na potrzebne uposażenie, jak na przykład kabriolet i konia.

Mogła sobie na to pozwolić. Zarabiała więcej, niż kiedykolwiek oczekiwała, zwłaszcza że spodziewała się, iż przez kilka pierwszych lat będzie głodowała, pisząc nekrologi i zapowiedzi przedślubne. Jednak wczesną wiosną uśmiechnęło się do niej szczęście.

Pierwszy raz zawitała do „Argusa”, gdy gazeta była na skraju bankructwa i główny wydawca, Macgowan, był gotowy posunąć się do ostateczności, by odegnać wizję upadku. Nawet zatrudnić kobietę.

– Wpół do trzeciej – oświadczyła Lydia, wrzucając zegarek do kieszeni. – Czas na mnie. O trzeciej spotykam się z Joe Purvisem u Pearkesa. Ma mi pokazać ilustracje do drugiej części tej cholernej powiastki.

Ruszyła ku drzwiom.

– To wcale nie ci przeklęci krytycy, tylko twoje cholerne powiastki robią dla nas fortunę – rzucił za nią Angus.

Cholerna powiastka nosiła tytuł *Tebańska Róża* i ukazywała się w odcinkach od maja. Tylko Angus wiedział, że nazwisko autora, pana S.E. St Bellaira, jest fikcyjne.

Nawet Joe nie zdawał sobie sprawy, że ilustruje akapity, które pisała Lydia. Jak wszyscy, był przekonany, że autorem jest kawaler na skraju moralnego upadku. Nawet w najdzikszych fantazjach nie przypuściłby, że tę bajeczną historię stworzyła panna Grenville, najbardziej cyniczny reporter „Argusa”.

Sama Lydia nie chciała w to wierzyć.

– Romantyczne bujdy – burknęła przez ramię.

– Być może – zgodził się Angus – lecz to właśnie one przykuwają uwagę naszych czytelników. A zwłaszcza dam. I to właśnie chcą czytać. Do licha, sam nie mogę się doczekać następnej części! – Wstał zza biurka. – Ach, jakże szalona jest ta mądrala, Miranda! Rozmawiałem o tym z panią Macgowan i oboje uważamy, że ów nieokiełznany młodzieniec powinien wreszcie się otrząsnąć i…

– Angusie, zgodziłam się pisać te bzdury pod dwoma warunkami – rzekła Lydia ostro. – Po pierwsze, nie akceptuję żadnego wpływania na fabułę. Po drugie, pozostaję zupełnie anonimowa. – Rzuciła mu lodowate spojrzenie. – Jeśli spocznie na mnie choć cień podejrzenia, obiecuję, że osobiście mi za to odpowiesz. Dlatego, między innymi, nasza umowa jest jedynie ustna. – Jej błękitne oczy przewiercały wydawcę na wylot.

Macgowan uważał się za nieustraszonego Szkota, czuł jednak, że nogi zaczynają mu drżeć pod wpływem tego spojrzenia. Zaczerwienił się.

– Oczywiście, Grenville – odparł miękko. – Zachowałem się nieodpowiedzialnie, wspominając o tym. Drzwi są wprawdzie szczelne, ale lepiej mieć się na baczności. Wiesz, że mam pełną świadomość swego długu u ciebie i…

– Och, na litość boską, przestań już – wycedziła. – Dobrze mi płacisz. – Odmaszerowała do drzwi. – Idziemy, Susan. – Mastif podniósł się ociężale, a Lydia zgarnęła smycz z podłogi. – Dobrego dnia, Macgowan – powiedziała i wyszła, nie czekając na odpowiedź.

– Dobrego dnia – powiedział za nią i dodał po chwili: – Wasza Wysokość. – Prychnął pod nosem. – Uważa się za przeklętą królową, ale

umie pisać, nie da się ukryć.

* * *

Ogromne rzesze Anglików zgodziłyby się z założeniem, że panna Grenville potrafi pisać. Większość z nich jednakże uznałaby, że pan S.E. St Bellair pisze jeszcze lepiej.

To właśnie Archibald Jaynes, lokaj księcia Ainswooda, zamierzał wyjaśnić swemu panu.

Jaynes nie wyglądał jak służący. Szczupły i wysoki, z czarnymi świdrującymi oczami osadzonymi blisko zakrzywionego, kilkakrotnie złamanego nosa, przypominał raczej łasicowate indywiduum kręcące się najczęściej w pobliżu wyścigów konnych albo pokątnych klubów bokserskich.

Sam Jaynes nie nazwałby się tradycyjnym mianem „dżentelmena swego dżentelmena”. Mimo nietypowych rysów i postawy był co prawda niebywale elegancki i schludny, lecz własnego pana bynajmniej nie uważał za wzór elegancji i klasy.

Obaj siedzieli właśnie w najlepszej alkowie słynnej karczmy Alamode w Clare Court. Uliczka, wąskie ujście niesławnej Drury Lane, nie było najlepszym zakątkiem Londynu, lecz potrawy Alamode’a były wyśmienite i obliczone na zastraszanie biednych prawników z okolicy. W sam raz na potrzeby księcia, który nie bywał elegancki, za to często groźniejszy niż horda dzikusów.

Uporawszy się prędko ze stertą wołowiny, Jego Wysokość usadowił się, czy też raczej rozciągnął, na ławie i wpatrywał się z uwagą w kelnera, ustawiającego na blacie spowity gęstą pianą kufel piwa. Kasztanowe włosy księcia, które Jaynes z takim poświęceniem układał o poranku, wyglądały tak, jakby nigdy w życiu nie oglądały szczotki ani grzebienia. Fular, wcześniej śnieżnobiały i ułożony w finezyjny węzeł, przeobraził się w zmięty szarobeżowy chaos. Co do reszty odzienia Jego Wysokości, wyglądało, jakby w nim spał, czyli jak zwykle. Jaynes z narażeniem życia ubierał księcia każdego ranka, zastanawiając się, po co w ogóle się stara.

Lokaj opowiadał właśnie, że Różą Tebańską nazwano ogromny rubin, który bohaterka powieści odnalazła kilka odcinków temu, gdy została

uwięziona w grobowcu faraona z wężami. Powieść była przygodowa i wzbudziła wielki entuzjazm służącego.

Kelner zniknął i książę utkwił znudzone spojrzenie w wymiętym egzemplarzu „Argusa”. Gazeta wciąż leżała nieotwarta jako dobitny przykład niebywale silnej woli Jaynesa.

– Teraz rozumiem, dlaczego wyrwałeś mnie z domu o świcie – burknął Jego Wysokość. – I ciągałeś od kiosku do kiosku, a każdy wypchany był babami. Niezbyt ładnymi zresztą. – Skrzywił się. – Nigdy nie widziałem tak wielu paskud w równie paskudnych łachach.

– Jest wpół do trzeciej – oznajmił sucho Jaynes. – Nigdy w życiu nie oglądał pan poranka. A co do świtu, to nastąpił on w chwili, gdy wracał pan do domu. Ponadto dostrzegłem co najmniej kilka atrakcyjnych młodych dam pośród owych, jak się pan wyraził, bab. Jednak, dopóki ich twarze nie są zasłonięte maską makijażu, a biust nie wypływa z gorsetu, są one dla pana niewidoczne.

– Szkoda, że nie są również niesłyszalne – mruknął książę. – Paplały i ględziły nie do wytrzymania. I wszystkie były gotowe pchać się i szarpać za włosy, by tylko zdobyć ów skarb… – Podniósł gazetę, spojrzał na nią pogardliwie i rzucił na stół. – „Argus”, doprawdy. Rzekomo ma być londyńskim Cerberem, a widzę, że staje się raczej pokojowym pekińczykiem. Patałachy z Fleet Street.

– Biuro „Argusa” mieści się przy Strand, nie przy Fleet Street – wycedził Jaynes. – To ożywczy powiew w świecie londyńskiego dziennikarstwa. Odkąd panna Grenville dołączyła do redakcji, gazeta zrobiła się naprawdę na poziomie. Mitologiczny Argus, jak pan zapewne pamięta…

– Wolałbym nie wspominać czasów szkolnych. – Ainswood sięgnął po kufel. – Jak nie łacina, to greka. Jak nie greka, to łacina. A jeśli żadne z tych, chłosta.

– Ewentualnie picie, hazard i dziwki – szepnął Jaynes. Pamiętał tamte czasy doskonale. Wstąpił na służbę do Vere’a Mallory’ego, gdy ten miał szesnaście lat, a od tytułu księcia dzieliło go kilku krewnych. Jednak wszyscy pomarli. Wraz ze śmiercią ostatniego z nich, dziewięcioletniego chłopca, pan Jaynesa został siódmym księciem Ainswood. Stało się to półtora roku temu.

Tytuł książęcy w żadnej mierze nie pasował do jego charakteru i nie poprawił zachowania. Przeciwnie, ze złego stał się gorszy, a potem nie do

wytrzymania.

Jaynes westchnął i ciągnął:

– Mitologiczny Argus posiadał sto oczu, na pewno pan pamięta. Nazwa ta sugeruje, że mają ambicję uważnie obserwować miasto i o wszystkim informować czytelników. Niech pan zwróci uwagę na odważne artykuły panny Grenville dotyczące upadłych panien…

– Zdawało mi się, że był tylko jeden – prychnął jego pan. – A ta pannica z powieści! Utknęła w grobowcu faraona, doprawdy! Typowe – wyszczerzył się. – Jakiś biedak musi ruszyć jej na ratunek. I pewnie zginie po ukąszeniu przez jadowitego węża. Jeśli będzie miał szczęście.

Co za głąb, pomyślał Jaynes.

– Nie miałem na myśli powieści pana St Bellaira – ciągnął niewzruszenie – której bohaterka, zresztą samodzielnie, uciekła z grobowca. Mówiłem o…

– Nie wierzę. Wyjaw mi, proszę: zagadała węże na śmierć! – Ainswood jednym haustem opróżnił kufel.

– Mówiłem o artykułach panny Grenville – odrzekł z naciskiem Jaynes. – Jej eseje i reportaże cieszą cię wielką popularnością wśród dam.

– Niech Bóg nas strzeże przed feministkami. Wiesz, na czym polega ich problem? Nikt ich regularnie nie chędoży, a wtedy humory uderzają im do głowy i baby snują najbardziej zdumiewające fantazje. Na przykład, że potrafią myśleć. – Książę otarł usta wierzchem dłoni.

Jaynes w duchu po raz kolejny uznał swego pana za skończonego barbarzyńcę. Jego Wysokość powinien był uganiać się po Europie z hordą Wandali. Zwłaszcza że jego zdanie na temat kobiet znacznie się pogorszyło, od kiedy odziedziczył tytuł.

– Nie wszystkie damy są głupie – zaoponował lokaj z mocą. – Gdyby zadał pan sobie trud zapoznania paru dam z własnej klasy zamiast spędzania czasu jedynie z niepiśmiennymi dziwkami…

– Dziwki dostarczają mi tego, czego oczekuję od kobiet, i nie chcą ode mnie niczego więcej niż należne wynagrodzenie. Nie rozumiem, dlaczego miałbym się trudzić i zadawać z jakimiś durnymi pannicami.

– Nigdy nie pozna pan stosownej księżnej, skoro odmawia pan zbliżania się do dam.

Książę odstawił kufel.

– Niech cię diabli, Jaynes, znowu zaczynasz?!

– Za cztery miesiące skończy pan trzydzieści cztery lata – odparł z godnością lokaj. – Biorąc pod uwagę pański tryb życia, prawdopodobnie nie dożyje pan urodzin. Należy rozważyć, co się wtedy stanie z tytułem. Czasem trzeba brać pod uwagę swoje obowiązki, a pana głównym obowiązkiem jest posiadanie dziedzica.

Ainswood wstał gwałtownie.

– Dlaczego miałbym się martwić losem tytułu? Wątpię, by tytuł kiedykolwiek zastanawiał się nad moim losem. – Chwycił kapelusz i rękawiczki. – Powinien był zostać tam, gdzie był, i dać mi spokój. Ale nie! Skradał się ku mnie krok za krokiem, po trupach. Sądzę więc, że należy mu pozwolić skradać się dalej. Chętnie spocznę obok moich kuzynów. A tytuł pewnie znajdzie sobie kolejną ofiarę, z której wyssie krew jak cholerny wampir!

Wykrzyczawszy to, wybiegł z karczmy.

* * *

Dobiegł do końca ulicy Catherine i skręcił w lewo. Uznał, że nad rzeką zdoła uciszyć swój gniew kilkoma kuflami piwa ale. Ruszył ku oberży o wdzięcznej nazwie Lis pod Wzgórzem.

Już miał skręcić w Strand, gdy ujrzał kabriolet przedzierający się dzikim pędem przez stłoczone pojazdy. Powozik nieledwie musnął sprzedawcę drożdżówek, zatoczył się niebezpiecznie w stronę nadjeżdżającego z naprzeciwka wozu, wyprostował i raptownie przechylił – prosto na dżentelmena, który zszedł z chodnika, żeby przejść na drugą stronę.

Vere bez namysłu rzucił się ku biedakowi i wciągnął go z powrotem na chodnik. Sekundę później kabriolet z łomotem wpadł w ulicę Catherine.

Gdy z hukiem przejeżdżał obok, Vere zdołał dostrzec woźnicę: czarno odzianą kobietę z czarnym mastifem u stóp, spienionym koniem i bez lokaja. Nie namyślając się wiele, książę odstawił dżentelmena na chodnik i pobiegł za powozem.

* * *

Lydia zaklęła szpetnie, gdy jej zwierzyna skręciła błyskawicznie w Russel Court. Przeklęta alejka była za wąska dla jej kabrioletu, a gdyby

pojechała dookoła przez Drury Lane Theater, na pewno zgubiłaby trop. Zjechała kabrioletem do chodnika i wyskoczyła z niego w biegu. Susan ruszyła w jej ślady. Podbiegł ku nim obszarpany chłopiec.

– Pilnuj klaczy, Tom, dam ci dwa szylingi! – krzyknęła Lydia i unosząc suknię, wpadła w Russel Court.

– Hej, ty! – krzyknęła. – Zostaw to dziecko!

Echo poniosło alejką głuche szczeknięcia Susan.

Madame Brees – gdyż to do niej krzyczała Lydia – rzuciła szybkie spojrzenie przez ramię i biegła dalej w głąb uliczki, ciągnąc za sobą dziewczynę.

Lydia nie wiedziała, kim jest ta panienka. Może służącą ze wsi, ale raczej jedną z niezliczonych sierot napływających każdego dnia z prowincji i wpadających od razu w szpony londyńskich stręczycieli.

Dziennikarka zauważyła je spacerujące po Strand. Dziewczyna gapiła się na wystawy jak sroka, a Coralie w wykwintnym czepku poważnej matrony pochylała się nad nią i nieubłaganie ciągnęła dziecko w stronę Drury Lane, gdzie zapewne czekali już jej pomocnicy.

Jeśli zdołają dotrzeć do burdelu, dziewczynka będzie zgubiona. Lydii na pewno tam nie wpuszczą. Biegnąc za nimi, kobieta dostrzegła, że pannica opiera się i ociąga, jakby chciała się wyrwać z uścisku Coralie.

– Tak, dziewczyno! – krzyknęła Lydia. – Uciekaj!

Zza jej pleców dobiegały męskie okrzyki, stłumione basowym szczekaniem Susan. Dziewczynka szarpała się coraz mocniej, lecz uparta stręczycielka nie odpuszczała i wciągała ją właśnie w Vinegar Yard. Zniecierpliwiona Coralie uniosła rękę, żeby uderzyć dziecko. Lydia rzuciła się ku nim i odepchnęła zmorę.

Coralie wpadła na brudny mur.

– Ty dziwko! Zostaw nas w spokoju!

Rzuciła się na nie z pięściami, nie była jednak dostatecznie szybka, żeby chwycić dziewczynę. Lydia błyskawicznie odepchnęła dziecko za siebie.

– Pilnuj, Susan – rzuciła do psa.

Susan przywarowała obok brunatnych, niezbyt czystych spódnic dziewczyny i zaczęła warczeć. Zmora się zawahała. Jej twarz wykrzywiła się z wściekłości.

– Wracaj do nory, w której się wylęgłaś! – zagrzmiała Lydia. – Spróbuj raz jeszcze wyciągnąć ręce do tego dziecka, a dopilnuję, by cię aresztowali

i oskarżyli o napaść!

– Oskarżyli? – powtórzyła Coralie. – Będziesz się ze mną sądzić? A co niby teraz z nią zrobisz, wielka, durna dziwko? Co takiego powie w sądzie ta idiotka?

Lydia spojrzała na dziewczynę, która szeroko otwartymi oczami spoglądała to na nią, to na madame Brees. Najwyraźniej nie wiedziała, komu zaufać.

– B… Bow – zająknęła się panienka. – Napadli na mnie i okradli na Bow, a ta dama prowadziła mnie do…

– Do ruiny – ucięła Lydia.

Wysoki mężczyzna wślizgnął się cicho w Vinegar Yard, a za nim kolejny. Kilku następnych zaczęło wynurzać się z pobliskich tawern i bram.

Lydia wiedziała, że takie zbiegowiska zwiastują problemy, ale nie zamierzała porzucać dziewczyny. Udawała, że nie widzi nadciągających rzezimieszków.

– Bow jest w tamtym kierunku – wskazała ręką. – Ta wiedźma prowadziła cię właśnie do Drury Lane, gdzie znajdują się urocze burdele, jak może ci potwierdzić każdy z tych przystojnych dżentelmenów.

– Kłamczucha! – zaskrzeczała Coralie. – Ja ją pierwsza znalazłam! Poszukaj sobie własnych dziewcząt, przerośnięta krowo! Dam ci nauczkę za rządzenie się na moim podwórku.

Ruszyła w stronę ofiary, lecz gardłowy warkot Susan osadził ją w miejscu.

– Zabierz tę bestię! – wycedziła. – Albo pożałujesz.

Na pewno biedne dziewczęta w burdelach drżały przed nią ze strachu, domyśliła się Lydia. Musi być na wpół obłąkana, skoro podchodzi tak blisko do Susan. Nawet rzezimieszki – na pierwszy rzut oka bezwzględne draby – trzymały się na bezpieczny dystans.

– Nie zrozumiałaś mnie – powiedziała spokojnie Lydia. – Policzę teraz do pięciu i wszyscy znikniecie albo to ty bardzo pożałujesz. Raz. Dwa. Trzy…

– Drogie panie! – Wysoki drab odepchnął na bok jakiegoś pokurcza i przepchnął się do przodu. – Te kłótnie i groźby wstrząsną jedynie waszymi humorami, moje śliczne. I po co to wszystko? Jeden kurczak i dwie rozsierdzone kwoki. Wszak kurczaków mamy tu pod dostatkiem, czyż nie?

Nie warto zawracać głowy władzom, denerwować policji, zgadzamy się? Z pewnością.

Wyciągnął portfel.

– Oto moja propozycja. Dam wam obydwu po papierku i zabieram dziewczynę ze sobą.

Lydia wychwyciła elegancki akcent wyższych sfer, ale była zbyt wściekła, by się nad tym zastanowić.

– Po papierku? – krzyknęła. – Tyle pana zdaniem jest warte ludzkie życie? Jeden funt?

Utkwił w niej lśniące zielone oczy. Jego wzrok był pełen wyższości. Co więcej, naprawdę był od niej wyższy, co Lydii nieczęsto się zdarzało.

– Widziałem, jak pani powozi, i zdaje mi się, że wartość ludzkiego życia jest pani zupełnie obca – odrzekł chłodno. – W ciągu minuty niemal rozjechała pani trzy osoby. – Jego bezczelny wzrok omiótł zgromadzenie. – Prawo powinno zakazać kobietom powozić – oznajmił głośno. – Należy karać je za to chłostą.

– Jasne, Ainswood! Nie zapomnij wspomnieć o tym na następnym posiedzeniu Parlamentu! – wrzasnął któryś z rzezimieszków.

– Następnym? – rubasznie zarechotał inny. – Raczej na pierwszym. O ile gmach się nie zawali, kiedy on tam wejdzie.

– Niech mnie diabli! – zaklął ktoś z tyłu. – To naprawdę Ainswood?

– A jak! W dodatku zgrywa się na króla Salomona – parsknął śmiechem jego kompan. – Ale trafił jak kulą w płot. Niech mu pani powie, panno Grenville. Niech mu pani wygarnie! On ma panią za burdelmamę!

– Nic dziwnego. – Łysy drab wzruszył ramionami i splunął na bruk. – Wziął markizę Dain za podfruwajkę, co nie?

W tej chwili Lydia zorientowała się, z kim ma do czynienia.

W maju pijany Ainswood natknął się na markiza Daina i jego świeżo poślubioną żonę w zajeździe, gdzie spędzali noc poślubną. Narobił rabanu i nie chciał uwierzyć, że dama jest żoną szlachcica. Dain był zmuszony rzucić się na kolegę ze szkolnej ławki z pięściami, co dla nikogo nie mogło się dobrze skończyć. Londyn wrzał przez parę tygodni.

Nic dziwnego zatem, że Lydia wzięła go za kolejnego przestępcę. Jego Wysokość książę Ainswood uchodził za najbardziej zdeprawowanego, rozpustnego i upartego szaleńca, jakiego wydała z siebie angielska arystokracja.

Okazał się również najbardziej niechlujny. Widać było, że ubrał się w świetnie skrojone ubranie kilka dni wcześniej i w tym czasie również w nim spał. Nie miał kapelusza i skłębiona kasztanowa czupryna spływała mu na jedno podkrążone na sino oko, które świadczyło dobitnie o niewyspaniu i nadużywaniu alkoholu. Jedynym śladem jakiejkolwiek higieny były ogolone policzki. Może ktoś ogolił księcia, gdy ten był w stanie całkowitego upojenia?

Jej bystre oczy dostrzegły teraz więcej szczegółów. Piekielny błysk we wściekle zielonych oczach, arogancko zadarty nos, wysokie kości policzkowe, silny zarys szczęki… i szatański wykrój warg obiecujący wszystko, o czym może marzyć kobieta: śmiech, rozkosz i grzech.

Zrobił na niej wrażenie. Diablik, którego na co dzień jakoś w sobie kryła, wychylił się z zaciekawieniem, żeby obejrzeć kompana. Lydia nie była jednak głupia. Wiedziała, co ciągnie ją do Ainswooda, i mogła to podsumować jednym słowem: kłopoty.

Był jednak księciem, a nawet najgorszy dżentelmen miał ogromne wpływy, znacznie większe niż jakikolwiek dziennikarz. A zwłaszcza dziennikarka.

– Wasza Wysokość, pomylił się pan tylko co do jednej z nas – odezwała się uprzejmie. – Nazywam się Grenville, pracuję dla „Argusa”. Ta kobieta jest stręczycielką. Właśnie ciągnęła tę dziewczynkę do burdelu pod pozorem zaprowadzenia jej na Bow. Jeśli byłby pan skłonny odprowadzić je na komisariat, chętnie udam się z wami, żeby złożyć zeznania…

– To wierutne kłamstwo! – zawyła Coralie. – Chciałam zabrać dziewczynę do Pearkesa. – Machnęła dłonią w stronę oberży. – Chciałam ją nakarmić. Biedaczka ma kłopoty i…

– A w twoich szponach będzie miała jeszcze większe – wcięła się Lydia. Odwróciła się do Ainswooda. – Wie pan, co się dzieje z dziewczynkami, które wpadną w jej ręce? Są bite, głodzone i gwałcone tak długo, aż staną się zupełnie uległe. Wtedy wysyła je na ulicę. Niektóre mają po jedenaście lat!

– Jak śmiesz, dziwko?! Zabiję cię! – ryknęła Coralie.

– Czyżbym uraziła twą cnotę? – drwiąco zapytała Lydia. – Żądasz może satysfakcji? Chętnie się stawię. Tu i teraz, jeśli sobie życzysz. – Podeszła do Brees i spojrzała na nią z góry. – Zobaczymy, jak sobie poradzisz z kimś, kto umie się bić.

Wielkie dłonie chwyciły ją za ramiona i osadziły w miejscu.

– Dość, moje panie. Zaczyna mnie już boleć głowa. Czas się uspokoić, dobrze?

– To paradne – zawołał ktoś z tylnego rzędu. – Ainswood nawołuje do spokoju. Piekło na pewno już zamarzło.

Lydia spojrzała na potężną dłoń na swoim ramieniu.

– Zabieraj łapy – wycedziła niezbyt elegancko.

– Zrobię to, jak tylko ktoś mi poda kaftan bezpieczeństwa. Kto cię wypuścił ze szpitala dla obłąkanych, niebogo?

Lydia wbiła łokieć w jego żołądek. Był twardy jak stal. Ból przeleciał prądem aż do nadgarstka. Mężczyzna musiał jednak coś poczuć, bo zaklął szpetnie i ją puścił. Tłum zawył i zafalował.

Uciekaj, dopóki możesz – ostrzegł ją wewnętrzny głos. *I nie odwracaj się za siebie.*

Był to głos rozsądku i Lydia może by go nawet posłuchała, gdyby inne głosy w jej głowie nie krzyczały głośniej. Od urodzenia nie przejawiała skłonności do ucieczki, a duma powstrzymywała ją przed wszelkimi działaniami zdradzającymi jakąkolwiek słabość czy, broń Boże, strach.

Odwróciła się ku mężczyźnie z oczami zmrużonymi z wściekłości.

– Dotknij mnie jeszcze raz – ostrzegła – a podbiję ci oko.

– Och, zrób to, panie! – nalegał rzezimieszek w obszarpanych portkach. – Dotknij ją!

– Stawiam na Ainswooda!

– Ja stawiam na pannę Grenville! Na pewno spełni swe ponętne obietnice. Sparing!

Książę tymczasem mierzył ją śmiałym wzrokiem, od czepka aż do praktycznych półbutów.

– Jest spora, to fakt, ale nie w mojej wadze – oznajmił. – Ma z metr siedemdziesiąt i jakieś sześćdziesiąt kilo wagi bez fatałaszków. Zapłaciłbym zresztą z dziesięć gwinei, żeby to zjawisko obejrzeć na ringu – dodał, wpatrując się uporczywie w jej gorset.

Rubaszny rechot i tradycyjne żarciki skomentowały jego słowa.

Ani śmiech, ani obsceniczne żarty nie mogły zdeprymować Lydii. Znała świat, znała londyńskie zaułki, spędziła w nich większość dzieciństwa. Hałasy jednak sprowadziły ją na ziemię. Dziewczyna, którą usiłowała

uratować, stała jak skamieniała. Rozglądała się dookoła przerażonymi oczami, jakby znalazła się nagle w dżungli, otoczona przez kanibali.

Lydia nie była jednak w stanie powściągnąć języka.

– Och, po prostu wspaniale, Wasza Wysokość – zadrwiła. – Rozszerzmy nieco horyzonty tego dziecka, dlaczegóżby nie? Zaprezentujmy słynne londyńskie maniery i szacowny, godny zaiste naszej szlachty ton konwersacji.

Miała jeszcze wiele do powiedzenia, ale nagle przypomniała sobie, że równie dobrze mogłaby rzucać grochem o ścianę. Jeśli ten obwieś miał kiedykolwiek zdrowy rozsądek, zginął on śmiercią głodową dawno temu.

Sama miała się za dość rozważną, obrzuciła go więc wzgardliwym spojrzeniem i podeszła do dziewczyny.

Tłum zafalował. Lydia zrozumiała, że Coralie właśnie się rozpłynęła. Było to frustrujące, choć, prawdę mówiąc, jej obecność niewiele by zmieniła. Lydia nie zaniosłaby jej przecież na komisariat, a otaczający ją ulicznicy zbiegli się jedynie na darmowe widowisko. Nie mogła liczyć na ich pomoc.

– Chodź, moja droga – rzekła, podchodząc do dziewczyny. – Wśród tej hałastry nic nie osiągniemy.

– Panno Grenville – odezwał się książę.

Lydia odwróciła się gwałtownie i zderzyła z gigantycznym męskim ciałem. Było jak chodzący obelisk. Cofnęła się o pół kroku, zadarła głowę i wyprostowała się.

Ainswood się nie wycofał, Lydia także nie drgnęła, co nie było proste. Rozrośnięty tors dosłownie zasłonił jej cały świat, a z tej odległości wyraźnie widziała rysujące się na nim muskuły.

– Doskonały ma pani refleks – burknął książę. – Gdyby nie była pani kobietą, chętnie przyjąłbym tę ofertę. Sparingu. To znaczy…

– Wiem, co to znaczy – ucięła Lydia.

– Doprawdy, ma pani bardzo bogate słownictwo – odparł z uznaniem. – W przyszłości jednak zalecałbym najpierw korzystać z rozumu, a dopiero potem rzucać się z pięściami, droga moja gołąbko. Wierzę, że przy odrobinie wysiłku mogłaby pani poradzić sobie z tym ćwiczeniem. Bo jakiś inny mężczyzna może odczytać pani urocze żarciki jako wyzwanie. W takim przypadku mogłoby się okazać, że fatałaszki spadną prędzej, niż

byś się spodziewała, i nie po to, by cię zważyć przed walką, wierz mi. Czy pojmuje pani, o czym mówię, dziewczynko?

Lydia szeroko otworzyła oczy.

– Och, mój książę, nie pojmuję – wyszeptała bez tchu. – Jest pan tak mądry i tajemniczy. Mój maleńki móżdżek po prostu nie ogarnia tej mądrości.

Zielone oczy zalśniły z rozbawienia.

– Może czepeczek za bardzo uciska? – Wyciągnął ręce do wstążek, ale się zatrzymał.

– Nie radzę – warknęła. Serce niemal rozsadziło jej żebra.

Roześmiał się i pociągnął za wstążki.

Pięść Lydii wystrzeliła w powietrze. Chwycił ją, roześmiał się raz jeszcze i przyciągnął kobietę do siebie.

Prawie się tego spodziewała, jej podświadomość wręcz oczekiwała, że to się stanie. Nie była jednak przygotowana na gwałtowną falę żaru, która spłynęła kaskadami po jej ciele. W następnej chwili książę zmiażdżył jej wargi pocałunkiem, gorącym, namiętnym i świadczącym o rozległych doświadczeniach w tej materii. Lydia zmiękła w jego ramionach, bezradna i zdezorientowana. Przez warstwy ubrania czuła ciepło jego dłoni na plecach i tętniące fale gorąca bijące od jego torsu.

Na krótką chwilę jej umysł poszedł w ślady ciała i poddał się, obezwładniony żarem, siłą i odurzającą mieszanką męskiego zapachu i smaku.

Jednak wkrótce odzyskała zmysły i skorzystała ze starej sztuczki, jakiej nauczyła się jeszcze w dzieciństwie. Zawisła nagle w ramionach mężczyzny całym ciężarem ciała.

Jego wargi oderwały się od jej ust.

– Na Boga, ta wiedźma zemdlała…

Lydia znienacka wymierzyła celny cios w szczękę arystokraty.

Rozdział 2

Vere ocknął się po chwili, leżąc na plecach w błocie. W uszach mu dzwoniło, ale słyszał też dzikie krzyki tłumu, gwizdy i oklaski.

Podniósł się na łokciach i powoli omiótł spojrzeniem czarne półbuty przeciwniczki, czarną ciężką suknię i męski surducik zapięty pod samą szyję. Nad guzikami widniała twarz tak zdumiewająco piękna, że chyba by oślepł, gdyby już nie był mocno oszołomiony. Była olśniewająca jak pani Zima, o lodowato błękitnych oczach i cerze białej jak śnieg pod wymykającymi się spod czepka jedwabistymi włosami w kolorze grudniowych promieni słońca.

W tej chwili lodowate spojrzenie przewiercało Vere'a na wylot. Uznał, że taki wzrok musiała mieć mityczna Gorgona. Czuł wyraźnie, że gdyby mit okazał się prawdą, padłby na trotuar, obrócony w kamień.

Stwardniał za to zupełnie realnie w tradycyjnym miejscu, lecz zdecydowanie za szybko, nawet jak na niego. Jej śmiałość, piękna twarz i smakowite kształty podnieciły go, jeszcze zanim chwycił ją w ramiona i pocałował.

Wpatrywał się teraz jak gamoń w czerwone wargi, których nagle tak rozpaczliwie zapragnął. Usta Gorgony drgnęły w pewnym siebie uśmieszku. Drwina tego grymasu wreszcie go otrzeźwiła.

Wiedźma, zdaje się, uważa, że go pokonała. Zdał sobie sprawę, że i tłum opryszków musi mieć podobne zdanie. Chwila, a cały Londyn dowie się, że kobieta powaliła na łopatki ostatniego wcielonego diabła z rodu Mallorych.

Vere wolałby raczej, by upiekli go na wolnym ogniu, niżby miała ucierpieć jego duma. I za nic w świecie nie przyznałby, co naprawdę czuje.

Więc odpowiedział na jej uśmieszek własnym, prowokującym i szyderczym, z którego słynął.

– I niech to będzie dla ciebie nauczka – roześmiał się.

– Mówi – zwróciła się do publiczności. – Zdaje się, że będzie żył.

Odwróciła się. Szelest jej halek brzmiał jak syczenie żmij.

Odtrącając wyciągające się po niego ręce, Vere poderwał się jak sprężyna. Nie spuszczał wzroku z dziennikarki. Widział aroganckie

kołysanie się jej bioder, gdy maszerowała z wysoko zadartą głową. Spokojnie wzięła smycz psa, ujęła dziewczynę pod rękę i udała się ku wylotowi Vinegar Yard. Po chwili zniknęła.

Nawet straciwszy ją z oczu, Vere nie mógł się skupić na tym, co pokrzykują do niego zebrani wokół mężczyźni. Jego umysł wirował szaleńczo wokół położenia na łopatki panny Grenville.

Znał jednak trzech, stojących najbliżej: Augustusa Tollivera, George'a Carruthersa i Adolphusa Crenshawa. Oni zaś znali jego, a przynajmniej tak im się zdawało. Przywołał więc na twarz wyraz pijackiego rozbawienia, jakiego oczekiwali.

– Niech to będzie dla ciebie nauczka? – zachichotał Tolliver. – Niby jaka? Jak złamać facetowi szczękę?

– Złamać szczękę… – powtórzył drwiąco Carruthers. – Przecież nie mógłby się wtedy odezwać, idioto. Ślepy jesteś? To nie cios go obalił, tylko ta cholerna sztuczka akrobatyczna.

– Słyszałem o tym – potwierdził Crenshaw. – To miało jakiś związek z równowagą, o ile dobrze pamiętam. Sztuka walki z Chin czy Arabii, czy skądś tam. Zresztą czego można się spodziewać po takich dzikusach?

– A czego można się spodziewać po lady Grendel? – prychnął Carruthers. – Słyszałem, że urodziła się na bagnach Borneo i wychowały ją krokodyle.

– Raczej ulicznicy – sprostował Tolliver. – Słyszałeś, jak się wyrażała? Słyszałeś, jak wiwatowali na jej cześć? Ona jest jedną z nich. Wychowała się w najgorszych slumsach, pewnie w Seven Dials.

– Gdzie w takim razie nauczyła się egzotycznych sztuk walki? – spytał Crenshaw. – I dlaczego jeszcze parę miesięcy temu nikt o niej nie słyszał? Gdzie się chowała? Taka tyczka niełatwo się ukryje. Nietrudno ją dostrzec, co nie?

Vere otrzepywał błoto ze spodni.

– Gadałeś z nią, Ainswood, sam powiedz – zwrócił się do niego Crenshaw. – Słyszałeś w jej mowie zagraniczne akcenty? Przecież gada jak londyński pomiot, co nie? Czysta Święta Ziemia.

Seven Dials było czarnym sercem Londynu, jego najgorszym zakątkiem, a parafię St Giles znano pod ironicznym przydomkiem Świętej Ziemi.

Vere uważał, że Gorgona Grenville wcale nie musiałaby opuszczać londyńskich zaułków, by nauczyć się nieczystych zagrań. To, że nie słyszał w jej tonie typowego zaśpiewu uliczników, także o niczym nie świadczyło.

Jaynes również wychował się w mrocznych dzielnicach, a wyzbył się akcentu i charakterystycznych powiedzonek.

Brzmiała chyba nieco bardziej jak dama niż Jaynes jak dżentelmen. Ale co z tego? Całe rzesze nisko urodzonych gryzetek nauczyły się małpować wyższe sfery. A to, że w tej chwili nie przypominał sobie żadnej, która czyniłaby to z tak naturalną gracją, niczego nie dowodziło. Okryty błotem i płonący z pożądania, nie miał nastroju na dyskusje z idiotami.

Pożegnał się i popędził na Brydges, szalejąc z wściekłości. Rzucił się wariatce na pomoc i czego dokonał? Zaproponowała mu wizytę w komisariacie! Jego interwencja uratowała ją zapewne od zdradzieckiego sztychu nożem! W nagrodę dostał tak, że do tej pory dzwoniło mu w uszach.

Panna Bezczelna zagroziła, że podbije mu oko. Zagroziła mu przy świadkach! Jemu, Vere'owi Aylwinowi Mallory'emu, którego nawet wielki i nadęty lord Belzebub nie był w stanie zmusić do uległości.

Nie miał wyboru, musiał ją uciszyć starą i sprawdzoną metodą uciszania gadatliwych panien.

A skoro jej się to nie spodobało, czemu go nie spoliczkowała jak normalna kobieta? Czyżby spodziewała się, że jej odda? Że sponiewiera ją w odrażającym Vinegar Yard na oczach pijaków, dziwek i alfonsów?

Jakby kiedykolwiek upadł aż tak nisko, prychał pod nosem. Jakby kiedykolwiek musiał używać przemocy wobec kobiet. Zmuszać je do czegoś. Ach, przeciwnie! Musiał się od nich oganiać!

W połowie drogi ktoś go zaczepił.

– Ainswood, jak mniemam?

Vere zatrzymał się i odwrócił. To był dżentelmen, którego wyciągnął spod kół pędzącego kabrioletu.

– W pierwszej chwili nie mogłem sobie przypomnieć pana nazwiska – ciągnął nieznajomy. – Ale potem w tłumie zaczęli coś szeptać o wcielonym diable i sobie przypomniałem. Pan jest przyjacielem Daina! Straszliwego męża mej przeklętej siostry! Powinienem był się od razu zorientować, ale powiem panu szczerze, biegam dziś od samego rana od Annasza do Kajfasza i czuję się jak ten Grek, jakkolwiek miał na imię, którego ścigały Furie, więc nic dziwnego, że mój mózg nie działa, jak powinien. Gdyby ta smukła bogini mnie przejechała, zapewne nawet bym nie zauważył, a może wreszcie udałoby mi się trochę odpocząć. Tak czy siak, jestem panu

dozgonnie wdzięczny, bo zapewne nie byłoby przyjemnie zejść z tego świata pod kołami powozu, i pomyślałem sobie, że może zechciałby pan wypić ze mną butelkę wina?

Wyciągnął rękę.

– Bertie Trent znaczy się. To ja. Bardzo mi miło.

* * *

Lydia zepchnęła księcia Ainswooda do najciemniejszego kąta świadomości i skupiła się na dziewczynie. To nie była pierwsza panna, którą wyratowała z opresji. Zwykle odprowadzała je do jednego z londyńskich przytułków.

Jednak na początku lata Lydia przygarnęła dwie siedemnastolatki – Bess i Millie – które uciekły od okrutnej pani. Zatrudniła je jako panny do wszystkiego, bo czuła, że będzie im razem całkiem dobrze. Okazało się, że miała rację. Ten sam natarczywy wewnętrzny głos mówił jej teraz, że i ta dziewuszka powinna z nią zostać.

Gdy pakowała ją i Susan do powozu, nie miała już wątpliwości, że dziewczyna nie pochodzi z niższych sfer. Choć mówiła z delikatnym akcentem z prowincji, zdawała się wyedukowana. Jedno z pierwszych zdań, jakie wypowiedziała, brzmiało: „Nie mogę uwierzyć, że to pani! Panna Grenville z »Argusa«!”. Służące i dziewczyny ze wsi nie znały „Argusa”.

Nazywała się bardzo kornwalijsko – Tamsin Prideaux – i miała dziewiętnaście lat. Lydia na pierwszy rzut oka przypuszczała, że piętnaście, lecz po bliższym poznaniu dostrzegła swoją pomyłkę.

Tamsin była niska i drobna, tylko oczy miała ogromne, o głębokim brązowym odcieniu. Jak się okazało, była też krótkowzroczna. Oprócz sukni zostały jej tylko okulary, pogięte i z jednym szkłem.

Wyznała, że zdjęła je chwilę po przyjeździe do miasta, by wyczyścić szkła z kurzu. Zderzyła się z kimś w zajeździe, ktoś ją popchnął, a po chwili wyrwano jej z rąk torebkę i walizkę z taką gwałtownością, że się przewróciła. Kiedy wstała, zorientowała się, że kufer także zniknął. W tej chwili pojawiła się starsza dama, oferując przyjaźń i proponując odprowadzenie do komisariatu, by zgłosić kradzież.

To była stara sztuczka, ale Lydia pocieszyła Tamsin, że nawet rdzenni londyńczycy są okradani każdego dnia.

– Nie możesz się obwiniać – zapewniła dziewczynę, gdy dotarły do domu. – To się mogło przydarzyć każdemu.

– Poza panią – westchnęła panna Pridaux. – Pani jest gotowa na wszystko.

– Nie wygłupiaj się. – Lydia otworzyła drzwi. – Ja także popełniłam wszystkie błędy nowicjuszek.

Susan nie zdradzała oznak zazdrości ani niechęci – to był dobry znak. Powstrzymała się także przed czułościami, jakimi lubiła obdarzać nowe zabaweczki. To było miłe z jej strony. Dziewczyna była wystarczająco przerażona i źle interpretując zachowanie psa, mogłaby zacząć krzyczeć, a to zawsze źle wpływało na Susan.

Na wszelki wypadek, gdy weszły do hallu, Lydia powiedziała:

– To przyjaciółka. – Lekko poklepała Tamsin po ramieniu. – Bądź dla niej dobra, Susan. Słyszysz? Dobry pies.

Susan delikatnie polizała dziewczynę po dłoni.

Tamsin pogłaskała ją po szyi.

– Susan jest bardzo mądra – wyjaśniła Lydia – ale musisz używać prostych komend.

– Kiedyś szkolili mastify do walki z niedźwiedziami, prawda? – przypomniała sobie Tamsin. – Gryzie?

– Raczej pożera – roześmiała się Lydia. – Nie musisz się jej obawiać. Jeśli się zbytnio rozzuchwali, stanowczo powiedz: „Dość”. No, chyba że sama będziesz chciała, żeby cię obaliła i zawlokła do legowiska.

Tamsin zachichotała cicho. Lydia ukradkiem odetchnęła. Niebawem pojawiła się Bess i zaprowadziła gościa na herbatę, od razu ordynując gorącą kąpiel i drzemkę.

Odświeżywszy się, Lydia ukryła się w gabinecie. Tylko tam, za zamkniętymi drzwiami, pozwalała sobie zrzucać maskę niewzruszonej pewności siebie. Choć zwiedziła szmat świata – w przeciwieństwie do większości londyńskiej śmietanki towarzyskiej – wcale nie była tak obeznana z życiem, jak powszechnie sądzono.

Żaden mężczyzna nie całował wcześniej Lydii Grenville.

Nawet wujaszek Ste w chwilach największej czułości pozwalał sobie jedynie na delikatne poklepanie po głowie, a odkąd wyrosła na olbrzymkę – po dłoni.

To, co zrobił książę Ainswood, dalekie było od zwykłej poufałości. Lydia musiała przyznać, że do tej pory kręciło jej się w głowie. Opadła na krzesło przy biurku, wtuliła twarz w dłonie i czekała, aż wewnętrzny zamęt nieco się uspokoi, a na jego miejsce wróci zwykły uporządkowany spokój.

Nic z tego. Nagle zalały ją nieproszone i chaotyczne wspomnienia z dzieciństwa. Natłok obrazów wirował pod powiekami, ukazując w końcu scenę, która najmocniej utkwiła w jej pamięci. Chwilę, w której zmienił się cały jej świat.

Ujrzała siebie, małą dziewczynkę, siedzącą na stołku i czytającą dziennik matki.

Choć nigdy by tego nie uczyniła, mogłaby spisać własną historię w takim samym stylu, w jakim pisywała *Tebańską Różę*.

Londyn 1810

Wczesnym wieczorem, gdy Anna Grenville od kilku godzin spoczywała w zimnej ziemi, jej dziesięcioletnia córka Lydia znalazła dziennik. Leżał w koszyku z robótką, ukryty pod warstwą różnokolorowych ścinków i łatek.

Siostra Lydii, Sara, długim i rozpaczliwym płaczem ukołysała się do snu, a ojciec dziewczynek, John Grenville, wyszedł z domu, by znaleźć ukojenie w ramionach jakiejś ladacznicy czy też na dnie butelki. Prawdopodobnie zresztą w obydwu tych uciechach.

W odróżnieniu od siostry Lydia nie spała, a błękitne oczy miała suche. Nie była w stanie płakać przez cały dzień. Była zbyt wściekła na Boga, który odebrał jej niewłaściwego rodzica.

Na cóż jednak byłby Bogu ojciec? – zapytała siebie i odgarniając z czoła złote loki, przetrząsała koszyk w poszukiwaniu odpowiedniej łatki na fartuszek Sary. Wtedy natknęła się na niewielki notes, zapisany gęsto drobnym pismem matki.

Zapominając o fartuszku, skuliła się przy dogasającym ogniu i długo w noc czytała zdumiewające słowa. Pamiętnik nie był długi, a mama nie siliła się na rozbudowane opisy, więc Lydia skończyła czytać, zanim ojciec, tuż po świcie, wtarabanił się do domu.

Zaczekała jednak do południa, aż wytrzeźwieje i zacznie panować nad swoim temperamentem. Sara bawiła się na podwórzu z dziećmi sąsiadów.

– Znalazłam pamiętnik mamy – powiedziała bez ogródek. – Czy to prawda, że była kiedyś damą? A ty aktorem? Czy to zmyślona historia?

Ojciec przetrząsał kredens. Odwrócił się od niego z rozbawionym wyrazem twarzy.

– Cóż to ma za znaczenie, kim była? – prychnął. – Nigdy nie mieliśmy z tego żadnych korzyści, nieprawdaż? Czy mieszkalibyśmy w tej norze, gdybym ją dostał z jakimkolwiek posagiem? Jakież to ma znaczenie, jaśnie wielmożna panienko? Zdaje ci się, że teraz sama jesteś wielką damą?

– Czy to prawda, że jestem dziedziczką przodków mamy? – zapytała Lydia, ignorując sarkastyczne uwagi ojca. Już dawno nauczyła się, że nie warto się nimi przejmować.

– Przodków? – Pogrzebał chwilę w kredensie i zatrzasnął drzwiczki ze zniecierpliwieniem. – Cóż za wielkie słowo! Czy tak to ujęła twoja matka?

– Napisała, że pochodzi ze starej szlacheckiej rodziny – sprostowała Lydia. – Że jeden z jej kuzynów był markizem Dain. Że uciekła z tobą do Szkocji, a jej rodzina była tym zdruzgotana. I odcięła się od niej, jakby była „zatrutą gałęzią drzewa Ballisterów”. Chcę tylko wiedzieć, czy to prawda. Mama zawsze była bardzo… dystyngowana.

– Owszem, była. – Ojciec miał w spojrzeniu ten cwany błysk, gorszy niż drwina, gorszy niż pogarda dla swych córek, której chwilami nie był w stanie ukryć.

Lydia natychmiast zdała sobie sprawę z tego, że nie powinna była wspominać o pamiętniku. Najchętniej sama kopnęłaby się w kostkę za taką nieostrożność. Ukryła jednak swoje emocje – jak zwykle zresztą – gdy powiedział:

– Przynieś ten notes, Lydio.

Przyniosła i nigdy więcej go nie zobaczyła. Nie spodziewała się zresztą niczego innego. Zniknął, jak miały to w zwyczaju przedmioty w ich domu. Wszystko powoli rozpływało się w powietrzu. Lydia nie miała wątpliwości, że ojciec sprzedał pamiętnik. Sprzedawał wszystko, tak właśnie zdobywał środki do życia. Czasami przegrywał, czasem coś wygrał, ale córki nigdy nie oglądały żadnych pieniędzy.

Podobnie zresztą jak jego wierzyciele.

Dwa lata później, choć kilka razy zmieniali nazwisko i miejsce zamieszkania, pożyczkodawcy wreszcie go schwytali. Został skazany za długi i zesłany do więzienia Marshalsea w Southwark. Po roku spędzonym w nim wraz z córkami ogłoszono go bankrutem i wypuszczono na wolność.

Wolność jednak przyszła zbyt późno. Sara w więzieniu nabawiła się suchot i niedługo potem zmarła.

Na tej podstawie John Grenville uznał, że angielski klimat mu nie służy. Zostawił trzynastoletnią Lydię pod opieką wuja i ciotki. Obiecał jej, że wróci za kilka miesięcy, i pożeglował do Ameryki.

W noc jego odjazdu Lydia zaczęła pisać własny dziennik. Niezbyt ortograficzny początek brzmiał: „Papa odjehał, na zafsze, mam nadzieję. Pomyślnyh wiatruw!”.

* * *

W normalnej sytuacji Vere odrzuciłby propozycję Trenta równie łatwo, jak ignorował jego wylewne podziękowania. Ale teraz nie czuł się normalnie.

Wszystko zaczęło się rano od przynudzania Jaynesa o dziedzicu rodu Mallorych. Przecież każdy wiedział, że ród Mallorych jest przeklęty i za nic nie należy go przedłużać! Vere nie zamierzał mieć synów tylko po to, by parę lat później siedzieć bezradnie i patrzeć, jak umierają.

Potem stanęła mu na drodze walcząca dziewica! A gdy Jej Wysokość zebrała szaty i się oddaliła, jego tak zwani przyjaciele zaczęli debatować na tym, skąd się wzięła, kim jest i skąd zna techniki walki, którymi go pokonała. Jakby na serio brali pod uwagę, że kobieta – kobieta! – może uchodzić za jego przeciwnika. W walce!

Trent dla odmiany proponował stosowne dla dżentelmenów, spokojne i dystyngowane zawody w piciu. Dlatego właśnie zabrał go ze sobą do domu, a po kąpieli i zmianie odzieży – w asyście skwaszonego, lecz milczącego Jaynesa – postanowił dać młodemu człowiekowi przedsmak nocnego życia w Londynie.

Życie nocne zdaniem Vere’a nie zawierało, broń Boże, wizyt w eleganckich salonach, gdzie hordy niezamężnych panien i ich histerycznych matek rzucały się natychmiast na każdego mężczyznę z niewielkim nawet majątkiem. Ostatni z rodu diabeł wcielony wolałby

raczej dać się zadźgać tępym narzędziem niż spędzić choćby trzy minuty w towarzystwie mdłych i mizdrzących się panien z londyńskiej elity.

Wycieczka obejmowała więc głównie przybytki, gdzie za napitki i towarzystwo płaci się jedynie w gotówce. Trent nie wiedział, że Jego Wysokość wybierał lokale słynące z plotkarstwa i spędzał w nich czas, słuchając nie swego towarzysza, paplającego bez ustanku, lecz szeptów i chichotów w tłumie otaczających ich gości. Książę wyłowił kilka razy nazwisko pewnej damy i za każdym razem zastygał z przykrym grymasem na twarzy. To także uszło uwagi uszczęśliwionego Trenta.

Jaynes z pewnością dostrzegłby to wszystko, lecz on był niezwykle spostrzegawczy, sir Bertram zaś… wręcz przeciwnie.

Największy cymbał na północnej półkuli – tak mawiał o swym szwagrze lord Dain.

Vere nie potrzebował wiele czasu, by zorientować się, że Belzebub oceniał Trenta bardzo łagodnie. Mężczyzna co chwilę cytował Biblię, wzywał na świadka Boga Wszechmogącego wraz ze wszystkimi jego aniołami, co więcej, przejawiał wielki talent do pchania się pod koła powozów, końskie kopyta, a także spadające przypadkiem przedmioty. Zderzał się z każdym obiektem – czy to ożywionym, czy martwym – i ześlizgiwał ze wszystkiego, na czym stał, siedział lub leżał.

Z początku, w krótkich chwilach, gdy jego umysł nie rozszarpywał na strzępy błękitnookich smoków, Vere patrzył na Trenta ze zdumieniem zmieszanym z rozbawieniem. I tak nie miał zamiaru przedłużać ich znajomości.

Zmienił jednak zdanie.

Niebawem po opuszczeniu Westminster Pit, gdzie mieli zaszczyt obejrzeć zdumiewający pokaz psa Billy’ego, uśmiercającego setkę szczurów w dziesięć minut, spotkali lorda Sellowby’ego. Był on paryskim przyjacielem Daina, w związku z czym doskonale znał Trenta. Zresztą Sellowby znał wszystkich i ze wszystkimi się przyjaźnił. Był największym plotkarzem w całej Anglii.

Gdy wymienili stosowne powitania, zapytał uprzejmie, czy Jego Wysokość odniósł jakieś trwałe obrażenia w historycznym starciu z lady Grendel. Dodał z wdziękiem, że przeglądając księgę zakładów w klubie, dostrzegł kilka wpisów obstawiających, ile zębów stracił książę Ainswood w tym… wypadku.

Przez krótką chwilę Sellowby ryzykował utratę własnych zębów wraz ze szczęką, w której były osadzone. Zanim jednak Vere zaczerpnął tchu, Trent oblał się purpurą i ryknął:

– Ile zębów stracił?! Wszak to było jedynie lekkie szturchnięcie i każdy, kto był przy tym, widział wyraźnie, że książę udawał zranionego, żeby odwrócić uwagę tłumu, odegnać dramatyczne chmury, jakie zawisły nad tą harpią na własne jej życzenie, i trochę rozładować sytuację! Gdybyś tam był, Sellowby, widziałbyś, jakie monstra wypełzły z okolicznych barów i bram, rade na awanturę między babami. Zresztą sam widziałeś w Paryżu, do czego jest zdolna moja siostra, kiedy nie ma humoru. Tylko fochy i pogróżki. Ta Grenville może i jest mojego wzrostu, a psa też ma niemałego, ale…

Trent krzyczał dobre kilka minut, nie dając nikomu dojść do słowa. Gdy baronet umilkł na chwilę, by zaczerpnąć tchu, Sellowby pożegnał się błyskawicznie i uciekł. Vere pierwszy raz w życiu nie wiedział, co powiedzieć.

Nie pamiętał, kiedy – i czy kiedykolwiek – ktoś stanął w jego obronie. Szybko jednak przypomniał sobie, że jak dotąd nie potrzebował wsparcia, wręcz przeciwnie, zwykle lawirował na granicy pojmania przez władze i powieszenia. Doszedł więc do wniosku, że tylko półgłówek taki jak Bertram mógł sobie wyobrazić, że Vere Aylwin Mallory marzy o obrońcy czy choćby lojalnym przyjacielu.

Serce księcia skamieniało dawno temu i mężczyzna nie był w stanie wzruszyć się obroną Trenta. Nie zamierzał też roztrząsać własnego zachowania w Vinegar Yard. Prędzej rzuciłby się do rzeki, niż przyznał, że niektóre riposty lady Grendel przebiły się przez ochronny pancerz, jaki przywdział.

Vere doszedł zatem do wniosku, że oniemiały Sellowby, kulący się pod wykrzyknikami, jest najśmieszniejszą rzeczą, jaką widział od miesiąca, a Trent najzabawniejszym imbecylem w mieście.

Dlatego też Jego Wysokość łaskawie zaproponował, by Bertie przewiózł swoje graty z gospody do Ainswood House i czuł się w nim jak u siebie w domu.

* * *

Podczas obiadu Lydia przekonała się, że panna Prideaux może się poszczycić nienagannymi manierami, znakomitym apetytem, umiejętnością błyskotliwej konwersacji i ciętym humorem. Miała też słodki, melodyjny głos, który przypomniał Lydii Sarę, choć dziewczyna była znacznie od niej starsza i bardziej energiczna.

Przy serach i owocach Lydia zaczęła ją delikatnie wypytywać:

– Domyślam się, że uciekłaś z domu?

Jej towarzyszka odłożyła nożyk, którym obierała jabłko, i spojrzała Lydii w oczy.

– Panno Grenville, wiem, że uciekanie z domu jest głupie, a ucieczka do Londynu to czyste szaleństwo, jednak każdy ma jakąś granicę tolerancji, a ja niestety doszłam do tej granicy.

Jej historia okazała się odmienna od dotychczasowych.

Dwa lata temu matka panny Prideaux popadła w religijny amok. Żadne ubrania stały się zakazane. Taniec i muzyka, z wyjątkiem pobożnych hymnów, zakazane. Wszelkie książki i pisma prócz Biblii i modlitewnika – również. Panna Prideaux przemycała do domu „Argusa”, który – jak twierdziła – był jej ostatnim kontaktem ze światem rozsądku.

– Czytałam pani materiały i eseje – opowiadała – i byłam w pełni świadoma, co może mnie spotkać w Londynie. Zapewniam panią, że przyjechałam przygotowana na wszelkie przeciwności. Jednak gdyby mnie nie obrabowano, zapewne nigdy w życiu bym pani nie spotkała. Miałam przy sobie dość pieniędzy na pierwsze miesiące, zanim znalazłabym jakąś pracę. Byłam gotowa robić cokolwiek uczciwego, naprawdę.

Oczy jej zalśniły, twarz skurczyła się w grymasie, lecz opanowała się prędko i ciągnęła:

– Mama i jej nawróceni przyjaciele wygnali tatę z domu. Nie widziałam go ponad dwa tygodnie, gdy weszła do mojej sypialni i zażądała biżuterii, którą dostałam od ciotki Lavinii. Sekta planowała wydrukować jakąś broszurę, lecz okazało się, że wszyscy drukarze to narzędzia szatana i żądają zapłaty. Matka uznała, że muszę poświęcić biżuterię, żeby ratować ludzkie dusze.

– Niezależnie od tego, czy dusze rzeczywiście pragną być uratowane, czy nie – mruknęła Lydia. – Mnóstwo mamy takich nawróconych. Trwonią pieniądze na Biblie i różne broszury, gdy ludzie potrzebują pracy, dachu nad głową i kawałka chleba.

– Jestem tego samego zdania – zgodziła się Tamsin. – Nie miałam zamiaru pozbywać się rodzinnej pamiątki dla takich bzdur. Dostałam tę biżuterię w spadku. Gdy ją nosiłam, przypominałam sobie ciotkę i to, jaka była dla mnie dobra, jak często śmiałyśmy się razem. Bardzo ją kochałam – dokończyła drżącym głosem.

Lydia wciąż miała medalik Sary. Gdyby nie był bezwartościowym kawałkiem cyny, ojciec na pewno by go sprzedał albo przegrał. Wtedy Lydia nie miałaby pamiątki ani po matce, ani po siostrze.

Nie mogła go nosić, bo barwił jej skórę na zielono, ale trzymała go w szkatułce przy łóżku, wyjmowała co wieczór i myślała o ukochanej siostrze.

– Tak mi przykro – powiedziała miękko. – Nie ma szansy na odzyskanie tych rzeczy, moja droga.

– Wiem, to beznadziejna sprawa – odchrząknęła Tamsin. – Nie miałabym żadnego żalu, gdyby wzięli cokolwiek innego. Teraz jednak pewnie rozpruli wszystkie moje rzeczy i znaleźli ukryte klejnoty. Wątpię, by chcieli mi je oddać.

Lydia się zastanowiła.

– Były zatem wartościowe?

– Nie potrafię dokładnie ocenić – wzruszyła ramionami Tamsin. – Miałam rubinowy naszyjnik z bransoletką i kolczykami. Komplet z ametystami, dość stary, ale śliczny, w srebrnym filigranie. I trzy pierścionki. Doprawdy nie wiem, czy są cenne.

– Jeśli miały realną wartość, jest spora szansa, że będą wystawione na sprzedaż – stwierdziła Lydia. – Mam kilku informatorów związanych z obrotem dobrami. – Uderzyła w dzwonek. Po paru chwilach w drzwiach stanęła Millie. Lydia poprosiła o papier i pióro.

– Sporządzimy listę – powiedziała do panny Prideaux. – Dasz radę je narysować?

Tamsin pokiwała głową.

– Świetnie. To bardzo zwiększy nasze szanse. Nie możemy jednak robić sobie zbyt wielkich nadziei – ostrzegła Lydia.

– W ogóle nie robiłabym wokół tego szumu – odparła dziewczyna – gdyby to nie było takie niesprawiedliwe. Starałam się ochronić mój skarb przed pobożnymi złodziejami mojej matki i zawiozłam je prosto w pazury złodziei niepobożnych. Gdyby o tym wiedziała, pewnie powiedziałaby, że

to kara boska. Na szczęście nie muszę już jej słuchać i nie zamierzam tego robić nigdy więcej. – Zarumieniła się, przygryzając wargę. – Nie uzna pani za konieczne zdradzać im, gdzie jestem? Napisałam matce, że uciekam z kochankiem. Myślą, że jestem teraz na wybrzeżu, w drodze do Ameryki. Musiałam wymyślić coś niemoralnego i odrażającego, by uznali, że nie warto mnie gonić.

– To, czy czcisz ojca swego i matkę swoją, to wyłącznie twoja sprawa – powiedziała spokojnie Lydia. – Mają to, na co zasłużyli. To nie ma ze mną nic wspólnego. Jeśli jednak nie chcesz, by przypadkiem dowiedzieli się, gdzie jesteś, sugeruję zmianę nazwiska na mniej charakterystyczne.

To z pewnością nie ochroni jej przed londyńskimi zbirami. Wyglądała tak młodo i niewinnie.

Po krótkiej pauzie Lydia dodała:

– Wydaje mi się, że na ten moment twój los należy do mnie. Planowałam zatrudnić towarzyszkę. – Wcale nie planowała, ale nie miało to przecież znaczenia. – Gdybyś zechciała być tak miła i została ze mną, oszczędziłabyś mi kłopotów poszukiwania. Zapewniam mieszkanie, wikt i opierunek, a…

Panna Prideaux zaczęła szlochać.

– Proszę mi wybaczyć – wyjąkała, gwałtownie wycierając oczy. – Zwykle się tak nie rozklejam, ale pani jest dla mnie taka dobra!

Lydia wstała i wetknęła chusteczkę w mokre od łez dłonie dziewczyny.

– Nie martw się tym – powiedziała. – Przeszłaś naprawdę zbyt wiele. Inna dziewczyna wpadłaby w histerię. Powinnaś trochę popłakać, na pewno poczujesz się lepiej.

– Nie mogę uwierzyć, że pani nic nie wytrąca z równowagi – wyznała Tamsin, osuszywszy twarz. – Musiała sobie pani poradzić z całym tłumem w zaułku, a jednak głos nawet pani nie drgnął. Nie mam pojęcia, jak pani tego dokonała. Ja nigdy wcześniej nie spotkałam księcia, nie śmiałam nawet podnieść na niego oczu. Nie wiedziałabym, jak się odezwać do kogoś tak wielkiego. Wszystko zlało się w jeden chaos, nie wiedziałam, kto jest dobry, kto zły, kto chce mnie skrzywdzić. Nie wiedziałam, czy książę z nas kpi, czy mówi szczerze.

– On pewnie sam tego nie wiedział – rzuciła Lydia, czując nagłą falę gorąca. – To kretyn. Jego miejsce jest na salonach razem z resztą menażerii.

Millie przyniosła pióro i papier, Lydia nie miała więc problemu z odwróceniem uwagi gościa od lorda Ainswooda. Jej własna uwaga nie chciała jednak poddać się tak łatwo.

Kilka godzin później w zaciszu swej sypialni kobieta wciąż nie mogła otrząsnąć się ze wspomnień pocałunku ani stłumić pragnień, które w niej rozniecił.

Usiadła przy toaletce, trzymając w dłoniach medalik Sary.

Podczas długich, ponurych dni w więzieniu Marshalsea Lydia zabawiała siostrę opowieściami o księciu z bajki, który przybędzie na białym koniu, aby je uratować. W tamtym czasie Lydia była jeszcze młoda i na tyle płocha, by wierzyć, że pewnego dnia książę naprawdę się pojawi, że zamieszka z nią w pięknym zamku, a pokoje dziecięce zapełnią się szczęśliwymi maluchami. Sara także mogłaby wyjść za księcia i mieszkać w sąsiednim zamku.

W prawdziwym świecie jednorożce trafiały się częściej niż książęta z bajki.

W prawdziwym świecie nie musiałaby prosić księcia, by zabrał wiedźmę do lochu.

W prawdziwym świecie pocałunek nie rzuca panny na kolana. A na pewno nie taki, który miał zastąpić celny cios, jaki wymierzyłby jej książę, gdyby była mężczyzną.

Lydia westchnęła i kolejny raz napomniała się, że ma teraz ważniejsze sprawy na głowie. Choćby los panny Prideaux. Która płacze teraz pewnie w poduszkę, biedactwo. Ubranie można jednak odkupić, podobnie jak okulary. I nie jest sama, bo czuwa nad nią Lydia.

Ale biżuteria… Och, taka strata musi ją bardzo boleć.

Gdybyż tylko ten nadęty książę zabrał stręczycielkę na komisariat! Byłby to najlepszy sposób na odzyskanie rzeczy Tamsin. Było jasne, że złodzieje pracują dla Coralie. Że to ona uknuła cały plan, od samego początku. Szkoliła własne dziewczęta na kieszonkowców, trzymała też w pogotowiu armię uliczników gotowych na wszystko.

Lecz Ainswood nie był zainteresowany ratowaniem panny Prideaux. Nie jest szlachetnym bohaterem. On tylko wygląda jak książę z bajki, w dodatku mocno poszarpany.

Gdyby na świecie istniała jakaś sprawiedliwość, pocałunek, którym ją upokorzył, nie dałby mu spokoju.

* * *

Lydia doznałaby ukojenia, wiedząc, jak bardzo szamotał się lord Ainswood.

Vere od urodzenia szukał guza. Zawsze był w centrum zamieszania i celował w wywoływaniu skandali. Odkąd odziedziczył tytuł, gazety dosłownie prześcigały się w pikantnych doniesieniach na jego temat. Przygoda z Dainem w jego noc poślubną, epizod z bękartem Belzebuba parę dni później, plotki o czerwcowym wyścigu powozów – na wszystkie te opowieści zużyto tony papieru i litry atramentu. Przyjaciele Vere’a także drwili z niego bez opamiętania.

Artykuły, karykatury i towarzyskie docinki spływały po nim jak woda po kaczce. Vere przebierał w uległych karczmarkach i zapominał o wszystkim, co działo się dookoła. Jednak w poprzednich przypadkach przeciwnikami księcia byli mężczyźni, a awantury toczyły się według bezwzględnych męskich zasad.

Tym razem zaś jego wrogiem została kobieta.

Vere sam już nie wiedział, co jest gorsze: to, że wdał się w dyskusję z kobietą, choć było oczywiste, że są one najbardziej nieracjonalnymi stworzeniami, jakie Bóg zesłał na ziemię, czy to, że padł – dosłownie – ofiarą najstarszej sztuczki świata. Lady Grendel zrobiła to, co zwykle robi zwierzyna łowna – udawała martwą. On zaś, znając wszystkie te sztuczki od małego, dał się zmylić.

Wkrótce zaczął żałować, że zlitował się nad biedną, słabą kobietą. Powinien był ją znokautować, a być może uniknąłby całego zamieszania.

Dokądkolwiek szedł, znajomi śmiali się z niego do rozpuku.

Na przykład wtedy, gdy udali się z Trentem do sal bokserskich przy St Martin, ktoś musiał zapytać, dlaczego nie przyprowadzili panny Grenville, żeby każdy mógł się z nią zmierzyć. Reszta zgromadzonych dosłownie pokładała się ze śmiechu. Co i rusz jakiś idiota chciał wiedzieć, kiedy planują kolejny pojedynek lub czy Jej Wysokość Szczęka wydobrzała na tyle, by przyjmować stałe pożywienie, lub czy słyszał już, że babka tego czy ciotka tamtego jest w grupie wagowej Vere’a.

W tym samym czasie wszyscy ilustratorzy konkurowali na najśmieszniejszy wizerunek słynnego pojedynku.

Trzy dni po wydarzeniu Vere ponuro wpatrywał się w wystawę księgarni, na której wyeksponowano wielki plakat pod tytułem „Lady Grendel daje księciu A. nauczkę”.

Artysta przedstawił go jako ogromnego barbarzyńcę w stroju łotra, Gorgonę zaś jako drobną, wiotką kobietkę. W dymku nad jego gigantyczną głową widniał napis: „Moja droga, czyż nie słyszałaś wcześniej o prawie pana? Wszak jestem teraz księciem!”. Panna Grenville miała wzniesione do góry pięści i krzyczała: „Pokażę ci zaraz i prawo, i lewo!”.

Vere musiał wyjaśnić zbaraniałemu Trentowi grę słów: prawo pana z prawą pięścią panny Grenville. I lewą.

– To zrozumiałem – pokiwał głową Bertie. – Ale skoro pan ma prawo, to czemu ona się złości? Ten żart nie jest śmieszny.

– Prawem pana – wycedził przez zęby Vere – było spędzanie nocy poślubnej ze świeżo poślubioną żoną każdego wasala.

Trent oblał się purpurą.

– Och! To tym bardziej nie jest śmieszne! – I ruszył do drzwi, zapewne z zamiarem wywołania awantury. Vere chwycił go za ramię.

– Spokojnie, Trent, przecież to tylko karykatura. Żart, nic więcej.

I wprowadzając w życie zasadę „co z oczu, to z serca”, przeprowadził przyjaciela na drugą stronę ulicy, lawirując między powozami, pod które Bertie usiłował wpaść. Uszedłszy ledwo spod kół czarnego kabrioletu, chłopak ryknął nagle:

– Niech mnie piekło pochłonie! – I potknął się na krawężniku. – O wilku mowa!

To była ona! Przyczyna niewybrednych żartów i nędznych karykatur.

Przewalając się obok nich z turkotem, Wojowniczka Grenville zasalutowała im jak rasowy stangret, przykładając rączkę bata do kapelusza i uśmiechając się drwiąco.

Gdyby była mężczyzną, Vere dopędziłby ją, wyciągnął z pojazdu i pięściami wbiłby jej ten cholerny uśmiech w gardło. Była jednak kobietą i książę mógł jedynie gapić się na nią z nienawiścią, dopóki nie zniknęła mu z oczu. W jej przypadku jednak powiedzenie „co z oczu, to z serca” nie znajdowało zastosowania.

Rozdział 3

Nastrój księcia Ainswooda mógłby się poprawić, gdyby wiedział, z jakim trudem kobieta zapanowała nad powozem. Ledwo zmieściła się w zakręcie i w ostatniej chwili wyhamowała przed witryną sklepową.

Udało się jej zatrzymać, lecz zdawała sobie sprawę, jak bliska była upokarzającego wypadku. Nie wspominając o tym, że prawie przejechała dwóch pieszych.

Wynikało to z zaskoczenia. Gdy Lydia rozpoznała potężną sylwetkę księcia, jej mózg przestał funkcjonować. Zupełnie. Nie miała pojęcia, gdzie jest i co robi.

Trwało to tylko chwilę, mimo to było niedopuszczalne! Zwłaszcza że nie mogła do siebie dojść, nawet gdy ocknęła się za rogiem ulicy. Wiedziała, że udało jej się zasalutować i uśmiechnąć, podejrzewała jednak, że jej uśmiech był za szeroki i… głupi, nie przebierając w słowach. Durny uśmiech lunatyczki, zżymała się w duchu, pasujący idealnie do równie durnego łomotania serca. Jakby była trzynastoletnią smarkulą, a nie zaprawioną w bojach dwudziestoośmioletnią starą panną.

Pouczała się surowo przez całą drogę do więzienia Bridewell.

Wchodząc do przybytku grozy i cierpienia, odsunęła na bok swe osobiste problemy.

Udała się do Przechowalni, gdzie nędzarki z rozmaitych prowincji Anglii były przetrzymywane przez cały tydzień, zanim odesłano je do ich parafii. Niskie i wąskie cele, które wysypano słomą, zajmowało około dwudziestu kobiet, niektóre z nich z dziećmi. Na środku sali stał rachityczny piecyk.

Jedne przybyły do Londynu, szukając szczęścia, inne były zrujnowane i kryły się w wielkim mieście przed hańbą, jeszcze inne uciekały przed zwykłymi kłopotami: żalem, biedą, przemocą.

Lydia planowała opisać to miejsce w swoim zwykłym stylu. Proste zdania, klarowne odzwierciedlenie tego, co widzi. Tak samo nakreśli historie tych kobiet, bez moralizowania i sentymentów.

Czytelnicy gazety nie będą wiedzieli, że po wywiadach Lydia rozda wszystkim po półkoronie, napisze dla nich listy uwierzytelniające i uda się

na kilka rozmów w sprawie tych nieszczęśnic.

Pannie Grenville pękało serce, gdy rozmawiała z nędzarkami, zżymała się, że tak niewiele może dla nich zrobić, lecz te emocje były jej prywatną sprawą i nie mogły zmącić materiału prasowego.

Na koniec rozmawiała z osadzoną zaledwie wczoraj piętnastoletnią dziewczyną, tulącą do siebie niemowlę, zbyt osłabione, by wierzgało i krzyczało jak inne. Chłopiec leżał w jej ramionach bez ruchu i tylko co jakiś czas wydawał z siebie cichy, bolesny jęk.

– Pozwól mi pomóc – napominała łagodnie Lydia. – Jeśli wiesz, kim jest jego ojciec, Mary, powiedz mi. Pojadę do niego.

Zaciskając wargi, Mary przesuwała nogą w tę i z powrotem brudną wiązkę słomy.

– Byłabyś zdumiona, gdybyś wiedziała, jak wielu ojców decyduje się pomóc swym dzieciom – „kiedy już z nimi skończę”, dopowiedziała w myślach Lydia.

– Czasem lepiej o nich zapomnieć – westchnęła dziewczyna. – Jemmy jest teraz moim jedynym chłopakiem. – Westchnęła jeszcze raz i spojrzała na Lydię. – Pani ma jakieś?

– Dzieci? Nie.

– A chłopa?

– Nie.

– Nikt się pani nie podoba?

– Nie. – *Kłamczucha!* – No, może trochę. – Uśmiechnęła się.

– Mnie też się podobał może trochę – rzekła Mary. – Powiedziałam sobie, że jestem przecież dobrą dziewczyną i nie trzeba o nim myśleć. Był takim wielkim panem, nie ożeni się przecież z wieśniaczką. Ale tylko moja głowa mówiła „nie”. Reszcie on się strasznie podobał. Więc skończyło się na „tak”, a tu mam dowód na to. Myśli pani, że nie dam rady się nim sama zająć, i to prawda. – Głos jej zadrżał. – O Jezu… Niech będzie. Nie musi pani za mnie pisać, sama umiem. Proszę, niech pani potrzyma.

Wcisnęła Lydii dziecko i wyjęła jej z dłoni kartkę i pióro.

Panna Grenville widywała dzieci dość często, były bowiem zwykłym dodatkiem do londyńskich nędzarek i ulicznic. Zdarzyło jej się również trzymać kilkoro na kolanach. Ale nigdy wcześniej nie miała na rękach tak małego niemowlęcia. Tak bezbronnego.

Spojrzała na drobną twarzyczkę. Dzieciątko nie było ani ładne, ani zdrowe, ani nawet czyste i Lydii zachciało się płakać nad jego krótkim i pełnym cierpienia losem. I nad jego matką, która wszak sama była jeszcze dzieckiem.

Jednak oczy dziennikarki pozostały suche i choć serce szalało z emocji, Lydia wiedziała, że musi je ukrywać przed skrzywdzonymi kobietami. Musi dać im przykład hartu ducha. Nie jest już piętnastolatką. Jest dojrzałą kobietą i kieruje własnym życiem według własnych zasad. Nawet jeśli nie w pełni panuje nad sercem.

Delikatnie kołysała dziecko i czekała cierpliwie, gdy Mary z trudem kreśliła litery na kartce. Wreszcie liścik był gotowy i Lydia oddała chłopczyka, czując bolesne ukłucie żalu, które wyrzucała sobie jeszcze długo po opuszczeniu ponurych murów Bridewell.

Życie nie było romantyczną bajką. Londyn już dawno zajął miejsce pałacu z jej dziewczęcych marzeń. Opuszczone kobiety i porzucone dzieci były jedyną rodziną, jakiej potrzebowała. I jaką miała.

Nie mogła zostać ich dobrą wróżką i zapewnić szczęśliwego zakończenia każdej bajki, mogła jednak zrobić to wszystko, czego nie zdołała uczynić dla swej matki i siostry. Mogła ogłosić światu ich historie na łamach „Argusa”, wsłuchującego się w głos nędzarzy.

To była jej misja, jej bajka, jej powołanie. Dlatego Bóg uczynił ją mądrą, silną i nieustraszoną.

Nie stworzył jej, by została zabawką w rękach dżentelmena. I z pewnością nie zamierzała ryzykować wszystkiego, co zdołała zbudować, tylko dlatego, że Książę z Bajki poruszył czułą strunę w jej niemądrym sercu.

* * *

Trzy dni później lady Grendel starała się roztrzaskać głowę Adolphusa Crenshawa u drzwi klubu Crockford przy Saint James.

Vere i Bertie przyłączyli się do tłumu dżentelmenów oblepiających okna klubu w chwili, gdy chwyciła Crenshawa za fular i trzasnęła nim o słup latarni.

Otrząsając się z przykrego wrażenia *déjà vu*, Vere wypadł z budynku i podbiegłszy ku niej, chwycił pannę Grenville w pasie. Zaskoczona

wojowniczka puściła fular. Vere obrócił się i odstawił ją delikatnie z dala od dyszącego ciężko Crenshawa.

Gorgona syknęła i chciała wymierzyć bolesny cios łokciem między żebra, Vere jednak był już przygotowany na nieczyste zagrania. Uchylił się i nie puścił swej zdobyczy. Okazało się, że nie przewidział silnego tupnięcia obcasem w śródstopie. Mimo to trzymał ją mocno, choć wściekły ból promieniował aż do kolana.

Panna Grenville zacisnęła pięści, ale Vere prędko złapał ją za ręce i przeniósł dalej, poza zasięg słuchu zaciekawionych dżentelmenów zgromadzonych przy drzwiach klubu.

Szarpała się przez cały ten czas. Książę prawie uległ pokusie rzucenia jej na jezdnię, gdzie jakiś litościwy woźnica mógłby ją po prostu rozjechać. Zmełł tylko w zębach przekleństwo i wezwał dorożkę. Podjechała błyskawicznie.

– Możesz wsiąść sama albo mogę cię wrzucić jak worek ziemniaków, wybieraj – wycedził.

Wymamrotała kilka przekleństw, ale kiedy otworzył drzwiczki, wsiadła bez ociągania. Szkoda. Chętnie by ją klepnął w tyłek, żeby się pośpieszyła.

– Gdzie pani mieszka? – zapytał, rzucając się na ławkę.

– W szpitalu dla obłąkanych, a gdzieżby indziej?

Chwycił ją za ramiona i potrząsnął.

– Gdzie mieszkasz, przeklęta?!

Wymieniła kilka obelżywych części ciała i nieczystych zwierząt, zanim wyznała, że na Firth w Soho.

Vere rzucił polecenie dorożkarzowi i usadowił się obok niej, zajmując znacznie więcej miejsca, niż rzeczywiście potrzebował.

Przez chwilę jechali w pełnym napięcia milczeniu. Lady Grendel przeciągnęła się nagle i sapnęła:

– Boże jedyny, jakież pan robi sceny!

– Sceny… – powtórzył w zadumie. – Przecież to pani…

– Wszak nie miałam zamiaru skrzywdzić tego idioty – przerwała. – Chciałam tylko, żeby mnie wysłuchał, i musiałam jakoś przyciągnąć jego uwagę.

Przez chwilę Vere wpatrywał się w nią z niedowierzaniem.

– Ta awantura była zupełnie niepotrzebna. I to na Saint James, doprawdy. – Pokręciła z dezaprobatą głową. – Przypuszczam jednak, że nie warto

z panem o tym rozmawiać. Wszyscy wiedzą, że uwielbia pan robić z siebie widowisko. Miotał się pan przez ostatni rok po całej Anglii i było nieuniknione, że niebawem znów zaatakuje pan Londyn. Miałam nieuzasadnioną nadzieję, że pan wróci później. Minęły zaledwie trzy miesiące od niesławnego wyścigu, prawda?

Vere odzyskał zdolność mówienia:

– Wiem, co pani próbowała…

– Nie ma pan najmniejszego pojęcia – sprostowała. – Jednak zazwyczaj nie porównuje pan swych założeń z rzeczywistością i bez namysłu wskakuje w środek nie swojej awantury. Kolejny raz wtrącił się pan nieproszony w moje sprawy i spowodował komplikacje i niepotrzebne opóźnienia.

Vere rozumiał jej zachowanie. Najlepszą obroną jest atak, sam wiedział o tym najlepiej. Nie zamierzał dać sobie wmówić jakichś sentymentalnych bredni.

– Niech mi pani pozwoli coś sobie wyjaśnić, panno Babochłopie Grenville – rzekł chłodno. – Nie może pani tłuc się po Londynie i bić każdego dżentelmena, który stanie pani na drodze. Jak dotąd dopisywało pani szczęście, ale pewnego dnia któryś z tych panów postanowi oddać, a wtedy…

– Być może – znów mu przerwała. – To nie jest pańska sprawa.

– Właśnie zaczęła nią być – odparł przez zaciśnięte zęby. – Gdy widzę przyjaciela w niebezpieczeństwie, po prostu…

– Nie jestem pana przyjacielem i nie potrzebuję pana pomocy.

– Crenshaw jest moim przyjacielem – warknął – a skoro jest zbyt dobrze wychowany, by z panią walczyć…

– Ale nie na tyle, by nie uwieść i nie porzucić czternastoletniej dziewczynki!

Otworzył usta ze zdumienia, ale prędko się opanował.

– Nie próbuj mi wmawiać, że ta pannica, którą wtedy ratowałaś, twierdzi, że Crenshaw ją uwiódł. W ogóle nie jest w jego typie.

– O, nie, tamta jest za stara – prychnęła wiedźma. – Wręcz antyk, ma już całe dziewiętnaście lat. Crenshaw tymczasem lubi tłuściutkie czternastolatki.

Panna Bezczelna wyszarpnęła z kieszeni jakiś papier i wetknęła mu do ręki. Vere wyprostował kartkę i przeczytał. Dużymi, niezgrabnymi literami

ktoś informował Crenshawa, że ten ma dwumiesięcznego syna, który mieszka w tej chwili z matką, Mary Battles, w Bridewell.

– Dziewczyna siedzi w Poczekalni – powiedziała spokojnie panna Grenville. – Widziałam to dziecko. Jemmy jest bardzo podobny do tatusia.

Vere oddał jej liścik.

– Domyślam się, że przekazała pani wieści szczęśliwemu ojcu przy jego znajomych?

– Dałam mu tylko ten list. Przeczytał go, zgniótł i rzucił na chodnik. Trzy dni starałam się o spotkanie, lecz jego służba z uporem twierdziła, że pana Crenshawa nie ma. Za kilka dni odeślą Mary do jej parafii, pewnie do robót publicznych. Jeśli jej nie pomoże, dziecko umrze, a Mary także, z żalu i rozpaczy.

Wiedźma odwróciła się do okna.

– Powiedziała mi, że ma już tylko to dziecko. A jego ojciec co robi? Idzie do Crockforda trwonić fortunę na karty i kości, podczas gdy jego syn jest słaby, chory i umiera. Nikt o niego nie zadba, nie licząc matki, która sama jest jeszcze dzieckiem. Wspaniałych masz przyjaciół, Ainswood.

Tendencję do uwodzenia dziewczynek z prowincji Vere uważał za odrażającą, a reakcję na liścik – niewybaczalną, mimo to nie zamierzał przyznawać racji pannie Lodowiec.

– Proszę pozwolić, że wyjaśnię – odezwał się. – Jeśli chce pani wydobyć coś od mężczyzny, to uderzanie nim o latarnię nie jest najlepszą drogą do celu.

Spojrzała mu prosto w oczy.

Przez chwilę zastanawiał się, jakie mroczne siły stworzyły tego pięknego potwora.

Można by sądzić, że półmrok powozu przyćmi nieco jej zdumiewające rysy. Jednak cień otulił ich intymną kurtyną i ukrył przed księciem wszystkie wady panny Grenville. Jeśli jakieś miała. Widywał ją taką w swoich snach, ale sny były bezpieczne. Przebywanie z nią w powozie już nie. Wystarczyłoby podnieść dłoń i dotknąłby jedwabistego policzka. Wystarczyłoby pochylić się odrobinę i dotknąłby ustami jej warg, pełnych i miękkich.

Pragnienie poczucia smaku jej ust było obezwładniające. Vere zwykle poddawał się takim impulsom, jednak zbyt dobrze pamiętał, czym to się skończyło w Vinegar Yard. Nie da się drugi raz nabrać.

– Wystarczyło się ładnie uśmiechnąć – powiedział. – Zatrzepotać rzęsami i podstawić mu biust pod oczy, a Crenshaw dałby wszystko, czego by pani zażądała.

Przez jakiś czas patrzyła na niego, nie mrugając. Potem wyjęła z kieszeni notes i ołówek.

– Muszę to zapisać – zadrwiła. – Nie mogę utracić ani jednej bezcennej sylaby z pana niesłychanej mądrości. – Z rozmachem otworzyła notes i polizała czubek ołówka. – Uśmiech – zapisała, powtarzając na głos. – Rzęsy. Jaka była trzecia rzecz?

– Rzeczy – poprawił ją, pochylając się i patrząc na zapiski. – Liczba mnoga. Pani piersi. Należy je podstawić pod oczy przeciwnika.

Znajdowały się właśnie tuż pod jego nosem. W pobliżu świerzbiących palców.

Zapisała jego wskazówki, udając absolutną koncentrację: oczy zmrużone, końcówka różowego języka przygryziona perłowymi zębami.

– Efekt będzie lepszy, jeśli postawi pani na większe dekolty – dodał. – W innym wypadku facet może podejrzewać, że próbuje pani ukryć jakieś deformacje.

Był ciekaw, czy panna Grenville zdaje sobie sprawę, jaką pokusę stanowi rząd surowych guzików czarnego surduta i jak podniecająca jest wizja jej kobiecych krągłości opiętych niemal męskim strojem.

Z pewnością jakaś wiedźma uwarzyła aromat, który ją otaczał. Niemal nieuchwytna mieszanka dymu, lilii i czegoś jeszcze, czego nie potrafił nazwać.

Pochylił się niżej.

Podniosła na niego oczy i uśmiechnęła się delikatnie.

– Mam pomysł – szepnęła. – Może weźmie pan notes, ołówek i sam zapisze swoje fantazje? Zachowam stronę zapisaną pańską cenną ręką jako pamiątkę tej cudownej chwili. Chyba że woli pan sapać mi w szyję.

Vere cofnął się bardzo powoli.

– Przydałyby się pani także lekcje anatomii – stwierdził chłodno. – Sapałem w pani ucho. Jeśli życzy sobie pani, bym sapał jej w szyję, nie powinna pani mieć tak wysokiego kołnierzyka.

– Życzyłabym sobie, aby sapał pan na Madagaskarze – odparła słodkim głosem.

– Skoro mnie pani nie lubi, dlaczego mnie pani nie zbije?

Zamknęła notes.

– Rozumiem już, o co chodzi – westchnęła. – Robi pan scenę, bo biłam kogoś innego, a pan chciałby, abym biła wyłącznie pana.

Serce Vere’a potknęło się, a potem ruszyło w szaleńczą galopadę. Zignorował je i spojrzał na nią z litością.

– Biedactwo. Z całej tej skrobaniny wywiązało się zapalenie mózgu.

Ku jego niewymownej uldze dorożka się zatrzymała.

Wciąż z wyrazem współczucia na twarzy otworzył drzwiczki i bardzo delikatnie pomógł jej wysiąść.

– Proszę się wyspać, panno Grenville – powiedział ojcowskim tonem. – Niech pani biedny mózg wreszcie odpocznie. A jeśli nie poprawi się pani do rana, radzę zawołać doktora.

Zanim zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, popchnął ją lekko w stronę drzwi, rzucił do woźnicy: „Crockford” i szybko zamknął się w dorożce. Widział, że obejrzała się przez ramię. Rzuciła mu drwiący uśmiech i ruszyła ku drzwiom, kołysząc biodrami.

* * *

Lydia miała wrodzony talent dostosowywania się błyskawicznie do manier i zachowania innych osób. Ste i Effie twierdzili, że jej ojciec także był obdarzony podobnymi zdolnościami. Jako aktor odniósł jednak porażkę, prawdopodobnie dlatego, że zawód ten wymagał ciężkiej pracy, a jedynymi czynnościami, jakim ojciec był w stanie się poświęcić, były picie, hazard i uganianie się za prostytutkami.

Lydia lepiej wykorzystała swój dar. Umiała wmieszać się w każde towarzystwo i dzięki temu wyraziście opisać je swoim czytelnikom.

Potrafiła także prędko nawiązać znajomości z mężczyznami, kolegami z redakcji. Parę miesięcy temu, po mowie wygłoszonej w Izbie Lordów, otrzymała zaproszenie na wieczorek redaktorów w tawernie Pod Błękitną Sową. Było to w zasadzie picie na umór i chaotyczne wrzaski, lecz cotygodniowe zebrania uznawane były za niepełne, jeśli panna Grenville nie zaszczyciła ich swoją obecnością i nie odegrała jakiejś humorystycznej sceny.

Tego wieczoru rozbawiła do łez Tamsin – której nowe miano Thomasina Price nie przyjęło się jakoś w domu – energicznym przedstawieniem

spotkania z Ainswoodem.

Były w sypialni Lydii. Tamsin usiadła w nogach łóżka, obserwując swą patronkę, występującą przy kominku.

Zwykle publiczność Lydii była w stanie całkowitego upojenia, lecz Tamsin, choć trzeźwa, zaśmiewała się równie mocno.

Przynajmniej się śmieje, pomyślała dziennikarka, kłaniając się. Sama powinna się śmiać, ale wciąż była zbyt roztrzęsiona. Czuła się, jakby jej dusza była starym domem, z którego zakamarków zaczęły nagle wypełzać wstrętne rzeczy.

Westchnęła pod nosem, usiadła przy toaletce i zaczęła rozplatać włosy. Tamsin obserwowała ją przez chwilę.

– Mężczyźni to przedziwne stworzenia – odezwała się cicho. – Zaczynam nabierać przekonania, że książę Ainswood jest najdziwniejszy z nich. Zupełnie nie rozumiem, o co mu chodzi.

– To jeden z tych ludzi, którzy nie potrafią znieść spokoju i ciszy – orzekła Lydia. – Jeśli nie ma żadnego zamieszania, sam je tworzy. Ciągle wywołuje bójki, nawet z przyjaciółmi. Myślałam, że ludzie przesadzają, opowiadając o jego awanturnictwie, ale teraz widziałam to na własne oczy. Nikomu nie odpuści. Ani na chwilę się nie uspokaja. Nie mógł mnie na przykład po prostu wsadzić do dorożki i odesłać. Musiał mnie pouczać i zadręczać przez całą drogę do domu. W ogóle mnie nie dziwi, że Dain go stłukł. Ainswood nadwerężyłby nawet cierpliwość świętego.

– Z tego, co słyszałam, lord Dain nie należy do świętych – zachichotała Tamsin. – Ci dwaj są chyba wykuci z tego samego kruszcu.

– To prawdopodobne. Ainswood nie powinien był jednak wszczynać bójki w noc poślubną lorda Daina. – Lydia spojrzała w lustro. – Barbarzyńca, doprawdy. Mógł wziąć pod uwagę choćby uczucia lady Dain.

Nie wiedziała, dlaczego wciąż jest tak wściekła na samą myśl o awanturze w Amesbury.

Dain był dla niej nikim, ot, daleki krewny. Matka pochodziła z niezbyt posażnej gałęzi rodu Ballisterów, którzy zresztą wyrzekli się jej, gdy wyszła za Jonha Grenville’a. Nikt z żyjących nie miał pojęcia o pochodzeniu Lydii, ona zaś miała zamiar utrzymać to w tajemnicy. Problem polegał na tym, że wszystkie afery z udziałem Ballisterów dotykały ją osobiście, choć Dain był, jak mądrze powiedziała Tamsin, takim samym piekielnikiem jak Ainswood.

Lydia wybrała się nawet na ślub Daina do kościoła pod wezwaniem Świętego Jerzego. Przyszła, jak wszyscy dziennikarze, po materiał do wieczornego wydania. Kiedy jednak Dain wyszedł z kościoła ze swą panną młodą, patrzył na nią czarnymi oczami zupełnie niedemonicznie. Ona zaś spoglądała na niego z taką miłością, że Lydia prawie zemdlała. W publicznym miejscu. Otoczona reporterami.

Nie miało to najmniejszego sensu, lecz od tamtej pory zapałała do niego braterską, szczerą, niemal bolesną miłością i jeszcze bardziej absurdalną chęcią zaopiekowania się nim.

Gdy dowiedziała się, że Ainswood zrujnował ich noc poślubną, niemal wpadła w szał. Wbrew rozsądkowi ten gniew w niej pozostał. I się jątrzył.

– Ale książę był pijany, prawda? – głos Tamsin przerwał jej rozmyślania.

– Nawet pijany w sztok wciąż potrafi stać prosto na nogach i prawić nieprzyzwoitości. Nie masz pojęcia, jak mężczyźni jego pokroju są odporni na działanie alkoholu, zwłaszcza tacy łajdacy jak Ainswood. – Zmrużyła oczy. – Tylko udawał pijanego. Podobnie jak udawał głupca.

– Oczywiście. To właśnie mam na myśli, mówiąc, że zachowuje się dziwnie. – Tamsin pokiwała głową. – Musi być naprawdę bystry. Werbalny sparing z tobą, Lydio, wymaga nie lada zdolności. Gdybyś jechała dorożką z głupcem, pod koniec drogi płakałby z upokorzenia. Tymczasem… – Zmarszczyła brwi. – Cóż, trudno orzec, kto wygrał dziś bitwę na słowa.

– To była tylko mała potyczka. – Lydia chwyciła szczotkę i zaczęła gwałtownie rozczesywać włosy. – Miał dziś ostatnie słowo tylko dlatego, że popchnął mnie i nie zdążyłam się odciąć. Zresztą to popchnięcie było tak dziecinne, że prawie wybuchnęłam śmiechem. Może i dobrze, że nic nie powiedziałam, bo mogłabym go opluć.

– Co ty wyprawiasz? – krzyknęła nagle Tamsin. – Wyrywasz całe kłęby włosów! Przestań natychmiast! – Poderwała się i podbiegła do toaletki. – Daj szczotkę.

– Nie jesteś moją pokojówką.

Tamsin wyjęła szczotkę z dłoni Lydii.

– Rozumiem, że jesteś wściekła na Jego Wysokość, ale nie wyżywaj się na włosach.

– Przez niego Crenshaw mi zwiał – wycedziła Lydia. – Teraz będzie mnie już unikał, a biedną Mary odeślą do domu i będą tam traktować jak popychadło. Ona jest inna niż upadłe dziewczęta…

– Wiem, mówiłaś mi – potwierdziła uspokajającym tonem Tamsin.

– Nie przywykła do przemocy – ciągnęła gniewnie Lydia. – Mężczyźni są odrażający. Wszystko ujdzie im na sucho.

– Może książę z nim porozmawia? – podsunęła Tamsin.

Lydia potrząsnęła głową.

– A cóż go to obchodzi?! – krzyknęła. – Słyszałaś, co powiedział, gdy przeczytał list Mary? Była to dla niego jedynie dobra okazja do prowokowania mnie.

– Może duma nie pozwalała mu…

– Wiem wszystko o jego męskiej dumie. – Lydia wstała i podeszła do kominka. – Chciał tylko policzyć się ze mną za Vinegar Yard. Sądzę, że do tej pory wypił już trzy beczki szampana, celebrując swe wielkie zwycięstwo nad lady Grendel. Zależało mu tylko na jednym: chciał pokazać znajomym, że zdoła mnie przenieść przez pół ulicy i wrzucić do dorożki, jakbym nic nie ważyła. Szarpałam się cały czas, a on się nawet nie spocił! Niech go piekło pochłonie…

Tymczasem jej głupie serce całkiem się rozpłynęło, a mózg przestał funkcjonować, bo Ainswood okazał się tak wielki i silny. Miała już tego serdecznie dość. Musiała zapanować nad własnym życiem.

– A kiedy już opróżni piwniczki Crockforda i rzuci lekką ręką parę tysięcy funtów na stoliki karciane – zżymała się – pójdzie prosto do jakiegoś drogiego burdelu.

Weźmie dziwkę w swoje silne ramiona, będzie głaskał jej szyję i…

Przestań! – napomniała się w duchu Lydia.

– Zapomni o mnie, choć jestem wielka i bezczelna – grzmiała, miotając się po sypialni. – Tym bardziej zapomni o pogniecionym liściku od dziewczyny, która jego zdaniem zapewne sama się o to prosiła. Jakby to biedne dziecko miało jakiekolwiek pojęcie o mężczyznach.

– To rzeczywiście niesprawiedliwe. Kobieta zawsze jest karana, a mężczyzna uwielbiany za swe podboje – przyznała Tamsin. – Nie możemy na to pozwolić. Wiem, że musisz być jutro na kweście, ale ja mogę pojechać do Bridewell i…

Lydia stanęła jak wryta.

– Nie ma mowy.

– Wezmę ze sobą Susan. Powiedz mi tylko, jak mam wydostać Mary i dziecko. Jeśli trzeba coś zapłacić, proszę, potrąć to z mojej wypłaty.

Tamsin podeszła do Lydii, wzięła ją za rękę i zaprowadziła do toaletki.

– Mogą mieszkać ze mną w pokoju, zanim zorganizujemy coś właściwego. Jednak przede wszystkim trzeba ich stamtąd wydostać. Jej tydzień kończy się w czwartek, prawda? A jutro już środa. – Popchnęła oniemiałą Lydię na krzesło. – Zapisz wszystko, co mam zrobić, ruszam o świcie. Gdzie twój notes?

– Na Boga, ależ z ciebie organizatorka – otrząsnęła się Lydia. Sięgnęła jednak do kieszeni, rozbawiona własnym posłuszeństwem wobec dziewczynki dwa razy od niej mniejszej i dziesięć lat młodszej.

Znalazła notes, ale ołówek przepadł. Pewnie upuściła go w dorożce.

– Podaj mi ołówek z szuflady nocnego stolika.

Tamsin prędko spełniła jej prośbę.

Lydia spojrzała jej w oczy.

– Jesteś pewna, moja droga?

– Dałam radę dotrzeć do Londynu z drugiego końca Anglii i wpadłam w kłopoty tylko dlatego, że przez chwilę nic nie widziałam. Tym razem ani na chwilę nie zdejmę okularów. Będę pod opieką Susan. I będę taka szczęśliwa – dodała z pasją – mogąc zrobić coś pożytecznego!

Odkąd pojawiła się w domu Lydii, Tamsin nieraz już udowodniła, że lubi być użyteczna. I że nie jest głupia.

Jaka szkoda, że nie mogę tego powiedzieć o sobie, westchnęła w duchu Lydia i zaczęła pisać.

* * *

Wczesnym rankiem w środę Mary Bartles z Jemmym na kolanach odjechała z więzienia w Bridewell w powozie Adolphusa Crenshawa.

Bertie Trent także miał odjechać, lecz zamyślił się tak głęboko, że zaczął mamrotać pod nosem:

– Nie Karol II, ale coś, co mi się z nim kojarzy… Tylko co? Oto jest pytanie!

Urwany kobiecy krzyk przerwał jego rozmyślania. Mężczyzna podniósł oczy i ujrzał pędzącego ku niemu ogromnego czarnego psa z uczepioną na smyczy drobniutką dziewczyną w okularach.

Panna usiłowała powściągnąć zwierzę, ale z równym powodzeniem mogła próbować zatrzymać słonia. Jako że z ledwością utrzymywała się na

nogach, Bertie bez namysłu rzucił się jej na pomoc. Chwycił psa za obrożę. Ten odwrócił łeb, warcząc i obnażając kły.

Bertie popatrzył nań srogo.

– I co ja ci takiego zrobiłem? Chcesz mi odgryźć głowę? Nie dali ci śniadania?

Suka warczała, cofając się ku dziewczynie.

Bertie powoli, ostrożnie puścił obrożę.

– Ach, więc o to ci chodzi? Nie mam zamiaru skrzywdzić twojej pani. Ale ciągnęłaś ją za mocno. Nie doceniasz swoich sił, mała.

Mastif parsknął i wpatrywał się w niego przenikliwie. Obrzucając psa identycznym spojrzeniem, Bertie wyciągnął dłoń w rękawiczce. Pies powąchał ją, prychnął coś do siebie i usiadł.

Trent podniósł oczy i napotkał zdumiony wzrok dziewczyny. Za niewielkimi szkłami na małym, zadartym nosku lśniły wielkie brązowe oczy.

– Ach, wszak to pani była wtedy w Vinegar Yard, czyż nie? – wykrzyknął Bertie. – Tylko nie miała pani wtedy okularów. Mam nadzieję, że ta wysoka nie wpakowała pani w kłopoty? Miałyście wypadek? Coś się pani stało w oczy?

Dziewczyna wpatrywała się w niego przez chwilę.

– Jestem krótkowidzem – wycedziła. – Nie miałam ich na sobie, bo się stłukły. Panna Grenville zaopiekowała się mną i oddała je do naprawy. – Milczała przez chwilę. – Więc był pan przy tym, jak mnie uratowała. Rzeczywiście, wygląda pan znajomo, ale nie byłam pewna. Bez okularów niewiele szczegółów potrafię rozróżnić.

– A więc zatrzymała panią u siebie? – Bertie pokiwał głową z uznaniem. – O wilku mowa. Właśnie przed chwilą o niej myślałem. Widziałem ją wczoraj wieczorem i z kimś mi się kojarzy, ale nie mogę sobie uświadomić z kim. Ciągle przychodzi mi na myśl Karol II, ale nie wiem dlaczego.

– Karol II? – Wzrok dziewczyny był chłodny i odpychający.

– Nie ten, którego ścięli, tylko następny. Ten od pożaru.

Patrzyła jeszcze przez chwilę.

– Ach, król Karol II. Może dlatego, że panna Grenville jest taka majestatyczna.

– Hau – wtrąciła suka.

Bertie odruchowo poklepał ją po łbie.

– Wabi się Susan – powiedziała panna.

Trent nagle przypomniał sobie o dobrych manierach i przedstawił się. Wtedy dowiedział się, że dziewczyna nazywa się Thomasina Price i została zatrudniona przez pannę Grenville.

Panna Price zmierzyła wzrokiem ponury budynek. Zmarszczyła brwi.

– Nie wygląda zachęcająco, prawda?

– Owszem, to nie jest najmilsze miejsce, w jakim przebywałem – przyznał Bertie.

Jednak musiało być znacznie bardziej przykre dla dziewczyny, którą Crenshaw porzucił wraz z dzieckiem. Bertie wyjaśnił mu to drobiazgowo poprzedniego wieczoru.

Gdy Ainswood wdał się w zapasy z panną Grenville, Bertie zabrał Crenshawa na drinka do gospody, tłumacząc mu, że taka napaść ze strony płci pięknej źle wpływa na nerwy.

Znalazłszy współczującego słuchacza, Crenshaw zwierzył mu się ze wszystkiego. Bertie wysłuchał cierpliwie, jednak na koniec oświadczył, że choć czuje do Crenshawa jedynie sympatię, to fakty są faktami, a wynika z nich, że oskarżają lorda o porzucenie bękarta na pastwę losu. Chyba warto się tym zająć, nieprawdaż?

Bertie przyjechał z nim rano do Bridewell, gdzie potwierdzono oskarżenia. Dzieciak w istocie do złudzenia przypominał swego ojca. Potem nastąpiły nieznośne godziny ględzenia i wreszcie Crenshaw uznał, że zabierze Mary i dziecko. I na tym koniec.

Choć nikt by się tego nie spodziewał, Bertie zdołał dodać dwa do dwóch. Jedno to panna Price, towarzyszka panny Grenville, która napadła wczoraj na Crenshawa. Drugie to fakt, iż najwyraźniej udawała się do Bridewell.

– Nie przyjechała pani może po dziewczynę z dzieckiem? – zapytał. – Bo jeśli chodzi o tę, o którą wczoraj panna Grenville toczyła boje, to może jej panienka przekazać, że została już odebrana przez Crenshawa. Byłem tu z nimi, odjechali jakiś kwadrans temu, cała trójka, a… Och, na Jupitera! A cóż on robi na dworze o tej godzinie?

Dziewczyna odwróciła się i ujrzała nadchodzącego księcia Ainswooda. Był w istocie na nogach, choć pijany w sztok. A ponieważ była to pora, o której zwykle spał, nic dziwnego, że wyglądał jak nadciągający sztorm.

* * *

Choć chwilę zajęło mu rozpoznanie dziewczyny, Vere od razu zorientował się, co to za pies. Powinien był odwrócić się na pięcie i odejść. Skoro piekielny pies jest tutaj, to pewnie i Gorgona. Jednak mastif wlepiał w niego ślepia i warczał głucho, obnażając kły. Gdyby książę powędrował teraz w inną stronę, można by przypuszczać, że się przestraszył.

Podszedł więc nonszalanckim krokiem, chłodno wpatrując się w warczącą bestię. Była wspaniale umięśniona pod lśniącą czarną sierścią i niebywale wielka jak na sukę.

– Widzę, że to nie była najsłabsza sztuka z miotu – powiedział. – A jaki ma czarujący charakter.

Susan szarpnęła się na smyczy. Trent chwycił obrożę i przytrzymał ją.

– Wrrrr! – stwierdziła Susan.

– Równie urocza jak jej pani – odparł Vere z westchnieniem. – Zresztą nie powinna była zostawiać pieseczka pod opieką dziewczęcia, które najwyraźniej sobie z nim nie radzi. Ale to typowe. Panna Grenville nie jest odpowiedzialna, a tym bardziej…

– Panno Price, oto książę Ainswood – wtrącił się Trent. – Ainswood, to panna Price. A panna, która usiłuje mi wyrwać ramię ze stawu, wabi się Susan. Piękny poranek, nieprawdaż? Panno Price, może zawołam dla pani dorożkę, aby mogła pani przekazać dobre wieści pannie Grenville?

Trent odciągnął warczącego psa na chodnik i machnął ręką. Panna Price pośpiesznie dygnęła i pobiegła za nim. Po chwili wsiadła do powozu.

Trent wrócił, otrzepując dłonie i patrząc z zaciekawieniem na Ainswooda.

– Może znalazłbyś sobie jakieś inne miejsce na szukanie guza? – zapytał wreszcie. – Nie wyglądasz dziś kwitnąco, Ainswood, wybacz mą szczerość.

– Jaynes już mi mówił, jak wyglądam, daruj sobie. – Vere ruszył chodnikiem. – Gdybym nie siedział godzinami u Crockforda, czekając na ciebie, nie musiałbym pić podłego szampana i słuchać, jak dowcipnisie nazywają mnie Beowulfem.

Szczerze mówiąc, Ainswood czekał na Crenshawa, by podjąć walkę w miejscu, w którym porzuciła ją Amazonka.

Będziesz dbał o swe bękarty było odwieczną dewizą Mallorych, podobnie jak nietykanie cudzych żon i niedorostków. Nawet Dain, który nie był Mallorym i nie miał oleju w głowie, za to żył wyłącznie według własnych zasad, utrzymywał swoje nieślubne dzieci.

Przeczytawszy list od Mary, Crenshaw powinien był wypiąć dumnie pierś i powiedzieć: „Ach, więc znów jestem ojcem! Bardzom wdzięczny za informację, panno Grenville. Jutro z samego rana udam się do Bridewell, by się nimi zająć”.

Panna Wojowniczka odeszłaby w glorii chwały, kręcąc swym aroganckim tyłkiem, i Vere nie musiałby jej oglądać, a tym bardziej słuchać jej sarkastycznych uwag i walczyć z własnym instynktem przez całą drogę do jaskini smoka.

Lecz Crenshaw nie zrobił tego, co należało, a potem nie wrócił do klubu po porządne lanie. Niekończące się butelki szampana nie zdołały zatopić wściekłości Ainswooda.

Teraz zaś, jakby nie dość mu było wczorajszych przygód i błyskawic, które przeszywały mu głowę po zerwaniu się o tak nieludzkiej porze, panna Wschodzące Słońce Sprawiedliwości dowie się, że przygalopował do Bridewell, i nie będzie musiała długo się zastanawiać po co. I będzie przekonana, że go pokonała. Znowu.

– Mogłem przekazać ci przez chłopaków, żebyś na mnie nie czekał – zmartwił się Trent. – Nie spodziewałem się jednak, że w ogóle jeszcze pojawisz się w klubie. Miałeś dość przyjemne towarzystwo.

Vere zatrzymał się raptownie.

– Przyjemne towarzystwo? Lady Grendel? Oszalałeś?

Trent wzruszył ramionami.

– Uważam, że jest niezwykle przystojna.

Vere bez słowa ruszył przed siebie. Tylko Bernie Trent mógł sobie wyobrazić, że książę Ainswood uprowadził błękitnookiego smoka w celach erotycznych. Żaden z dżentelmenów, z którymi spędził noc, nie wpadł na taki pomysł. Nie mieli wątpliwości, że z równą przyjemnością mógłby iść do łóżka z krokodylem.

To był po prostu kolejny ponury żart, w jakie obfitowało jego nędzne życie. Że panna Grendel posiadała piękne, smukłe kobiece ciało zamiast garbatego, pokrytego łuską truchła, które pasowałoby do jej charakteru.

To właśnie powtarzał sobie raz po raz, pijąc kolejne butelki, wracając do domu przed świtem i przewracając się bezsennie w łóżku.

To samo powtarzał o poranku, gdy dostrzegł czarnego mastifa i serce zaczęło mu bić jak oszalałe do tego stopnia, że gotów był wziąć nogi za pas, byle tylko nie spotkać jego pani.

I to samo, niestety, powtórzył sobie raz jeszcze, gdy okazało się, że Gorgony nie ma w okolicy, a jego sercem wstrząsnął upokarzający żal i rozczarowanie.

Zaczął więc odtwarzać od początku ponurą mantrę, odganiając emocje, które wyrywały się z głębi duszy, rozsadzając klatkę piersiową i wydzierając się ku kieszonce kamizelki, przez którą parzył go ołówek Lydii.

Rozdział 4

Wchodząc do knajpy Pod Błękitną Sową w ten zimny, wilgotny wieczór, Vere poczuł się, jakby zstępował do piekieł.

Był oswojony z gospodami i tawernami pełnymi pijanych i wrzeszczących mężczyzn, jednak tamci byli… normalni.

Pod Błękitną Sową gromadzili się pisarze i dziennikarze. Ich ryki nie przypominały niczego, co słyszał przez całe życie.

Inny był też dym przewalający się sinymi kłębami pod powałą, przypominał opary znad Tamizy. Każdy klient tego przybytku miał w zębach fajkę lub papierosa.

Skręcając z korytarza do głównej sali, Vere spodziewał się, że ujrzy na jej środku starego Lucyfera na zwalistym tronie, otoczonego strzelającymi płomieniami. Tymczasem scena była zupełnie ziemska. Kłęby dymu zabarwiły światło lampy na upiorny żółto-zielony kolor. Pod lampą siedziało dwóch chudych młodzieńców, którzy wydzierali się do siebie jak obłąkani.

Z otwartych drzwi za ich plecami wraz z wybuchami szatańskiego śmiechu wypływały jeszcze gęstsze fale dymu. Gdy podszedł, wrzaski stały się ogłuszające. Wyłowił z nich jeden potężny ryk: „Jeszcze! Jeszcze raz!”. Inni podchwycili go i zaczęli skandować chórem.

Wokół kilku stolików stłoczyło się ze trzydziestu mężczyzn, większość siedziała na stołkach i ławkach, inni opierali się o ściany. Choć dym był tu najgęstszy, zobaczył ją wyraźnie. Stała przed wielkim kominkiem. Blask ognia podświetlał surową czarną sylwetkę.

Wcześniej nie zwrócił uwagi na jej charakteryzację. Teraz bardzo rzucała się w oczy. Być może to przez ten dym i płomienie. A może oszałamiał go hałas. A może chodziło o włosy. Zdjęła czepek i wyglądała bez niego jakoś bezbronnie i zbyt… nago. Gęste pukle w kolorze jasnego złota wymykały się z koka na karku i spływały niesfornymi kosmykami. Nieporządna fryzura złagodziła jej piękne, jakby wykute z marmuru rysy. Wyglądała tak młodo! Jak dziewczynka.

Ponad kołnierzykiem.

Poniżej widział dramatyczną czerń jej zwykłej zbroi z linią guzików maszerujących od brody do talii, gotowych odeprzeć wszelkich intruzów.

Rozpinał je w snach, jeden za drugim, noc w noc.

Przez chwilę zastanawiał się, jak wielu mężczyzn w tej sali o tym marzy. Doszedł do wniosku, że wszyscy. Każdy z nich.

Była jedyną kobietą w gospodzie. A jednak paraduje bez wstydu przed tłumem niezbyt lotnych pisarczyków, z których każdy wyobraża ją sobie nagą, w każdej możliwej pozycji znanej gatunkowi ludzkiemu.

Widział, jak podeszła do jednego z siedzących, pochyliła się nad nim, mówiąc coś z bliska, a on gapił się bezczelnie na jej biust. Vere zacisnął pięści.

Odeszła po chwili i wtedy dostrzegł, że w jednej dłoni dzierżyła butelkę wina, a w drugiej cygaro. Zrobiła jeszcze parę chwiejnych kroków i zdał sobie sprawę, że jest pijana. Podeszła do grupki mężczyzn po lewej i zatrzymała się, kołysząc jak stary pijak.

– Jest spora, to fakt, ale nie w mojej wadze – powiedziała dźwięcznie, jej głos z łatwością wybijał się z gwaru. – Ma z metr siedemdziesiąt i jakieś sześćdziesiąt kilo wagi bez fatałaszków. Zapłaciłbym zresztą z pięćdziesiąt gwinei, żeby to zjawisko obejrzeć na ringu.

Vere potrzebował chwili, by przypomnieć sobie te słowa, i kolejnej, by rozpoznać głos, który nie był jej głosem. A ponieważ zebrani ryknęli śmiechem, kolejne chwile strawił na zrozumieniu, co się tu dzieje.

To były jego własne słowa. Wypowiedziane w Vinegar Yard.

Ale to nie był chyba… jego głos?

– Aż pięćdziesiąt, Wasza Wysokość? – zawołał ktoś. – Nie wiedziałem, że potrafisz do tylu zliczyć.

Wetknęła cygaro w kącik ust i przytknęła dłoń do ucha.

– Czyżbym słyszał jakieś mysie piski? Ach, w istocie. To mały Joey Purvis. Sądziłem, że wciąż jesteś w wariatkowie.

Vere czuł, że za chwilę oszaleje. Słyszał własny głos, głęboki, donośny, zachrypnięty od alkoholu, płynący z jej ust. Powtarzała też wiernie jego gesty. Jakby jego dusza oddzieliła się i wpełzła w ciało kobiety.

Stał jak skamieniały, zasłaniając zwalistą sylwetką otwarte drzwi, aż rżący śmiech publiczności zaczął cichnąć w jego głowie, zamierać i zupełnie umilkł. Zepchnął irytujący dźwięk poza granice świadomości.

Lydia wyjęła cygaro z ust i pokiwała nim na chłopaka.

– Chcesz wiedzieć, czy umiem liczyć, tak? Podejdź, chłopcze, a pokażę ci, jak liczę zęby, które będziesz zbierał z podłogi. A może wolałbyś przyjąć ofertę sparingu. To znaczy… Pewnie wiesz, co to znaczy, moje niewiniątko.

Publiczność nie śmiała się już. Vere spojrzał na zebranych z ociąganiem.

Wszystkie głowy zwróciły się w stronę drzwi, w których stał.

Gdy spojrzał na nią znowu, uchwycił jej wzrok. Nie okazując najlżejszego zaniepokojenia, uniosła butelkę do ust i napiła się wina. Odstawiła trunek na stół, otarła usta wierzchem dłoni i przywitała go lekkim skinieniem głowy i spokojnym: „Wasza Wysokość”.

Zmusił się do uśmiechu. Potem zaczął klaskać. W sali panowała zupełna cisza.

Kobieta wsadziła cygaro do ust, poprawiła wyimaginowany kapelusz i ukłoniła się teatralnie.

Przez chwilę zapomniał, gdzie się znajduje, i jego myśli odbiegły w daleką przeszłość. Było w niej coś znajomego. Coś sprzed wielu lat. Już to widział. Albo tego doświadczył.

Wrażenie znikło jednak równie szybko, jak się pojawiło.

– Doskonałe przedstawienie, moja droga – powiedział. – Bardzo zabawne.

– Nawet w połowie nie tak zabawne jak oryginalna wersja – odparła, śmiało mierząc go wzrokiem.

Ignorując nieznośny żar, jaki spojrzenie to rozpaliło w jego ciele, roześmiał się, zebrał umiarkowanie entuzjastyczną owację od dżentelmenów i podszedł do dziennikarki. Widział, zbliżając się, jak jej rozbawiona twarz tężeje w ironicznym grymasie, a szatańskie wargi układają się w drwiący uśmieszek.

Widywał już tę minę, ale tym razem nie wierzył, że jest szczera. Może to tylko dym i półmrok, ale mógłby przysiąc, że w jej oczach dostrzegł niepewność.

Znów przypominała dziewczynkę ukrytą pod maską potwora. Miał ochotę wziąć ją na ręce i wynieść z tego zaplutego miejsca, z dala od pijanych łajdaków, którzy obmacują ją wzrokiem i biorą w posiadanie w myślach. Skoro panna Grenville ze swej natury musi drwić i naśmiewać się z niego, wolałby, aby robiła to wyłącznie przy nim.

…biłam kogoś innego, a pan chciałby, abym biła wyłącznie pana.

Otrząsnął się z irytujących wspomnień i z idiotycznego podniecenia, które było ich skutkiem.

– Mógłbym się przyczepić do jednego szczegółu – oznajmił, zatrzymując się o krok od niej.

Uniosła brew.

Vere słyszał narastający powoli gwar. Kaszlnięcia, chichoty. Nie ulegało jednak wątpliwości, że wszyscy panowie słuchają uważnie ich rozmowy. Wszak byli reporterami.

– Cygaro – powiedział. Zmarszczył brwi, spoglądając na resztkę cygara tkwiącą w jej szczupłych, poplamionych atramentem palcach. – Cygaro zupełnie nie pasuje.

– Niemożliwe! – Zmarszczyła się, małpując bezczelnie jego minę. – Ależ to najlepszy towar z Tiruchirapalli!

Z wewnętrznej kieszonki surduta wyjął płaską srebrną papierośnicę. Otworzył ją i wyciągnął ku pannie Grenville.

– Jak pani widzi, moje są cieńsze i dłuższe. Barwa tytoniu świadczy o ich wysokiej jakości. Proszę się poczęstować.

Rzuciła mu prędkie spojrzenie spod rzęs, ale wzruszyła ramionami, rzuciła swój niedopałek do kominka i wzięła jedno cygaro. Przez chwilę rolowała je między palcami. Powąchała.

Vere doceniał to przedstawienie, ale potrafił zauważyć szczegóły, które umykały innym obserwatorom: najlżejszy rumieniec zaznaczający się maleńkimi punkcikami na policzkach lady Grendel, przyśpieszony oddech.

Nie, nie panowała nad sobą tak doskonale, jak to wmówiła wszystkim dookoła. Wcale nie była taka twarda, cyniczna i pewna siebie, jak się zdawało.

Miał ogromną pokusę, aby pochylić się jeszcze bardziej i sprawdzić, czy jej rumieniec się pogłębi. Niestety, przez opary dymu poczuł nagle zapach jej ciała. Zeszłego wieczoru niewiele z nią wskórał, ale nauczył się jednego: ten zapach to ordynarna pułapka na mężczyzn.

Odwrócił się gwałtownie w stronę publiczności. Niektórzy odzyskali już mowę i zaczęli dyskutować zawzięcie o cygarach.

– Wybaczcie mi to najście, panowie – powiedział Vere. – Proszę, nie przerywajcie sobie. Stawiam wszystkim.

Nie odwracając się za siebie, jakby zapomniał o istnieniu panny Grenville, energicznie odmaszerował. Przyszedł do tej dziury jedynie po to,

by zatrzeć ewentualne nieprawdziwe wrażenie, jakie można było odnieść po jego porannej wizycie w Bridewell.

Miał zamiar zrobić wielką ceremonię z oddawania ołówka przed tak okazałą męską publicznością, sugerując półsłówkami, że kobieta straciła w dorożce coś więcej niż narzędzie pracy.

Zanim skończyłby występ, byłaby już przekonana, że ma do czynienia z najgorszym łotrem w mieście, obrzydliwym i bez honoru, hulaką bez najmniejszego trudu dorastającym do wszystkich legend, jakie słyszała na jego temat. Kilka dodatkowych słówek dałoby jej do zrozumienia, że gdy natknął się na pannę Price, wracał właśnie z burdelu i nie pamiętał już nawet o istnieniu Mary Bartles.

Bynajmniej zatem nie biegł do więzienia z odsieczą, nie zamierzał uwalniać dziewczyny i wysyłać jej do swego rządcy, by umieścił matkę i dziecko na prowincji, zadbał o ich wygodę i bezpieczeństwo.

Gdyby nawet wyszły na jaw jakieś dobre uczynki, miał zamiar zapewnić ją, że była to inwencja Bertiego Trenta.

Plan był świetny, choć Vere wymyślił go w stanie przypominającym śmierć kliniczną, wywołaną obmierzłym szampanem i dwiema zaledwie godzinami snu.

Jednak w chwili, gdy stanął w drzwiach i ujrzał nieco rozczochraną złotowłosą dziewczynę, zapomniał o wszystkich planach. Widząc zaś jej rumieniec i prędko unoszący się biust, posłał plany do diabła.

Pomylił się co do niej. Wcale nie była taka, jak wmówiła to światu. Wcale nie była wobec niego obojętna. Ta forteca nie była nie do zdobycia. Zdołał nadkruszyć solidne na pozór mury. A jako najgorszy łotr w mieście, obrzydliwy i bez honoru, *et cetera*, *et cetera*, miał obowiązek dostać się do środka, choćby miał rozbierać tę cholerną budowlę kamień po kamieniu.

Czy też raczej, uśmiechnął się pod nosem, guzik po guziku.

Blakesleigh, Bedfordshire

W poniedziałek po niefortunnym spotkaniu lady Grendel i Ainswooda w knajpie Pod Błękitną Sową, panny Elizabeth i Emily Mallory, liczące sobie odpowiednio siedemnaście i piętnaście wiosen, przeczytały o tym ze szczegółami w „Plotkarzu”.

Nie powinny były czytać brukowca. Nie wolno im było nawet przeglądać szanowanych periodyków leżących w bibliotece w Blakesleigh. Ich wuj, lord Mars, czytał im na głos jedynie te ustępy z gazet, które uznał za stosowne dla ich niewinnych uszu.

Jego oczy i uszy nie były w żadnej mierze niewinne, gdyż przez całe swe życie był politykiem i w związku z tym czytał wszystko, włącznie ze szmatławcami.

Gazeta, którą panny potajemnie pożerały wzrokiem w zaciszu swej sypialni, została zwędzona ze sterty makulatury czekającej na wycieraczce na handlarza starzyzną.

Jak wszystkie poprzednie brukowce, i ten miał trafić do kominka. Oczywiście, po gruntownym przestudiowaniu i sprawdzeniu, co aktualnie porabia ich prawny opiekun, siódmy książę Ainswood.

Były to córki Charlesa, siostry nieszczęsnego Robina.

Blask kominka malował ogniste pasemka na rudych głowach pochylonych nisko nad gazetą. Po kilkakrotnej lekturze szczegółowego sprawozdania ze spotkania opiekuna z panną Grenville zielone spojrzenia dziewcząt spotkały się na chwilę, a ich twarze wyrażały rozbawienie i palącą ciekawość.

– Bez wątpienia coś zaszło w dorożce, gdy „odwoził pannę Grenville do domu” – zacytowała Emily. – Mówiłam ci, że Vinegar Yard to dopiero początek. Powaliła go na glebę! To musiało przykuć jego uwagę.

Elizabeth pokiwała głową.

– Domyślam się, że jest śliczna. Nie próbowałby jej pocałować, gdyby była brzydka.

– I bystra. Żałuję, że nie widziałam tej sztuczki. Rozumiem tę część z udawanym omdleniem, ale nie potrafię sobie wyobrazić, jak przeszła od tego do powalenia go na łopatki.

– Uda nam się – pocieszyła ją Elizabeth. – Musimy dalej próbować.

– Ja na pewno nie zamierzam palić cygar – zastrzegła Emily. – A zwłaszcza śmierdzieli wuja Johna. Zrobiłam to jeden jedyny raz i obawiałam się, że już nigdy nic nie zjem. Nie pojmuję, jak zdołała to zrobić, nie wymiotując na kuzyna Vere’a.

– Jest dziennikarką. Pomyśl tylko, w jakie obrzydliwe miejsca musi chodzić, żeby mieć o czym pisać. Może równie dobrze palić cygara, po

prostu ma mocny żołądek. Gdybyś też taki miała, nie chodziłabyś ciągle zielona.

– Pewnie teraz o nim napisze, nie uważasz?

Elizabeth wzruszyła ramionami.

– Będziemy musiały zaczekać, żeby się przekonać. Następny „Argus” wychodzi pojutrze.

Do Blakesleigh gazeta miała szansę dotrzeć najwcześniej w czwartek. Potem przejdzie przez kilkanaście par rąk, wliczając w to służbę, zanim trafi na makulaturę.

Wiedziały obie, że przyjdzie im czekać co najmniej tydzień. Wuj John nigdy nie czytał im „Argusa”, nawet powieści w odcinkach. Jej, delikatnie mówiąc, frywolna bohaterka mogłaby zasiać nieodpowiednie koncepty w podatnych umysłach młodych dam.

Byłby zdumiony, odkrywając, jak dalece młodziutkie córki brata jego żony identyfikują się z Mirandą. A wiedząc, jak bardzo uwielbiają szalonego lorda Diablo, uznałby, że ich serca zostały całkowicie zniszczone przez żałobę, że potrzebują leków, i posłałby po doktora.

Elizabeth i Emily nauczyły się jednak bardzo wcześnie, jak żyć z dnia na dzień, ignorując tępy ból serca. Z każdą stratą rozpaczały równie mocno i czuły ogromny gniew, gdyż ojciec nauczył je, że wszystkie emocje są naturalne.

Z czasem gniew mijał i piekący żal zamieniał się w cichy smutek. Dziś, dwa lata po śmierci ukochanego ojca i prawie osiemnaście miesięcy od odejścia młodszego brata, wracały do nich zwykła radość i ciekawość życia.

Świat nie był już czarny i ponury. Miał swoje ciemne strony, bez wątpienia, ale i słońce litowało się czasem nad padołem łez. Jednym ze słonecznych promieni był opiekun prawny dziewcząt, którego niekończące się szalone wybryki były najznakomitszą rozrywką w dość monotonnym życiu Blakesleigh.

– Założę się o co chcesz, że połowa listów, jakie ciotka Dorothea dostaje od przyjaciółek, dotyczy jego szaleństw – powiedziała Elizabeth.

– Wątpię, że jej znajomi wiedzą cokolwiek więcej niż „Plotkarz”. Wszak znają te historie z drugiej ręki. Albo i z trzeciej. – Emily spojrzała na siostrę. – Jestem pewna, że tacie nie podobałoby się grzebanie w listach ciotki. Nie powinnyśmy nawet o tym myśleć.

– Ja nie jestem pewna, czy pochwalałby zatajanie przed nami wszystkiego, co dotyczy naszego opiekuna – odparła Elizabeth. – Wszak sam go nim ustanowił, nieprawdaż? Pamiętasz, jak czytał listy od swoich przyjaciół, śmiał się i mówił: „Posłuchajcie, co tym razem zrobił ten łotr, kuzyn Vere”.

Emily się uśmiechnęła.

– Ostatni diabeł wcielony, tak o nim mawiał. Prawdziwy demon Mallorych, jak nasz dziadek i jego bracia.

– Ostatni z prawdziwych, diabelskie nasienie – przypomniała sobie Elizabeth. – Vere, jak *veritas*, sama prawda.

– Aylwin, potężny przyjaciel. Był także przyjacielem Robina, prawda?

– Równie potężnym. – Oczy Elizabeth zalśniły nagle. – Nie mogli go powstrzymać, pamiętasz? Nas trzymali z daleka i sami nie wchodzili do niego, ale kuzyn Vere się nie bał. – Ujęła siostrę za rękę. – Był z nim szczery.

– A my będziemy szczere z nim.

Uśmiechnęły się do siebie.

Elizabeth wrzuciła „Plotkarza” do ognia.

– A teraz porozmawiajmy o listach – powiedziała.

* * *

– Nie tak mocno, do licha! – warknęła Lydia. – Trudno się ruszyć w tej uprzęży. Poza tym muszę przecież oddychać.

Wzmiankowana uprząż była czymś w rodzaju gorsetu, który w tajemniczy sposób zmieniał kobiecą sylwetkę w męską. Helena Martin poluzowała lekko wstążkę.

Przed laty, gdy bawiły się razem w londyńskich slumsach, Helena odnosiła znaczne sukcesy jako złodziejka, teraz zaś jeszcze znaczniejsze w roli kurtyzany. Ich przyjaźń przetrwała lata rozłąki i obranie zgoła odmiennych dróg kariery.

Przebywały właśnie w eleganckiej, choć nieco zatłoczonej garderobie Heleny w rezydencji w Kensington.

– Ależ to musi być dobrze zasznurowane – odezwała się Helena. – Chyba że chcesz, aby jedna część twego męskiego torsu szła pod zupełnie innym kątem niż druga.

Na nowo zaciągnęła wstążkę jednym brutalnym szarpnięciem i się odsunęła.

Lydia obejrzała się w lustrze. Dzięki uprzęży miała teraz dumnie wypiętą pierś, jak u gołębia. Wyglądała bardzo dostojnie i modnie. Wielu dżentelmenów wypychało sobie torsy i ramiona, używając podobnych gorsetów. Z wyjątkiem Ainswooda. Jego sylwetka nie wymagała wspomagania.

Po raz tysięczny od spotkania w tawernie Lydia odepchnęła od siebie jego obraz.

Odeszła od lustra i się ubrała. Po dobrym dopasowaniu uprzęży reszta męskiego stroju pasowała doskonale.

Parę miesięcy temu Helena przebrała się za mężczyznę na bal maskowy i oszukała wszystkich gości. Po kilku niezbędnych modyfikacjach kostiumu – Helena była znacznie niższa – Lydia miała nadzieję osiągnąć zbliżony rezultat. Choć nie wybierała się na maskaradę.

Jej celem była sala gier Jerrimera, modna ostatnio dziura w małej uliczce odchodzącej od Saint James. Lydia wyjaśniła Macgowanowi, że chce napisać materiał, jakiego najbardziej pragną jej czytelniczki, zajrzeć do miejsca, do którego kobiety nie mogą wchodzić pod żadnym pozorem.

To była szczera prawda, choć lady Grendel wybrała Jerrimera z jeszcze jednego powodu. Plotki głosiły, że jaskinia hazardu prowadzi także handel skradzionymi dobrami. Jako że żaden z jej informatorów nie trafił dotąd na ślad skarbów Tamsin, warto było chwycić się innych sposobów.

Tamsin uważała, że to nie ma sensu.

– Straciłaś już dwa tygodnie na poszukiwanie mojej biżuterii – napadła na Lydię tego wieczoru. – Masz znacznie ważniejsze sprawy do załatwienia i osoby, którym naprawdę trzeba pomóc. Kiedy pomyślę o Mary Bartles, wstydzę się okropnie łez, jakie wylałam nad tymi kamykami i kawałkami metalu.

Lydia zapewniła ją, że głównym celem jest materiał o sali gier. Jeśli przy okazji uda się trafić na ślad klejnotów, tym lepiej. Jednak nie ma zamiaru śledzić ich ze zbędnym zaangażowaniem.

Zresztą niczego nie mogłaby robić z zaangażowaniem, uwięziona w klatce z fiszbinów, pomyślała, oglądając się w lustrze.

– Jeśli odkryją, że nie jesteś mężczyzną, będziesz miała nie lada kłopoty – martwiła się Helena.

Lydia podeszła do toaletki.

– To jaskinia hazardu. Klienci patrzą jedynie na karty, kości albo ruletkę. A właściciele i pracownicy będą zajęci pilnowaniem pieniędzy. – Spomiędzy kosmetyków, perfum i biżuterii wydobyła cygaro od Ainswooda i włożyła je do wewnętrznej kieszonki. Spojrzała w zatroskane oczy Heleny. – Byłam w większym niebezpieczeństwie, robiąc wywiady z prostytutkami na Radcliffe Highway, a wtedy tak nie jęczałaś.

– To było, zanim zaczęłaś się dziwnie zachowywać. – Helena podeszła do szafki, na której pokojówka ustawiła tacę z karafką brandy i dwiema szklankami. – Do niedawna znacznie lepiej kontrolowałaś swój temperament. I miałaś nieco więcej umiaru w przekonywaniu tych, którzy ośmielili się mieć inne zdanie niż ty. – Nalała brandy. – Awantura, jaką rozpętałaś z Crenshawem, przypomniała mi o bójce, którą wszczęłaś z jakimś ulicznikiem przezywającym Sarę. Miałaś wtedy osiem lat.

Lydia przyjęła szklankę.

– Być może nieco przesadziłam z Crenshawem.

– Niezaspokojona żądza bardzo wpływa na emocje – zasugerowała Helena z uśmiechem. – Ja także byłam poirytowana przez ostatnie kilka tygodni. Zawsze jestem w takim stanie pomiędzy kochankami.

– Moja żądza zamordowania kogoś jest niemożliwa do zaspokojenia z uwagi na panujące prawo.

– Miałam na myśli żądzę ciała, jak doskonale wiesz – sprostowała Helena. – Instynkt połączenia się z wybrankiem. I rozmnażania.

Lydia napiła się, spoglądając na przyjaciółkę ponad brzegiem szklanki.

– Ainswood jest bardzo przystojny – ciągnęła Helena. – I bystry, a to rzadko chodzi w parze. Jego uśmiech mógłby skłonić róże do zakwitania w środku zimy. Niestety, z niewiadomych przyczyn nie znosi kobiet. Mają dla niego jedno tylko zastosowanie, a raz użyte stają się bezwartościowe. Jeśli wzbudził w tobie pragnienie zejścia ze ścieżki cnoty, Lyddy, szczerze ci radzę znaleźć jakieś zastępstwo. Możesz rozważyć Sellowby’ego. Nie gardzi damami i ma na ciebie oko. Wystarczy, że kiwniesz palcem.

Spośród wszystkich luksusowych kurtyzan w Londynie Helena była najdroższa i zasługiwała na to. Potrafiła ocenić mężczyznę jednym spojrzeniem i natychmiast wcielić się w rolę kochanki z jego najdzikszych fantazji. Jej rady nie wolno było lekceważyć.

Lydia nie wzięłaby jednak pod uwagę lorda Sellowby’ego, bo wiedziała, dlaczego ten „ma na nią oko”.

Największy londyński plotkarz uchwycił ją w tłumie dziennikarzy na ślubie Daina. Kilka dni później opowiedział Helenie o prześlicznej kobiecie, która żywcem chyba zeszła z portretu w galerii w Athcourt. Wiekowe domostwo w Athcourt było gniazdem rodzinnym markizów Dain. Od tamtej pory Lydia omijała Sellowby’ego szerokim łukiem. Zbyt bliska zażyłość mogłaby skłonić go do grzebania w jej przeszłości i odkopania spraw, których duma nie pozwalała jej odkrywać.

– Sellowby jest poza dyskusją – powiedziała Helenie. – Plotkarze i dziennikarze są naturalną konkurencją. Poza tym nie mam teraz czasu na romanse. Choć skandale dobrze sprzedają gazety, najmniejsza nawet plamka na honorze podważyłaby całą moją pracę i reputację jako redaktora.

– Może znajdź sobie jakieś inne zajęcie? – zasugerowała Helena. – Nie robisz się młodsza i byłaby to ogromna strata…

– Skarbie, wiem, że próbujesz mi pomóc, ale czy możemy podyskutować o stratach i żądzach następnym razem? – Lydia osuszyła szklankę i odstawiła ją stanowczym gestem. – Robi się późno, muszę wracać do miasta.

Założyła kapelusz, jeszcze raz obejrzała się w lustrze, wzięła laskę i ruszyła ku drzwiom.

– Będę czekała! – zawołała za nią Helena. – Więc wróć tutaj, a nie…

– Wrócę, wrócę! – Lydia otworzyła drzwi. – Chyba nie sądzisz, że sąsiedzi nie zauważyliby obcego mężczyzny wkradającego się do mojego mieszkania nad ranem. Nie chcę też budzić panny Price ani służących, a sama nie wydostanę się z tego gorsetu. Wątpliwa ta przyjemność będzie należała do ciebie. Przygotuj dla mnie koszulę nocną i czepek.

– Uważaj na siebie, Lyddy.

– Pewnie, pewnie. – Odwróciła się i posłała przyjaciółce figlarny uśmieszek. – Niech cię licho, kobieto! Musisz wciąż jęczeć i zatruwać życie uczciwemu facetowi?

I wyszła, ścigana cichym śmiechem Heleny.

* * *

Tej środy cotygodniowe zebranie dziennikarzy Pod Błękitną Sową było wyjątkowo nudne z powodu nieobecności Grenville z „Argusa”. Był za to Joe Purvis i wracał właśnie z ustępu, gdy natknął się w korytarzu na księcia Ainswooda.

Rozwiązanie jego języka powinno wymagać znacznie więcej niż szklaneczki ginu, jednak biedny ilustrator „Argusa” był już trochę pijany, a zatem wrażliwy na wszelkie przejawy zainteresowania i serdeczności.

Najpierw skarżył się, że od ostatniego tygodnia, odkąd Grenville wytknęła mu ton wypowiedzi, koledzy mówią na niego Piskwa. Potem narzekał, że jak zwykle zagarnęła dla siebie najlepszy temat.

– Powinienem być z nią u Jerrimera! – burczał. – To ma być materiał okładkowy, a ja nie będę miał pojęcia, co narysować. Ale Jej Miłość uważa, że w każdej norze znają moją twarz, i spaliłbym jej przykrywkę. Jakby ktokolwiek chciał patrzeć na taką tyczkę, gdy karty są na stole!

Karty kartami, ale Vere zdecydowanie chciałby na nią popatrzeć. Tymczasem prawie ją przeoczył. Dopiero cygaro przykuło jego uwagę.

Gdyby nie ono, przeszedłby obok młodzieńca, rzuciwszy mu zaledwie nieuważne spojrzenie. Zauważyłby skromny i czysty strój, uznałby zapewne, że to jakiś sprzedawca aspirujący do bycia dandysem swojego światka i całkiem nieźle radzący sobie z ruletką. Ale mijając chłopaka, Vere poczuł charakterystyczny zapach i stanął jak wryty.

Tylko jeden sklep oferował te cygara. Jak Vere wskazał pannie Aktorce w poprzednią środę, były one niespotykanie długie i cienkie. Mógł jej także powiedzieć, że jest to wyjątkowa mieszanka tytoniu i są sprowadzane do Londynu wyłącznie dla niego. Vere dzielił się nimi z wybranymi przyjaciółmi przy wyjątkowych okazjach.

Taka okazja nie przydarzyła mu się od paru miesięcy.

A Joe Purvis powiedział jasno, że Grenville tu będzie.

Ukrywając uśmiech, Vere podszedł do stolika.

* * *

Ruletka była ostatnim krzykiem mody w całej Anglii, więc także i u Jerrimera. Salka pękała w szwach, napchana niezbyt dokładnie umytymi ciałami. Ale powietrze bywało znacznie bardziej odpychające w więzieniach czy innych miejscach, jakie odwiedzała, a wonny dym

z cygara zagłuszał najgorszy smród. Żucie go przynosiło niejaką ulgę, gdy trzęsąc się z wściekłości, udawała, że wpatruje się w wirującą tarczę.

Miała świadomość, że sterta żetonów pomiędzy jej dłońmi powoli rośnie, lecz nie miały one żadnego znaczenia w obliczu prawdziwego skarbu znajdującego się na wyciągnięcie ręki.

Coralie Brees stała po drugiej stronie stolika.

Rubinowe krople kołysały się u jej uszu, rubinowy naszyjnik otaczał szyję, a bransoletka podzwaniała na nadgarstku. Komplet idealnie odzwierciedlał szkic Tamsin.

Sala była przepełniona i duszna. W ogólnym ścisku i gwarze madame Brees na pewno nie poczułaby kilku muśnięć, które obrałyby ją ze skradzionych klejnotów.

Niestety, tak wykwalifikowane muśnięcia znacznie wykraczały poza umiejętności Lydii. Tu potrzebny był wyrafinowany złodziej pokroju Heleny, która została daleko w Kensington.

W zasięgu Lydii znajdowało się natomiast powalenie wiedźmy na ziemię, obicie i brutalne obdarcie z kosztowności, i zrobiłaby to z prawdziwą przyjemnością, zdawała sobie jednak sprawę, że to nie czas ani miejsce na taki spektakl.

Nawet gdyby nie miała na sobie konstrukcji utrudniającej poruszanie się, potrafiłaby wymienić kilka powodów, dla których warto było ćwiczyć świętą cierpliwość: salka była ciemna i zatłoczona, a ona nie miała ze sobą nikogo bliskiego, za to mogła liczyć na wielu potencjalnych wrogów, zwłaszcza gdyby się zdemaskowała, co mogło się z łatwością zdarzyć w zamieszaniu. Samo odkrycie tożsamości dziennikarki skończyłoby się w najlepszym wypadku upokorzeniem, w najgorszym: poważnymi ranami.

Owszem, dostawała furii na widok klejnotów Tamsin upiększających największą zbrodniarkę w Londynie. Owszem, nie mogła przestać myśleć o tej silnej i jednocześnie delikatnej dziewczynie, jej zmarłej ciotce i wszystkim, co symbolizował rubinowy komplet.

Lecz Lydia nie miała zamiaru dać się znów ponieść emocjom. Nie dopuści do tego, by niezaspokojone żądze, których obiektem jest gardzący kobietami Ainswood, kolejny raz zamieniły ją w zbuntowaną ośmiolatkę.

Odepchnąwszy od siebie jego natrętny obraz, skupiła się na najbliższym problemie: kulka zatrzymała się na czerwonym dwadzieścia jeden.

Krupier z kamienną twarzą przesunął w stronę Lydii kolejne żetony, a Coralie wybuchnęła potokiem przekleństw. Od godziny konsekwentnie przegrywała i wreszcie, zniechęcona, odeszła od stolika.

Jeśli przegrała już wszystko, może będzie chciała sprzedać klejnoty, pomyślała Lydia. Odkryła już wcześniej, gdzie zawierano takie transakcje. Prędko przeliczyła wygraną. Dwieście funtów. Niezbyt wiele w porównaniu do poważnych klubów, jak Crockford, gdzie w ciągu kilku minut tracono tysiące. Ale może wystarczy, by odkupić biżuterię od ogarniętej gorączką hazardu łajdaczki.

Lydia zaczęła przepychać się przez tłum. Nie chcąc stracić z oczu zwierzyny, instynktownie ominęła rudą prostytutkę, która już wcześniej usiłowała zwrócić na siebie jej uwagę, i trzasnęła łokciem kieszonkowca. Niestety, śpiesząc się za Coralie, nie zauważyła czyjejś nogi wystającej spod mijanego stolika i się potknęła.

Wielka i cholernie silna dłoń chwyciła ją za ramię i postawiła na nogi.

Lydia podniosła głowę i spojrzała w lśniące zielone oczy.

* * *

Vere przelotnie zastanowił się, czego byłoby trzeba, żeby zachwiać jej wystudiowanym spokojem sunącego lodowca.

Mrugnęła i spokojnie wyjęła cygaro z ust.

– Na bogów, to ty, Ainswood?! Kopę lat! Jak twoja podagra? Ciągle trzyma?

Vere zdążył już zauważyć Coralie Brees i jej dwóch zwalistych ochroniarzy, nie zdemaskował więc panny Grenville. Gadała do niego po męsku, trzymając się roli, on zaś włączył się w grę, wyprowadzając ją zdecydowanym ruchem z sali, a potem z klubu. Lecz nawet na ulicy nie puścił jej ramienia, sterując nią w górę Saint James do Piccadilly.

Nie zdradzała niepokoju ani wstydu, nadgryzając cygaro – jego cygaro! – białymi ząbkami i wymachując laską.

– Widzę, że weszło ci to już w nawyk, Ainswood – mówiła. – Kiedykolwiek sprawy zaczynają się układać i zmierzać do celu, pojawiasz się i wszystko niszczysz. Miałam dziś szczęśliwą rękę, jakbyś nie zauważył. Co więcej, byłam w pracy. Domyślam się, że zarabianie na życie nie jest dziedziną, w której masz doświadczenie, pozwól więc, że przedstawię ci

podstawy ekonomii. Kiedy redaktorzy przestają dostarczać materiały, nie ma artykułów do gazety. Jeśli nie ma artykułów, klienci jej nie kupią, bo z pewnością to zrozumiesz, kiedy płacą za gazetę, spodziewają się, że coś w niej będzie napisane. A kiedy klienci nie zapłacą, redaktorzy nie dostaną pensji. – Spojrzała mu w oczy. – Nie mówię za szybko?

– Porzuciłaś ruletkę, zanim zainterweniowałem – sprostował. – Postanowiłaś zagrać w coś innego. Kiedy obserwowałaś tę starą łajdaczkę, ja obserwowałem ciebie. Widziałem już ten wyraz w twoich oczach i wiem, że niebawem po nim pojawiają się rany i siniaki.

Lady Grendel swobodnie pykała dymem z cygara, wyglądając doskonale w swoim kostiumie zadziornego młodzieńca. Vere z trudem powstrzymał śmiech.

– Pozwól, że zwrócę twą uwagę na coś, co najwyraźniej ci umknęło – ciągnął niezrażony. – Dama ta występowała w towarzystwie dwóch tęgich chłopców. Gdybyś za nią poszła, przyjemni ci panowie zaciągnęliby cię w najbliższy ciemny zaułek i pochlastali na drobne kawałeczki.

Dotarli do Piccadilly.

Lady Grendel rzuciła na trotuar niedopałek cygara.

– Masz na myśli Josiaha i Billa, jak mniemam – stwierdziła. – Musiałabym być ślepa, by nie zauważyć tych dwóch gargulców.

– Bystrość twego wzroku stoi pod wielkim znakiem zapytania. Nie zauważyłaś mnie. – Machnął na dorożkarza.

– Mam nadzieję, że wołasz powóz dla siebie – wycedziła. – Ja mam jeszcze sprawę do załatwienia.

– Musisz ją załatwić poza ścianami Jerrimera, bo nie pozwolę ci tam wrócić. Skoro ja cię poznałem, inni też mogą. Tak jak podejrzewasz, dzieją się tam sprawy niekoniecznie legalne. Jeśli uroczy dżentelmeni, którzy prowadzą podejrzane interesy, spostrzegą, że ich gościem jest Grenville z „Argusa”, nie tylko nie załatwisz swej sprawy, ale w ogóle znikniesz z powierzchni ziemi.

– Skąd wiesz, że badałam sprawę nielegalnych transakcji? – spytała. – To była tajna akcja.

Podjechała dorożka. Nie był to nowy kabriolet z kompanii pana Davida Daviesa, lecz ponury pojazd, którego lata świetności minęły wiek temu, gdy służył za karocę jakiemuś bogaczowi z miasta. Dorożkarz siedział z przodu, a nie z tyłu, jak w nowoczesnych pojazdach. Za pudłem powozu

znajdowała się wąska kładka, na której stałoby dwóch lokajów, gdyby nie byli dawno pochowani wraz ze swym panem.

– Dokąd, panowie? – zapytał grzecznie dorożkarz.

– Soho Square – rzucił Vere.

– Oszalałeś? – wykrzyknęła. – Nie mogę tam jechać w tym stroju!

– Dlaczego? – Obejrzał ją od góry do dołu. – Wystraszysz swego słodkiego pieska?

– Campden Place w Kensington. – Lydia zwróciła się do dorożkarza. Wyrwała ramię z uścisku Vere'a, dodając ciszej: – Masz rację. Nie wracam do Jerrimera. Jeśli ty mnie rozpoznałeś, każdy idiota może to zrobić.

– Ale przecież mieszkasz w Soho – upierał się Vere.

– Za to moje ubranie jest w Kensington – burknęła. – I mój powóz.

– Panowie? – przypomniał o sobie dorożkarz. – Jeśli nie jestem potrzebny…

Lady Grendel szarpnęła drzwiczki i wskoczyła do powozu. Vere chwycił za klamkę.

– Od wieków nie byłem w Kensington – stwierdził. – Ciekawe, czy wiejskie powietrze wyleczy moją podagrę.

– Kensington jest bardzo ponure i wilgotne o tej porze roku – odparła twardym tonem. – Jeśli chcesz zmienić klimat, może wybierz się na pustynię Gobi.

– Przemyślałem to i chyba udam się do ciepłego, gościnnego burdelu – odparł zimno, zatrzasnął z hukiem drzwiczki i odszedł, nie oglądając się za siebie.

Rozdział 5

Zanim dorożka dojechała do Hyde Parku, Lydia wiedziała już, że za wszystkie porażki tego wieczoru może winić jedynie siebie.

W zeszłym tygodniu Pod Błękitną Sową zauważyła Ainswooda, gdy tylko stanął w progu. Oczywiście duma nie pozwoliłaby jej zejść ze sceny w takim momencie. Choć z urodzenia była tylko w połowie Ballisterówną, jej charakter zdecydowanie należał do tej rodziny. Nie mogła przerwać występu ani czuć zażenowania tylko dlatego, że patrzy na nią wielki książę pan.

Oczywiście, mogła powstrzymać swą diabelską naturę i nie wyśmiewać się z niego przy wszystkich. Z łatwością zmieniłaby temat skeczu i nikt by nawet nie zauważył. Skoro zaś wolała dla zabawy szukać guza, powinna była wiedzieć, że jeśli go wtedy nie znalazła, to znajdzie w innym, zapewne mniej odpowiednim momencie. Ainswood podjął jej grę i udawał dobry humor, bo nie chciał, żeby wszyscy dziennikarze z Londynu uznali, że byle kobieta jest w stanie wyprowadzić go z równowagi.

A jednak musiał być wściekły i pewnie wrócił Pod Sowę, żeby wyrównać rachunki. A tam ktoś z „Argusa” dał się upić albo przekupić i powiedział mu, gdzie ją znajdzie. Jego Wysokość przybył do Jerrimera, żeby zepsuć jej plany. Nie dbał o to, czy zajmuje się pracą, czy zabawą. Pewnie nie wiedział nawet, co to jest praca. A skoro już zrujnował jej wieczór, mógł sobie iść własną, zdeprawowaną drogą.

I tak oto, przez własne dziecinne zachowanie – i jego dziecinne dążenie do zemsty – nie udało jej się odzyskać klejnotów Tamsin.

Tymczasem Ainswood ucztuje i cieszy się, że pokazał lady Grendel, gdzie jej miejsce. Pewnie będzie tą anegdotą zabawiał towarzystwo w burdelu.

Pewnie będzie się ciągle śmiał, oplatając potężnymi ramionami jakąś krągłą prostytutkę, całując jej szyję i…

– Nie obchodzi mnie to! – syknęła pod nosem.

Być może nawet rozsądna, rzeczowa część jej duszy rzeczywiście nie dbała o jego czyny i uważała, że to dobrze, iż sobie poszedł.

Lecz drzemiący w niej demon miotał się w rozpaczy, bo był tak samo dziki, nieokiełznany i bezwstydny jak Ainswood.

Demon ten chciałby wyskoczyć jak najprędzej z dorożki, wytropić łajdaka i wydrzeć go z ramion krągłej dziwki. Demon zżymał się i szarpał w niej nie z powodu klejnotów Tamsin, ale na wspomnienie urągających słów pożegnania i drzwiczek powozu, którymi trzasnął jej tuż przed twarzą.

Miotając się między wymyślaniem ciętych ripost i tworzeniem niesamowitych scenariuszy z umalowaną Jezabel w roli głównej, Lydia przez długi czas nie wiedziała, gdzie jest, gdy pojazd wreszcie się zatrzymał.

Wyskoczyła z dorożki jak oparzona, zapłaciła i ruszyła ku domowi Heleny.

Gdy po kilku krokach jej mózg zanotował to, co od razu zobaczyły oczy, zamarła. Niedaleko bramy stał elegancki ekwipaż.

Helena ma gościa.

Lydia wiedziała, kto to jest, gdyż znała wszystkie pojazdy dżentelmena, którego postanowiła za wszelką cenę unikać. Lord Sellowby.

Zerknęła przez ramię, lecz dorożka już dawno odjechała.

Zaklęła pod nosem.

Spojrzawszy dzikim wzrokiem w okna domu Heleny, westchnęła i podeszła do stangreta Sellowby’ego. Wymieniła kilka grzeczności i zapytała o adres najbliższego domu publicznego, po czym udała się tam ostentacyjnie powolnym krokiem.

* * *

Stanie na wąskiej kładce starodawnego pojazdu nie było najwygodniejszą formą podróżowania, jak się okazało. Jednak widok, jaki ukazał się jego oczom na koniec podróży, wynagradzał trzy mile podskakiwania i kurczowego trzymania się poręczy.

Vere miał na tyle oleju w głowie, by zeskoczyć z kładki, gdy dorożka zaczęła zwalniać. Ukrył się w krzakach i patrzył, jak jego zdobycz wyskakuje z wnętrza. Oczywiście nie miała pojęcia, że ją śledził.

On zaś nie miał pojęcia, że będzie ją śledził do domu najdroższej londyńskiej kurtyzany. Gdy błękitnooka Gorgona wyznała mu, że jej ubranie i powóz są w Kensington, uznał, że przebrała się w jakiejś

gospodzie, gdzie przyjazdy i odjazdy kolejnych gości nie zwracają niczyjej uwagi. Wyobraził sobie całą bogatą w szczegóły scenę w owej gospodzie.

Rzeczywistość jednak przerosła jego fantazje.

Z gęstych zarośli miał doskonały widok na ulicę i bez ryzyka obserwował, jak wysiadła z dorożki. Porozmawiała chwilę ze stangretem Sellowby'ego, a potem odeszła do rogu ulicy i wślizgnęła się do ogrodu kurtyzany. Vere śledził ją bezszelestnie, ukryty w mroku.

Miała na sobie dobrze skrojony garnitur, a pod spodem musiała ukrywać jakiś gorset, który karykaturalnie ograniczał jej ruchy. Zaszyła się w gęstych zaroślach i zaczęła rozpinać ubranie. Po sporej dawce podskoków, skrętów i wymachów rękami zdołała wyswobodzić się z surduta. Zerwała z głowy kapelusz i perukę oraz ciasny czepek opinający jasne włosy, owinięte płasko dookoła głowy.

Podrapała się za uszami.

Wstrzymując oddech, Vere czekał, aż lady Grendel rozpuści włosy. Widział już, że są niewiarygodnie gęste, a wnioskując z fryzury, którą oglądał Pod Błękitną Sową, domyślał się, że są na tyle długie, by rozwinąć się i spłynąć po jej ramionach jak fala. Nikt by się nie domyślił, że książę Ainswood stoi w ciemności, wpatrując się z uniesieniem w coś tak prostego, coś, co widział już tysiące razy.

Dziennikarka wciąż miała na sobie koszulę i spodnie, jednak Vere miał wrażenie, że za chwilę eksploduje. Tłumaczył sobie, że nadspodziewanie silna reakcja wynika z niestosowności tej sytuacji. W końcu chował się w cieniu, patrząc ukradkiem, jak się rozbierała.

Grenville jednak nie rozpuściła włosów ani nie zdjęła kolejnych warstw. Otrząsnęła się lekko, podeszła do rogu budynku i zaczęła się sprawnie wspinać po rynnie. Vere patrzył na to z niedowierzaniem, po czym ruszył ku niej prędko. Jego buty zachrzęściły na żwirowej alejce.

Zaskoczona hałasem, lady Grendel puściła rynnę i spadła na trawę z głuchym tąpnięciem. Zanim się pozbierała, Vere chwycił ją za ramiona i postawił na nogach.

– Co ty wyprawiasz, do licha? – szepnął.

Wyrwała się.

– A jak ci się wydaje? – Rozmasowała pośladki. – Niech cię piekło pochłonie, Ainswood! Mogłam złamać nogę! Co ci strzeliło do głowy?! Czemu się za mną skradasz? Miałeś iść do burdelu.

– Kłamałem – przyznał. – Nie wierzę, że dałaś się nabrać na taką starą bajeczkę. Nawet nie spojrzałaś, czy naprawdę odchodzę.

Nie starała się nawet ukryć zdumienia.

– Nie może być. Nie wisiałeś chyba za dorożką przez całą drogę?

– To zaledwie trzy mile – zbagatelizował Vere.

– Dlaczego? – zapytała gwałtownie. – Jakie rachunki próbujesz teraz wyrównać?!

Spojrzał na nią z wyrzutem.

– Nie próbuję niczego wyrównać. Zżerała mnie ciekawość.

Zmrużyła oczy.

– Czego?

– Jak to zrobiłaś. – Spojrzał na jej męski tors. – To jakiś gorset, prawda? Co zrobiłaś z biustem?

Otworzyła usta, ale prędko je zamknęła. Spojrzała na swoją koszulę, potem na niego. Zacisnęła zęby i wycedziła:

– Tak, to gorset. Przód jest uformowany na kształt męskiego torsu. Tył klasyczny.

– Ach. Wstążki.

– Owszem, nic interesującego. Nic, czego byś już nie widział tysiące razy. – Odwróciła się do rynny. – Jeśli chcesz się do czegoś przydać, mógłbyś mnie podsadzić.

– Nie mogę – powiedział. – Nie mogę ci pozwolić włamać się do czyjegoś domu. Nie pomagam w kradzieży.

– Od kiedy to stałeś się obrońcą prawa?

– Odkąd wytknęłaś mi bycie okropnym przykładem dla panien z prowincji. Postanowiłem zostać świętym.

– Więc bądź nim gdzie indziej. Nie zamierzam nikogo okradać. Chcę tylko odzyskać ubranie.

– Skoro są u panny Martin, dlaczego nie zapukasz do drzwi?

– Ma towarzystwo – zniecierpliwiła się Grenville. – Mężczyznę. Nie spodziewała się, że wrócę tak wcześnie. Moje ubranie jest w garderobie, okno jest otwarte.

Pokazała palcem okno na pierwszym piętrze.

– Muszę tylko wślizgnąć się i zabrać rzeczy, nie płosząc zakochanych.

Vere spojrzał w okno, a potem na nią.

– Porządna wspinaczka.

– Dam sobie radę – szepnęła nagląco.

Spojrzał na kalesony opinające miłośnie jej długie, smukłe nogi.

– Ja to zrobię – odparł. – Będzie szybciej.

* * *

Parę minut i kilka wściekłych zdań później książę Ainswood wciągał Lydię przez okno garderoby. Nie potrzebowałaby pomocy, gdyby nie ten przeklęty gorset. Związana na sztywno, nie była w stanie sama się podciągnąć.

Mężczyzna chwycił ją pod pachy i niezbyt delikatnie przeciągnął przez parapet, z którego stoczyła się bezładnie na podłogę.

Lydia nie załamywała się łatwo i wciąganie, popychanie czy upuszczanie nie było w stanie jej poruszyć. Gdyby wymagała delikatności, nie zostałaby dziennikarką. Jeśli Ainswood chciał ją skrzywdzić, musiał się bardziej postarać. Był po prostu wściekły, bo nie pozwoliła mu działać według jego jedynie słusznego planu.

Chciał, żeby zaczekała bezczynnie w ogrodzie. Zupełnie jakby miała czas stać w krzakach i czekać, gdy on szamotałby się w ciemności, potykał o niezliczone stoliczki i pufy i szukał jej ubrań, alarmując cały dom.

Poza tym nie ufała mu ani trochę. Równie dobrze mógłby wpaść do pokoju, gdzie Helena przyjmowała gościa. Lydia bez trudu wyobrażała sobie, jak wchodzi do sypialni z naręczem bielizny. „Przepraszam, że przeszkadzam, panno Martin. Może mi pani zdradzić, które z tych majtek należą do panny Grenville?”.

Lydia ledwo opanowała śmiech. Przypominając sobie, kto jest dziś gościem Heleny, spoważniała. Jeśli Sellowby będzie miał okazję lepiej się jej przyjrzeć, niebawem wszystkie gazety zaczną prać ich rodzinne brudy na pierwszych stronach.

Podniosła się z grubego dywanu, ciesząc się, że nie spadła na deski. W takim wypadku na pewno cały dom poderwałby się na nogi. Podeszła na palcach do drzwi od sypialni.

– Co ty robisz? – szepnął wściekle Ainswood. – Przestań się miotać!

Ignorując go, Lydia podsłuchiwała przez chwilę, zanim ostrożnie uchyliła drzwi. Odetchnęła z ulgą i zamknęła je z powrotem.

– Nie ma ich w sypialni – szepnęła. – Pewnie są w bawialni.

– Cóż za rozczarowanie! Gdyby byli tutaj, mogłabyś sobie popatrzeć.

– Bądź cicho – syknęła. – Nie umiesz znaleźć paru rzeczy bez hałasu i szurania?

– Nic nie widzę, do cholery! Stań przy oknie, żebym wiedział, gdzie jesteś. Chcesz, żebym się o ciebie potknął?

– Sam stań przy oknie, a ja poszukam.

– Wiem, jak wygląda twoja suknia, wiem, jak pachnie, do licha! Byłem na wielu pogrzebach, wierz mi.

Lydia podeszła do okna. Słaby poblask księżyca obramowywał prostokąt półmroku. W przeładowanej meblami i zasłonami garderobie było ciemniej niż w ogrodzie. Ledwie widziała ogromną sylwetkę Ainswooda, był jak czarny cień w ciemności. Pochylił się i podniósł coś. Powąchał.

– Mam to – szepnął. Podszedł i pokazał jej ubrania. – Chodźmy.

– Ty pierwszy – odparła. – Zaraz zejdę. Muszę się… przebrać.

Zdecydowanie wolała zrobić to w garderobie, gdzie było naprawdę ciemno.

Cisza.

Lydia zadarła brodę.

– Będzie mi łatwiej zejść, kiedy zdejmę ten gorset. Myślałam, że się uduszę, wchodząc na górę, a zejść będzie jeszcze trudniej.

Kolejna długa chwila ciszy. Lydia miała nadzieję, że gorset tłumi wściekłe kołatanie jej serca.

– Panno Grenville, zdaje mi się, że przeoczyła pani jeden drobny detal.

– Umiem się wspinać w sukni – zapewniła. – Robiłam to setki razy.

– Gorset – syknął. – Wiąże się go na plecach! Jak zamierzasz się z niego wydostać?

Przez chwilę zupełnie nie wiedziała, co powiedzieć. Fala gorąca podeszła jej do gardła i oblała twarz. Rzeczywiście, nie wzięła tego pod uwagę. Zakładanie i zdejmowanie gorsetu nie było możliwe w pojedynkę.

– Zeskoczę jakoś. – Wychyliła się, spoglądając na trawnik. Był strasznie daleko. Skąpany w świetle księżyca. – Nie jest tak wysoko.

Mruknął coś, co raczej nie było modlitwą.

– Nic z tego – odparł spokojnie. – Odejdź od okna. Ściągaj koszulę. W ciemności. Dasz radę?

– Pewnie, że dam…

– Świetnie. Potem wyjmę cię z tego gorsetu, jeśli jesteś w stanie ustać spokojnie przez dwie minuty.

Lydii nagle zwilgotniały dłonie.

– Dziękuję – odszepnęła ugodowo i odeszła od okna w najciemniejszy kąt garderoby.

Usłyszała, jak się zbliżał. Poczuła to.

Oplatając się ramionami, mruknęła:

– Wiem, że bazując na swych rozległych doświadczeniach, rozwiążesz gorset w kilka chwil.

Nie będzie miała czasu zrobić nic głupiego, powiedziała sobie. Nie zdąży wczuć się w oblewający żarem dotyk silnych dłoni Ainswooda. Nie będzie słuchała demonów. Nie popełni błędu, za który musiałaby płacić przez resztę życia.

Sztywnymi palcami rozpięła guziki i zdjęła koszulę.

Zdławiła westchnienie, gdy dotknął palcami jej ramion.

Zabrał je natychmiast.

– Chryste! – syknął. – Nie masz nic pod spodem!

– Mężczyźni nie noszą halek.

– Nie jesteś mężczyzną.

Słyszała, jak zgrzytnął zębami.

– Muszę znaleźć koniec wstążki – szepnął chrapliwie.

Dotykiem, rzecz jasna. Nie mógł przecież nic zobaczyć. Lydia przygryzła wargi.

– Niżej – szepnęła. – Pod moją prawą łopatką.

Jego palce znów dotknęły jej ramienia i przesunęły się w dół, zostawiając płonący ślad.

Szybko znalazł koniec wstążki i choć dotykał gorsetu, a nie nagiej skóry, jego dłonie parzyły przez gruby materiał. Na karku czuła jego ciepły oddech. Metodycznie rozluźniał i rozplątywał wstążki, aż gorset ustąpił i się rozchylił.

Lydia spodziewała się, że łatwiej jej będzie oddychać, jednak wciąż miała wrażenie, że się dusi.

Poluzował kolejny odcinek i gorset opadł jej na biodra. Odruchowo chwyciła go z przodu, przytrzymując przy piersiach.

Dłonie księcia zastygły. Lydię zakłuło w płucach.

Po dwóch uderzeniach serca książę wrócił do wstążek i sprawnie rozwiązał gorset do końca, a potem się odsunął.

Lydia zawstydziła się swoich uczuć, które okazały się aż nadto łatwe do nazwania. Czego się spodziewała? Że rzuci się na nią tylko dlatego, że stoi przed nim półnaga?

Wszak to Ainswood, lubieżnik i wariat. Widział setki nagich kobiet!

Wściekając się na swoje idiotyczne emocje, prędko założyła halkę i koszulę, a na kalesony wciągnęła spódnicę. Nie z powodu fałszywego wstydu, bo Ainswood nie mógł niczego widzieć i jasno dał jej do zrozumienia, że nie ma zamiaru niczego dotykać. Mimo to czuła się lepiej, ściągając kalesony pod suknią.

Szybko wciągnęła majtki i zdjęła je ponownie, gdy okazało się, że są tył na przód. Klnąc pod nosem, nałożyła je, jak trzeba, i sprawnie założyła drugą halkę.

Słyszała jego oddech w ciemności. Prychał i charczał, dając jej do zrozumienia, że pilno mu do wyjścia.

Zarzuciła surducik na ramiona.

– Możesz już iść – szepnęła. – Muszę znaleźć buty.

Warknął. Zabrzmiał jak Susan, gdy ktoś pozbawiał ją rozrywki. Na przykład, gdy nie dostała drugiego herbatnika. Albo gdy pani zabroniła jej skakać na pokojówki.

Lydia zadrżała. Otrząsnęła się jednak prędko, opadła na kolana i zaczęła szukać po omacku trzewików.

Znalazła je niedaleko, pod sofą przy szyfonierce. Zanim zdążyła je założyć, usłyszała zbliżające się kroki i głos Heleny.

– To pewnie kot sąsiadów – mówiła. – Rosa musiała zapomnieć o okiennicach.

Lydia spojrzała w kierunku okna, lecz Ainswood zniknął. Po chwili poczuła, że klęczy tuż przy niej na dywanie.

Helena weszła do garderoby.

– Kici, kici! – zawołała. Zamknęła drzwi i szepnęła: – To ty, Lyddy?

– Ja.

– Nie spodziewałam się ciebie tak prędko.

– Wiem. Wszystko w porządku, wracaj do gościa.

Nic nie było w porządku. Skulony, lecz wciąż ogromny książę Ainswood kucnął na jej sukni. Nie mogła się ruszyć, nie zmuszając do ruchu najpierw

jego, a biorąc pod uwagę wielkość kąta, w którym przycupnęli, pewnie przewróciłby sofę.

– Kici, kici! – powtórzyła Helena i szepnęła jeszcze: – Postaraj się być ciszej. Sellowby jest mniej pijany niż zwykle i słyszał kroki. Bez wątpienia podejrzewa, że ukrywam tu drugiego mężczyznę, i umiera z ciekawości. Lepiej by było, gdyby odkrył, że to ty. Może wyjdziesz i…

– Jest cały twój – ucięła Lydia.

– Pomóc ci z gorsetem?

– Nie! Już się przebrałam. Proszę cię, idź, zanim on tu za tobą przyjdzie.

Długa chwila ciszy. Lydia miała nadzieję, że Ainswood wstrzymał oddech. Sama nie słyszała niczego. Tłukące dziko serce zagłuszało inne dźwięki.

– Muszę cię jeszcze ostrzec – szepnęła z niepokojem Helena. – Sellowby powiedział mi, że Ainswood był dziś wieczorem Pod Błękitną Sową. Najwyraźniej wzbudziłaś jego zainteresowanie. Może powinnaś wyjechać na kilka tygodni?

Lydia poczuła, jak Ainswood napina mięśnie. Za chwilę pobiegnie do bawialni, żeby skorygować przypuszczenia Sellowby’ego za pomocą pięści.

– Zrobię, co zechcesz, ale idź już do niego – popędziła Lydia. – Chyba nadchodzi.

Zadziałało. Helena wybiegła.

– Już idę! – zawołała, zamykając drzwi do garderoby. – To tylko utrapiona kotka. Chyba jej się zdaje, że…

Lydia nie słuchała. Ainswood odetchnął ostrożnie. Spodziewała się, że mężczyzna zacznie kląć, wydobywając się z trudem spod sofy i gniotąc niemiłosiernie jej spódnice. Niestety, usłyszała znacznie gorszy dźwięk.

Przekonana, że się przesłyszała, skupiła się na wydobyciu sukni spod kolan księcia. Nie była w stanie go poruszyć, on zaś w ogóle nie pomagał. Ramiona mu się trzęsły, tors falował i Vere zaczął się krztusić. Lydia zakryła mu usta dłonią.

– Stop – szepnęła z wściekłością. – Ani mi się waż śmiać! Usłyszą cię.

Wargi Ainswooda zaciskały się spazmatycznie w jej dłoni. Zabrała rękę jak oparzona.

Strzelić go w twarz? – zastanawiała się histerycznie. Nie, za duży hałas, a on nawet nie poczuje. Kopnąć w krocze? Niemożliwe, nie mogła nawet ruszyć nogą. Za to ręce miała wolne. Zacisnęła pięść i wymierzyła cios

w brzuch księcia. Niech go licho porwie, on jest wymurowany z cegieł! Mierz niżej, nakazała sobie.

Zanim się zamierzyła, Ainswood wykonał błyskawiczny ruch i nagle znalazła się na dywanie, przygnieciona jego potężnym cielskiem.

– Złaź ze mnie, ty…

Zgniótł jej wargi pocałunkiem, zagłuszając słowa i wpychając powietrze z powrotem do płuc. Jedną rękę miała wolną i powinna go odepchnąć albo podrapać, ale nie zrobiła tego. Nie mogła.

Całował ją już wcześniej, lecz w miejscu publicznym, w tłumie i ich wargi zetknęły się zaledwie na moment, zanim odzyskała nad sobą panowanie.

Tym razem byli sami. Umysł Lydii nie mógł się skoncentrować na nikim innym. Otaczały ich cisza i ciemność. Lydia czuła jedynie jego natrętne usta i nie zdążyła zareagować. Demon z najgłębszego dna jej serca wykorzystał okazję i triumfalnie objął władzę.

Nie mogła zapanować nad ciałem ani nad umysłem, odurzona męskim zapachem i smakiem. Nie miała szans i nie mogła z nim walczyć. Był tak potężny, gorący, piękny i pociągający, a jego wargi smakowały jak grzech pierworodny: były słodkie, dzikie i nieznoszące sprzeciwu.

Dłoń, którą trzymał przy dywanie, rozluźniła się i splotła z palcami księcia, a wolną, zamiast walczyć, Lydia chwyciła go za połę marynarki i przytrzymała. Jej wargi przylgnęły do niego, oddając mu się bez opamiętania i idąc za jego przewodnictwem, choć kobieta wiedziała, że mogą ją wieść jedynie na zatracenie.

Była świadoma. Jej rozsądek wciąż potrafił odróżnić dobro od zła, bezpieczeństwo od zagrożenia, nie była jednak w stanie z tym walczyć. W mroku i ciszy pragnęła jedynie Ainswooda.

Trwało to zaledwie chwilę i o wiele za długo.

Oderwał od niej usta w momencie, gdy dopiero zaczęła rozumieć, czego pragnie.

Nawet wtedy czuła cierpki, pociągający smak grzechu i pełne napięcia pragnienie w dole brzucha. Kiedy się podniósł, prawie się rozpłakała z poczucia straty. Już tęskniła za jego ciepłem, siłą i emocjami, jakimi ją karmił. Czuła też żal, że nie potrafi przyciągnąć go do siebie z powrotem, żeby się przekonać, co czuje i za czym tęskni.

Z oddali dobiegł kobiecy śmiech. Śmiech Heleny, leżącej w objęciach innego lubieżnika. Dźwięk ten przywołał Lydię do porządku. Pomyślała o karierze, którą z takim trudem wypracowała, na którą tak długo czekała, o tej niewielkiej, lecz bezcennej odrobinie wpływu, jaki mogła dyskretnie wywierać. O kobietach i dzieciach, których była głosem i jedynym ratunkiem.

I przypomniała sobie, kim jest on.

Lubieżnikiem, który gardzi kobietami.

Raz użyte stają się bezwartościowe.

– Wszystko w porządku? – szepnął Ainswood.

Nie. Nic nie było w porządku. Z pewnością nie dojdzie do siebie przez długi czas. Zakazany owoc zostawił w ustach gorzki smak.

– Złaź z mojej sukni, przeklęty! – syknęła. – Jak mam wstać, skoro wciąż na niej siedzisz?

* * *

Więź między księciem a jego rozsądkiem rzadko miała się dobrze. Przez ostatnie półtora roku nie rozmawiali ze sobą.

W związku z tym nie czuł żadnych wyrzutów sumienia. Postanowił, że uwiedzie Grenville z „Argusa”, i dążył do tego bez skrupułów. Wręcz doskonale się przy tym bawił. Od wieków nie był tak ożywiony. Nocna eskapada przypomniała mu dawne wycieczki ze wspólnikami w każdej zbrodni: Dainem i Wardellem.

Minęło wiele lat, odkąd Vere jechał na gapę dorożką i popełniał niedorzeczności, uganiając się za śliczną wiedźmą.

A choć wypadki nie potoczyły się tak, jak to sobie zaplanował, ich niezwykłość wynagrodziła mu chwilową irytację. Wspinał się przez okna i uciekał po dachach dość często, ale po raz pierwszy włamał się do domu luksusowej kurtyzany.

Uważał, że to doprawdy paradne, iż panna Grenville chce ukryć jego obecność przed przyjaciółką. Był przekonany, że nic nie jest w stanie zdziwić Heleny Martin. Do tego wszystkiego Sellowby siedzący w bawialni i przekonany o tym, że Helena ukrywa mężczyznę, Helena przekonana, że tak nie jest, i Gorgona wiercąca się i rzucająca bez opamiętania. Najśmieszniejszy był fakt, że Vere odruchowo wcisnął się pod sofę, mimo

że w całym pokoju było ciemno choć oko wykol i panna Martin nie widziałaby nawet własnych dłoni.

Prawie się udusił ze śmiechu.

A potem…

No cóż, oczywiście. Jakże mógł się powstrzymać? Po całej teatralnej szamotaninie z ubieraniem się chętnie pokazałby tej smoczycy, jak niewiele potrzebuje czasu, by ją z powrotem rozebrać. Tak się martwiła, że ich nakryją, iż uznał, że przydałoby jej się coś innego do przemyśleń.

Ale wtedy sprawy przybrały bardzo dziwny obrót.

W Vinegar Yard zaledwie musnął jej wargi. Tym razem nastawił się na długi, powolny, rozpalający pocałunek.

I tu spotkała go niespodzianka.

Panna Gorgona nie umiała się całować.

Potrzebował dobrej chwili, zanim dotarła do niego ta anomalia, a zanim ją przetrawił, Grenville załapała podstawy. Vere cały czas był boleśnie świadomy pełnych, soczystych kształtów, które przygniatał swym ciałem, i zapachu, jaki uderzał mu do głowy. Wzdragał się więc przed przerwaniem pocałunku i uważał, że zupełnie nie powinno go obchodzić, czy ma do czynienia z dziewicą, czy nie. Nie zamierzał się przecież z nią żenić, więc tym bardziej zdumiewał się swoim zachowaniem. A jednak musiał się powstrzymać. Coś go… dręczyło.

To wtedy zapytał, czy wszystko w porządku.

Co z pewnością było jakimś taktycznym błędem, bo odepchnęła go ze zdumiewającą siłą, wzuła buciki i wyskoczyła przez okno, zanim się zorientował, co się stało.

Zrozumiał jedynie, że Grenville ucieka. Wypchnąwszy z głowy wszystkie inne myśli, przeskoczył przez parapet i zniknął.

Szybkie spojrzenie na ogród nie ujawniło obecności dziennikarki. Vere prędko przypomniał sobie, że dostała się tu przez tylną furtkę. Uciekając, zostawiła ją otwartą na oścież, oszczędzając mu cennych sekund pogoni.

Wybiegł z zaułka w ostatniej chwili, by zdążyć jeszcze usłyszeć jej oddalające się kroki. Za rogiem mignął rąbek sukni.

Pobiegł za nią i zrozumiał swój błąd pół sekundy później, gdy laska strzeliła go po piszczelach.

Usłyszał trzask kości, poczuł ostry ból promieniujący aż do brzucha i zobaczył chodnik biegnący mu na spotkanie.

Rozdział 6

Zaklął.

Zaśmiał się.

Jeszcze raz zaklął.

Lydia stała nad księciem z zaciśniętymi pięściami. Przez chwilę myślała, że naprawdę zrobiła mu krzywdę. Powinna była się domyślić, że potrzebowałaby stada wściekłych byków, by na serio zranić ten monolit.

– Nie oczekuj ode mnie współczucia – powiedziała. – Jak dla mnie możesz tu leżeć do Sądnego Dnia. Przez ciebie złamałam ulubioną laskę!

Niestety, nie złamała mu nogi.

Jęknął i podniósł głowę.

– To był cios poniżej pasa – stęknął. – Wciągnęłaś mnie w pułapkę.

– A w garderobie grałeś czysto? – zadrwiła. – Wiedziałeś, że nie mogę krzyczeć ani hałasować. I nie mów mi, że wystarczyłoby powiedzieć „nie”, bo w twoim przypadku to nigdy nie działa.

– Możemy się pokłócić później, Grenville? – Cedząc pod nosem naprawdę ohydne przekleństwa, przewrócił się na bok i uniósł na łokciu. – Podałabyś koledze pomocną dłoń.

– Nie. – Tupnęła nogą i cofnęła się poza zasięg jego rąk. – Zrujnowałeś mi dziś interes, naraziłeś mnie na niebezpieczeństwo i uniemożliwiłeś oddanie przysługi przyjaciółce. To był już trzeci raz, gdy wszedłeś mi w drogę i zniszczyłeś wszystkie plany. Nie wspominając już, że przez ciebie mogli mnie wyrzucić z pracy. Gdyby Sellowby wszedł do garderoby i znalazł mnie w kompromitującej pozycji z największym lubieżnikiem w Londynie, straciłabym tę odrobinę szacunku, jaką wypracowałam z takim trudem.

Zebrała z ziemi resztki swojej laski.

– Znam znacznie więcej chwytów poniżej pasa – dodała. – Wejdź mi jeszcze raz w drogę, a pożałujesz.

I zanim zdążył jej wytknąć nieścisłości w rozumowaniu, odeszła w ciemną alejkę, nie oglądając się za siebie.

* * *

– Drżyjcie, oto nadchodzi pogromca smoka – zaanonsował donośnie Jaynes, gdy Vere, kulejąc, wtoczył się do domu o trzeciej nad ranem.

Do hallu wbiegł Trent z kijem bilardowym w dłoni i zlustrował Ainswooda, krzywiąc się z dezaprobatą.

Vere powiedział im wcześniej, że wybiera się Pod Błękitną Sowę, polować na smoki.

Jaynes prawił kazania, Trent paplał jak najęty, ale Vere nie słyszał ani słowa z tego, co gadali.

Widział teraz: „A nie mówiłem?” wyraźnie wypisane na obydwu twarzach. Płaszcz i spodnie miał podarte i zaplamione, twarz podrapaną, posiniaczoną i… brudną. Na szczęście nie złamał nosa, choć bolał go tak, jakby był złamany.

O piszczelach wolał nawet nie wspominać.

Zdołał się uśmiechnąć.

– Nie pamiętam, kiedy się tak ubawiłem – wycharczał. – Przegapiliście wspaniałą wyprawę. Kiedy wam opowiem…

– Zarządzę kąpiel – oświadczył Jaynes głosem męczennika. – Przyniosę też apteczkę.

Vere wzruszył ramionami i zwrócił się do gościa:

– Nigdy byś nie zgadł, co mi się przydarzyło, Trent.

– Nawet bym nie próbował – odrzekł Bertie ze smutkiem.

Vere zaczął kuśtykać ku schodom.

– Chodź, opowiem ci.

* * *

„Argus” dotarł do Blacksleigh w piątek rano. Elizabeth i Emily wiedziały, że nie dostaną go w swoje ręce do następnego piątku.

Na szczęście, gdy dzień ów nadszedł, wuj i ciotka wyprawiali wielkie przyjęcie. Pokojówki były tak zabiegane i zajęte, że nie wpadały znienacka do sypialni panienek, żeby zagonić je do łóżek. Miały cały wieczór na spokojne przeczytanie każdego artykułu. Jednak tym razem nie zaczęły od *Tebańskiej Róży*, lecz od relacji panny Grenville ze spotkania z ich opiekunem w Vinegar Yard.

Pod koniec obie leżały na podłodze, dusząc się ze śmiechu i powtarzając najzabawniejsze ustępy.

Gdy wreszcie mogły znów siedzieć, popatrzyły na siebie, ocierając łzy. Elizabeth odchrząknęła.

– Niezły z niej żartowniś. Doprawdy.

Emily zrobiła minę jak wuj, gdy pouczał je na dowolny temat.

– Owszem, Elizabeth. Sądzę, że istotnie można tak powiedzieć. – Prychnęła i zamrugała gwałtownie. – To chyba jej najlepszy artykuł.

– Nie czytałaś wszystkich. Nigdy nie mamy na to czasu. Poza tym nie powinnaś przyrównywać poważnych tekstów do komicznych.

– Uważam, że Vere sprowadził ją na złą drogę – powiedziała Emily.

– To naprawdę dzika historia – przyznała Elizabeth.

– On wyzwala w ludziach wszystko, co najgorsze. Papa tak mówił.

– Z Robinem też mu wyszło. – Elizabeth się uśmiechnęła. – Boże, jaki był nieznośny, kiedy wrócił. Pamiętasz, jak nas wtedy rozśmieszał?

Oczy Emily zalśniły.

– Och, Lizzy, jak mi go brak.

Elizabeth objęła siostrę.

– Wiem.

– Chciałabym mieszkać w Longlands – wyznała Emily, ocierając oczy. – Wiem, że ich tam nie ma. W grobowcach zostały tylko prochy. Ale to jest nasz dom i tam mieszkają ich duchy i pamięć o nich. Tu nie ma żadnych Mallorych. Nawet duchów. Ciotka Dorothea wyszła za mąż tak dawno, że zapomniała już, kim była wcześniej.

– Muszę się postarać wyjść za jakiegoś młodszego brata – oznajmiła filozoficznie Elizabeth. – Oni nigdy nie zachowują się, jak trzeba. Skoro kuzyn Vere nie mieszka w Longlands, to może pozwoli nam tam osiąść? Chciałabym znaleźć męża w czasie pierwszego sezonu, a to już za sześć miesięcy. I wtedy mogłabyś zamieszkać z nami. A jeśli nigdy nie wyjdziesz za mąż, będziesz mieszkać z nami w Longlands na zawsze. I zajmować się dziećmi.

Emily pokiwała głową.

– To niezły plan. Ale nie możesz wyjść za kogoś pokroju wuja Johna. Wiem, że to dobry człowiek, ale wolałabym, żebyś znalazła kogoś mniej sztywnego.

– Masz na myśli kogoś takiego jak Diablo?

Lizzy przycisnęła ręce do piersi. Czy też raczej do miejsca, gdzie powinna je mieć.

– Och tak, jak Diablo.

– Więc poczytajmy o nim jeszcze, żebym wiedziała, kogo szukać.

Elizabeth wzięła „Argusa” i otworzyła na *Tebańskiej Róży*.

* * *

W środę Vere i Bertie siedzieli w gospodzie Alamode’a, posilając się po kilkugodzinnej kłótni na temat ostatnich przygód Mirandy z *Tebańskiej Róży*.

– Miranda zwiodła stado węży, aby wydostać się z grobowca – oznajmił Vere. – Uwierz mi, że zwiedzie strażników albo samego Diabla, żeby wyjść z lochu.

Bertie przeżuł kolejną porcję wołowiny.

– No nie wiem – wybełkotał. – Nie wiem, jaką sztuczkę miałaby wymyślić, skoro już próbowała i nic z tego nie wyszło.

– Nie sądzisz chyba, że ten bezużyteczny błazen Orlando ją uratuje?

Bertie pokręcił głową.

– To niby jak?

– Łyżka – oświadczył Bertie. – Zapominasz o łyżce. Ja uważam, że ona wykopie tunel.

– Łyżką. Z lochu. – Vere napił się piwa.

– Pewnie naostrzy ją najpierw. O kamienie – mówił Bertie pomiędzy kęsami.

– Och, z pewnością. Człowiek dokona wielkich czynów za pomocą naostrzonej łyżki. Przebije się nawet przez żelazne sztaby. – Vere spojrzał na gazetę leżącą przy łokciu Bertiego.

Książę nie zamierzał zagłębiać się w przygody Mirandy, jednak dzień po zderzeniu z laską zaczął czytać wszystkie egzemplarze „Argusa” zachowane przez Jaynesa. Musiał się dowiedzieć, jakimi krętymi drogami przemieszczają się myśli panny Grenville od Zdradzieckich Ataków. Zaczął od pierwszego artykułu, jaki opublikowała. Obok zjadliwego reportażu o skazywaniu za długi zobaczył ilustrację do *Tebańskiej Róży*. Z pogardą obejrzał rysunek i bezwiednie zaczął czytać.

Nagle okazało się, że skończył cały odcinek i przedziera się przez stos magazynów, by znaleźć dalszy ciąg.

W niedługim czasie wciągnął się po uszy w historię Bellaira, jak zresztą cała Anglia. Choć starał się tego nie okazywać, z równą niecierpliwością czekał od rana na nowy numer gazety. Na okładce zobaczył rysunek kobiet i mężczyzn tłumnie oblegających ruletkę. Tytuł brzmiał: *Koło panny Fortuny*. Zaznajomiony już ze stylem Gorgony, Vere był przekonany, że tytuł nie wyszedł spod jej ręki.

Choć zdarzało jej się tworzyć kalambury, nie zniżyłaby się do czegoś równie oczywistego. W dodatku gra słowna nie odznaczała się ani krztyną ociekającego jadem humoru. Panna Grenville miała dowcip ostry jak brzytwa.

Książę Ainswood nie poznał się na nim z początku.

W poprzednim numerze „Argusa” okładkę zdobiły jego karykatury w dwóch panelach. W pierwszym miał wyciągnięte ramiona i usta złożone do pocałunku. Panna Grenville, odwrócona do niego plecami, miała ręce założone na piersi i zadarty nos.

Drugi panel prezentował go jako olbrzyma w koronie, patrzącego ze smutkiem na oddalającą się kobietę. Nad jej głową unosił się napis:

Nie miej do mnie żalu, to nie był mój pomysł.

Podpis pod rysunkami głosił:

Pocałunek lady Grendel łamie czar.

Napisała do tego zabawny artykuł, parodiujący styl z „Beowulfa”, o wdzięcznym tytule *Pojedynek Tytanów w Vinegar Yard*.

Ta bezczelność idealnie do niej pasuje, pomyślał Vere. Potrafiła przepić całe stado gryzipiórków, więc z pewnością uważała się za tytankę.

Wejdź mi jeszcze raz w drogę, a pożałujesz.

On zaś, wcielony diabeł Mallorych, leżał na chodniku. Czy był przerażony? On, który postawił się samemu Belzebubowi w napadzie morderczego szału? Bynajmniej. Ileż to razy Dain groził mu takim samym niskim tonem? Jakby cokolwiek mogło przestraszyć Vere’a Mallory’ego.

Czy panna Gorgona naprawdę sądziła, że jest w stanie go zatrwożyć?

I dobrze, niech sobie myśli, co chce, uznał Vere. Da jej czas. Całe tygodnie. Pozwoli jej zasmakować triumfu, gdy będzie leczył rany i siniaki. Z czasem, upojona zwycięstwem, straci czujność. A wtedy Vere udzieli jej kilku lekcji na temat pychy bądź upadku z wysokiego konia.

Jej Wysokość panna Grenville została skazana na runięcie z piedestału, jaki dla siebie wzniosła. Na nieprzyjemne wybudzenie z fałszywych przekonań, że może się równać z każdym mężczyzną, że wkładanie spodni i udawanie dżentelmena czyni ją silną i niepokonaną.

Vere wiedział doskonale, że panna Grenville jest słaba. Wrażliwa. Zastraszona. Pod kapeluszem i maską cwaniaczka była jedynie dziewczynką bawiącą się w chłopca.

Książę uważał jej tajemnicę za zabawną i wzruszającą, postanowił więc być dla niej łagodny. Nie upokorzy jej publicznie. Będzie jedynym świadkiem jej upadku. A upadając, wpadnie w jego ramiona i razem runą na łóżko. Tak musi się stać.

I będzie jej się podobało. I powie mu bez wahania, że jej się podoba, i będzie błagała o więcej. A wtedy, jeśli będzie miał hojny nastrój, da jej więcej. A potem…

W tej chwili do lokalu wbiegł chłopiec.

– Pomocy! Pomocy! – krzyczał histerycznie. – Dom się zawalił! W środku są ludzie!

* * *

Jak się okazało, zawaliły się dwa domy pod numerem cztery i pięć przy Exeter, na rogu Strand. Ponad pięćdziesięciu mężczyzn rzuciło pracę przy warsztatach w okolicznych zaułkach Catherine i Brydges i zaczęło prędko, z poświęceniem rozbierać rumowisko.

Pierwszą odnalezioną ofiarą był nieżyjący już węglarz, który odbierał ładunek z ulicy, gdy dom zawalił mu się na głowę. Pół godziny później odnaleźli starszą kobietę, żywą, ze strzaskanym ramieniem. Godzinę potem okropnie poturbowanego siedmiolatka i jego małego brata, nieżyjącego. Następnie ich potłuczoną siedemnastoletnią siostrę. Ostatnią uratowaną z katastrofy osobą był dziewięcioletni brat dzieciaków. Choć znaleźli go na samym spodzie, był tylko podrapany i bełkotał coś niezrozumiale. Matka nie przeżyła, niestety. Ojciec był daleko.

Większość szczegółów przekazał Lydii ulicznik, który za parę pensów dostarczał do „Argusa” najświeższe informacje z miasta. Kobieta przybyła na miejsce katastrofy późno, ale zdążyła zobaczyć na własne oczy zaangażowanie Ainswooda.

On jej nie widział.

Od zgromadzonych dziennikarzy dowiedziała się, że książę pan był ślepy na cały świat i bez opamiętania atakował gruzowisko, z Trentem u boku. Patrzyła przez chwilę, jak Jego Wysokość wydziera ze zwałów ciężkie głazy i cegły, odsłaniając miejsce, w którym utknął chłopiec, by inni mogli go wyciągnąć.

Kiedy wydobyli zmasakrowane ciało matki, książę podszedł do szlochającej dziewczyny i wcisnął jej w ręce swój portfel. Potem przepchnął się przez tłum gapiów, ciągnąc za sobą potykającego się Trenta, i zniknął. Jakby zrobił coś, czego powinien się wstydzić.

Najlżejsze książęce trącenie łokciem mogło zwalić z nóg rosłego mężczyznę, więc dziennikarze zrezygnowali z prób porozumienia się z nim i otoczyli ofiary.

Lydii nie dało się tak łatwo zniechęcić.

Ruszyła śladem Ainswooda i Trenta do Strand, doganiając ich w chwili, gdy książę przenikliwym gwizdem wezwał dorożkę.

– Zaczekaj! – zawołała, machając notesem. – Jedno słowo, Ainswood. Minutkę albo dwie.

Książę wepchnął wahającego się przyjaciela do powozu i wskoczył za nim. Poklepał w dach i pojazd ruszył, lecz Lydia nie zamierzała się poddać.

Strand była zatłoczona jak zawsze. Dziennikarka bez trudu szła przy toczącej się wolno dorożce.

– Nie bądź taki, Ainswood! – zawołała. – Powiedz kilka słów o swoich heroicznych czynach. Od kiedy to stałeś się tak wstydliwy?

Dorożka była nowoczesna, zaledwie skórzany dach i zasłony chroniły pasażerów przed żywiołami. Książę nie zaciągnął zasłon, nie mógł więc udawać, że nie widzi i nie słyszy Lydii. Wychylił się i spojrzał na nią wrogo. Przekrzykując uliczny gwar, krzyknął:

– Niech cię zaraza pochłonie, Grenville! Złaź z jezdni, zanim ktoś cię przejedzie!

– Tylko kilka słów – nalegała, truchtając przy powozie. – Pozwól mi zacytować cię w artykule.

– Zacytuj, że jesteś najbardziej napastliwym gryzipiórkiem w spódnicy, jakiego spotkałem.

– Najbardziej napastliwym gryzipiórkiem w spódnicy – powtórzyła posłusznie. – A jeśli chodzi o ofiary na Exeter…

– Jeśli się nie opamiętasz, sama zaraz będziesz ofiarą. I nie spodziewaj się, że wyskoczę z dorożki, żeby cię zdrapywać z bruku!

– Czy mogę napisać, że naprawdę zmierzasz prostą drogą do świętości? – zapytała. – Czy opisać twe wysiłki jako usilne próby dopasowania się do społeczeństwa i zjednania sobie możnego towarzystwa?

– Trent mnie zmusił – odparł, po czym krzyknął w stronę woźnicy: – Nie możesz zachęcić tej mizernej szkapy do prędszego biegu?

Dorożkarz nie zareagował, za to koń nagle przyśpieszył. W następnej chwili między powozami z naprzeciwka otworzyła się szczelina, którą woźnica skrzętnie wykorzystał, przedzierając się błyskawicznie na drugą stronę. Lydia musiała odskoczyć spod kół powozu, który postanowił natychmiast zająć powstałą lukę.

* * *

– Niech ją cholera! – warknął Vere, upewniwszy się, że nic jej nie grozi. – Skąd się tam, u diabła, wzięła?! Miała brać udział w śledztwie na Lambeth Road. Miało jej to zająć cały dzień!

– Różnie to bywa – odparł sentencjonalnie Trent. – A skoro o tym mowa, jeśli ona się dowie, że Joe Purvis jest twoim szpiegiem, niedługo odbędzie się śledztwo w sprawie jego zwłok. – Wychylił się i spojrzał w tył.

– Poddała się – burknął Vere. – Cofnij się, Trent, zanim wylecisz na bruk.

Bertie wykrzywił się, ale usiadł.

– Zniknęła, a w moim umyśle znów pojawiła się postać Karola II. Co to może oznaczać?

– Zaraza – podsunął Vere. – Kojarzysz oboje z zarazą.

– Nie pojmuję, jak mogłeś zwracać się do niej tak ordynarnie – narzekał Trent. – A mogła zacząć myśleć o tobie nieco lepiej po tym babraniu się w gruzie. I dlaczego powiedziałeś jej, że to ja cię zmusiłem? Czyż to nie ty właśnie wyleciałeś z Alamode’a jak szalony i…

– Było z nami pięćdziesięciu innych – uciął Vere. – Nie pytała ich, dlaczego rzucili się na pomoc, prawda? Bo jest kobietą i lubi zadawać setki pytań, dorabiając sobie do wszystkiego różne fantastyczne teorie i tajemnicze drugie dna.

A nie kierowało nim nic tajemniczego. Nie ożywił wszak dziewięciolatka, a jedynie wygrzebał go z gruzowiska. Ratowanie go nie

miało większego znaczenia niż ratowanie całej reszty.

Gula, którą czuł w gardle, to tylko kurz i to pył szczypie go w oczy. Nie myślał o niczym innym… o innym chłopcu, którego nie zdołał uratować.

Nie czuł też pokusy, by się komukolwiek zwierzać. Pochował cierpienia na dnie duszy i z pewnością nie miał zamiaru odsłaniać się przed dziennikarką. Zresztą nie musiałby się obawiać jej zdania w tym temacie, bo – jak wyraźnie rysowało się to w jej artykułach – była niezmiernie wyczulona na los dzieci. Gdy w grę wchodziły maluchy, nagle przestawała być cynicznym gadem o kamiennym sercu. To jednak nie miało dla niego znaczenia. On sam był cyniczny i bez serca w każdej sytuacji.

Był wszak diabłem wcielonym z rodu Mallorych, bezwstydnym, szalonym, nieokiełznanym i tak dalej. A jako taki mógł szukać jej towarzystwa w jednym tylko celu, nie zaś po to, by wylewać przed nią łzy żalu. Nikomu się nie zwierzał, bo nie miał z czego, a gdyby nawet miał, to wolałby prażyć się w bezlitosnym słońcu Sahary niż uzewnętrzniać się przed kobietą.

Powtarzał sobie to wszystko w drodze do domu, po raz pierwszy czując, że jego teoria powoli przestaje przystawać do praktyki.

* * *

– Trent go zmusił, akurat – mruknęła Lydia, idąc korytarzem do gabinetu. – Cały regiment doborowych żołnierzy nie zmusiłby tego żubra, żeby zrobił dwa kroki, gdyby tego nie zechciał.

Weszła do niewielkiego pokoju i rzuciła czepek na biurko. Podeszła do regału i wyciągnęła najnowszą edycję *Księgi Parów* Debretta.

Pierwszą wskazówkę znalazła bardzo szybko. Sięgnęła do swojej kolekcji „Roczników” z ostatnich dwudziestu pięciu lat. Wyjęła tom dotyczący tysiąc osiemset dwudziestego siódmego roku i otworzyła na końcu, szukając w spisie treści pod hasłem „zgony”. Znalazła epitafium.

W rodowym gnieździe Longlands, Bedfordshire – przeczytała – *zmarł w wieku lat dziewięciu Jego Wysokość Robert Edward Mallory, szósty książę Ainswood.*

Notatka miała cztery kolumny, niezwykle długa jak dla dziecka. Jednak jej autor uznał za stosowne streścić w pożegnaniu chłopca dramatyczne losy rodu.

Ainswood powiedział kiedyś, że brał udział w nazbyt wielu pogrzebach. Rzeczywiście tak było. Metodycznie przeglądając jedno źródło za drugim, Lydia naliczyła ponad tuzin zgonów w ciągu zaledwie dziesięciu lat, i to tylko wśród najbliższej rodziny.

Gdyby Ainswood istotnie był szaleńcem i poszukiwaczem przygód, ta parada śmierci raczej by go nie obeszła. Czy jednak lubieżnik i pijak rzuciłby się na pomoc biedocie i przetrząsał gruzowisko ramię w ramię z rzemieślnikami, narażając się na kontuzję i wyczerpanie? Nie uwierzyłaby, gdyby nie widziała tego na własne oczy. Książę ustąpił dopiero wtedy, gdy się upewnił, że pod gruzami nie ma nikogo więcej. Oddalił się od razu, obdarty, brudny i spocony. Zatrzymał się jedynie po to, żeby wcisnąć swój portfel szlochającej dziewczynie.

Lydię zakłuło pod powiekami. Łza spadła z pluskiem na stronicę „Rocznika”.

– Przestań się mazać – upomniała się surowo.

Bez skutku.

Chwilę później rumor w korytarzu przywrócił jej zdrowe zmysły. Susan i Tamsin wróciły ze spaceru. Lydia prędko wytarła oczy i siadła przy biurku.

W następnej sekundzie Susan wdarła się do gabinetu, usiłując wskoczyć na kolana Lydii, a reagując posłusznie na srogie: „Siad!”, zadowoliła się obślinieniem jej sukni.

– Widzę, że ktoś tu jest w dobrym humorze – zauważyła Lydia. – Co się stało? Czy znalazła w parku tłuściutkie dziecko na przekąskę? Nie śmierdzi gorzej niż zwykle, więc chyba nie tarzała się w ekskrementach.

– Była bardzo niegrzeczna. – Tamsin zdjęła czepek. – Spotkałyśmy na Soho Square pana Bertrama Trenta i zrobiła z siebie niemałe widowisko. Gdy tylko go spostrzegła, wystrzeliła jak pocisk i powaliła go na plecy. Potem stanęła nad nim, oblizała mu całą twarz i surdut i wąchała nie powiem gdzie. Była zupełnie głucha na napomnienia. Na szczęście sir Bertram uznał to za komplement. Gdy wreszcie ją z siebie zepchnął i zdołał wstać, próbowałam go przeprosić, ale nie chciał niczego słuchać. „Dziewczynka chce się bawić” – powiedział. „Nie czuje, jaka jest silna”. A wtedy Susan…

– Hau! – Mastif radośnie potwierdził znajomość swojego imienia.

– …zaczęła się popisywać – ciągnęła Tamsin. – Siadała, warowała i stawała na tylnych łapach. Trącała go kijem, aż zrezygnowany zaczął jej go rzucać. Udawała martwą i turlała się dookoła, żeby podrapał ją po brzuchu, i… Sama możesz sobie wyobrazić.

Susan położyła łeb na kolanach pani i spojrzała na nią z miłością.

– Susan, jesteś nieprzeniknioną zagadką – stwierdziła Lydia, głaszcząc psa. – Ostatnim razem wcale ci się nie spodobał.

– Może wyczuła, że spełnił dziś dobry uczynek?

Lydia spojrzała Tamsin w oczy.

– Trent ci wszystko opowiedział? Wyjaśnił też może, co robił na Soho Square, zamiast siedzieć w domu Ainswooda i leczyć rany po herkulesowych wysiłkach?

– Powiedział mi, że kiedy cię zobaczył, znów przypomniał mu się Karol II. Wizerunek króla prześladował go tak bardzo, że wyskoczył z dorożki i przyszedł na plac, żeby przyjrzeć się pomnikowi.

Statua Karola II przytłaczała nędzny skrawek zieleni przy Soho Square. Tamsin wyznała swej mentorce, że podczas pierwszego spotkania Brent skojarzył ją z monarchą restauracyjnym. Lydia nie umiała znaleźć sensu w tym połączeniu, ale też nie zależało jej na tym. Znała opinię o intelektualnym ograniczeniu szwagra lorda Daina.

– A skoro mowa o herkulesowych wysiłkach – podjęła Tamsin – przypuszczam, że przeżyłaś wstrząs na Exeter. Myślisz, że książę Ainswood przeszedł nagłe nawrócenie czy był to raczej chwilowy obłęd?

Zanim Lydia odpowiedziała, do drzwi zastukała Millie.

– Przyszedł pan Purvis, panienko. Z wiadomością. Mówi, że to pilne.

* * *

O dziewiątej wieczorem Lydia weszła do małego, całego w draperiach, pokoju przy Covent Garden Piazza. Dziewczyna, która wpuściła ją do środka, prędko znikła za ukrytymi za zasłoną drzwiami. Chwilę później do pomieszczenia weszła kobieta, która wezwała Lydię.

Była prawie równie wysoka, ale z bardziej rozłożystą figurą. Ogromny turban owijał jej głowę. Pomimo półmroku i grubej warstwy makijażu Lydia dostrzegła wyraźne oznaki rozbawienia na twarzy damy.

– Interesujący strój – odchrząknęła madame Ifrita.

– W tak krótkim czasie tyle tylko zdołałam zorganizować.

Starsza kobieta wskazała Lydii fotel przy małym stoliku nieopodal ukrytych drzwi.

Madame Ifrita była wróżką i jedną z najlepszych informatorek Lydii. Zwykle spotykały się w bezpiecznej odległości od Londynu, gdyż madame prędko wypadłaby z interesu, gdyby ktokolwiek dowiedział się, że dzieli się informacjami z dziennikarką. Dyskrecja była w ich relacji priorytetowa.

Jako że tym razem wskazany był pośpiech i dziennikarka nie zdążyłaby przebrać się za mężczyznę, pobiegły z Tamsin do handlarzy starzyzną przy ulicy Greek, gdzie wyszperały improwizowany strój Cyganki, który Lydia miała teraz na sobie.

Panna Grenville uważała, że strój upodabnia ją raczej do wystawy cukiernika. Choć miała na sobie dwa tuziny halek w rozmaitych kolorach, czuła się bardziej rozebrana niż ubrana. Jako że żadna poprzednia właścicielka nie była taką olbrzymką, wszystkie spódnice kończyły się sporo ponad kostkami i kobieta miała wrażenie, że niewiele się różni od sprzedajnych panien.

Te same trudności dotyczyły gorsetu. Jedyny, jaki pasował, był krwistoczerwony i strasznie obcisły, co w sumie nie miało znaczenia, bo piersi Lydii i tak kipiały znad gorsząco głębokiego dekoltu. Na szczęście wieczór był chłodny i nikt nie mógł się dziwić, że szła owinięta szalem.

Bojąc się ryzykować z peruką od tandeciarza – każda z nich wyglądała jak bezpieczna przystań wielu rodzajów i pokoleń insektów – Lydia zdecydowała się na turban. Ciasno spięła włosy i elegancko udrapowała trzy różne apaszki. Konstrukcja nie tylko zakryła jej złote loki, lecz także zupełnie zmieniła rysy twarzy.

O oczy się nie obawiała. Wychodziła po zmroku i nie zamierzała pozwolić nikomu zbliżyć się na tyle, by rozpoznał ich barwę. Hojnie obsypała się pudrem, różem i tanią biżuterią.

– Jestem jedną z twoich cygańskich krewnych – rzekła stanowczo.

Madame usadowiła się w drugim fotelu.

– Sprytne – pochwaliła. – Wiedziałam, że coś wymyślisz. Żałuję, że musiałam wezwać cię tak nagle, ale te wiadomości dotarły do mnie dziś w południe i możesz mieć niezbyt wiele czasu, by zareagować. Jeśli, rzecz jasna, moja szklana kula się nie myli… – dodała, mrugając.

Zdolności do przenikania przyszłości, jakie objawiała madame Ifrita, zdumiewały mieszkańców Londynu. Ale Lydia nie dawała się na nie nabrać. Wiedziała, że wróżka sprawnie działa w swym zawodzie wyłącznie dzięki sieci informatorów. Dziennikarka zdawała sobie również sprawę z tego, że każda informacja ma swoją cenę. Wyjęła pięć suwerenów i położyła je na stoliku. Popchnęła je ku wróżce.

– Przyszła dziś do mnie dziewczyna, którą Coralie przywiozła ze sobą z Paryża – wyznała Ifrita. – Annette marzy o powrocie do Francji, ale bardzo się boi. Jak wiesz, ma ku temu powody. Jedną z uciekinierek wyciągnięto niedawno z rzeki. Twarz miała poharataną, a na szyi ślady garoty. Powiedziałam o tym Annette, a także o kilku innych rzeczach, które ona uważa za tajemnice. Potem zerknęłam w kryształ i powiedziałam, że widzę Coralie i ciążącą nad nią klątwę. Krople krwi kapiące z jej uszu, otaczające szyję i nadgarstek.

Lydia uniosła brwi.

– Nie ty jedna widziałaś madame Brees w rubinach u Jerrimera. – Ifrita się uśmiechnęła.. – Ten, kto także je widział, opisał je tak, jak ty parę dni wcześniej. – Chwilkę milczała. – Słyszałam też, że pojawił się tam książę Ainswood i spotkał pięknego młodzieńca, którego nikt inny nie znał. Książę cię przejrzał, prawda?

– To przez jego przeklęte cygaro – żachnęła się Lydia. – To mnie wydało, jestem pewna.

– On zaś zdradził swe mroczne sekrety dziś przy Exeter.

– Czyżby?

– A czy to ma dla ciebie znaczenie?

Miało, ogromne, ale Lydia potrząsnęła głową.

– Chcę tylko dopaść Coralie. – Popchnęła ku wróżce kolejną monetę.

– Coralie zachowuje biżuterię, którą kradną jej ulicznicy – powiedziała Ifrita. – Ma słabość do błyskotek, jak sroka. Annette uważa, że to głupie i niebezpieczne, ale nie dlatego chce uciec. Śni jej się zamordowana dziewczyna. O ile wiem, to nie była pierwsza uciekinierka, która posłużyła za przykład. Obawiam się, że w przypadku tej ostatniej Annette albo ją widziała, albo brała udział w zabójstwie.

– I to zszargało jej wrażliwe nerwy – zadrwiła Lydia. – Annette nie jest niewinną gąską, obie o tym wiemy.

– Dlatego z takim pośpiechem wezwałam cię do siebie. Skoro ma koszmary, to zapewne widzi w nich własną pociętą twarz i własną szyję ze śladem garoty. Może widziała coś, co nie było przeznaczone dla jej oczu? Może ma inne powody. Cokolwiek ją przestraszyło, jej lęk jest szczery, a chęć ucieczki – ogromna. Jednak nie jest na tyle głupia, żeby uciekać jak inne: w tym, w czym stoi. Ukradnie, ile zdoła.

– Żeby wynająć najszybszą karetkę, która zawiezie ją na wybrzeże.

Ifrita pokiwała głową.

– Dziś wieczorem jest w planach jakiś brutalny spektakl z udziałem Coralie i jej chłopców. Któraś z dziewczyn wymaga skarcenia, więc Annette nie będzie miała kiedy uciec. Jutro wieczorem przyjmuje wyjątkowego klienta. Może będzie próbowała się wymknąć, kiedy się go pozbędzie, ale nie wiadomo, jak długo u niej zabawi. Dziewczyna nie chce ryzykować, więc musi się wyrobić pomiędzy dwudziestą pierwszą, gdy stara wychodzi się bawić, a świtem, kiedy zwykle wraca. Przy odrobinie sprytu Annette znacznie ich wyprzedzi, a wyśledzenie jej kroków będzie trudne, jeśli ruszy od razu.

Wróżka spojrzała na Lydię znacząco.

– Nie mogę z całą pewnością stwierdzić, że zabierze klejnoty. Powiedziałam jej, że rubiny są przeklęte. Jednak, jeśli nie znajdzie w skrytce wystarczającej ilości gotówki, sądzę, że zignoruje klątwę.

– Muszę dotrzeć do tej biżuterii pierwsza – odezwała się Lydia, nie okazując niepokoju, który ją dręczył. Będzie musiała zaprząc do pomocy Helenę, a przyjaciółka na pewno nie będzie tym zachwycona.

Lydia położyła na stoliku jeszcze jedną monetę. Ifrita pokręciła głową.

– Niewiele już mam do powiedzenia. Coralie mieszka obecnie przy ulicy Francis pod numerem czternastym. Zwykle wychodzi o dziewiątej z dwoma osiłkami. Trzeci drab, Mick, pilnuje domu. Często zostaje też jakaś dziewczyna, żeby go zabawiać albo usługiwać wybranej grupie klientów.

Helenie się to bardzo nie spodoba, pomyślała Lydia. Za dużo ludzi. Była jednak jedynym doskonałym złodziejem, jakiego Lydia znała osobiście. Nie miała czasu na szukanie kogoś nowego. To nie było zadanie dla amatora. Lydia nie mogła ryzykować. Gdyby dała się zabić, porzuciłaby Tamsin, Bess i Millie na pastwę losu i pewnie niebawem wszystkie wylądowałyby na ulicy.

To musi być zrobione, jak trzeba. Tylko Helenie może się udać. Trzeba ją jednak przekonać, a to na pewno nie będzie łatwe. Lydia nie miała czasu do stracenia.

Parę chwil później biegła już po schodach. Zwolniła jednak, wychodząc z budynku. Powóz czekał na nią zaledwie ulicę dalej, nie powinna więc ściągać na siebie uwagi szaleńczym biegiem.

Było jeszcze za wcześnie na pełny przegląd przedstawicieli półświatka, lecz pojedyncze osobniki zaczęły się już gromadzić przy rogach ulic. Prędki bieg mógłby zachęcić pijanych łapserdaków do pogoni, więc Lydia zmusiła się do nonszalanckiego kroku.

Wychodziła właśnie spod arkad i skręcała, oddalając się od targu przy Saint James, gdy wysoka postać wychynęła z cienia po drugiej stronie ulicy i ruszyła w tym samym kierunku.

Wystarczył jeden rzut oka, by rozpoznać tę figurę, i zaledwie po dwóch sekundach wahania Lydia, udając, że rozpoznała kogoś na targu, odwróciła się i ruszyła w przeciwną stronę.

Rozdział 7

Książę Ainswood znudził się przetrząsaniem Covent Garden w poszukiwaniu swej zwierzyny. Nawet jeśli Gorgona wyszła z domu, jak twierdził Purvis, to nie była przecież jedyna okazja przydybania jej. Napomniał się w duchu, że wcale mu się nie śpieszy. Wyczeka cierpliwie i wybierze najlepszy czas na cenną lekcję, jakiej zamierzał jej udzielić. Wszak umie znaleźć sobie inne rozrywki.

Wcale nie musiał jej dziś zobaczyć. Nie tęsknił za jej drażniącym, prowokującym charakterem. Ani za chrapliwym dźwiękiem jej głosu. Ani za jej niewyobrażalnie piękną twarzą. Ani za ciałem stworzonym przez szatana, krągłym, lecz smukłym, o długich nogach…

Zdumiony Vere urwał rozważania, ujrzawszy wiedźmę Grenville wychodzącą z zacienionego placyku i kołyszącą biodrami. Powiewające halki oblepiały jej cudne kształty. Nagle odwróciła się do niego plecami i ruszyła w stronę targu, zapewne śledząc kogoś. Wieczorna bryza poderwała jej kolorowy szal, odsłaniając zdumiewająco wyeksponowane, pełne i krągłe piersi.

Przez chwilę Vere był w stanie jedynie gapić się za nią bezmyślnie, zastanawiając się, czy na pewno jest trzeźwy. Jednak tego wieczoru jeszcze nie zdążył się upić, więc wzrok nie mógł go mylić.

Co oznaczało, że frywolnie odziana lady Grendel we własnej osobie naprawdę spaceruje po Covent Garden.

Natychmiast podążył za nią, niecierpliwymi ruchami ramion rozgarniając na boki tłumy kobiet i mężczyzn. Ponad ich głowami widział, jak zwolniła i zatrzymała się przy zaułku wychodzącym tuż przy kawiarni Carpentera. Potem cudaczny turban zniknął mu z oczu.

Uznał, że skręciła w zaułek, i pobiegł w tamtą stronę, lecz w ostatniej chwili zerknął w lewo.

Udawana Cyganka przykucnęła przy garbatej kwiaciarce skulonej na przegniłym koszu i pilnie wpatrywała się w jej dłoń.

Vere się zbliżył. Kobiety, skupione na rozmowie, nie dostrzegły go.

– A więc moja przyszłość jest pokrętna? – chlipnęła kwiaciarka. – Zupełnie jak ja. Pokręcona i garbata. Słyszałam, że w Szkocji mieszka sławny doktor, który by mi pomógł, ale to strasznie daleko, a karetki pocztowe są takie drogie! Sławni doktorzy też pewnie nie leczą za darmo, prawda? Wczoraj jeden dżentelmen obiecał mi gwineę, jeśli z nim pójdę. Odmówiłam, ale potem żałowałam. Obiecał, że przyjdzie dziś znowu. Wolałabym, żeby nie przychodził, bo łatwiej jest być porządnym, kiedy nikt ci nie oferuje pieniędzy za rozpustę. Gwinea to bardzo dużo pieniędzy.

Vere nie chciał nawet myśleć, kim jest człowiek, który próbuje uwieść bezbronne kaleki. Zresztą nie miał na to czasu. Musiał błyskawicznie podjąć decyzję.

Nagle przypomniał sobie, jak panna Aktorka naśladowała go Pod Błękitną Sową. To jest myśl!

– Tylko gwineę? – wycharczał głosem pijaka. – Za taką ślicznotkę?

Dwie uroczo zdumione twarze podniosły się w jego stronę. Jedna grubo umalowana, druga czysta jak niepokalanie.

Kiwając się i czkając, ciągnął:

– Na Boga, oddam nawet… – czknął, wyciągając portfel – dwadzieścia za samą rozkosz patrzenia na ciebie, kwiatuszku. Proszę! – Ukłonił się i niezgrabnie wcisnął portfel w dłonie kwiaciarki. – Daj mi te bukieciki. Są takie zawstydzone, widzisz? Przy tobie wszystkie wyglądają jak chwasty. Nic dziwnego, że nikt ich nie kupuje.

Panna Cyganka Grenville podniosła się, ale kwiaciarka ani drgnęła. Skulona na swoim koszu, przyciskała portfel Ainswooda do brzucha, wpatrując się w niego wielkimi oczami.

– Najlepiej idź teraz do domu – poradził jej Vere – zanim ktoś postanowi cię uwolnić od zarobków.

Z przesadną troską pijanego w sztok podniósł dziewczynę z kosza. Panna Półnaga Grenville pomogła jej ukryć portfel pod łachmanami.

– Idź rano do pana Haya – powiedział jeszcze Vere. – To bardzo dobry lekarz. – Podał jej adres i wydobył z kieszeni pomięty bilet wizytowy. – Daj mu to i powiedz, że kazałem ci przyjść. Ja się z nim rozliczę.

Po ceremonii niezręcznych podziękowań kwiaciarka oddaliła się, kulejąc. Vere patrzył za nią, dopóki nie zniknęła w tłumie.

Wtedy spojrzał na swoją zwierzynę. Czy też w to miejsce, gdzie wcześniej była, bo oczywiście zniknęła. Książę rozejrzał się dookoła

i spostrzegł tęczowy turban płynący w ludzkiej fali. Turban kierował się na północ.

Dogonił ją przy zaułku Russell. Stając na jej drodze, wyjął spod pachy bukiety kwiatów i wyciągnął je ku pannie Grenville.

– Kwiatki dla pani – ukłonił się jak nieśmiały student.

Wzruszyła ramionami i przyjęła zmiażdżone bukiety.

– Żegnam – powiedziała i ruszyła przed siebie.

– Nie zrozumiała mnie pani – odparł, ruszając za nią. – To był zaledwie wstęp.

– Ależ zrozumiałam. Zaś zakończeniem jest „Żegnam” i ostentacyjne deptanie kwiatów. – Upuściła bukiety i przemaszerowała po nich.

– Ach, czy pani jest aktorką? – zdumiał się przesadnie. – Domyślam się, że testuje pani na mieszkańcach Londynu swój nowy cygański kostium. Kiedy premiera?

– Bywałam aktorką w lepszych czasach – odrzekła, nie zwalniając kroku. – I wróżką w trochę gorszych. Jak teraz. – Zmieniła głos na wyższy i cieńszy, o wyraźnym akcencie. Gdyby Purvis nie zdradził mu, że panna Grendel będzie w okolicy incognito, albo gdyby Vere był tak pijany, jak udawał, chyba by jej nie poznał.

Nie wiedział jednak, czy ona mu uwierzyła. Czy uznała, że naprawdę jej nie rozpoznał, czy tylko droczy się z nim, żeby jak najprędzej uciec, nie budząc niczyich podejrzeń?

Trochę nietrafnie wybrała strój. Skąpe fatałaszki dosłownie krzyczały: „Popatrz na mnie!”.

– Ależ ominęła pani wielu bogatych dżentelmenów, którzy za odczytanie przyszłości zapłaciliby srebrem albo nawet złotem – ciągnął. – A pochyliła się pani nad garbatym dzieckiem, które nie miało choćby miedziaka. Zdawało mi się, że jest pani aniołem miłosierdzia.

Spojrzała na niego spod rzęs.

– Bynajmniej. Tę rolę pan grał koncertowo, nie śmiałabym się równać.

Gdyby rzuciła takie spojrzenie jakiemukolwiek innemu mężczyźnie, w ciągu dziesięciu sekund stałaby w zaułku z halkami zarzuconymi na plecy. Ta wizja przyprawiła go o zawrót głowy.

– To był najprostszy sposób na pozbycie się dziewczyny – machnął dłonią. – I zwrócenie na siebie uwagi. Ty już przykułaś moją. Z wielką siłą – dodał, wpatrując się w obnażony biust Gorgony. – I teraz musisz mi

powróżyć. Podejrzewam, że właśnie wszedłem na ścieżkę miłości. – Zdjął rękawiczkę i podstawił jej dłoń pod nos. – Mogłabyś spojrzeć?

Odtrąciła jego rękę.

– Jeśli szukasz miłości, to znajdziesz ją na pewno w kieszeni. Moneta czy dwie i będziesz mógł zerwać każdy kwiat, jakich wokoło nie brakuje.

Miałby rwać podwiędłe kwiaty i dać jej uciec? Raczej nie.

Wzdychając głęboko, przycisnął dłoń do serca.

– Ach, dotknęła mnie – szepnął z uniesieniem. – Wznoszę się ku niebiosom! Cyganka, aktorka, anioł! Nie wiem, kim jest i jak dostąpiłem tej łaski, lecz dotknęła mnie i…

– Wariat, palcem bożego tknięty obłąkania! – wykrzyknęła, wprawiając go w zdumienie. – Och, dobrzy ludzie, żałujcie, żałujcie wariata!

Jej okrzyk był tak naturalny, że stojące nieopodal prostytutki poderwały głowy i zaczęły im się przypatrywać.

– Szalony jak fale i wiatr, gdy się zmagają, które silniejsze! – nie przestawała panna Grendel.

Vere rozpoznał strofy Ofelii z *Hamleta*. Jeśli zdawało jej się, że wepchnie go w rolę księcia, który stracił rozum i dziewczynę, to powinna jeszcze raz to przemyśleć.

– Oszalałem dla ciebie! – ryknął. Ukryte w półcieniu dziwki zachichotały. Niezrażony, zwrócił się do publiczności: – W sam środek mroku mego marnego żywota weszła ona, cała tętniąca kolorami jak poranna zorza!

– O, moce niebieskie, zlitujcie się nad nim – burknęła.

– I odbierzcie mi wzrok! – podjął z emfazą. – Umieram, pragnąc jedynie uśmiechu rubinowych twych warg. Niech spłonę w słodkim ogniu oddania…

– Och, co za umysł przewrotny i wraży! – Przykładając wierzch dłoni do czoła, wyciągnęła rękę do chichoczących ladacznic. – Obrońcie mnie, szlachetne damy! Lękam się, iż ten szaleniec nie zawaha się uczynić kroków ostatecznych!

– Uczyni tylko klasyczne ruchy, moja droga – machnęła ze śmiechem dłonią jedna ze starszych obserwatorek. – To przecież Ainswood. Jest dobry, miły i hojnie ci zapłaci.

– Jasna zorzo, miej litość nade mną! – ryknął szaleńczo Vere, przepychając się przez gęstniejący tłum gapiów. – Nie uciekaj, moja

płonąca gwiazdo, moje słońce i księżycu, moja cała galaktyko!

– Twoja? Od kiedy, jak i dlaczego twoja? – Turban zniknął na chwilę w zalewie męskich kapeluszy, ale gdy Lydia wydostała się z wianuszka roześmianych dżentelmenów, książę zaraz ją dogonił.

– Za sprawą miłości! – wycharczał i padł na kolana. – Złota zorzo, korzę się przed tobą…

– Tak się nie korzy – prychnęła. – Trzeba leżeć pokornie na twarzy.

– Dama każe ci leżeć, Wasza Wysokość! – pisnęła rozbawiona ladacznica.

– Zrobię wszystko dla mej bogini! – oznajmił dźwięcznie Vere, zagłuszając sugestie otaczających go mężczyzn, śpieszących z podpowiedzią, jakie rzeczy mógłby uczynić w tej pozycji. Zabije ich wszystkich później. – Tylko ty możesz mnie podnieść z tego łez padołu! Wezwij mnie, a dusza ma odłączy się od lubieżnego ciała i dołączy do twojej w niebiańskich dziedzinach! Pozwól spić ambrozję z twoich miododajnych warg i wiecznie wielbić rozkoszne twe ciało. Pozwól mi umrzeć z ekstazy, gdy ucałuję twe… stopy!

– O wstydzie! O rumieńcu, oblewający me czoło! – Wskazując na niego, spojrzała na otaczający tłum. – Udaje bałwochwalcze uniżenie, lecz sami oceńcie jego słowa. Ośmiela się skazić me uszy, opowiadając o wargach, o… o… – Zadrżała. – O pocałunkach.

I odbiegła, szeleszcząc halkami.

Wciągnął się w grę, ale wcale nie był tak pijany, jak jej się zdawało. Nie miał zamiaru dać jej uciec. Gdy tylko ruszyła przed siebie, już biegł za nią.

Vere z daleka widział, co się za chwilę wydarzy.

Grenville zmieniła kierunek i gnała ku arkadom, oglądając się ciągle przez ramię. W tej samej chwili kobieta w czerni wybiegła z mroku.

Zawołał nawet: „Uważaj!”, ale było za późno. Panna Grenville wpadła na kobietę i wepchnęła ją na kolumnę. Dobiegł do nich, zanim się pozbierały, i odciągnął Gorgonę na bok.

– Patrz, gdzie idziesz, dziwko! – wydarła się kobieta.

Była to Coralie Brees. Vere rozpoznałby ten skrzypiący głos z kilometra.

– To moja wina – wybełkotał prędko, obrzucając spojrzeniem dwóch opryszków towarzyszących Coralie. – Posprzeczaliśmy się. Była na mnie tak wściekła, że nie widziała, gdzie idzie. Ale już się pogodzimy, prawda,

moje słońce? – zagadnął pannę Grendel, poprawiając jej turban, który przekrzywił się na bok.

Odepchnęła jego rękę.

– Najmocniej panienkę przepraszam – dygnęła przed Coralie. – Mam nadzieję, że panienki nie skrzywdziłam.

Vere założyłby się o tysiąc funtów, że staruchy nikt nie nazwał „panienką” od paru ładnych dekad. Założyłby się również, że Gorgona zauważyła dwóch osiłków i dlatego zdecydowała się na to pokojowe rozwiązanie.

Madame nie wyglądała bynajmniej na udobruchaną. Na ogół Vere ucieszyłby się z możliwości poszturchania dwóch tępych osiłków, dziś jednak zrobi wyjątek. Całe popołudnie targał cegły, kamienie i belki i wolał resztę sił zostawić na użytek Jej Wysokości. Poza tym, jeśli zajmie się opryszkami, panna Grenville może wpaść w łapy kogoś innego, a do tego stanowczo nie mógł dopuścić.

Wyciągnął szmaragdową szpilkę z fularu i rzucił stręczycielce. Coralie chwyciła ją zręcznie, zerknęła na cacko i jej rysy się wygładziły.

– Zgoda, moja droga? – zapytał grzecznie Vere.

Nie czekając na odpowiedź, uśmiechnął się znacząco do Grenville.

– Co dalej, moja piękna pawico?

– Kolorowy jest samiec tego gatunku – odparła, kiwając głową. – Samica jest szara. Nie będę cię zatem dłużej zanudzać, sir Bedlam.

Zawirowała halkami i odeszła. On jednak ze śmiechem chwycił ją na ręce.

Pisnęła.

– Postaw mnie! – Próbowała się wyrwać. – Jestem dla ciebie za ciężka i za duża!

– I za stara – wycedziła jadowicie Coralie. – Wielka lniana bela, Wasza Wysokość. Ja mogę ci przyprowadzić słodkie, młode jagniątka.

Vere jednak niósł już swój słodki ciężar w mrok, z dala od Coralie i jej odrażającej litanii niepełnoletnich rozkoszy.

– Za duża? – zapytał dziennikarkę. – W którym miejscu, mój skarbie? Zobacz, jak doskonale moja głowa pasuje do twego ramienia. – Przytulił się do szyi Gorgony, łaskocząc ją włosami i spoglądając z góry na smakowite ciało poniżej. – Gwarantuję, że będzie pasowała idealnie także do twoich

piersi. Założę się także – zaczął, przesuwając powoli dłoń ku jej pośladkom – że moja ręka doskonale pasuje do…

– Postaw mnie! – krzyknęła. – Dość tych gierek!

Ależ bynajmniej, pomyślał, niosąc ją do przybytku, którego był dotąd częstym gościem. Liczne pokoje na pierwszym piętrze można było tu wynająć na godziny.

– Słuchaj mnie, Ains…

Zamknął jej usta pocałunkiem, kopniakiem otworzył drzwi i wniósł ją do nędznie oświetlonego korytarza.

Zaczęła się mocniej szamotać i odwróciła głowę, musiał ją więc postawić i przytrzymać jej twarz do żarliwego pocałunku, o jakim marzył od chwili, gdy zaczęła się z nim drażnić.

Poczuł, jak zesztywniała, zaciskając przed nim wargi, odrzucając jego natarczywe zaloty. Niepokój zawrzał w jego żyłach.

Przecież ona nie umie się całować, przypomniał sobie.

To dziewica!, krzyknęło sumienie.

Vere przestał go słuchać półtora roku temu.

Wmówił więc sobie, że Gorgona się z nim droczy. Udaje niewiniątko. Nie jest przecież nastolatką, tylko dojrzałą kobietą z ciałem stworzonym do grzechu, stworzonym dla niego, grzesznika o zatwardziałym sercu.

Skoro jednak woli udawać skromną dzieweczkę, to on chętnie przyłączy się do gry. Złagodził pocałunek. Nie był już wyrazem domagającej się swych praw żądzy, lecz cierpliwej perswazji. Złagodził też dotyk, ujmując policzki kobiety tak delikatnie, jakby schwytał ćmę.

Poczuł, jak przebiegł przez nią dreszcz, jak jej wargi nieśmiało poddały się jego ustom i zadrżały. Coś ukłuło go w piersi, jakby w serce wbito mu sztylet. Napomniał się, że to tylko pożądanie, i objął ją ramionami. Przyciągnął do siebie. Nie broniła się. Zdawało mu się, że jej słodkie i miękkie wargi wciąż drżą pod jego ustami. On także drżał, cały w płomieniach, zdumiony swoją reakcją na tak niewinne pieszczoty.

Uznał, że to udawanie niewinnej tak go podnieca. Że rozpala go konieczność ścigania, tropienia i zdobywania czegoś, co zwykle dostawał, zanim zdążył poprosić.

Nigdy jeszcze nie uwodził kobiety. Jedno spojrzenie, jeden uśmiech i leciały do niego bez opamiętania. Za sztukę złota albo z żądzy, i zawsze wiedziały, co robią, bo wybierał wyłącznie doświadczone.

Chciała grać rolę niewiniątka, on przyjął więc rolę nauczyciela. Pokazywał jej, co robić, delikatnie zachęcając jej miękkie wargi, rozchylając je powolutku i tonąc w jej zapachu.

Czuł, jak kołacze mu serce, choć przecież nie posuwał się do niczego więcej niż delikatne pocałunki. Założył więc, że to zniecierpliwienie jej gierkami. Dostosował się jednak i bardzo powoli przesunął dłońmi po jej gładkich jak marmur ramionach, wzdłuż strzelistych pleców aż do talii, w której zagłębieniu doskonale ułożyły się jego wielkie dłonie. Zapewne także z powodu tych gierek tak mu drżały ręce, gdy boleśnie powoli zsuwał je ku krągłym pośladkom. I z wyuzdania jęknął głucho, przyciskając ją do siebie, jej smukłe łono do swej nabrzmiałej męskości.

Za daleko! – krzyczało w nim sumienie. – Posuwasz się za daleko!

O, bynajmniej, wcale nie, przecież się nie odsunęła. Przeciwnie, jej dłonie błądziły po nim ostrożnie, jakby pierwszy raz w życiu dotykała mężczyzny. Wciąż udawała niewiniątko i nie zapuszczała się poniżej pasa.

Przerwał pocałunek, żeby jej powiedzieć, że może już przestać grać wstydliwą, ale nie mógł wykrztusić ani słowa. Wtulił twarz w jej szyję, wdychając oszałamiający zapach i całując jedwabistą skórę.

Zadrżała i jęknęła z zaskoczeniem, jakby to wszystko było dla niej nowe.

Ale nie mogło być.

Oddychała ciężko, jak i on, jej skóra była gorąca pod jego wargami. Gdy objął dłonią jej pierś, poczuł pod palcami nabrzmiałą brodawkę. Miała na sobie cieniutkie halki i Vere poddał się pokusie, pociągnął głęboko wycięty dekolt w dół i napełnił dłonie skarbami, o których od dawna marzył.

– Piękna moja. – Gardło miał obolałe i ściśnięte. Wszystko go bolało. – Jesteś taka piękna.

– Och, nie, przestań. – Zastygła nagle. – Nie mogę tak… – Złapała go za ręce. – Niech cię szlag trafi, Ainswood! To ja, pijany idioto! To ja, Grenville.

* * *

Ku zdumieniu i zgrozie Lydii Ainswood nie odskoczył od niej ze wstrętem. Wręcz przeciwnie, wciąż z zapamiętaniem miętosił jej piersi.

– To ja, Grenville – powtórzyła pięć razy, on jednak wrócił do całowania jej szyi i wrażliwego miejsca tuż za uchem.

Wreszcie warknęła tonem, który praktykowała, dyscyplinując Susan:

– Dość!

Puścił ją i w jednej chwili zmienił się z czarującego kochanka szepczącego słodkie słówka w odrażającego gbura, jakim był na co dzień, z dodatkową nutą surowości, którą uznałaby za zabawną, gdyby nie była tak zniesmaczona samą sobą.

Wcale się nie broniła. Nie stawiła żadnego oporu. Wiedziała, że Ainswood jest lubieżnikiem i że gardzi kobietami, a jednak pozwoliła mu się uwieść.

– Pozwól, niech ci coś wyjaśnię, Grenville – wycharczał. – Jeśli masz ochotę na gierki z mężczyzną, musisz być gotowa na dociągnięcie ich do końca. W innym wypadku wpędzasz go w bardzo zły nastrój.

– Ty się urodziłeś w złym nastroju – odparła Lydia i poprawiła dekolt.

– Jeszcze przed chwilą miałem doskonały humor.

Spojrzała na jego dłonie. Powinien mieć na nich ostrzegawcze tatuaże. Głaskał ją nimi i pieścił, rozebrał prawie do naga! A ona nie protestowała.

– Jestem pewna, że niebawem się rozchmurzysz – stwierdziła. – Wystarczy, że wyjdziesz za te drzwi. Covent Garden aż kipi od chętnych panienek, które zaraz cię rozweselą.

– Jeśli nie chcesz być traktowana jak ladacznica, nie powinnaś się za nią przebierać. – Spojrzał surowo na jej dekolt. – Czy też raczej powinienem powiedzieć: rozbierać. Nie masz nawet gorsetu. Ani koszuli. Przypuszczam, że majtkami też nie zawracałaś sobie głowy.

– Miałam powód, żeby się tak ubrać – burknęła. – Nie będę się przed tobą tłumaczyć. Już dość zmarnowałeś mi czasu.

Ruszyła ku drzwiom.

– Może chociaż poprawisz ubranie? Turban ci się przekrzywił, a szal masz pozwijany.

– Tym lepiej – prychnęła. – Wszyscy uznają, że już załatwiłam to, po co tu weszłam, i uda mi się szybko wydostać z tego odrażającego miejsca, zanim ktoś poderżnie mi gardło.

Otworzyła drzwi i rozejrzała się dookoła. Nie zobaczyła Coralie ani jej ochroniarzy. Zerknęła przez ramię na Ainswooda. Ścisnęło jej się serce.

Nie wyglądał wcale na smutnego ani porzuconego. Był wściekły, to wszystko. Pewnie dlatego, że pomylił ją z ladacznicą i żal mu było, że tak się starał, a nic z tego nie wyszło.

Gdyby nie był w tym taki dobry, zatrzymałaby go o wiele wcześniej i mógłby już dawno znaleźć jakąś inną panienkę. Opleść ją ramionami, całować delikatnie i tak czule, jak robiłby to sam książę z bajki, pieścić, gładzić i muskać, jakby była najpiękniejszą kobietą świata.

Jednak ona nie jest księżniczką, on zaś nie jest bajkowym księciem.

Wyszła.

Zanim drzwi się za nią zamknęły, szepnęła jeszcze: „Przepraszam” i wybiegła pod arkady, skręcając w Saint James.

* * *

Vere był tak wściekły, że nawet nie próbował jej zatrzymać. Jak wspomniała, w Covent Garden roiło się od dziwek. Nie dostał od niej tego, czego chciał, równie dobrze może to dostać od innej.

Poczuł tak głęboką odrazę, że aż zacisnął pięści. Zaklął szpetnie i pobiegł za nią. Dogonił ją w połowie Long Acre. Spojrzała na niego wrogo.

– Nie mam czasu cię zabawiać, Ainswood. Mam ważniejsze sprawy. Może idź do teatru? Albo na walki kogutów? Czy na cokolwiek, co zajmie twój ułomny umysł.

Jakiś ulicznik zatrzymał się i wpatrywał w kostki jej nóg. Vere przyciągnął ją do siebie i wziął pod rękę.

– Od początku wiedziałem, że to ty, Grenville.

– Teraz tak mówisz – burknęła. – Oboje wiemy, że nie zrobiłbyś tego wszystkiego, gdybyś wiedział, że to ja.

– Nawet ślepiec by cię rozpoznał, ten strój to porażka.

Spojrzała na niego ostro.

– Udawałeś pijanego! – zatchnęła się oskarżycielsko. – Jesteś okropny. Skoro wiedziałeś, że to ja, to jedynym powodem twojego postępowania jest… jest…

– Zawsze jest tylko jeden powód.

– Zemsta! – Zacisnęła dłonie. – Chowasz urazę za wypadek z laską.

– Szkoda, że się nie widzisz – zadrwił. – Jesteś półnaga! Czy mężczyzna potrzebuje innej zachęty?

– Ty potrzebujesz, bo mnie nienawidzisz.

– Nie pochlebiaj sobie. – Zmarszczył brwi. – Jesteś zaledwie irytująca.

Było to, jak się zdaje, niedopowiedzenie roku. Drażniła go, droczyła się, utrzymywała go w stanie wiecznej gotowości i rozpalenia. I zatrzymała go w chwili, gdy zaczynali właśnie najlepszą część.

Co gorsza, zwątpił.

Może ona wcale nie udaje?

Może jeszcze nikt jej nie dotykał?

A przynajmniej nie w ten sposób.

Musi się dowiedzieć! Bo jeśli Grenville jest nieskalana, to on nigdy więcej jej nie dotknie.

Nie akceptował dziewic. Nigdy nie miał do czynienia z żadną z nich i nie zamierzał tego zmieniać. Nie miało to nic wspólnego ze skrupułami. Po prostu skórka niewarta wyprawki. Nigdy nie spał dwa razy z tą samą kobietą, nie zamierzał więc tracić czasu na nuworyszkę, która nie wie, co robić. Żal mu było strawić bezcenne godziny na szkolenie jej, by potem byle chłystek korzystał z tych nauk.

Znał tylko jeden sposób, który wyjaśni to raz na zawsze: bezpośredni.

Zrobił surową minę i mocniej zacisnął dłonie na palcach dziennikarki.

– A więc jesteś dziewicą?

– Zdawało mi się to oczywiste – odparła, zadzierając brodę.

Przypuszczał, że spłonęła rumieńcem, ale nie mógł tego dostrzec w półmroku gazowych latarni. Odruchowo podniósł dłoń, żeby dotknąć jej policzka i sprawdzić, czy jest gorący.

Przypomniał sobie, jak cudownie gładka jest jej skóra i jak drżała pod jego wargami. Znów poczuł ukłucie w sercu.

To żądza, pomyślał. To tylko żądza. Grenville jest piękna i ma boskie ciało, jej pełne piersi idealnie pasują do jego dłoni, poza tym poddaje się jego pieszczotom z tak słodką uległością. I błądzi dłońmi po jego ciele… na ile wstydliwość jej pozwala.

Poczuł niestosowność zestawienia słowa „wstydliwość” z kobietą, która paraduje po Londynie jak udzielna księżna, nie znając lęku ni umiaru. Wstydliwa, doprawdy! Wspina się i włamuje przez okno do cudzego domu, a potem napada na mężczyznę w ciemnym zaułku, tłukąc go laską z siłą Goliata!

Wstydliwa, akurat.

Dziewica, oczywiście.

To niedorzeczne. Szalone!

– Zaszokowałam cię jednak – zdziwiła się. – Oniemiałeś.

Zdecydowanie. Otrząsnął się i zauważył, że dotarli do Long Acre. Zdał sobie również sprawę, że tak mocno ściska jej ramię, że pewnie zostawi siniaki. Puścił ją.

Odsunęła się, podciągnęła w górę stanik sukni – czy też coś, co zakrywało zaledwie jej brodawki – i skromnie owinęła się szalem, a potem przyłożyła palce do wargi i gwizdnęła przeszywająco.

Ruszyła ku nim dorożka.

– Wynajęłam go na całą noc – wyjaśniła, gdy Vere rozcierał sobie uszy. – Wiem, że wyglądam jak prostytutka i nie planowałam nigdzie chodzić w tym stroju. Wcale nie szukałam kłopotów, choć wiem, że tak myślisz. Szłam do dorożki, kiedy zobaczyłam ciebie i odruchowo uciekłam na targ. Przecież wiem, że…

– W tej okolicy i po zmroku nawet dwa kroki to za wiele dla samotnej kobiety – westchnął. – Powinnaś znaleźć kogoś, kto będzie grał twojego ochroniarza. Jakiegoś mężczyznę z pracy. Na pewno znasz kogoś, kto jest wystarczająco wielki lub brzydki, by mógł wcielić się w tę rolę.

– Ochroniarz – szepnęła w zadumie. – Wielki, straszny facet. Tego mi właśnie trzeba.

Pokiwał głową.

Dorożka podjechała do chodnika, lecz Grenville zdawała się jej nie zauważać. Mierzyła Vere’a wzrokiem od stóp do głów, jakby oglądała konia na wybiegu.

– Chyba masz rację, Ainswood – mruknęła w zamyśleniu.

Przypomniał sobie, jak powiedziała, że ma ważny powód, by się tak przebierać. Nie zapytał jaki. Nie musiał wiedzieć. Zadał ogólne pytanie i uzyskał odpowiedź, nie należało drążyć tematu.

– Żegnaj, Grenville – oznajmił sucho. – Przyjemnej podróży, dokądkolwiek się udajesz.

Chciał się odwrócić, lecz chwyciła go za ramię.

– Mam propozycję – powiedziała.

– Twój dorożkarz czeka – zbył ją.

– Niech czeka – zlekceważyła uwagę machnięciem dłoni. – Zapłaciłam mu za całą noc.

– Mnie nie kupisz, ani na noc, ani w ogóle. – Zdjął z ramienia jej dłoń, jakby pozbywał się czegoś odrażającego.

Wzruszyła ramionami. Szal zsunął się, odsłaniając jasny obojczyk i całą pierś, nie licząc strzępka czerwonej materii.

– No trudno, idź zatem. Nie zamierzam cię błagać. Zresztą byłby to pewnie wielki błąd. Przygody są dla ciebie zbyt niebezpieczne.

Podeszła do dorożki i powiedziała coś do woźnicy półgłosem. Szal zsunął się jeszcze bardziej.

Vere zaklął pod nosem. Wiedział, że Grenville nim manipuluje. Obnażyła się i użyła magicznego zaklęcia: „zbyt niebezpieczne”. Wszyscy wiedzieli, że te słowa mają dla niego nieodparty urok. Spodziewała się, że będzie ją gonił.

Cóż, jeśli Gorgonie wydaje się, że Vere Mallory skusi się na trik stary jak świat, to… ma rację, niech ją piekło pochłonie!

Vere wrócił, otworzył drzwi dorożki, „pomógł” jej wsiąść, chwytając dłonią za pośladki, i wspiął się za nią do środka.

Oby to było coś wartego zachodu, pomyślał, zagryzając wargi. Oby to było coś cholernie niebezpiecznego.

Rozdział 8

Lydia opowiedziała mu całą historię zaczynającą się od napaści i kradzieży, a kończącą na odkryciach tego wieczoru.

Nie wyjawiła tożsamości Tamsin ani nie zdradziła niezwykłych umiejętności Heleny. Powiedziała jedynie, że zamierzała poprosić o pomoc kogoś doświadczonego i wróci do swego planu, jeśli Ainswood woli nie włamywać się do jaskini przestępców, którzy lubią znęcać się nad ofiarami, zanim je uduszą i utopią w rzece.

Jego Wysokość tylko burknął.

Siedział z założonymi ramionami, nie komentując ani słowem jej opowieści. Nawet gdy kobieta skończyła i zastygła, czekając na jego pytania, milczał wymownie.

– Jesteśmy prawie na miejscu – powiedziała, wyglądając przez okienko. – Może wolisz się rozejrzeć, zanim zadeklarujesz swój udział w akcji?

– Znam tę okolicę – burknął. – Szokująco porządne jak na Coralie Brees. Zdumiewa mnie, że stać ją na dom tutaj. Dobra, jakimi handluje, są wątpliwej jakości. Znacznie poniżej poziomu panny Martin. – Zerknął na Lydię z ukosa. – Nie pojmuję zasad, jakimi się kierujesz w dobieraniu znajomych. Jedna jest kurtyzaną z najwyższej półki, druga dziewczynką z prowincji. Znasz pannę Price od zaledwie kilku tygodni, a jesteś gotowa ryzykować życie, żeby odzyskać jej klejnoty.

– Wartość tej biżuterii jest głównie sentymentalna – odparła. – Nie zrozumiesz tego.

– Nie zamierzam nawet próbować. Kobiety trzęsą się zawsze nad takimi bzdurami, że wstyd wspominać. Nie będę sobie zawracał tym głowy. Zajmę się praktyczną stroną zagadnienia, jak na przykład kwestia dostania się do budynku i wyjścia bez wzbudzania alarmu. Jeśli nam się to nie uda, będę musiał kogoś zabić i Jaynes zatruje mi życie. Dostaje szału, kiedy wracam cały we krwi.

– Kim jest Jaynes? – zapytała Lydia, zdezorientowana.

– To mój lokaj.

Spojrzała na niego uważnie. Gęste, ciemne włosy wyglądały, jakby ogrodnik czesał je grabiami. Pognieciony fular zwisał w nieładzie. Mężczyzna miał rozpiętą kamizelkę, a brzeg koszuli wystawał mu ze spodni.

Lydia ze wstydem zdała sobie sprawę, że to ona dokonała dzieła zniszczenia. Miała nadzieję, że nie całego. Nie przypominała sobie rozpinania czegokolwiek ani wyciągania koszuli zza paska. Niestety, na pamięci mogła polegać równie dobrze jak na rozsądku czy silnej woli.

– Twojemu lokajowi należy się pręgierz – stwierdziła wreszcie. – Powinien brać pod uwagę twą rangę i tytuł, zanim wypuści cię z domu w takim stanie.

– I kto to mówi – zaśmiał się Vere. – Ja przynajmniej jestem mniej więcej ubrany.

Nawet nie spojrzał na swoją odzież. Nie zapiął kamizelki ani nie poprawił koszuli.

Lydia zacisnęła dłonie na kolanach, żeby nie zrobić tego za niego.

– Jesteś księciem Ainswood – powiedziała z wyrzutem.

– To nie moja wina, nie uważasz? – żachnął się i odwrócił do okna.

– Jesteś nim, czy ci się to podoba, czy nie. Jako książę symbolizujesz coś więcej niż twoja osoba. Jesteś przedstawicielem rodu, którego dzieje trwają setki lat.

– Gdybym miał ochotę wysłuchiwać o moich obowiązkach wobec tytułu, wróciłbym do domu i oddał się w ręce Jaynesa – odparł książę, wciąż wyglądając przez okno. – Zbliżamy się do Francis. Lepiej będzie, jeśli wysiądę i się rozejrzę. Ty jesteś stanowczo zbyt ponętna.

Nie czekając na jej odpowiedź, zastukał w dach dorożki, by się zatrzymali.

– Mam nadzieję, że nie zamierzasz działać na własną rękę – powiedziała, gdy sięgnął do klamki. – Sprawa wymaga szczegółowego zaplanowania. Nie wiemy, jak wielu ich tam dziś jest, i lepiej, byś nie podejmował żadnych pochopnych działań, bo…

– Przyganiał kocioł garnkowi – odciął się Ainswood. – Wiem, co robić, Grenville. Przestań jojczyć.

Uchylił drzwi i zniknął.

* * *

Lydia wstała bardzo późno.

Częściowo dlatego, że bardzo późno przyjechała do domu. Gdy Ainswood wrócił z oględzin siedziby Coralie, spędzili ponad godzinę, kłócąc się bez opamiętania. Książę wpadł na niedorzeczny pomysł, by włamać się tam ze swym niechlujnym lokajem zamiast niej. Ostatecznie dziennikarka położyła się do łóżka prawie o trzeciej nad ranem. Jako że udział arystokraty znacznie zmniejszał ryzyko całej akcji i nie wymagał korzystania ze zdolności Heleny, powinna była zasnąć jak dziecko, uspokojona.

Cieszyła się, że nie musi prosić przyjaciółki, by stawiała na szali wszystko, co zdołała osiągnąć, nie mówiąc o życiu i zdrowiu, dla dziewczyny, której nawet nie znała. Ainswood wciąż pakował się w kłopoty i nie uznawał rozrywki, jeśli nie zagrażała wszystkim dookoła.

Zatem to nie lęk o losy zaplanowanej akcji. Nie dawał jej zasnąć demon z podświadomości.

Wizje napełniające jej głowę nie dotyczyły przyszłości, lecz wydarzeń, które już nastąpiły. Wciąż widziała pod powiekami silne ramiona księcia przyciskające ją do jego muskularnego torsu. Czuła na sobie jego dłonie, a na wargach żarliwe pocałunki. Była rozpalona, zniecierpliwiona, rozdarta.

Starała się spierać z demonem. Nie miała przecież skłonności samobójczych, by pakować się w romans z Ainswoodem. On korzystał z dziewcząt i je porzucał. Musiałaby stracić do siebie cały szacunek, gdyby poszła do łóżka z facetem, który nie szanuje kobiet. Straciłaby także szacunek świata, gdyż książę nie omieszkałby tego rozgłosić.

Nawet najśmielsze z jej czytelniczek zwątpiłyby w rozsądek i zasady moralne swej ulubienicy, gdyby ta wzięła sobie na kochanka największego rozpustnika Anglii. Nie warto było tracić pracy, wpływów, poważania i miłości czytelników dla płochej żądzy ciała.

Nie mogła jednak uciszyć demona, nakłaniającego ją, by rzuciła wszystko i czyniła, czego pragnie, do diabła z konsekwencjami!

Ostatecznie zapadła w płytki sen już po świtaniu i zeszła na śniadanie dopiero w południe. Tamsin spała już, gdy Lydia wróciła do domu, i wstała kilka godzin wcześniej. Wpadła do jadalni i gdy tylko dziennikarka upiła łyk kawy, zaczęła ją uważnie przesłuchiwać.

– Mogłaś mnie obudzić – powiedziała z urazą. – Próbowałam nie zasnąć, ale popełniłam błąd. Wzięłam do łóżka *Komentarze* Blackstone’a, co

równało się doprawdy zażyciu laudanum. O czym chciała rozmawiać z tobą madame Ifrita?

– Znalazła jakieś brudy na Bellweathera – skłamała Lydia. – Jeśli uda mi się to potwierdzić, może pogrążymy naszego największego rywala. Dziś wieczorem przekonam się, czy miała rację.

Nie mogła powiedzieć Tamsin prawdy. Narobiłaby tylko rabanu, jak Ainswood. I całą noc biegałaby z nerwów po mieszkaniu.

Przełknąwszy kłamstwo, Lydia prędko zmieniła temat i opowiedziała pokrótce o swoim spotkaniu z księciem. Ominęła wszelkie szczegóły związane z planowaną akcją, ale nie szczędziła soczystych opisów namiętnego uścisku w mrocznym korytarzu. Ta opowieść odwróci uwagę Tamsin od niepotrzebnego zamartwiania się. Zresztą nie musiała przy niej udawać mądrzejszej, niż była.

– Proszę, nie pytaj mnie, co się stało z moim rozsądkiem – podsumowała opowieść Lydia – bo sama pytałam się o to tysiące razy.

Usiłowała coś zjeść, ale przesuwała tylko jedzenie po talerzu. Chyba wraz z rozsądkiem straciła także apetyt.

– To do niego niepodobne. – Tamsin z przyganą zmarszczyła brwi, patrząc na talerz Lydii. – Zachował się szlachetnie dwa razy jednego dnia. Najpierw przy Exeter, a potem wobec tej kwiaciarki. I byłaś świadkiem obydwu scen.

– Trzy razy – poprawiła ją Lydia. – Powiedziałam mu, żeby przestał, i zrobił to. Gdyby się nie zatrzymał, nie wiem, czy miałabym ochotę bronić wianka.

– Może jest w nim gdzieś na dnie przyzwoity człowiek i od czasu do czasu udaje mu się wydostać? – zamyśliła się Tamsin.

– Jeśli to prawda, to biedak ma pełne ręce roboty. – Lydia dolała sobie kawy. – Zdążyłaś wczoraj przejrzeć książki i notatki, które zostawiłam ci na biurku?

– Tak. Strasznie smutne, zwłaszcza ten ostatni pogrzeb biednego chłopca. I to zaledwie sześć miesięcy po śmierci jego taty.

Ojciec chłopca, piąty książę, zmarł od ran odniesionych w wypadku.

– Ów tata wyznaczył Ainswooda na opiekuna trójki swych dzieci – powiedziała Lydia. – Jak sądzisz, czy coś go opętało, że zostawił dzieci pod pieczą takiego łotra?

– Prawdopodobnie piąty książę znał przyzwoitego dżentelmena, który ukrywa się w jego wnętrzu.

Lydia odstawiła filiżankę.

– Zapewne więc niepotrzebnie szukam wyjaśnień, dlaczego uległam jego przystojnej twarzy, silnemu ciału i doświadczeniu podrywacza.

– Mam nadzieję, że nie szukasz ich na mój użytek – zaperzyła się Tamsin. – Nie miałabym do ciebie pretensji, nawet gdybyś poszła z nim do łóżka. – Orzechowe oczy lśniły za szkłami okularów. – Przeciwnie, chętnie wysłucham szczegółowej spowiedzi. Wyłącznie w celach naukowych, rzecz jasna. I nie będziesz musiała odgrywać tej sceny.

Lydia usiłowała majestatycznie zgromić ją spojrzeniem, ale uśmiech drżący w kącikach ust zepsuł cały efekt. Poddała się i wybuchnęła śmiechem. Tamsin zachichotała.

Prawdziwy z niej skarb, pomyślała Lydia. Kilkoma słowami rozwiała jej ponury nastrój, i to nie pierwszy raz. Można było zdradzić jej każdy sekret. Była bystra, otwarta i miała niezrównane poczucie humoru.

Jej rodzice nie zdawali sobie sprawy, jak wiele stracili. Ojciec ją porzucił, a matka odepchnęła od siebie, choć tak łatwo było ją przywiązać. Niczego nie pragnęła, niewiele oczekiwała. Była zawsze chętna do pomocy. Nigdy nie narzekała na długie godziny, które spędzała sama, gdy Lydia była w pracy. Była szczęśliwa, kiedy mogła się na coś przydać. Najnudniejsze zajęcia traktowała jak przygodę. Pokojówki ją kochały. Susan jeszcze bardziej.

Choć Lydia wiele lat wcześniej nauczyła się nie wierzyć w Opatrzność, w skrytości serca uważała młodą przyjaciółkę za dar od Boga.

Jeśli wszystko pójdzie dobrze, będzie mogła się jej trochę odwdzięczyć.

To najważniejsze, napomniała się w duchu.

Wstała i z uśmiechem poczochrała włosy Tamsin.

– Nic nie zjadłaś – powiedziała dziewczyna. – Ale przynajmniej odzyskałaś humor. Chciałabym umieć tak łatwo rozweselić Susan.

Dopiero teraz Lydia dostrzegła, że w jadalni nie ma psa udającego ostatnie stadium zagłodzenia.

– Nie tknęła śniadania – ciągnęła Tamsin. – Zaciągnęła mnie na Soho Square, a potem z powrotem do domu. Nie chciała iść na spacer. Poszła do ogrodu, położyła się z łbem na łapach i ignoruje mnie, kiedy rzucam jej

piłkę. Nie chciała nawet serowych paluszków. Kiedy zeszłaś na śniadanie, szukałam właśnie jej kaczki na sznurku.

Susan miała kilka zabawek. Sfatygowana drewniana kaczka była jej ulubienicą. Lydia wiedziała jednak, że jeśli Susan wpadnie w melancholię, kaczka jej nie pocieszy.

– Albo zjadła coś, co jej zaszkodziło, na przykład włochatego pekińczyka, albo się dąsa. Pójdę do niej.

Wyszła na korytarz, kierując się do ogrodu, jednak nie zdążyła zrobić więcej niż trzy kroki, gdy usłyszała nadciągający łomot psich łap. Drzwi do służbówki otworzyły się z impetem i wypadła przez nie Susan. Gnając w zaślepieniu przez korytarz, prawie zwaliła Lydię z nóg.

Rozległo się stukanie do drzwi. Bess wybiegła z bocznego korytarza, żeby otworzyć. Lydia odzyskała równowagę i ruszyła za podekscytowanym psem.

– Susan, do nogi! – krzyknęła, ale została zignorowana.

Mastif gnał przed siebie, odtrącając na bok pokojówkę. Bess uwiesiła się na klamce. Drzwi otworzyły się i Susan wypadła na zewnątrz, skowycząc ze szczęścia i skacząc na mężczyznę stojącego na schodach. Lydia widziała, jak zachwiał się pod ciężarem psa. Chwilę później nadepnęła na coś.

Poleciała bezwładnie do przodu, jadąc na przeklętej drewnianej kaczce. Znalazła się! Zanim jednak kobieta zderzyła się z podłogą, ktoś złapał ją za ramię i pociągnął w górę.

– Niech cię zaraza pochłonie! Czy nie mogłabyś choć raz spojrzeć pod nogi? – Głos był aż nadto znajomy.

Lydia zadarła głowę i spojrzała w roześmiane oczy księcia Ainswooda.

* * *

Kwadrans później Lydia siedziała w gabinecie, patrząc, jak Jego Wysokość ogląda jej książki i meble, jakby próbował ocenił wartość majątku. Tymczasem Trent, Tamsin i wniebowzięta Susan udali się na Soho Square. Ainswood wysłał ich na spacer.

– O, *Życie w Londynie* Pierce’a Egana – zauważył na głos książę, zdejmując książkę z półki. – To jedna z moich ulubionych. Czy to stąd dowiedziałaś się, co to znaczy sparing?

– Czekam na wyjaśnienia, dlaczego nachodzisz mnie w domu – odparła sztywno. – Przecież ustaliliśmy, że przyjadę po ciebie o dziewiątej. Chcesz, żeby cały świat wiedział o naszej znajomości?

– Świat dowiedział się o niej miesiąc temu w Vinegar Yard. Świat brał udział w nawiązywaniu tej znajomości. – Nie podniósł oczu znad książki. – Powinnaś zatrudnić Cruikshanka, żeby ilustrował twoje artykuły. Purvis jest zbyt ascetyczny. Pasuje do ciebie soczysty styl Cruikshanka.

– Dlaczego wszedłeś tu jak do siebie i przyciągnąłeś Trenta?

– Chciałem, żeby zabrał stąd pannę Price – stwierdził, odwracając stronę. – Sądziłem, że to oczywiste. Zajmie ją rozważaniami o Karolu II, żeby nie miała zbyt wiele czasu na zastanawianie się, dlaczego przyjechałem.

– Mogłeś osiągnąć ten cel, nie przyjeżdżając w ogóle – podsunęła.

Zamknął książkę i odstawił ją na półkę, po czym posłał Lydii długie spojrzenie. Kobieta poczuła dreszcz na karku. Zerknęła na książęce dłonie. Pożądanie, jakie w niej wzbudziły, znów ją rozpaliło i musiała prędko zająć ręce porządkowaniem biurka, by powstrzymać się przed wyciągnięciem ich ku niemu.

Żałowała teraz, że nie przeżyła zauroczenia, gdy była jeszcze dziewczynką. Znałaby już emocje, jakie się z nim wiążą, i umiałaby je okiełznać tak, jak panowała nad wszystkimi innymi.

– Trent zaprosi pannę Price do teatru na wieczór – oznajmił Ainswood.

Lydia się ocknęła.

Trent. Tamsin. Teatr. Musiała się skupić. Tkwi w tym jakiś haczyk.

– Jaynes nie da rady go upilnować – ciągnął Ainswood, rozpraszając ją. – Nie mogę go zostawić samego, bo zginie. Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie wciągnąć go do naszego spisku…

– Naszego…?

– …ale wyobraziłem sobie jego unikalną pomoc wyrażającą się w potykaniu się o własne nogi, tłuczeniu i łamaniu przypadkowych przedmiotów, wpadaniu na drzwi, noże, naboje i włosy stanęły mi dęba.

– Skoro jest taki kłopotliwy, to dlaczego, u licha, go adoptowałeś?! – rozzłościła się Lydia, usiłując odegnać śmieszne wizje odmalowane przez Ainswooda.

– Bawi mnie.

Książę podszedł do kominka. Gabinet nie był duży, ale mężczyzna i tak zdążył przykuć wzrok Lydii niewymuszoną gracją, z jaką się poruszał,

i doskonale skrojonym ubraniem, które podkreślało muskularną figurę.

Kobieta była pewna, że gdyby był zwyczajnie przystojny, obrzuciłaby go jednym spojrzeniem, bez zainteresowania. Jednak potężny rozmiar i skrywana pod eleganckim ubraniem moc pociągały ją. W nocy niósł ją przecież w ramionach bez najmniejszego wysiłku. Czuła się jak mała dziewczynka.

Nigdy w życiu się tak nie czuła. Nawet kiedy była małą dziewczynką.

Teraz czuła się również jak durna nastolatka. Miała tylko nadzieję, że nie widać tego po niej. Z trudem odwróciła od niego wzrok i wpatrzyła się we własne dłonie.

– Niepotrzebnie się troskasz.

Spojrzała na niego znowu.

Ainswood wsparł łokieć na obramowaniu kominka i zaczął wpatrywać się w swoją towarzyszkę.

– Powiedziałem mu, że poprosiłaś o pomoc w poufnej sprawie – ciągnął. – Zaproponowałem, aby zabrał pannę Price do teatru, by nie wzbudzać podejrzeń. Nigdy nie zastanawiał się, jakie podejrzenia mielibyśmy wzbudzać i w jaki sposób wizyta w teatrze miałaby je rozwiać. – W jego zielonych oczach lśniły iskierki rozbawienia. – Jednak dżentelmen, który wierzy, że dziewczyna może wydostać się z lochu za pomocą łyżki, uwierzy we wszystko. Więc niech się stara.

– Łyżki? – zapytała z niedowierzaniem. – Z lochów?

– Mówię o Mirandzie z *Tebańskiej Róży* – wyjaśnił. – Trent uważa, że właśnie tak się wydostanie.

Lydia ocknęła się gwałtownie. Miranda. Do licha! Szybkim spojrzeniem ogarnęła biurko. Na szczęście schowała manuskrypt. Albo Tamsin włożyła kartki do szuflady. Zdradzenie jej sekretu autorstwa powieści było aktem zaufania, a zarazem ucieczką od skomplikowanych wybiegów, jakie musiałaby stosować na co dzień, mając w domu tak bystrą dziewczynę.

Tamsin schowała też „Rocznik” i *Księgę Parów*, ale notatki i drzewo genealogiczne Mallorych leżały na samym środku. Ukradkiem narzuciła na nie ostatnie wydanie „Przeglądu Edynburskiego”.

– Nie zamierzasz mnie zadźgać nożykiem do listów? – zapytał. – Nikomu nie pisnąłem słowa. Wiem, że chcesz zrobić dziewczynie niespodziankę. Spodziewam się, że wymyśliłaś już alibi?

– Oczywiście. – Lydia przeciągnęła się i usiadła na „Przeglądzie Edynburskim”. – Powiedziałam, że będę weryfikować plotki o naszym dziennikarskim rywalu. Nie ma szans na odkrycie, czy rzeczywiście robiłam to, czy nie.

– Co cię zatem martwi?

Podszedł bliżej, okrążając biurko. Lydia nawet nie drgnęła.

– Przypuszczam, że nawet nie wpadło ci do głowy, że panna Price może odmówić?

– Słyszałem, że wpadli wczoraj na siebie. – Ainswood okrążył biurko i zatrzymał się o krok od niej. – Trent nie mógł dojść do siebie aż do nocy. – Zniżył głos do szeptu: – Ona mu się podoba. Może on jej też?

Poczuła na twarzy jego oddech. Niemal czuła ciężar jego ciała i silne ramiona.

„Niemal” nie wystarczało. Chciała chwycić go za nieskazitelny fular i przyciągnąć do siebie.

– Szczerze w to wątpię – szepnęła. – Ona…

Lydia zamrugała. Fular był lśniący, cały strój księcia czysty, wyprasowany i bez najmniejszej skazy.

– Do licha, Ainswood! – wykrzyknęła. – Co ci się stało? Jesteś czysty i uczesany! Nie spałeś w tym stroju!

Wzruszył ramionami. Przełknęła ślinę.

– Zdawało mi się, że rozmawiamy o pannie Price i Trencie, a nie o tym, co zakładam do łóżka.

Lydia nie dała zbić się z tropu.

– Czyżbyś posłuchał mej rady, wychłostał lokaja i wziął kogoś odpowiedzialnego?

– Nic mu nie zrobiłem. – Nachylił się ku niej. Poczuła obezwładniający zapach mydła i wody kolońskiej. – Powiedziałem mu…

– Ładnie pachniesz – zdumiała się Lydia. – Co to?

– Powiedziałem mu – brnął Ainswood z namaszczeniem – że nie pochwalasz mojego stylu. – Położył dłonie na biurku, po obu stronach jej bioder. – Powiedziałem mu, że to przez niechlujne ubranie moje życie było dotąd nieudane, bez sensu ni celu.

Zamknęła oczy i pociągnęła nosem.

– Jak las sosnowy… ale bardzo daleko… zaledwie cień zapachu niesiony na skrzydłach bryzy.

Otworzyła oczy. Jego wargi znajdowały się zaledwie cal od jej ust.

Odsunął się błyskawicznie i strzepnął z rękawa niewidzialny pyłek.

– Przekażę mu, że jego wysiłki skłoniły cię do poetyckich porywów. I że stałaś się kompletnie niezdolna do rzeczowej rozmowy. Nie skrytykowałaś mojego pomysłu z teatrem, co samo w sobie jest chyba cudem. W ogóle nie da się z tobą rozmawiać, zatem pożegnam się bez ociągania. Do zobaczenia wieczorem.

Ruszył ku drzwiom.

– To wszystko? – zawołała. – Przyjechałeś z takim głupstwem?

– Owszem.

Nie obejrzał się za siebie. Wyszedł sztywno, zatrzaskując za sobą drzwi.

* * *

Grenville rozsądnie schowała złote włosy pod czapką. Założyła spodnie. Ostrzegła księcia, że będzie ubrana po męsku, w ciemną koszulę schowaną do spodni i dopasowany spencer. Bardzo dobrze. Suknie i halki tylko utrudniają poruszanie się.

Niestety, spencer sięgał jej do pasa, używane spodnie, znoszone i przenicowane, były cieniutkie jak papier, w dodatku odrobinkę za ciasne, więc Vere miał wrażenie, że nie zdoła się skupić nawet na pięć minut. Koncentrował się bowiem na czymś zupełnie innym.

Weź się w garść, powtarzał sobie w duchu, podsadzając towarzyszkę na daszek szopy. Byli na podwórku domu Coralie. Vere poprawił chustkę na twarzy i wspiął się za Lydią. Z dachu łatwo dostali się do okna. Było tylko przymknięte, Vere bez problemu wszedł więc do środka.

Coralie wyszła dawno temu. Z parteru dobiegały ich odgłosy kłótni. Książę rozejrzał się cicho i wsłuchał w odgłosy domu. Grenville wślizgnęła się zaraz po nim, przekładając swe długie nogi nad parapetem.

– Garderoba – szepnęła stłumionym głosem. – Widać, że nieużywana.

Nie wzbudziło to w nim podejrzeń. Coralie wprowadziła się zaledwie parę tygodni wcześniej.

Vere nagle zdał sobie sprawę, że gabinet Gorgony to także przerobiona garderoba. Niewielka przestrzeń na tyłach domu, z małym oknem i maciupkim kominkiem. Biurko, krzesło i ściany zapełnione regałami z książkami. Idealne miejsce na pożar.

Jednak stojąc w tym gabinecie, nie obawiał się płomieni, lecz jej wzroku. Patrzyła na niego z takim zdumieniem, jakby uczesane włosy i czyste ubranie były największym cudem, jaki oglądały jej oczy. Chciało mu się śmiać i zgrzytać zębami. Czuł się niezręczny i rozpalony jak uczniak, który próbuje się zalecać do swej miłości ze szkółki niedzielnej.

To nie było jednak najgorsze. Jej lodowate błękitne oczy rozpalały go tak bardzo, że musiał natychmiast wyjść, inaczej straciłby nad sobą kontrolę.

W pośpiechu zapomniał powiedzieć jej o zmianie planów. Bez wątpienia zemści się na nim później za wślizgnięcie się do jej domu wejściem dla służby o wpół do dziewiątej i niemal porwanie jej siłą do wynajętego powozu.

Panna Grenville chciała wziąć dorożkę. Oznajmiła mu, że to będzie bardziej anonimowe. Najwyraźniej uważała go za durnia, który podjedzie pod miejsce włamania własną karetą z książęcym herbem na drzwiach. Naprawdę nie wierzyła w jego inteligencję, zżymał się Vere, skradając się po cichu.

Jakby jej własny umysł był ostry jak brzytwa.

Nie wpadła na to, że siedziba stręczycielki znajduje się zaledwie parę ulic od Soho Square, więc byłoby rozsądniej, żeby to on zatrzymał się po nią w drodze z własnego domu, niż żeby ona jechała po niego i wracała z powrotem do Coralie.

Rzecz jasna, żadne tłumaczenia nie miały sensu. Vere mógłby przysiąc, że Lydia nie słyszała nawet połowy z tego, co mówił do niej w gabinecie. Była zbyt oszołomiona jego wyglądem i wpatrywała się w niego z niemym zdumieniem, jak w nadprzyrodzone zjawisko.

Tysiące razy rozbierał kobiety wzrokiem. Nie zwracał nawet uwagi, czy one mają to w zwyczaju. Dziś jednak błękitne oczy penetrowały czyste i wyprasowane elementy jego garderoby, tak jakby wcale ich nie było.

Naturalnie, jego męskość zaczęła nabrzmiewać, gdy tylko wszedł do jej mieszkania, a kiedy kobieta nagle zaczęła spoglądać w przestrzeń rozmarzonym wzrokiem i mówić wierszem… jego mózg wyłączył się całkowicie, przekazując dowodzenie niższym partiom ciała.

To doprawdy cud, że nie rzucił jej na biurko i nie pozbawił dziewictwa, uznał, kładąc dłoń na klamce. Nasłuchiwał przez chwilę. Nic. Ostrożnie otworzył drzwi.

Mała lampka rozpraszała ciemność, rzucając drżące cienie.

– Sypialnia – szepnął.

– Idź na lewo, ja pójdę na prawo – odszepnęła.

Vere bezszelestnie przeszedł przez próg, Grenville tuż za nim, i zaczęli przeszukiwać wyznaczone terytoria.

W sypialni panował straszliwy bałagan: wszędzie walały się suknie, bielizna, pantofle rozmaitych kształtów.

Oczyma wyobraźni Vere ujrzał podobny rozgardiasz, ale we własnej sypialni i stworzony z ubrań Gorgony. Fantazyjny szlak czarnych fatałaszków kończący się zwiniętym obłokiem halki, gorsetem i wijącymi się pończochami zwisającymi z brzegu łóżka. Na pościeli leżała smakowita kobieta, gorąca i ponętna…

– Dobry Boże! – szepnęła zduszonym głosem panna Grenville.

Vere spojrzał na nią bystro. Przez krótką chwilę zdawało mu się, że marzył na głos! Nie, jednak nie. Jej zdumienie nie dotyczyło jego osoby. Klęczała nad otwartym pudłem na kapelusze.

Rzucił na podłogę halkę, którą wydobył spod stolika, i uklęknął obok Gorgony.

W mdłym świetle lampki lśniły i migotały bransoletki, kolczyki, pierścienie, łańcuchy i naszyjniki. Kłębowisko wyglądało jak gniazdo sroki, klejnoty były splątane i zmieszane ze sobą.

Grenville chwyciła coś z samej góry. Była to srebrna spinka. Główkę wycięto artystycznie na kształt dwóch ciał połączonych ze sobą w pozycji surowo zakazanej zarówno przez Kościół, jak i przez państwo.

Wyrwał jej szpilkę z dłoni.

– Zostaw to – szepnął. – Czy są tu klejnoty panny Price?

– Są. Najwyraźniej z całą biżuterią świata. Wyciągnięcie ich będzie jak rozplątanie węzła gordyjskiego. Co za flądra! Wymieszała kolczyki z łańcuszkami i wszystko się poplątało.

Pomacała dookoła i ze sterty ubrań wyciągnęła koszulę. Rozłożyła ją na podłodze i wysypała zawartość pudła. Zawiązała końce koszuli w profesjonalny tobołek.

– Znajdź podwiązkę – szepnęła.

– Zwariowałaś? Nie możemy zabrać wszystkiego. Sama mówiłaś, że…

– Nie mamy wyboru. Nie możemy tkwić tu całą noc i przebierać tej sterty jak Kopciuszek. Znajdź… ach, nieważne. Już mam.

Związała tobołek podwiązką, a Vere wetknął obsceniczną szpilkę w leżący nieopodal czepek.

Lydia zaczęła się podnosić, lecz zamarła. Książę także to usłyszał: zbliżające się prędko kroki i głosy.

Rzucił się na nią, rozpłaszczył na podłodze i wepchnął pod łóżko. Narzucił stertę halek i sukien na pudło i popchnął je w kąt, a potem sam wślizgnął się pod stelaż.

W tej samej chwili otworzyły się drzwi.

Rozdział 9

Zdawało się, że trwa to całe godziny. Materac trząsł się wściekle, dziewczyna krzyczała coś po francusku, płakała boleśnie i błagała o więcej. Mężczyzna śmiał się i na zmianę groził jej obleśnym głosem, który zdawał się ciąć skórę Lydii jak nóż. Słysząc go, dostawała mdłości.

Cal za calem przysuwała się do Ainswooda. Najchętniej wpełzłaby pod niego, jednak bardziej niż ohydnego głosu nieznajomego mężczyzny bała się narobić hałasu. Chwilami czuła, jak materac wbija się w jej ciało. Modliła się, żeby się nie zapadł. Modliła się, żeby żadne z kochanków nie spadło w uniesieniu na podłogę i nie zajrzało pod łóżko.

Nie była to najlepsza pozycja do walki, nie sądziła też, że będzie w stanie się obronić, dzierżąc w objęciach ciężki tobołek.

Niech ich piekło pochłonie, czy kiedykolwiek przestaną?!

Wreszcie, po kolejnych kilku minutach, które ciągnęły się latami, szamotanina ustała.

Odejdźcie, nakazała im w myślach Lydia. *Zabawiliście się już, więc stąd idźcie*.

Skądże znowu! Teraz musieli pogadać.

– Interesujące przedstawienie, Annette – odezwał się mężczyzna. – Przekaż jednak swej pani, że jedna leciwa dziwka to za mało, by zaspokoić moje gusta.

Materac zaskrzypiał i męskie stopy w pończochach opuściły się na podłogę tuż przy głowie Lydii. Poczuła na plecach dłoń Ainswooda i zrozumiała przekaz: Leż bez ruchu.

Nawet nie drgnęła, choć każdy mięsień jej ciała dygotał z niepokoju. Widząc poruszające się nogi mężczyzny, domyśliła się, że przetrząsa pokój, podobnie jak oni wcześniej. Wstrzymała oddech, kiedy spod sterty sukien wydobył opróżnione pudło na kapelusze. Odrzucił je jednak na bok i chwycił czepek.

– A otóż i moja srebrna szpilka! – wycedził. – Wiesz, jak to wygląda? Jak wyśmiewanie się ze mnie w żywe oczy. Najpierw zatrzymała moją

własność, kłamiąc, że jej nie ma, gdy grzecznie spytałem, a potem obnosi się z nią, wetkniętą w sam środek czepka!

– Nic o tym nie wiedziałam – wyjąkała dziewczyna. – Nigdy wcześniej jej nie widziałam, monsieur.

Stopy podeszły do łóżka i zniknęły, gdy mężczyzna wspiął się na materac. Dziewczyna krzyknęła.

– Lubisz to, Annette? – zapytał z rozbawieniem. – Chcesz się zabawić w poduszeczkę do moich szpilek? Jest wiele interesujących miejsc na twoim ciele, w które chętnie wbiłbym…

– Błagam, monsieur! To nie ja! Ja jej nie wzięłam. Dlaczego mnie pan za to karze?

– Gdyż jestem bardzo skonfundowany, moja Annette. Twoja pani ukradła mi szpilkę, jedyną w swoim rodzaju. Kosztowała mnie fortunę. Ukradła mi też, albo uprzedziła, małą kwiaciareczkę, którą sobie upatrzyłem. Śliczną pokrakę, zupełnie samą na świecie. Nie było jej wczoraj na zwykłym miejscu, ale twoja pani stała nieopodal, cała w uśmiechach i pąsach. Dziś także nie znalazłem dziewczyny.

Materac skrzypnął, dziewczyna krzyknęła przenikliwie.

Lydia czuła, jak ciało Ainswooda tężeje. Ona także spięła się cała, gotowa do skoku i zabicia gołymi rękami brutala na materacu. Jednak ladacznica zaczęła chichotać i Lydia przypomniała sobie, że to nie niewinna dziewczyna, lecz okrutna łajdaczka, druga po madame Brees. Była bezwzględna i podła. Zwykle to ona pomagała osiłkom bić i karać nowe dziewczęta.

Wymacała dłoń Ainswooda i przycisnęła ją do siebie.

– Ach, masz rację, w ten sposób jej nie ukarzę – roześmiał się mężczyzna. – Przecież jej zupełnie nie obchodzi, co z tobą zrobię.

Stopy znów zeskoczyły na podłogę. Tym razem gość pozbierał własne ubrania.

– Ubieraj się – warknął. – Albo i nie, jeśli wolisz. Idziemy na polowanie, Annette, i módl się, żeby zakończyło się sukcesem.

– Ależ ja nie mam pojęcia, co się stało z biżuterią.

Lydia bała się, że serce za chwilę wyskoczy jej z piersi.

Annette zauważyła, że biżuteria zniknęła. Najwyraźniej klient wrócił lub przyjechał niezapowiedziany i nakrył dziewczynę na przetrząsaniu sypialni Coralie. To pewnie ich głosy słyszeli na dole.

Mężczyzna się roześmiał.

– A na cóż mi ta plątanina? Przez miesiąc musiałbym to skubać i po co? Zaledwie kilka sztuk miało jakąś wartość, a reszta to same śmieci. Corrie nie ma za grosz smaku, jest po prostu chciwa. Nie, moja poduszeczko. Chcę srebra, złota i banknotów. Szkatułka! Wiesz dobrze, jak wygląda, a ja nie mam nastroju na szukanie.

– Monsieur, błagam o litość! Tylko ja jedna wiem, gdzie jest szkatułka. Jeśli ona zniknie, wina spadnie na mnie, a wtedy…

– Powiesz jej, że cię zmusiłem. Chcę, żebyś tak powiedziała. Chcę, żeby wiedziała, że to ja. Gdzie ona jest?

Po krótkim milczeniu Annette wyszeptała:

– W piwnicy.

Mężczyzna podszedł do drzwi.

– Zaczekam w zaułku, a ty ją przynieś. Ale śpiesz się.

Materac się zakołysał. Annette mruczała pod nosem po francusku, prędko zbierając ubrania, po czym pobiegła za swym klientem.

Ledwo zamknęły się za nimi drzwi i Lydia odetchnęła nieco głębiej, Ainswood wypchnął ją spod łóżka, szepcząc nagląco:

– Uciekamy!

Kobieta posłusznie zaczęła wstawać, jednak książę nie czekał, aż sama się pozbiera. Chwycił ją pod pachy i poderwał na nogi. Pobiegli na palcach do garderoby. Przy oknie musieli zaczekać chwilę, aż służący wyjdzie z wygódki. Gdy tylko zniknął w domu, spuścili się z dachu szopy. Ainswood złapał Lydię za rękę.

– Zostań tu – szepnął jej do ucha. – Ja mam coś do załatwienia. To nie potrwa długo.

Panna Grenville chciała się wykazać cierpliwością, lecz po kilku minutach zwyciężyła jej dziennikarska ciekawość. Kobieta ostrożnie przesunęła się wzdłuż ściany i wyjrzała za róg.

Zobaczyła zwalistą sylwetkę Ainswooda wtulonego w załomek muru przy schodkach prowadzących pod ziemię. Po chwili wspiął się po nich mężczyzna ze szkatułką. Ujrzawszy zamaskowanego wielkoluda, cofnął się prędko, lecz Ainswood był szybszy.

Na oczach zdumionej Lydii książę wyciągnął mężczyznę po schodkach i rzucił nim o ścianę. Szkatułka z klekotem upadła na chodnik. Wielka pięść

Ainswooda z głuchym hukiem wbiła się w brzuch łajdaka. Zgiął się wpół. Pięść trzasnęła go w twarz i padł bezwładnie na ziemię.

– Ty sukinsynu – warknął Ainswood niskim tonem. Lydia ledwie rozpoznała jego głos.

Arystokrata odwrócił się od nieprzytomnej ofiary i zdjął maskę. Rzucił ją do rynsztoka, ruszając ku swej towarzyszce. Ta bezwiednie zdjęła swoją maseczkę. Ująwszy dziennikarkę pod rękę, mężczyzna wyprowadził ją wąskim zaułkiem na Francis.

Lydia odzyskała głos dopiero przy Tottenham Court Road:

– Co to miało, u diabła, znaczyć?!

– Sama go słyszałaś – odparł tym samym groźnym tonem. – Kwiaciarka. To on próbował ją zwabić i możesz się łatwo domyślić, co by jej zrobił.

Lydia zatrzymała się raptownie, spojrzała na jego dłonie, a potem prosto w stężałą, wściekłą twarz.

– Och, Ainswood! – wykrzyknęła stłumionym głosem. Chwyciła go za ramiona. Chciała nim potrząsnąć za to, że usiłował być takim twardzielem. Udawał przed nią, że dał pieniądze kwiaciarce, żeby ją usunąć z drogi.

Chciała potrząsnąć, ale zamiast tego mocno go przytuliła.

– Dziękuję. Sama chciałam go zabić. – Mogłabym cię pocałować, pomyślała, patrząc znów w ponure oblicze księcia.

Marzenia to za mało.

Pocałowała go.

Zachowała jednak resztki rozsądku: chciała, żeby to był krótki całus. Nagroda za jego szlachetność. Jej wargi zaledwie dotkną jego policzka w przyjacielskim geście.

Książę odwrócił głowę i nadstawił usta, jednocześnie chwytając Lydię w ramiona. Dziennikarka zrozumiała, jaką jest kłamczuchą, udając przed samą sobą, że chce czegokolwiek innego.

Usta Ainswooda nie były delikatne i przekonujące, jak poprzedniej nocy, lecz gwałtowne i naglące.

Powinna wyrwać się z jego ramion, ale nie wiedziała, jak miałaby sobie tego odmówić. Tak bardzo pragnęła mu się poddać! Oplotła jego szyję rękami i chłonęła chciwie dziki żar i gniew, które niczym trujący napój wypełniły jej żyły, budząc uśpionego demona.

Nie powinna czuć się taka szczęśliwa. Wszak miała zamiar podbijać królestwa, nie zaś dać się podbić. Jednak uniesienie niemal rozsadzało jej

serce, tak dobrze czuła się w żelaznych objęciach Ainswooda, zgniatających ją jak bukiet kwiatów. Tu właśnie chciała być. Chciała stać się częścią jego ciała, jakby była brakującym fragmentem układanki, który idealnie do niego pasował.

Jego wargi napierały coraz mocniej. Rozchyliła usta i zadygotała z rozkoszy, gdy wsunął w nie język. Duże dłonie błądziły śmiało po jej ciele, jakby już należała do niego. W tej chwili zresztą tak właśnie było.

Wsunęła dłonie pod kamizelkę Ainswooda, czując pod palcami najcieńsze płótno jego koszuli, a przez nie potężne mięśnie napinające się pod jej dotykiem. Zrozumiała, że ona także ma nad nim władzę. Wsuwając dłoń głębiej, znalazła miejsce, które nie potrafi kłamać: jego serce, tłukące się dziko o żebra.

Zadrżał, jęknął głucho i chwycił Lydię za pośladki, przyciągając ją ku nabrzmiałej męskości.

Nie oddzielały ich tym razem warstwy halek i rozmiar pulsującego żarem księcia wstrząsnął nią do głębi. To była zaledwie chwila, ale Ainswood musiał coś poczuć, bo odsunął się od niej.

Podniósł głowę, chwycił ją za ramię i wycedził:

– Niech cię licho, Grenville! Jesteśmy na ulicy!

Puścił ją i schylił się po tobołek, który bezwiednie upuściła. Ująwszy Lydię pod rękę, poprowadził ją sztywno do oczekującego powozu.

* * *

Annette nie doszła jeszcze do drzwi od piwnicy, gdy usłyszała szybkie kroki. Zamarła i nasłuchiwała. Usłyszała huknięcie o ścianę, ciosy i stękanie.

Wychowała się w najgorszych slumsach Paryża i potrafiła rozpoznać dźwięki napaści. Sama zwabiła w zaułki niezliczoną ilość pijaków.

Usłyszała pełen gniewu głos, ale nie rozpoznała w nim swego odrażającego klienta. Zaczekała, aż właściciel męskiego głosu oddali się w stronę ulicy. Następnie wychyliła się ostrożnie z piwniczki. Zaułek był ciasny, mrok rozpraszało kilka rozświetlonych okien, dostrzegła jednak bezwładne ciało na chodniku.

Podeszła bliżej. Z zawodem stwierdziła, że łajdak wciąż oddycha. Rozejrzała się za czymś, czym mogłaby go wykończyć, ale nie znalazła

niczego odpowiedniego. W pobliżu nie było nawet kamienia. Okolica jest zdecydowanie zbyt czysta i porządna, uznała w duchu Annette. Kręcąc głową, dostrzegła szkatułkę. Mężczyzna jęknął i się poruszył. Annette kopnęła go w głowę, chwyciła puzderko i uciekła.

* * *

W tej samej chwili Vere patrzył, jak Grenville wspina się do powozu, i marzył o tym, by ktoś kopnął go w głowę. Spojrzał wrogo na Jaynesa siedzącego na koźle z wszystkowiedzącym łajdackim uśmiechem.

Pewnie ich widział.

Mógł ich zobaczyć każdy idący po Tottenham Court Road. Jednak tylko Jaynes wiedział, że to wokół kobiety książę Ainswood owinął się niczym wąż boa, usiłujący ją zmiażdżyć i pochłonąć jednocześnie.

Rzucił jej na kolana tobołek i wskoczył na ławeczkę naprzeciwko.

Powóz ruszył tak gwałtownie, że Grenville wpadła mu w ramiona. Prędko się jednak wyprostowała, co jeszcze bardziej go rozjuszyło.

– Trochę za późno na granie niewiniątka – wycedził. – Mogłaś dać pożywkę plotkarzom na co najmniej rok! Gdyby ktoś nas zobaczył, do rana cały Londyn by wiedział, że książę Ainswood gustuje w chłopcach!

– Trochę za późno na zamartwianie się skandalami – odparła chłodno. – Karmiłeś plotkarzy hojnie przez ostatnie kilka lat. Nagle postanowiłeś przejmować się opinią publiczną? – Przeszyła go lodowatym spojrzeniem.

Nie potrzebował światła, by ocenić barwę jej oczu, ani termometru, by zmierzyć temperaturę tego spojrzenia.

– Nie sztyletuj mnie wzrokiem – burknął. – To ty zaczęłaś.

– Nie dostrzegłam, abyś wołał o pomoc – zadrwiła. – Nie wyrywałeś się z mych wrażych szponów. Czy chcesz mi powiedzieć, że te dwa ciosy, którymi ogłuszyłeś obmierzłego draba, całkiem cię wyczerpały?

Co za bzdury, nawet nie myślał o bronieniu się. Gdyby Grenville go nie pocałowała, sam by się na nią rzucił, choć osiągnąłby niewiele więcej. Mimo że ta irytująca, arogancka pannica budziła w nim najgorsze instynkty, nie mógł przecież pofolgować swej żądzy na ulicy! Zresztą nigdzie by się nie nasycił, bo to dziewica i nic nie umie.

Próbował sobie wmówić, że wcale nie chodzi o Gorgonę, tylko o pożądanie w ogóle. Nocna eskapada po prostu podsyciła jego apetyt.

Musiał jednak przyznać, że gdy leżał pod łóżkiem w burdelu, wcale nie był podniecony. Czuł się chory ze zgrozy, słuchając obrzydliwości, które działy się nad ich głową, i wyobrażając sobie najgorsze rzeczy, jakie mogą się zaraz wydarzyć: nóż wbity w jego plecy, pałka roztrzaskująca mu głowę i zjawiająca się po jego duszę śmierć, z którą nie mógł przecież pójść, bo wtedy zostawiłby Grenville na pastwę perwersyjnego sadysty. Vere zaciskał więc powieki i modlił się żarliwie: Błagam, pozwól mi wyjść z tego cało, pozwól mi ją uratować i już zawsze będę dobry, przysięgam!

Przez chwilę widział oczyma wyobraźni samego siebie, ściskającego drobną dłoń dziecka i modlącego się cicho, targującego się o jego życie z Opatrznością. Prędko odpędził tę wizję, czując w piersiach nieznośny ucisk.

– Wcale cię nie pragnę – oznajmił twardo.

– Kłamczuch.

– Ta pycha cię kiedyś zgubi – odrzekł, odwracając głowę. – Dziewica Grenville, a zdaje jej się, że wszystko wie. Nie umiałaś się nawet całować, dopóki cię nie nauczyłem.

– Nie przypominam sobie, żebym błagała o tę lekcję – burknęła.

– I na tej podstawie wysnułaś wniosek, że masz nieodparty urok?

– Ty nie potrafisz mi się oprzeć, to prawda. Nie umiem wysnuć innego wniosku z twojego zachowania. Ciekawe tylko, dlaczego wciąż robisz takie sceny?

– Nie robię scen. I wolałbym, żebyś nie zwracała się do mnie jak do dziecka.

– Ja zaś bym wolała, żebyś przestał kłamać. W ogóle ci to nie wychodzi. Dlaczego nie możesz po prostu przyznać, że ci się podobam? Dlaczego tak cię to przeraża? Bo cię irytuję? Bo jestem dziewicą? Co aż tak bardzo godzi w twą męską dumę? Bez wątpienia nie zauważyłeś, że ja również jestem przerażona. To, że mi się podobasz, nie przynosi chluby ani memu gustowi, ani rozsądkowi. Los spłatał mi wiele figli, ale ten bije wszystkie na głowę.

Vere spojrzał na nią.

Siedziała wyprostowana, patrząc wprost przed siebie, z rękami splecionymi ciasno na kolanach.

– Nie rób scen, Grenville – powiedział, zaciskając dłonie. – Nastroszyłaś się, jakbym nagle uraził twoje uczucia.

– Nie masz szans – odrzekła sucho. – Nie pozwoliłabym na to.

– To o co ci chodzi? – wybuchnął. – Czego ty chcesz ode mnie? Mam iść z tobą do łóżka? Dożyłaś już tak sędziwego…

– Mam dwadzieścia osiem lat – przerwała mu. – Nie osiemdziesiąt.

– Zdołałaś jakoś uchronić swą cnotę przez cały ten czas – ciągnął coraz głośniej. – Nie zrzucisz tego na mnie! Nie zmusisz mnie, bym uwierzył, że cię zdemoralizowałem!

– W nosie mam, w co wierzysz, a w co nie.

– Dobrze wiedziałaś, jaki jestem, już w dniu, kiedy mnie poznałaś. Nawet twoja przyjaciółka ladacznica ostrzegała cię przede mną! Kazała ci wyjechać z Londynu, pamiętasz?

– Londyn to duże miasto. Nie musimy ciągle na siebie wpadać. – Spojrzała na niego z ukosa. – Nie musisz pojawiać się nagle Pod Błękitną Sową, szukając moich śladów. Nie musisz za mną łazić do Jerrimera, do Heleny ani do Covent Garden, jak zeszłej nocy. Chcesz, żebym uwierzyła, że to wszystko były przypadki? Przecież widzę, że ktoś mnie dla ciebie śledzi. Proszę, przekonaj mnie, że to moja wybujała wyobraźnia i pycha! Po co zadajesz sobie tyle trudu?

Uśmiechnęła się lekko.

– Powiedz mi, że cię nie pociągam, a twoja męskość sterczała jak maszt jedynie przypadkiem.

– Niech cię zaraza pochłonie, Grenville! Nigdy bym cię nie dotknął, gdybym wiedział, że jesteś przeklętą dziewicą!

Nie odpowiedziała od razu. Ostre słowa wisiały między nimi w powietrzu zgęstniałym od urazy i złości.

Vere zmartwiał nagle, gdy zdał sobie sprawę z tego, co usiłował od dłuższego czasu ignorować. Naprawdę jest kłamcą, jak powiedziała, i oszukuje sam siebie od tygodni. Wmawia sobie żałosne, dziecinne kłamstwa. Grenville jest pięknym potworem, a on pragnie jej tak bardzo, że boi się zastanawiać nad siłą swoich uczuć. Nigdy nie pragnął niczego z podobną intensywnością, a już na pewno nie kobiety. Znał jeden tylko cel przestawania z damami i nigdy nie musiał się o nie starać. Było ich tak wiele i jeśli jedna nie chciała, to obok stała już następna.

Ogarnęło go nagłe podejrzenie, że tym razem nikt nie zdoła zastąpić panny Grenville. Gdyby tak nie było, już dawno zająłby się inną. Kilkoma innymi. Wszak Londyn wciąż był pełen kurtyzan.

Do Soho Square było blisko. Nie zdążył się zastanowić, co ma z tym wszystkim począć. Wyjrzał przez okno i spostrzegł, że są już na Charles Street.

– Zdaje się, że znowu masz napad szlachetności – powiedział piękny potwór.

– Wcale nie jestem szlachetny – odparł szorstko. – Niech ci się nie zdaje, że jestem lepszy, niż jestem. Pomyliłem się, to wszystko. Nic w tym dziwnego, wciąż popełniam takie błędy. Wziąłem żonę lorda Daina za pannę lekkich obyczajów, pamiętasz? Gdybyś jak ona miała u boku kogoś, kto pięściami wbiłby mi do głowy oczywiste fakty, żadna z tych rzeczy w ogóle by się nie wydarzyła. Gdy zdałem sobie wczoraj sprawę z mej pomyłki, byłem gotów pożegnać się i nigdy nie wrócić, ale poprosiłaś mnie o pomoc. Gdybyś sama się na mnie nie rzuciła, trzymałbym dziś ręce przy sobie. Ale nie możesz oczekiwać…

Urwał, spoglądając na jej smukłe nogi w opiętych spodniach, na krągłe biodra, wąską talię, którą bez trudu obejmował dłońmi, na rozkosznie okrągłe piersi, i poczuł, jak przeszywają go ból i tęsknota, roztrzaskujące w drobny pył nagromadzone pokłady cynizmu.

Podniósł wzrok na jej śliczną, bezczelną twarz i zaczął powoli rozumieć, czy tego chciał, czy nie, co go tak kłuje w sercu.

– Jasne – powiedziała. – Rozczarowałam cię. Mógłbyś się nawet skusić, mimo mych wad, gdyby się nie okazało, że jestem niedoświadczona. Ale nie mogę oczekiwać, byś przymknął oko na moje dziwactwa i dodatkowo bawił się w nauczyciela. – Wyjrzała przez okno. – Masz rację, to nie twoja wina. Nie masz obowiązku ciągnąć czegoś, co zacząłeś, nieświadomy konsekwencji. Nie mam prawa żądać od ciebie dokończenia nauki tylko dlatego, że zapoznałeś mnie z odtrącaną do tej pory częścią mej istoty. Przedmiot nie należy do wysoce ezoterycznych. Znajdę kogoś innego, kto zajmie się mą dalszą edukacją.

– Kogoś innego? Kogo, do diabła, masz na myśli?! Nie, chyba nie mówisz poważnie! – Zdołał się roześmiać, choć przypomniał sobie nagle, jak Helena Martin namawiała ją na spotkanie z Sellowbym.

– O gustach się nie dyskutuje – odparła spokojnie. – Są jednak mężczyźni, którzy cenią moje towarzystwo.

– Masz na myśli tych pijanych gryzipiórków spod Błękitnej Sowy? – zadrwił. – Pozwól, że coś ci wyjaśnię, droga panno Grenville: oni

bynajmniej nie cenią twej osobowości. Ani twego intelektu.

– Wjeżdżamy w Firth. – Odwróciła się od okna. – Wytrzymasz jeszcze minutę, mam nadzieję? Zdołasz znieść moje podziękowanie? Jestem ci ogromnie wdzięczna za pomoc i wsparcie. Mężczyzna, na którego się natknęliśmy, był odrażający. Cieszę się, że nie miałeś najmniejszych skrupułów i rozprawiłeś się z nim po męsku.

Powóz zatrzymał się przed domem.

Vere wciąż wpatrywał się w nią uporczywie. „Znajdę kogoś innego” tłukło mu się po głowie w rytm bijącego z wściekłością serca.

– Nie będzie nikogo innego – wykrztusił, zagłuszając szum krwi w uszach. – Powiedziałaś to tylko po to, żebym… – Nie, nie może powiedzieć „zazdrosny”. To byłoby niedorzeczne! Jak mógłby być zazdrosny o mężczyznę z jej wyobrażeń i planów. Przecież on nawet nie istnieje! – …robił to, co się tobie podoba. Żeby mnie zmanipulować, tak jak wczoraj. To wszystko sztuczki.

Drzwi powozu się otworzyły. Jaynes bywał czasem piekielnie szybki, niech go diabli! Zwykle wtedy, gdy najmniej odpowiadało to jego panu. Teraz pewnie śpieszył się do domu, żeby nikt znajomy nie zobaczył go w upokarzającej roli stangreta.

– Błagam o wybaczenie – odrzekła uprzedzająco grzecznym tonem. – Nie miałam zamiaru panem manipulować. Czy będzie pan łaskaw, Wasza Wysokość, wysiąść na chwilę? Czy woli pan, bym przelazła przez pana?

Brwi Jaynesa podjechały prawie na czubek głowy.

Vere posłał mu ostrzegawcze spojrzenie i wysiadł. Zanim zdążył podać jej dłoń, Grenville zręcznie sfrunęła z powozu i nie odwracając się, poszła ku drzwiom.

– Czekaj – rzucił Vere do sługi i pobiegł za nią.

– Co próbujesz mi powiedzieć? – zapytał nagląco, gdy się zatrzymała, by wyjąć klucz z kieszeni. – Że cię zdeprawowałem? – Stanął przed nią, blokując drzwi. – To mi zarzucasz?

– Nie bądź śmieszny – prychnęła. – Nie jestem damą, jestem dziennikarką. Wszyscy wiedzą, że jesteśmy do szczętu zdemoralizowani. – Machnęła niecierpliwie szczupłą dłonią, w której trzymała klucz. – Zejdź mi z drogi, Ainswood. O nic cię nie obwiniam. Nie rób scen.

– Nie obwiniasz? – rzucił, podnosząc głos. – Och, doprawdy? Ja jedynie pokazałem ci bramę do upadku. Rzeczywiście, nie ma się czym

przejmować. Ale ty musiałaś od razu włamać się przez nią i nie patrząc na nic…

– Przestań się wydzierać, przestraszysz mi psa. Susan nie lubi, kiedy obcy na mnie krzyczą.

– Niech diabli porwą twego psa! Nie możesz mnie prowokować, a potem straszyć….

– Wcale nie chciałam cię prowokować. Och, mówiłam… Proszę, zdołałeś rozwścieczyć Susan.

Vere usłyszał stłumione stąpanie ciężkich łap i głuche warczenie mastifa w niezbyt przychylnym nastroju. Dźwięk zdawał się dobiegać z piekielnych otchłani. Choć dzieliły ich solidne drzwi, Vere czuł, jak schody wibrują mu pod stopami. Szyby w oknach zadzwoniły.

– Och, zdołałem niejedno, jak się okazuje. – Vere odsunął się od drzwi i zawołał: – Spóźniłaś się, Susan! Zacząłem to i nie ma już odwrotu. Lepiej przyzwyczaj się do obcych, dziewczynko, bo…

– Niech cię szlag! – burknęła Grenville, otworzyła zamek, złapała księcia za rękę, błyskawicznie wciągnęła go do środka i zatrzasnęła drzwi.

Vere usłyszał wściekły warkot.

Wszystko wydarzyło się w przerażającym ułamku sekundy. Zobaczył psa sprężającego się do skoku: śmiercionośną czarną bestię lecącą ku niemu z obnażonymi kłami. Susan chciała odepchnąć Grenville z drogi, lecz Gorgona rzuciła się do tyłu, osłaniając go własnym ciałem.

– Siad, Susan! – krzyknęła.

Vere chwycił Lydię w ramiona i obrócił się, przygważdżając ją do drzwi.

– SIAD, DO CHOLERY!!! – ryknął. Bestia zwinęła się w locie, opadła na podłogę i posłusznie usiadła.

* * *

Vere opierał się czołem o drzwi, oplatając ramionami swą wybawicielkę. Czekał, aż serce wróci do normalnego rytmu, a supeł żołądka rozluźni się i pozwoli mu oddychać.

Pies obojętnie potruchtał korytarzem w stronę kuchni. Zakłopotana pokojówka wychyliła się przez drzwi, obrzuciła ich przepraszającym spojrzeniem, złapała obrożę Susan i zniknęły.

Przeraźliwy krzyk pani bądź też gromki ryk księcia najwyraźniej przebiły się do morderczego mózgu zwierzęcia, gdyż oboje wciąż żyli. Vere nie mógł pojąć, jak pies zdołał zatrzymać się nagle w środku ataku. Nie myślał przytomnie, chciał tylko obrócić Gorgonę i przyjąć na siebie pierwszy impet.

Znał i rozumiał mastify. Dorastał wśród nich w Longlands. Nie były złe z natury. Jeśli dobrze się je traktowało, były to ułożone psy. Potrafiły nawet zająć się dziećmi. Jednak gdy wzburzono ich krew bądź poczuły zagrożenie, żadna siła czy komenda nie były w stanie ich powstrzymać.

Susan mogła zabić jego Gorgonę.

Jak ta kobieta mogła zrobić coś tak głupiego i wejść w drogę wściekłemu psu?

Żeby go obronić…

Vere wsunął palce we włosy lady Grendel. Przekrzywiony czepek spadł na podłogę.

– Wpędzisz mnie do grobu, Grenville – szepnął.

Spojrzała na niego. Błękitne oczy lśniły.

– Gdybyś stał spokojnie, nie ruszyłaby cię. – Pchnęła go w pierś. – Chciała cię tylko odstraszyć. – Pchnęła jeszcze raz. – Udusisz mnie, Ainswood.

Och, jakże by chciał! Miał wrażenie, że widząc lecącego ku nim psa, postarzał się o dziesięć lat i przy okazji zdobył w nagrodę kilka pasm siwych włosów.

Położył dłonie na jej ramionach. Chciał nią potrząsnąć, ale widział, jak błysnęły jej oczy i jak zaczerpnęła tchu, żeby coś powiedzieć, więc pochylił się i zamknął jej usta pocałunkiem. Nie miał ochoty słuchać jej bezczelności.

Wciąż odpychała go od siebie, drugą ręką tłukąc go w żebra. Wyprowadzała równomierne, mocne, pełne złości ciosy, jeden za drugim. W tym samym czasie jej wargi miękły i oddała mu pocałunek ze słodką namiętnością, od której zakręciło mu się w głowie. Wszystkie wymówki, którymi się przed nią bronił, zaczęły się rozwiewać. Dziewice wymagają zbyt wiele zachodu… Ta konkretna jest arogancka i bezczelna, uważa, że może się równać z każdym mężczyzną… Jest feministką, najbardziej odrażającym rodzajem kobiety… Wszystko odpłynęło w dal.

On sam nie był święty. Nigdy nie umiał długo opierać się pokusom. Grenville zaś była stworzona z pokus i Vere nie był w stanie się od niej oderwać.

Splotła język z jego językiem, ocierając się całym ciałem w rytm kolejnych ciosów, tym razem w kark.

Pokazał jej za wiele albo rozumiała go zbyt dobrze. Drzwi do jego serca były grube i okute, nie sposób było przedrzeć się przez nie bez walki. Lydia zaś tłukła go metodycznie, jednocześnie mu się ofiarowując.

Nie wiedział, jak się przed tym obronić.

Chwycił za karzące pięści i przytrzymał je przy swojej talii. Powoli, ulegając pocałunkom, rozluźniła palce. Zaczęła błądzić dłońmi po jego plecach, karku, po masywnych ramionach, w dół po pośladkach, okrążając biodra i znów w górę.

Nie była już zawstydzona i jej śmiały dotyk parzył go przez ubranie. Nie chciał płonąć sam. Zaczął ją głaskać, powtarzając jej ruchy, sunąc palcami po wyprostowanych dumnie plecach do talii, którą tak łatwo obejmował dłońmi, i w dół ku pośladkom. Serce biło mu w nadanym przez Grenville rytmie.

W odległym zakamarku umysłu zapaliła się ostrzegawcza lampka, ale jej światło nie było w stanie przebić się przez gęsty opar pożądania.

Vere pragnął jej i tylko to się liczyło. Chciał czuć jej zapach, smak i jedwabistą gładkość nieskalanej skóry, chciał dotykać oszałamiających krągłości jej smukłego ciała. Pragnienie łomotało mu w głowie, drżało w każdym nerwie i w każdym mięśniu, tłukło się w nim jak namacalne uderzenia.

Przeciągnął dłońmi po jej ciele, jakby ten dotyk mógł naznaczyć każdy jej fragment. Musiała należeć do niego.

Gdy przerwała pocałunek, lampka zaświeciła się znowu, by od razu zgasnąć, kiedy Grenville przesunęła wargami po jego brodzie i szyi. Książę musnął ustami policzki i jedwabisty kark. Odetchnął zapachem lilii i dymu, i czegoś jeszcze, niemal nieuchwytnego.

– Pachniesz jak smok… – mruknął. – Moja smocza pani.

Delikatnie go odepchnęła i zaczęła rozpinać guziki kamizelki.

Och, nie była już wstydliwa. Bynajmniej.

Pogładziła koszulę i położyła dłoń na jego sercu, a ono nie potrafiło kłamać. Vere też nie chciał już kłamać. Nie chciał szukać wymówek.

Bezwiednie rozpinał guziki, rozwiązywał tasiemki i wyciągał koszulę ze spodni. Tkaniny były ciepłe, rozgrzane jej ciałem. Dotknął gorącego jedwabiu jej skóry, drocząc się z samym sobą i muskając jedynie opuszkami palców piersi z nabrzmiałymi brodawkami. Grenville wstrzymała oddech. Cichy jęk wyrwał się z jej warg.

Przysunęła się bliżej, napierając łonem na jego męskość, już uniesioną, gotową do dzieła.

Lampka zapaliła się znów, lecz ugasił ją, wtulając twarz pomiędzy piersi kobiety i wciągając jej zapach głęboko do płuc. Jej skóra była tak gładka, że przez chwilę nie był w stanie się poruszyć.

Czuł, że Lydia wyciąga mu koszulę ze spodni i wsuwa pod nią dłonie. Książę szukał zapięcia jej spodni, guzików, paska. Znalazł sprzączkę i chciał ją odpiąć, gdy nagły ból przeszył mu łokieć.

Na chwilę oprzytomniał. Zamrugał z zaskoczeniem, jak ogłuszony. Skupił się i spostrzegł, że uderzył łokciem w klamkę, która była wprawiona w… drzwi.

Drzwi.

Chciał ją wziąć przy frontowych drzwiach!

– Chryste! – Podniósł głowę i odetchnął głęboko. Potem jeszcze raz. I jeszcze. Poczuł, jak jej dłonie ześlizgują się z jego ciała. Słyszał jej ciężki oddech.

– Grenville – zaczął, prawie dławiąc się własnym językiem.

Zaczęła niezdarnie okrywać się koszulą, zapinać guziki drżącymi palcami.

– Nic nie mów – odparła głucho. – Ja to zaczęłam. Ja wezmę na siebie odpowiedzialność, mnie możesz obwiniać, cokolwiek tylko chcesz.

– Grenville, nie…

– Przesadziłam tym razem – przerwała mu. – To oczywiste. Powinnam być ci wdzięczna, jak mniemam. Jeszcze tego nie rozumiem, ale potem to do mnie dotrze. Za to pojmuję doskonale, co mówiłeś wczoraj o złym nastroju. – Zamknęła na chwilę oczy. – Nie wspomniałeś jednak, że w takiej chwili ogromnie cierpi człowiecza próżność. Ale cóż… zasłużyłam na to, czyż nie?

– Do licha, Grenville! Nie mów, że zraniłem twoje uczucia! – krzyknął. Odchrząknął i spróbował ciszej: – Na litość boską, nie możemy tego zrobić przy frontowych drzwiach!

Grenville odepchnęła się od drzwi, podniosła tobołek i ruszyła korytarzem.

– Tak naprawdę wcale mnie nie chcesz – mówił, idąc za nią. – To tylko chwilowe uniesienie. Podekscytowanie akcją. Niebezpieczeństwo działa podniecająco. Nie powinnaś się w ogóle do mnie zbliżać, Grenville. Mam zły wpływ na ludzi, każdy ci to powie.

– Sama nie jestem dobrym przykładem – odrzekła. – Gdybym była, nigdy by mi się nie spodobał taki degenerat jak ty.

Podkreśliła wypowiedź, waląc go łokciem w żebra.

– Idź sobie – wycedziła. – I nie wracaj.

Zatrzymał się i pozwolił jej odejść. Patrzył, jak szła sztywno wyprostowana, kręcąc bezczelnie tyłkiem. Weszła do gabinetu i zatrzasnęła za sobą drzwi.

Stał bez ruchu, niepewny i rozbity, z zamętem w głowie, jak zawsze w jej towarzystwie. Tym razem nie mógł pozbyć się „kogoś innego”, a pustka po odrzuceniu wszystkich kłamstw i wymówek zdawała się nie do wytrzymania. Nagle doszedł do wniosku, że to właśnie tego nie może znieść. Wizji, że ktoś inny będzie jej dotykał. Że ktoś ją weźmie.

Myśl ta nie przynosiła mu chwały i czuł się nią upokorzony. Grenville zabiłaby go, gdyby wiedziała.

Nie mógł jednak nic na to poradzić. Niepotrzebnie weszła mu w drogę i podsycała jego zainteresowanie, aż do chwili, gdy los się rozstrzygnął. Sam nie był w stanie o tym myśleć, bo w porównaniu do wszystkich złych rzeczy, jakie uczynił w życiu, to wydawało się najgorsze.

Wciąż jednak był ostatnim wcielonym diabłem z rodu Mallorych, czyż nie? Zepsutym, złowrogim i tak dalej.

Czymże było kolejne łajdactwo w jego podłym życiu?

Podszedł do drzwi gabinetu i otworzył je. Lydia wyjmowała na biurko zawartość tobołka.

– Powiedziałam ci, żebyś sobie poszedł – odezwała się dźwięcznie. – Jeśli masz w sobie ostatnią iskrę przyzwoitości…

– Nie mam. – Zamknął za sobą drzwi. – Wyjdź za mnie, Grenville.

Rozdział 10

Ainswood wyglądał jak wrak. Kamizelka i surdut, brudne i wygniecione, zwisały żałośnie. Zgubił gdzieś fular – prawdopodobnie przy udziale Lydii – i poły koszuli rozchyliły się, ukazując potężne ramiona i zarys klatki piersiowej. Dopasowane spodnie miał poplamione, buty zdeptane.

– Wyjdź za mnie – powtórzył, przyciągając jej uwagę na powrót do swej twarzy. Oczy miał mroczne. Tak ponurej, zaciętej miny nigdy wcześniej u niego nie widziała. Nie miała wątpliwości, że jego umysł jest zamknięty i odgrodzony barykadą. Równie dobrze mogłaby próbować mówić do ściany.

Nie była pewna, co skłoniło go do myśli o małżeństwie, lecz podejrzewała, że to spóźnione wyrzuty sumienia, nagły atak odpowiedzialności lub zwykła samcza potrzeba panowania nad kobietą. Najpewniej była to toksyczna mieszanka wszystkich trzech doprawiona poczuciem szlachetności i innymi składnikami nie do przyjęcia.

Czymkolwiek był odurzony, cokolwiek chciał w ten sposób osiągnąć, jednego mogła być pewna: małżeństwo oznacza całkowite panowanie mężczyzny nad kobietą, przy pełnym wsparciu wszystkich autorytetów społecznych, to jest prawa, Kościoła i Korony. Z niewiadomych przyczyn kobiety same i za wszelką cenę dążyły do tego stanu, z wyjątkiem niewielu oświeconych dam, świadomych przykrych konsekwencji romantycznych uniesień kończących się przy ołtarzu. Lydia we wczesnej młodości przejrzała na oczy i od tamtej pory nie zmieniła zdania.

– Dziękuję – rzekła chłodno i uprzejmie – ale małżeństwo nie jest dla mnie.

Książę podszedł do biurka.

– Rozumiem. Masz jakieś mocno ugruntowane przekonanie na jego temat.

– W istocie, mam.

– Przypuszczam, że nie dostrzegasz powodów, dla których kobieta musi zachowywać się inaczej niż mężczyzna. Nie rozumiesz, dlaczego nie

możesz po prostu iść ze mną do łóżka i więcej mnie nie zobaczyć. Wszak to właśnie robią mężczyźni, prawda?

– Kobiety także – zauważyła.

– Dziwki. – Oparł dłonie o blat. – Teraz powiesz mi, że nazywanie ich dziwkami jest niesprawiedliwe. Dlaczego kobiety mają być osądzane i karane za to, co mężczyźni całego świata robią bez żadnych konsekwencji.

Rzeczywiście, o tym właśnie myślała i to zamierzała powiedzieć. Spojrzała na niego wrogo. Twarz miał nieprzeniknioną. Nie umiała go rozszyfrować.

Poczuła się nieswojo. Wcześniej mogłaby się założyć o każdą kwotę, że książę nie ma najmniejszego pojęcia, o czym ona myśli czy w co wierzy. Założyła, że ktoś taki jak Ainswood nigdy nie zdoła zrozumieć, co się dzieje w jej umyśle. Wszak miał traktować wszystkie kobiety jak przedmioty zaspokajania swych chuci – to był jedyny cel ich istnienia.

– Chciałabym wiedzieć, dlaczego to właśnie ja mam za ciebie wyjść – zaczęła ostrożnie – żeby dostać to, za co innym płacisz. Za co płaciłeś setkom kobiet.

– W twoich ustach brzmi to tak, jakbym odmówił ci tej usługi i zapłaty za karę. Okrutną i niehumanitarną. – Odepchnął się od biurka i podszedł do kominka. – Uważasz mnie za przykry ciężar, ograniczający twe potrzeby i dążenia. Nawet gorzej, nie chodzi o mnie osobiście, lecz o wszystkich mężczyzn.

Nabrał łopatką węgli z wiaderka i podsycił ogień.

– Jesteś tak zaślepiona wadami mężczyzn w ogólności, że nie dostrzegasz korzyści poślubienia mnie osobiście.

Jakby przez całe życie nie oglądała tak zwanych zalet małżeńskiego węzła. Jakby na co dzień nie spotykała kobiet uwięzionych w małżeńskich kajdanach, doświadczających biedy, zdrady, bezradności, krzywdy i, zdecydowanie zbyt często, przemocy.

– Jakie korzyści masz na myśli? – zapytała. – Twoje bogactwo? Stać mnie na codzienne utrzymanie i odkładam nawet na czarną godzinę. A może chodzi ci o przywileje związane z tytułem i rangą? Jak kupowanie najmodniejszych fatałaszków, by udać się w nich potem na wielki bal, gdzie największą atrakcją jest zabawa w Obgadaj Sąsiada? Czy masz może na myśli przynależność do królewskiego dworu, gdzie mogłabym do woli kłaniać się i pochlebiać królowi?

Nie podniósł na nią oczu. Starannie układał węgle pogrzebaczem w zgrabny stos. Robił to ze zręcznością wynikającą z wieloletniego doświadczenia, choć praca ta była poniżej godności lokaja, cóż dopiero księcia pana.

Wzrok Lydii powędrował od jego potężnych ramion, poprzez wciętą talię do szczupłych bioder. Poczuła falę gorąca i tęsknoty. Zdławiła je.

– A może uważasz za zaletę życie według ścisłego zestawu reguł – ciągnęła – dyktujących mi, co mogę, a czego nie mogę myśleć, mówić, a zwłaszcza robić?

Wstał wreszcie, odwracając ku niej spokojną twarz.

– Mogłabyś wziąć pod uwagę pannę Price, za której błyskotkami uganialiśmy się przez pół nocy. Jako księżna Ainswood byłabyś w stanie obdarować ją sowitym wianem, dzięki któremu mogłaby wyjść za mąż według swego upodobania.

Lydia miała zamiar powiedzieć, że panna Price nie potrzebuje wychodzić za mąż, ale jej sumienie krzyknęło nagle, że przecież nic na ten temat nie wie. Stała więc i patrzyła bez słowa na Ainswooda, a jej myśli wirowały w szaleńczym tańcu.

A jeśli Tamsin podoba się Trent? Wszyscy wiedzieli, że jego finanse są bardzo ograniczone. Gdyby się pobrali, nie mieliby z czego żyć. Ach, nie, wzdrygnęła się Lydia. Tamsin nie patrzy na Bertrama w ten sposób. To dziwak, a dziewczyna interesuje się nim jak wszystkimi i wszystkim dookoła.

Ale co z jej przyszłością? Co, jeśli Lydia zginie w wypadku albo śmiertelnie zachoruje?

– Nie przestajesz pisać o nieszczęśnikach Londynu – ciągnął Ainswood. – O niesprawiedliwościach społecznych. Śmiem twierdzić, że nie postało ci w głowie, że jako księżna Ainswood miałabyś ogromny wpływ na politykę. Mogłabyś na przykład przekonać wielu członków Parlamentu do uchwalenia edyktu o powstaniu Policji Miejskiej.

Podszedł do regału, oglądając jej kolekcję „Roczników”.

– Jest jeszcze kwestia dzieci. To twój główny konik, prawda? Tuż obok kwestii higieny i ogólnych warunków mieszkania w slumsach. I pobytów w więzieniach. Wylęgarniach chorób i zbrodni, jak je nazywasz.

Lydia przypomniała sobie Sarę w wytartym, połatanym fartuszku, bawiącą się w smrodliwej alejce z równie obszarpanymi dzieciakami.

Pamiętała też więzienie. Smród, brud, choroby zbierające krwawe żniwo. Jedna z nich odebrała jej siostrę.

Poczuła ucisk w gardle.

– Edukacja – mówił dalej głębokim głosem, jakby rozwijał przed nią lśniące, bogate tkaniny. – Medycyna. – Odwrócił się ku niej. – Wiedziałaś, że kuzynka Trenta, młoda żona hrabiego Rawnsleya, buduje nowoczesny szpital w Dartmoor?

Szkoła… za którą Lydia tęskniła przez całe dzieciństwo. Książki, których pragnęła. Co by się stało z jej edukacją, gdyby nie Quith? Dzięki niemu nauczyła się podstaw i zrozumiała, że tylko dzięki wiedzy będzie w stanie żyć niezależnie. Była silna i zdeterminowana. Ale co z tymi, którzy nie są? Co z biedakami, z chorymi, którzy potrzebują leków, doktorów, szpitali?

– Mogłabyś naprawdę coś zdziałać – podsumował Ainswood – zamiast tylko pisać o tym, co jest nie tak.

Zdawało jej się, że książę nic o niej nie wie, tymczasem odnalazł jej liczne słabe punkty i uderzył we wszystkie jednocześnie. Lydia nie miała pojęcia, jak tego dokonał. Wiedziała tylko, że czuje się w tej chwili jak największa egoistka, odrzucając hojną ofertę księcia Ainswooda i gardząc jego bogactwem, dzięki któremu mogłaby uratować tak wiele istnień.

W jego potwornej logice na pewno jest jakaś skaza, myślała gorączkowo. Bez wątpienia istnieje bystra i właściwa odpowiedź, można go jakoś osadzić. Przecież nie mógł mieć racji, a ona nie mogła się mylić. Wiedziała, że droga ucieczki jest na wyciągnięcie ręki. Już prawie sformułowała tę myśl…

Coś walnęło w drzwi, wytrącając ją z równowagi. Kolejne walnięcie niemal wysadziło drzwi z futryny. Lydia spojrzała na nie spod brwi, cicho klnąc.

– Kuchnia! – powiedziała stanowczo. – Wracaj do kuchni, Susan.

Pies zaczął skowytać.

– Zdaje się, że Susan potrzebuje do mamy – stwierdził Ainswood i ruszył ku drzwiom.

– Nie radzę – powiedziała Lydia.

– Nie boję się psów. – Otworzył drzwi. Susan przepchnęła się obok niego, jakby nie istniał, i potruchtała do Lydii.

Powąchała jej dłoń i polizała ją.

– Nie podlizuj się – prychnęła Lydia. – To nie twoja wina, że cię wkurzył.

– Wkurzyłem cię, Susan?

Lydia spojrzała na niego ze zniecierpliwieniem. Wpatrywał się w psa spod zmarszczonych brwi.

– Jesteś za duża, żeby cię trzymać w maleńkiej kuchni małego mieszkanka. Trudno się dziwić, że jesteś taka znerwicowana.

– Wcale nie jest znerwicowana! Wiadomo, że mastify…

– W Longlands miałabyś dla siebie całe hektary. Mogłabyś biegać i bawić się z moimi mastifami. Chciałabyś, Susan? – zapytał łagodnie. Kucnął. – Chciałabyś mieć przyjaciół i mnóstwo miejsca do biegania?

Gwizdnął melodyjnie. Susan zastrzygła uszami, ale się nie odwróciła.

– Susan – mruknął książę. – Suuuusaaaan.

Suka obeszła swą panią i zatrzymała się obok. Warknęła cicho. Lydia znała ten dźwięk. To nie było ostrzeżenie, lecz warknięcie przyjaźni i poddania.

Nawet się nie waż! – zakomenderowała w duchu. Nie waż mu się poddawać.

– Chodź, Susan. – Poklepał się po kolanie. – Nie masz ochoty odgryźć mi twarzy? Mama by się ucieszyła. Suuuusaaaan…

Susan warknęła głucho, udając niedostępną. Droczyła się z księciem, podła bestia! Po chwili ruszyła ku niemu, krążąc po gabinecie, udając zainteresowanie nogą biurka, obwąchując róg dywanika. Nie śpieszyła się, ale szła do niego.

Lydia patrzyła na to z odrazą.

– A myślałam, że masz jakiś gust, Susan – burknęła.

Mastif spojrzał na nią z wyższością i zaczął obwąchiwać Jego Wysokość. Ten ostatni wciąż kucał, ze śmiertelną powagą odbierając psie pieszczoty. Susan obwąchała mu twarz, uszy, szyję, zmięte ubranie i – rzecz jasna – krocze.

Rumieńce wypłynęły na twarz Lydii. Suka miała prawo być zdezorientowana, gdyż zapach jej pani unosił się wokół obcego, a jego zapach wokół niej. Ainswood oczywiście zdawał sobie z tego sprawę. Kobieta dostrzegła w jego oczach iskry rozbawienia.

Już była zirytowana. Zielone iskierki tylko podsyciły jej wściekłość.

– Ciekawa jestem, skąd twoje nagłe zainteresowanie nieszczęśliwymi dziećmi i moim udręczonym psem – wycedziła. – Kiedy stałeś się świętym Ainswoodem?

Mężczyzna podrapał Susan za uszami. Kłapnęła zębami i udawała, że jej to nie obchodzi, ale przysunęła się jeszcze bliżej do księcia.

– Wskazałem jedynie na kilka zagadnień, które nie są ci obojętne – odparł z miną niewiniątka.

Lydia wyszła zza biurka i podeszła do kominka.

– Grasz na moich uczuciach, jakby to była harfa. Ty…

– A czego się spodziewałaś? – przerwał. – Mam grać uczciwie? Z kobietą, która co chwilę zmienia zasady i wije się jak piskorz?

– Spodziewałam się, że zrozumiesz, co oznacza słowo: „nie”.

Podniósł się.

– Chciałbym wiedzieć, czego się tak boisz.

– Czego się boję? – podniosła głos. – Boję?! Miałabym bać się ciebie?

– Nie umiem sobie tego inaczej wytłumaczyć. Odrzucasz możliwość życia na własnych warunkach, bo obawiasz się, że nie dasz rady mężczyźnie, który ci to zapewni.

– Nie umiesz sobie tego wytłumaczyć, bo twoje horyzonty są zbyt wąskie. – Chwyciła pogrzebacz i ze złością dziabnęła węgle. – Odkąd przyznałam się, że jestem dziewicą, zachowujesz się jak kawaler złotego orderu. Najpierw szlachetnie dałeś mi kosza – odłożyła pogrzebacz – teraz postanowiłeś ocalić mnie od ruiny panieńskiego życia, co byłoby nawet zabawne, gdybyś nie był taki uparty i zacofany.

– Uważasz mnie za zabawnego? Jak ci się zdaje, co czuję, gdy słyszę, jak królowa londyńskich aktorek i mistrzyni oszustwa nazywa mnie zacofanym?

– Nigdy nie używałam żadnych sztuczek, by cię zachęcić do śledzenia mnie po całym mieście. Szpiegujesz mnie, depczesz mi po piętach, nigdzie nie mogę się ruszyć. A gdy uznałam, że dam ci, czego chcesz, stwierdziłeś, że to za mało. Mam złożyć ci w ofierze moją wolność, karierę, przyjaciół i złożyć przysięgę wierności i czci, dopóki śmierć nas nie rozłączy!

– W zamian za bogactwo, tytuł i władzę życia według własnej woli – zniecierpliwił się książę.

Susan spojrzała na niego, potem na Lydię. Podeszła do swej pani i trąciła łbem jej udo. Lydia ją zignorowała.

– Cena jest za wysoka! – wściekła się. – Nie potrzebuję…

– Potrzebowałaś mnie dziś wieczorem, czyż nie? – wtrącił. – Przyznasz to sama czy już zapomniałaś?

– To nie oznacza, że chcę być bez przerwy do ciebie uwiązana!

Susan ułożyła się obok paleniska, wzdychając ciężko. Ainswood, skrzyżowawszy ramiona, oparł się o drzwi.

– Gdybym nie był przy tobie, mogłabyś nie dożyć dzisiejszej akcji u Coralie – powiedział spokojnie. – Mogłabyś nie przeżyć swoich wędrówek po Covent Garden albo wizyty u Jerrimera. Gdybym nie pojawił się w Vinegar Yard, jeden z opryszków mógł ci poderżnąć gardło na samym początku tej historii. Nie wspominając już o tym, że zabiłabyś Bertiego Trenta, gdybym go nie wyciągnął spod kół twojego powozu.

– Nie byłam nawet blisko, ty ślepy…

– Powozisz w taki sam bezmyślny, bezczelny sposób, w jaki robisz wszystko inne.

– Powożę od lat i nigdy jeszcze nie skrzywdziłam człowieka ani zwierzęcia – odrzekła lodowatym tonem. – Ty nie możesz powiedzieć tego samego o sobie. Ów przeklęty wyścig w dniu urodzin króla skończył się fatalnie dla dwóch pięknych koni.

To zabolało.

– Nie moich koni!

Znalazłszy słaby punkt Jego Doskonałości, Lydia bezwzględnie drążyła temat.

– To twoja wina. Sellowby twierdzi, że dziki wyścig po Porthsmouth Road był twoim pomysłem. Powiedział Helenie, że założyłeś się z przyjaciółmi…

– To był uczciwy wyścig! – Książę spurpurowiał. – To nie była moja wina, że ten idiota Crenshaw zatłukł swoje konie!

– Ach, więc okazał się idiotą i złym woźnicą, mimo że jest mężczyzną? A mi nie możesz przyznać, że dobrze powożę, bo jestem kobietą…

– Dobrze powozisz? – Ainswood się roześmiał. – Wyobrażasz sobie, że zostaniesz zawodowym stangretem?

– Wyobrażasz sobie, że z zasady jestem gorsza niż ty czy każdy z twych durnych znajomych?

– Chyba nie sądzisz, że miałabyś kiedykolwiek okazję, by to sprawdzić? Zresztą przyznaj otwarcie, to tylko zaczepki. Wiesz, że nie umiesz aż tak dobrze powozić, by się ścigać.

Lydia w trzech susach znalazła się tuż przy nim.

– Czyżby? – zapytała prowokacyjnie. – O co się założysz?

Zielone oczy rozbłysły.

– O co tylko chcesz.

– O co chcę?

– Mów o co, Grenville!

Lydia liczyła błyskawicznie, pamiętając o jego zarzutach sprzed chwili. Doskonała okazja!

– Pięć tysięcy funtów dla panny Price – zaczęła. – Po tysiąc na każde z trzech towarzystw charytatywnych, które wskażę, oraz twoja deklaracja, że zaczniesz brać udział w sesjach Parlamentu i starać się o uchwalenie Policji Miejskiej.

Stał nieruchomo, zaciskając i rozprostowując palce.

– Za wysoka stawka? – zapytała. – Może nie jesteś aż tak pewny moich niekompetencji?

– Ciekaw jestem, co ty sądzisz o moich kompetencjach, Grenville. Co w zamian? – Zrobił pół kroku, przytłaczając ją potężną sylwetką i patrząc na nią z góry, jakby była insektem. – Co powiesz na swą bezcenną wolność? Jesteś aż tak pewna siebie, by postawić ją na szali?

Zanim skończył mówić, Lydia dostrzegła, co zrobiła. Sama zagnała się do narożnika, dając upust swej złości.

Zawahała się jedynie na moment, uświadamiając sobie własny błąd, lecz Ainswoodowi ta chwila w zupełności wystarczyła. Wstrętnie pewny siebie uśmiech rozchylił mu wargi, a w oczach zalśnił triumf.

Nie zdołała się opanować. Głos rozsądku nie miał szans w porównaniu ze wściekłym rykiem dumy rodu Ballisterów. Nie mogła się cofnąć. Nie mogła powiedzieć nic, co zdradziłoby jej wahanie, gdyż książę pan z pewnością odczytałby to jako słabość lub – Boże broń – strach.

– Niech będzie moja wolność – powiedziała hardo, zadzierając brodę. – Jeśli cię nie pokonam, wyjdę za ciebie, Ainswood.

Wystartują w środę punktualnie o ósmej rano z Newington Gate, niezależnie od pogody, samopoczucia, uchwał rządu czy boskich interwencji. Wycofanie się z wyścigu oznacza przegraną z przyjęciem stosownych konsekwencji. Każde z nich weźmie jednego pasażera, którego zadaniem będzie ostrzeganie przechodniów i opłacanie bram. Powożą jednokonnym zaprzęgiem z użyciem własnych pojazdów i wynajętych koni. Meta jest przy gospodzie Anchor Inn w Liphook.

Ustalili warunki w mniej niż pół godziny. Vere znacznie szybciej zorientował się, że to fatalny błąd, lecz było już za późno na wycofanie się.

Czerwcowy wyścig tkwił w jego sercu jak cierń i chyba sam diabeł podpowiedział jej te ostre słowa. On zaś, czołowy prowokator, sam dał się sprowokować. Stracił cierpliwość i panowanie nad sobą, niestety wraz z resztką zdrowego rozsądku. Teraz miał już pewność, że w konsekwencji stracił panowanie nad wszystkim.

Mógł sobie tłumaczyć, że miał już porządnie w czubie, gdy w czerwcu zaproponował także pijanym towarzyszom wskrzeszenie chwalebnej rzymskiej tradycji wyścigów rydwanami i wyznaczenie na ten cel zatłoczonej angielskiej drogi. Zanim wytrzeźwiał, był już poranek i siedział w swoim faetonie na linii startowej obok tuzina innych pojazdów z równie nietrzeźwymi dżentelmenami.

Wyścig okazał się koszmarem. Pijani woźnice i zataczająca się publika dokonali wspólnymi siłami ogromu zniszczeń na łączną sumę kilkunastu tysięcy funtów. Czterech uczestników doznało obrażeń. Dwa powozy poszły w drzazgi. I trzeba było dobić dwa konie.

Vere nie zmuszał swych przyjaciół do wyścigu, ale zapłacił całą kwotę. Gazety, politycy, księża: wszyscy uznali go za winnego nie tylko zniszczeń i krzywd, ale ogólnej demoralizacji. Został twarzą i znakiem upadku cywilizacji.

Doskonale wiedział, że jest wielki, głośny i niepokorny, więc wszelkiej maści prorocy i kaznodzieje mają ułatwione zadanie, stawiając go za przykład zgorszenia i wcielonego wyrzutka Babilonu. Niestety, wiedział też, że nie byłoby żadnego wyścigu, żadnych szkód i krzywd, gdyby trzymał gębę na kłódkę.

Tym razem jednak nie mógł się tłumaczyć nawet upojeniem. Kłapał dziobem, rzucając na szalę swoją reputację, zupełnie na trzeźwo. Podobnie jak zręcznie układał węgle w kominku, poprowadził rozmowę tak, by płomień wybuchnął w jednej chwili i zagarnął oboje, odwracając uwagę od rozsądku. I wszystko po to, by skłonić Grenville do małżeństwa.

Teraz zaś nie był w stanie się skupić, bo jego wyobraźnię wypełniły obrazy roztrzaskanych powozów, skotłowanych i zakrwawionych ciał, rżących koni. Jednak tym razem był to jej powóz, jej koń, jej skrwawione ciało.

Piekielne wizje przelatywały mu przed oczami, gdy wyszedł z gabinetu i ruszył korytarzem w stronę drzwi. W uszach szumiał mu łoskot rozpadających się pojazdów. Szarpnął za klamkę i prawie strącił ze schodów Bertiego Trenta. W tej samej chwili usłyszał za sobą ciężkie uderzenia psich łap. Prędko odsunął się z drogi zziajanej Susan biegnącej na spotkanie swego ukochanego.

– Temu nikt nie jest w stanie się oprzeć – burknął Vere.

Susan oparła łapska na ramionach Trenta, usiłując zalizać go na śmierć.

– Niech cię, Susan, złaź z niego! – rozkazał poirytowany książę.– Siad!

Ku jego zdumieniu, posłuchała, zeskakując z Bertiego tak gwałtownie, że przewróciłby się, gdyby stojąca za nim panna Price nie złapała go za rękę.

– Och, ogromnie jestem wdzięczny – rozpromienił się Trent. – Ma pani zaskakująco silny uścisk jak na tak małą kobietę. To znaczy nie miałem na myśli, że dosłownie małą… – dodał prędko, a uśmiech znikł z jego twarzy. – To znaczy… – Podniósł oczy na Vere’a i przez chwilę wpatrywał się w niego bez zrozumienia. – Och, jejku. Nie wiedziałem, że cię tu zastanę, Ainswood. Czy coś mnie ominęło?

Vere złapał Susan za obrożę, odciągnął ją od drzwi i przepuścił parę do środka.

– Nie, nic. Właśnie wychodzę.

Puścił psa, ukłonił się zarumienionej z ciekawości pannie Price i prędko się oddalił.

Wsiadając do powozu, usłyszał, jak Trent woła za nim. Vere nie chciał na niego czekać. Chciał jak najprędzej dostać się do pierwszej lepszej tawerny i pić w niej do środy rana. Ale odkąd na jego drodze pojawiła się Gorgona Grenville, nic nie działo się tak, jak postanowił, i chyba się już do tego przyzwyczaił, bo westchnął tylko i zaczekał, aż Bertie pożegna się z panną Price.

* * *

Lydii zdawało się, że gdy tylko Ainswood wyszedł z gabinetu, wpadła do niego Tamsin w towarzystwie Susan.

Na widok spodni Lydii dziewczyna uniosła wysoko brwi. Potem jej wzrok padł na kłębowisko biżuterii.

– Na Boga, co to jest?! – Pochyliła się, poprawiła okulary i przyjrzała się plątaninie. – Skarb piratów? Jak można tak traktować biżuterię? Och! O rany! – Zamrugała, patrząc na Lydię. Wargi jej drżały. – Nie wiem, co powiedzieć. – Przygryzła usta, tłumiąc cichy szloch, i nagle rzuciła się opiekunce na szyję.

Lydia chwyciła ją mocno.

– Proszę, nie rób scen – powiedziała cicho. – Zawsze chciałam być złodziejką, ale nie miałam okazji. Dzięki tobie zdołałam spełnić marzenie, w dodatku nie łamiąc prawa. – Poklepała Tamsin po plecach. – Nie ma nic złego w odzyskaniu skradzionych dóbr.

Tamsin wyplątała się z objęć i spojrzała na nią oczami pełnymi łez.

– Chciałaś być złodziejką?

– Wyobrażałam sobie, że to ekscytujące zajęcie. I rzeczywiście, takie jest. Chodź, opowiem ci wszystko. – Pociągnęła dziewczynę za rękę. – Ty pewnie napijesz się herbaty, a ja umieram z głodu. Włamania i ucieczki w towarzystwie upartego szlachcica zaostrzają apetyt.

Tamsin słuchała opowieści z zachwytem i zgrozą. Kiwała głową, śmiała się i wydawała okrzyki we właściwych momentach, lecz Lydia czuła, że jej przyjaciółka nie jest w pełni obecna duchem.

– Mam nadzieję, że cię nie zawstydziłam – powiedziała z przestrachem, gdy wracały z kuchni.

– Nie, to wina sir Bertrama. Zagadał mnie na śmierć. Napchał mi głowę historiami o Karolu II. Biedny król przewijał się przez całą rozmowę w drodze do teatru, w przerwach i w drodze powrotnej. Jestem pewna, że przytoczyłam wszystkie istotne fakty z życia Jego Miłości, ale to w niczym nie pomogło. Nie odkryliśmy powiązania pomiędzy tobą a królem i teraz mój skołatany mózg nie jest w stanie myśleć o niczym innym. Wybacz mi, Lydio.

Podziękowała znów za odzyskanie klejnotów, uściskały się, ucałowały i Tamsin ruszyła do swej sypialni, mamrocząc pod nosem.

* * *

Coralie Brees nie była zadowolona, gdy przed świtem Josiah i Bill wnieśli do jej domu sponiewieranego Francisa Beaumonta, którego znaleźli przy wygódce.

Swego czasu pracowała dla Beaumonta w Paryżu, prowadząc dom publiczny Vingt-Huit. Wiosną musieli prędko uciekać z Francji. Przeprowadzka do Anglii była jednak pierwszym krokiem na drodze do upadku. Beaumont w Paryżu był mózgiem wszystkich nielegalnych operacji kryjących się za fasadą Vingt-Huit. Niestety, odkąd przenieśli się do Londynu, ów niegdyś bystry umysł gnił od zbyt dużych dawek opium i alkoholu. A także od nieprzyjemnych chorób.

Coralie miała w nosie, dlaczego Beaumont się stacza. Patrzyła jedynie na skutki tego upadku, które dla niej oznaczały niezbyt okazały domek w Londynie zamiast pięknego pałacu rozkoszy w Paryżu. Miała też mnóstwo roboty przy tropieniu i chwytaniu młodych ciał po ulicach. Skoro nie mogła wabić klienteli elegancją wnętrz, musiała postawić na młody towar.

Madame Brees nie była wystarczająco bystra, by z rozmachem zbudować biznes od podstaw. Niepiśmienna, podle urodzona, nigdy nie skalała się ciężką pracą, nie potrafiła uczyć się na błędach, nie ujawniła też nigdy tak skomplikowanych cech jak współczucie czy w ogóle dostrzeganie innych.

Z radością kazałaby zabić Francisa Beaumonta, który z dnia na dzień budził w niej coraz większe obrzydzenie, bała się jednak, że nie poradzi sobie bez niego. Niejednokrotnie zlecała już mordowanie mężczyzn, ale to były zwykłe pijawki, klienci bez grosza przy duszy lub natrętni wierzyciele. Nikt po nich nie płakał. Dla władz byli jedynie anonimowymi ciałami wyciąganymi z Tamizy, które należało opatrzyć notatką z pieczątką i przekazać grabarzom.

Beaumont miał sławną żonę artystkę, obracającą się w kręgach arystokracji. Gdyby znaleźli go martwego, na pewno wszczęto by śledztwo, a trop wiódłby do Coralie. Stręczycielka nie ufała żadnemu ze swych osiłków na tyle, by uznać, że nie sprzedadzą jej za parę groszy. Tylko dlatego nie stanęła za bezwładnym ciałem Beaumonta zwisającym z fotela w jej gabinecie i nie zacisnęła na jego szyi garoty.

Ta decyzja okazała się błędem. Niestety, ktoś, kto zostawił go przy życiu w zaułku, też nie popisał się sprytem.

Zanim Beaumont doszedł do siebie przy wydatnej pomocy butelki z ginem, Coralie zdążyła wpaść w histerię. Potknąwszy się o nieprzytomnego Micka na podłodze w kuchni, przetrząsnęła dom

i odkryła, że jej sypialnia jest wywrócona do góry nogami, a Annette zniknęła wraz ze szkatułką i biżuterią.

Natychmiast wysłała za nią swych pomocników, nakazując im sprowadzenie dziewczyny całej i zdrowej. Chciała mieć pewność, że zdrajczyni będzie umierała bardzo, bardzo długo.

Gdy chłopcy Coralie zniknęli, Beaumont zauważył, że to strata czasu. Annette uciekła kilka godzin wcześniej i miała do pomocy własnego osiłka, który z łatwością może pokonać Josiaha i Billa.

– I mówisz o tym dopiero, gdy poszli? – krzyknęła Coralie. – Nie mogłeś dać znać, kiedy jeszcze tu byli? Och, pewnie, że nie! Wtedy tuliłeś się do butelki.

– To już drugi raz w ciągu pół roku musiałem znieść taki łomot – wykrzywił się Beaumont. – Pamiętasz, co mi zrobił Dain w Paryżu? Gdybym nie wiedział, że jest w Devon, mógłbym przysiąc, że to on. Wielkolud i siłacz – wyjaśnił.

Jego skołowane spojrzenie padło na jadeitową szpilkę wetkniętą w gorset Coralie. Dłoń kobiety instynktownie zakryła błyskotkę.

– Francuzeczka ukradła moją szpilkę razem z resztą swojego sroczego gniazda – skłamał. – Mogę wziąć tę, którą nosisz, jako odszkodowanie. Niewielka to pociecha, biorąc pod uwagę, że prawie zginąłem, usiłując powstrzymać tę ladacznicę. Czort jeden wie, dlaczego jej nie pomogłem, doprawdy. Tyle razy mnie oszukałaś! Ukradłaś moją szpilkę. Przegoniłaś małą kwiaciarkę. W jakim burdelu ją ukryłaś? Czy też mała kaleka obiła mordy twoim osiłkom i zwiała?

– Nawet się do niej nie zbliżałam! – krzyknęła Coralie. – Nikt ci nie powiedział, co się wczoraj działo? Całe Covent Garden aż huczało od plotek. Ainswood dał kalece mnóstwo pieniędzy, uganiając się za jakąś wielką Cyganką…

– Ainswood? – dopytał Beaumont. – Z wysoką kobietą?

– Przecież to właśnie powiedziałam! To od niego dostałam tę szpilkę. – Pogładziła palcem nowy skarb. – Bo ta zdzira przygniotła mnie do kolumny.

Zmiażdżone wargi Beaumonta wykrzywiły się w paskudnym uśmiechu.

– Od tygodni ugania się za tą samą babą. Odkąd powaliła go jednym ciosem w Vinegar Yard. Pamiętasz, jak wyrwała ci z rąk tę ciemnowłosą dziewuszkę?

– Pamiętam tego babsztyla – wycedziła Coralie. – Ale ona nosi się jak wdowa. Ta wczorajsza była ubrana cudacznie jak królowa Cyganek. Wiesz, jak ta, co przepowiada przyszłość.

Beaumont spojrzał na nią, potrząsnął głową i przycisnął wargi do butelki. Opróżnił ją i odstawił.

– Szczerze uważam, że w całym chrześcijańskim świecie nie ma głupszej od ciebie niewiasty.

– Jestem wystarczająco bystra, by nie dać się obić, w przeciwieństwie do ciebie!

– Nie dość bystra, by się domyślić, że to Ainswood pomógł Annette obrobić cię do gołego?

– Księciunio? Przecież on ma masę pieniędzy! Błąka się po mieście i wszędzie rozdaje portfele, jakby go parzyły!

– To, co w tobie lubię, Coralie, to twoja ożywcza pogarda dla praw logiki. Gdybyś spróbowała dodać dwa do dwóch, to mózg by ci pewnie eksplodował.

Coralie nie miała pojęcia, o czym mówi Beaumont. Równie dobrze mógłby próbować przemawiać do niej po łacinie. Wyjęła z kredensu drugą butelkę ginu i nalała sobie do brudnej szklaneczki.

Beaumont spoglądał na nią z pogardą.

– Chyba nie będę ci tego tłumaczył. Mówią, że nieświadomość jest błogosławieństwem.

Ktoś inny na jego miejscu w ogóle by się nie odzywał. Wargi miał spuchnięte i pokrwawione. Jednak gdy Francis Beaumont doświadczał bólu, niepokoju czy podobnych niemiłych emocji, humor poprawiało mu jedynie dokuczanie innym.

W związku z tym oświecił Coralie.

– Niech zgadnę – zamyślił się teatralnie. – W tej mieszaninie, którą trzymałaś w pudle, było coś, co należało do ciemnowłosej dziewuszki porwanej przez Lydię Grenville.

Coralie opadła na krzesło. Jej oczy napełniły się łzami.

– Och, jakie to było ładne! Rubiny i emedysty. – Łzy kapnęły na butelkę ginu. Nalała sobie znowu. – Teraz została mi tylko szpilka od księciunia, a ty chcesz mi ją zabrać.

– Ametysty, ty durna krowo – beznamiętnie oznajmił Beaumont. – Musiały być cenne, w innym wypadku nikt nie zawracałby sobie głowy

odzyskiwaniem ich. Nie rozumiesz? Olbrzymka najęła Ainswooda, żeby pomógł jej odebrać klejnoty, i zwerbowali sobie Annette. Ona nigdy nie podjęłaby się takiej akcji na własną rękę. Kiedy przyszedłem, Mick spał już, napojony laudanum. Wcale nie była zadowolona, że mnie widzi. Musiałem ją prawie wciągnąć na górę. Zrozumiałem jej ociąganie, kiedy zobaczyłem, co zrobiła z twoim pokojem. Dlatego spanikowała i uciekła, a ja rzuciłem się za nią i wpadłem na Ainswooda. Założę się, że podzielili się łupem i wywieźli Annette z Londynu. A książę i panna Grenville zaśmiewają się teraz do łez. I dlaczegóżby nie? Ukradli ci dwie dziewczyny, biżuterię i pieniądze.

Coralie zazdrośnie ściskała butelkę ginu, Beaumont zostawił więc swoją wspólniczkę, by w ciszy wyhodowała ziarno, jakie w niej zasiał. Nie musiał się temu przyglądać. Wiedział, co trzeba powiedzieć i jak nakierować słuchacza na właściwe wnioski. Mógł już iść, chwast wykiełkuje bez jego nadzoru.

* * *

W piątek Elizabeth i Emily z wypiekami na twarzy czytały w „Plotkarzu” o heroicznych wyczynach ich opiekuna na Exeter Street. Materiał zawierał wielce interesującą informację o tym, że panna Grenville pobiegła za nim w stronę Strand.

W sobotę, gdy cała rodzina siedziała przy śniadaniu, przyjechał goniec z listem. Zanim lord Mars wstał od stołu i skrył się w swoim pokoju, dziewczęta rozpoznały niezbyt eleganckie pismo i pieczęć lorda Ainswooda. Lady Mars przeprosiła i poszła za mężem.

Przez solidne drzwi gabinetu słychać było jej krzyki. Zabrzęczał dzwonek i po chwili przybiegła pokojówka z flakonikiem soli trzeźwiących.

W sobotę wieczorem przybyła najstarsza z trzech sióstr Dorothei wraz z mężem. W niedzielę dotarły pozostałe dwie.

Do tej chwili Elizabeth i Emily zdołały wkraść się do gabinetu wuja, przeczytać list i umknąć.

Dorośli naradzali się za zamkniętymi drzwiami, lecz dziewczętom udało się podsłuchać na tyle dużo, aby uchwycić istotę rodzinnego kryzysu. Wystarczyło, że po obiedzie uchyliły okno we własnej sypialni i ukryte

w zasłonach przysłuchiwały się rozmowom statecznych panów palących cygara na tarasie.

– Co za wstyd! – mówił najstarszy z wujów, lord Bagnigge. – Musimy myśleć przede wszystkim o Lizzy i Em. Musimy być jednomyślni. Ten skandal nie może nas podzielić. Nie będziemy brać w tym udziału, ja wam mówię. Niechże go porwie zaraza! Mogliśmy się tego po nim spodziewać! Taka znajda bez żadnej rodziny! Bez żadnych koneksji! A wyścig? Wygra ją w wyścigu jak… cygarniczkę! Biedna Lizzy. Zaraz miała debiutować, a teraz co? Wszyscy będą ją obgadywać. Jakaś dziennikarka ma zostać księżną Ainswood! I to w ramach zakładu, do diaska! Nawet ten stary cap, ojciec Charliego, przewraca się w grobie.

Elizabeth odciągnęła siostrę z dala od okna.

– Raczej nie zmienią zdania – szepnęła.

– To niesprawiedliwe – burknęła Emily. – Tata na pewno by pojechał.

– Kuzyn Vere zawsze był przy nim w potrzebie.

– Był przy Robinie, gdy nikt inny nie miał odwagi.

– Tata go kochał.

– Robin go ubóstwiał.

– A chce przecież tylko, byśmy przyjechali na wesele. – Elizabeth zacisnęła pięści. – Nie obchodzą mnie jej koneksje ani pochodzenie. Nie obchodziłoby mnie nawet, gdyby okazała się Wielką Ladacznicą Babilonu. Jeśli on chce ją za żonę, to mi wystarczy.

– Mnie także – potaknęła Emily.

– Chyba czas pokazać im, co o tym sądzimy.

Rozdział 11

1 października, środa

Słońce z ociąganiem wznosiło się nad horyzont. Przedzierało się przez mgły skłębione nad rzeką, przeszywało promieniami gęste opary i spijało cierpliwie szarą wilgoć poranka.

Z powodu mgły i Tamsin próbującej w ostatniej chwili przemówić jej do rozsądku, Lydia dotarła do Newington Gate tylko na kwadrans przed wyznaczonym czasem.

Mimo wczesnych godzin rannych przy trotuarze zebrał się już spory tłum. Wśród reporterów, uliczników i zwykłych przechodniów dostrzegła pół tuzina członków klubu Beau Mondeall – wyraźnie pijanych. Towarzyszyły im przedstawicielki arystokracji wśród ladacznic, z wyjątkiem Heleny, która była przeziębiona i wolałaby trafić na szafot niż pokazać się z czerwonym nosem.

Grenville wiedziała, że większość przyjaciół Ainswooda będzie czekała na nich w Liphook. Helena doniosła jej, że książę wysłał zaproszenia do całej śmietanki towarzyskiej, by świętowała z nim zwycięstwo.

– Sellowby twierdzi, że Jego Wysokość wystarał się o specjalne pozwolenie, obrączki i pastora, który będzie czekał na mecie, żeby od razu odprawić ceremonię – powiedziała jej w sobotę.

Od tamtej pory Lydii nie opuszczał duszący niepokój.

Teraz jednak zastanawiała się, czy nie była to jedynie plotka.

Zostało zaledwie piętnaście minut, a Ainswood się nie pojawił.

– Może wrócił do zdrowych zmysłów – mruknęła Lydia, ustawiając powóz na linii startu. – Może ktoś mu przypomniał o obowiązkach wynikających z tytułu i pozycji. Gdyby rodzina choć trochę o niego dbała, nie pozwoliłaby mu robić z siebie takiego widowiska. Pomyśleć tylko o tych biednych dziewczętach! Jakim wstydem okryją je te haniebne metody zdobycia żony. W ogóle nie wziął pod uwagę, że starsza debiutuje na wiosnę. Ten łajdak nigdy się nie zastanawia, jak jego zachowanie

wpłynie na innych, a zwłaszcza na kobiety. – Prychnęła z przyganą. – Wątpię, czy w ogóle pamięta ich imiona.

Elizabeth i Emily, lat siedemnaście i piętnaście. Mieszkają z ciotką, lady Mars, w Blakesleigh, Berefordshire.

Lydia wcale nie chciała teraz myśleć o dwóch kuzynkach Ainswooda, lecz otworzyła puszkę Pandory, czytając nieszczęsne „Roczniki".

Wiedziała teraz o jego rodzinie tyle samo co o własnej. Gdy skupiła się na *Tebańskiej Róży* i artykułach do „Argusa", Tamsin zajęła się dochodzeniem. Po wyczerpującym analizowaniu *Księgi Parów*, „Roczników" i innych klasycznych źródeł genealogicznych, przekopała się przez niezliczone wzmianki w prasie.

Familia Mallorych nie była jedynym tematem poszukiwań Tamsin. Przy okazji zapoznawała się z losami Trentów.

Zaczęła od sprawdzenia, czy w historii rodziny istnieje jakaś wskazówka, która tłumaczyłaby niezdrową fascynację Karolem II. W trakcie poszukiwań stało się jasne, że rodzina Bertiego to cała rzesza niezwykłych postaci. Dziewczyna uznała to za fascynujące i przy posiłkach zabawiała Lydię historiami rodu Trentów.

To odwracało uwagę dziennikarki od Mallorych, ale nie na długo. Jej myśli wciąż wracały do młodego księcia Roberta Edwarda z takim uporem, aż pojęła, że nosi w sercu żałobę po chłopcu, którego nigdy nie poznała. Następnie przypomniała sobie o osieroconych siostrach i złapała się na zamartwianiu ich niepewnym losem, jakby była za nie osobiście odpowiedzialna.

Troska o Elizabeth i Emily była absurdalna. Lydia usiłowała wyleczyć się z tego niedorzecznego nałogu. Choć lord i lady Mars mieli własne dzieci, na pewno dbali też o siostrzenice i właściwie się nimi opiekowali.

Lydia powtarzała to sobie raz za razem. Jej umysł dał się przekonać, serce – nie.

Wyjęła z kieszeni zegarek wujka Ste i zmarszczyła brwi.

– Start za dziesięć minut. Do licha, jeśli miał zamiar się wycofać, mógł dać znać! Bellweather uzna, że sama to wszystko wymyśliłam. Nazwie to żenującym zagraniem pod publiczkę. – Schowała zegarek. – Jakby to nie Ainswood paplał o wyścigu na prawo i lewo. Jakbym naprawdę chciała,

żeby cały świat wiedział, że pozwoliłam temu draniowi postawić się w tej idiotycznej sytuacji!

– Żałuję, że Jego Wysokość wciągnął mnie w to wszystko. – Tamsin podciągnęła rękawiczki. – Nie powinien był grać na twoich uczuciach do mnie. Nie ma żadnych skrupułów, kiedy czegoś chce, to pewne. Staram się go zrozumieć, ale moja cierpliwość też ma swoje granice. Poskarżyłam się nawet sir Bertramowi. – Parsknęła pod nosem. – Wiano, doprawdy! Wiem, dlaczego tak cię irytuje Jego Wysokość. Sir Bertram też nie rozumie, co do niego mówię, i mam szczerą ochotę dać mu w ucho. Karol II czy inny, ale mógłby wreszcie pojąć, że potrafię się sama utrzymać! Ale pokażemy im! Wygramy i oddamy te pięć tysięcy tym, którzy ich potrzebują. Bo ja nie potrzebuję.

Gdy tylko Tamsin otrząsnęła się po wieczorze z Trentem, musiała się zmierzyć z cudownym odzyskaniem klejnotów, z których utratą zdążyła się już pogodzić. Kiedy usłyszała o swojej roli w zakładzie, wściekła się i z tą samą zimną determinacją, jaka przygnała ją z Kornwalii do Londynu, uparła się, by towarzyszyć Lydii. Od feralnego wieczoru nie odezwała się do Bertiego Trenta.

– Nasi panowie najwyraźniej zaspali. – Lydia znów wyjęła zegarek. – Jeszcze parę minut…

Jej słowa zagłuszyła kakofonia krzyków i gwizdów. Chwilę później na linię mety podjechał kasztanowaty ogier, ciągnąc zgrabny powóz. Ainswood uchylił kapelusza – niesamowite, jednak ma jakiś kapelusz! – i wyszczerzył zęby.

Lydia żałowała, że nie ustawiła się bliżej skraju drogi. Wtedy Ainswood musiałby podjechać z prawej strony i nieco otyła sylwetka Trenta niemal by go zasłaniała.

Teraz dzieliła ich drobniutka Tamsin i ponad jej głową Lydia wyraźnie widziała dziki blask w oczach mężczyzny i arogancki zarys jego szczęki. Ubranie miał doskonale dopasowane, czyste i wyprasowane. Zdawało jej się, że czuje zapach krochmalu, a pod palcami – sztywne płótno koszuli. Nazbyt dobrze pamiętała ciepło bijące z potężnych mięśni księcia, napinających się pod jej dotykiem, bicie jego serca.

Czuła własne serce tłukące się pod żebrami. I nagle napłynęły do niej niechciane informacje: chłopiec, po którym wciąż płakał. Dwie osierocone dziewczynki. Dzieci, które z narażeniem życia ratował na Exeter Street.

Kwiaciarka. Zimna, brutalna wściekłość, gdy dwoma ciosami wykańczał złoczyńcę w ciemnym zaułku. Jego smukłe, sprężyste ciało. Silne ramiona, które mogły ją podnieść tak łatwo, jakby była dzieckiem. Cichy szept: *Jesteś taka piękna*.

Kiwnęła mu głową jak królowa, zatrzasnęła zegarek i schowała go do kieszeni.

– Nie mogłaś się doczekać mojego przyjazdu, Grenville? – zawołał książę, przekrzykując gwizdy i krzyki tłumu.

– Bałeś się przyjechać, Ainswood? – odcięła się.

– Cały drżę – odparł. – Z niecierpliwości.

– Moja niecierpliwość ogranicza się do linii mety. Pierwsza ją przejadę.

Ulicznicy stawiali ostatnie zakłady, lecz Lydia nie mogła się zorientować, kto jest ulubieńcem tłumu, bo szum w jej uszach zagłuszał wszystko. Kręciło jej się w głowie.

Było już jednak za późno na sceny. Nie mogła się teraz poddać. Zbyt długo pracowała na swoją opinię. Lydia Grenville nigdy się nie poddaje.

– Minuta! – ryknął ktoś z tłumu.

Zapadła cisza.

Szum w uszach Lydii także ustał.

Ktoś podniósł w górę chusteczkę. Skupiła na niej wzrok, mocno ściskając wodze. Zadzwonił dzwon na kościelnej wieży i skrawek białego lnu spadł na ziemię. Strzeliła batem i… ruszyli.

* * *

Stara droga do Portsmouth zaczynała się za mostem London Bridge, wiodła przez Southwark, obok więzienia Marshalsea, przecinała rogatki Newington i Vauxhall, ciągnęła się do Wandsworth, potem przez Putney Heath do Robin Hood Gate.

Lydia wybrała ją z kilku powodów. O ósmej większość karetek pocztowych do Portsmouth będzie już w drodze i nie będzie tak tłoczno. Karetki z Piccadilly nie zdążą jeszcze dojechać, co dodatkowo odciąży trasę ich wyścigu. Lydia miała nadzieję, że dzięki temu zdołają płynnie przejechać przez Robin Hood Gate, pierwszą bramę na ich drodze.

Umiarkowany ruch będzie odpowiadał Cleo, karej klaczy Lydii, przyzwyczajonej do szybkiej jazdy i manewrowania wśród powozów

w mieście. Nawet jeśli ktoś zajedzie im drogę albo pod koła nagle wyskoczy pieszy, klacz nie powinna się spłoszyć.

Niestety, prędko okazało się, że Cleo nie ma szans z potężnym ogierem Ainswooda. Powóz księcia był tej samej wielkości, a więc i zbliżonej wagi co jej kabriolet, a mężczyźni ważyli na pewno sporo więcej, mimo to Ainswood od razu ją wyprzedził, pierwszy minął rogatkę Vauxhall i stopniowo zwiększał dzielący ich dystans. Zanim Lydia zatrzymała się przy Robin Hood Inn, żeby zmienić konia, powóz Ainswooda zniknął im z oczu.

Tamsin rzucała jej zaniepokojone spojrzenia, gdy gnały przez Richmond Park.

– Owszem, to nie wygląda obiecująco. – Lydia odpowiedziała na pytanie, które nie padło. – Ale nie jest beznadziejnie. Potrzebuję jeszcze minuty, żeby dogadać się jakoś z koniem.

Świeża klacz nie współpracowała tak dobrze jak Cleo i boczyła się na każdy głębszy cień. Na szczęście zanim dotarły do placu Kingston Market, koń poddał się woli Lydii i kiedy opuściły miasto, panna Grenville poprosiła Tamsin, żeby mocno się trzymała.

Ostry strzał z bata, o włos mijający zad konia, w zupełności wystarczył. Wystrzeliły jak z procy i następne cztery mile niemal leciały nad drogą.

Po błyskawicznej zmianie koni w Esher Lydia gnała na oślep i wreszcie, przed Cobham Gate, dostrzegła powóz księcia. Trent wychylał się i patrzył w tył.

– Na Jupitera, to znowu ona! – krzyknął ponuro. – Do licha, Ainswood, wygląda na to, że nie zamierzają się poddać!

Vere spojrzał w niebo. Masy ciężkich szarych chmur przewalały się nad ich głowami, wiatr smagał sine pola i obrywał liście z drzew. Książę niemal zajeździł dwa konie, by uzyskać przewagę, która zniechęciłaby każdą normalną istotę ludzką. Mimo to Grenville się nie poddała, goniła go i była coraz bliżej.

Po raz tysięczny przeklął się w duchu za wyzwanie jej i sprowokowanie do tego durnego zakładu. W zasadzie nie do końca był pewny, kto kogo sprowokował, choć raz po raz usiłował odtworzyć w pamięci tę rozmowę. Jasny był dla niego jedynie fakt, że stracił cierpliwość, wściekł się i narobił głupstw. Żałował, że Gorgona nie rzuciła w niego przyciskiem do papieru. To poprawiłoby jej nastrój i być może przywróciło mu rozsądek.

Teraz było już za późno. Nie powinien gdybać w czasie wyścigu.

Ockham Park rozwiał się za ich plecami, a na horyzoncie, pod czerniejącym niebem, zamajaczyły pierwsze zabudowania Ripley. Wiatr się wzmagał. Vere chciał wierzyć, że to właśnie te podmuchy sprawiły, że było mu tak zimno. Ale nie mógł się oszukiwać.

Był zupełnie obojętny na pogodę. Piekielny skwar, przenikliwy ziąb, ulewa, śnieżyca czy gradobicie – nigdy nie zwracał na nie uwagi. Nigdy nie chorował. Nieważne, na jakie warunki się narażał, jak bardzo się sponiewierał, jakie zarazy panowały dookoła…

Odepchnął wspomnienie, zanim zdążyło się uformować. Skupił się na rywalce. I na drodze.

Mieli jeszcze do pokonania dwadzieścia pięć mil w fatalnym terenie, a pogoda była coraz gorsza. Widział co najmniej tuzin miejsc, w których powóz Lydii może się wywrócić, a on będzie za daleko, żeby ją uratować.

Jak zawsze… za daleko, gdy jest potrzebny.

Wjechał na dziedziniec Talbot Inn i kilka minut później wyjechał ze świeżym koniem. W głowie kołatało mu, jak refren żałobnej pieśni: Za daleko. Za późno.

Strzelił batem nad końskim zadem. Zwierzę rzuciło się do przodu i załomotało kopytami.

Nie tak dawno gnał tą samą drogą, mijając w pędzie pola i wsie.

Nie będzie jednak o tym myślał. Nie o tej wiośnie, przez którą znienawidził wszystkie wiosny i spędzał je zawsze pijany w sztok.

Przelecieli przez Clandon Park i wpadli w długą nitkę Meroe Common, prawie pustą o tej porze. Vere powoził jak w natchnieniu, modląc się, by jego rywalka się opamiętała. Nie mogła przecież liczyć na zwycięstwo. Za bardzo ją wyprzedzał. Musiała się poddać.

Trent obejrzał się za siebie.

– Jest tam? – zapytał Vere, obawiając się odpowiedzi.

– Dogania nas.

Przeskoczyli rzekę Wey i zaczęli się wspinać na Wzgórze Świętej Katarzyny. Konie stopniowo zwalniały, zmęczone stromym podejściem. Mimo to kabriolet zbliżał się z każdą minutą. Vere czuł na karku chrapanie konia Grenville.

Wiatr chlastał go po twarzy, chmury zwieszały się coraz niżej, a z oddali dobiegały pierwsze pomruki grzmotów. Pomyślał o okropnej drodze, jaka

ich czeka: ostre podjazdy i zdradliwe przepaście. Oczyma wyobraźni widział obrywające się nad nimi chmury, konie wpadające w panikę, wywracający się kabriolet…

Na początku wyścigu był niemal pewny, że Grenville się podda, teraz sam nie wiedział, co o tym myśleć.

Czy kiedykolwiek widział, żeby się poddała?

Ratując pannę Price w Vinegar Yard? Osaczając Crenshawa przed klubem? Drwiąc z niego w żywe oczy Pod Błękitną Sową? Przebierając się za mężczyznę? Wspinając się po rynnie na piętro domu Heleny Martin? Biegając półnago po Covent Garden? Bawiąc się w złodzieja u Coralie Brees? Grenville była chętna do wszystkiego, niczego się nie bała. A gdy chodziło o dumę, Vere musiał przyznać, że zna tylko jedną osobę, która dorównuje pannie Grenville w pysze i arogancji, i jest to lord Belzebub we własnej osobie.

Wraz z tą myślą napłynęło do niego odległe i rozmazujące się wspomnienie, jakby rozpoznanie, ale tak niewyraźne, że nie był w stanie go uchwycić. Zdarzyło mu się to już wcześniej, lecz tym razem jakieś słowo czy zdanie było tuż-tuż, na wyciągnięcie ręki. Odepchnął je od siebie, bo wspomnienia należały do przeszłości, on zaś musiał się skoncentrować na chwili obecnej.

A w tej chwili zaczynał wierzyć, że ta kobieta nie poddałaby się nawet w obliczu czterdziestodniowego potopu czy apokalipsy. Poddawanie się po prostu nie leżało w jej naturze, podobnie było zresztą w jego przypadku. Niestety, jego los nie miał teraz żadnego znaczenia.

Zanim wtoczyli się na dziedziniec God-aiming Inn, podjął decyzję.

Kabriolet wjechał tuż za nim.

Chmury uroniły pierwsze krople deszczu, wraz z nimi zaczęło się zbliżać głuche dudnienie grzmotów.

– Nie przegonimy tej burzy, Grenville! – zawołał do niej. – Ogłośmy chwilowy rozejm. Przyjechaliśmy prawie równocześnie, więc nikt nie może mieć pretensji.

– Dzięki Bogu – mruknął Bertie. Otarł chusteczką spocone czoło.

Grenville patrzyła na niego lodowatym wzrokiem, którym Vere za każdym razem czuł się sprowokowany. Nawet teraz, gdy chwiał się na skraju paniki, Lydia doprowadzała go do szaleństwa.

– Boisz się? – zapytała mrożącym krew w żyłach głosem.

– Nie pozwolę ci się zabić z mojej winy – odparł. Stajenny wyprowadził jej świeżego konia. Wielki czarny ogier miał w oczach błysk furii. – Zabierz to zwierzę! – warknął do służącego. – Nawet ślepy by zobaczył, że to dzikus.

– Proszę go zaprzęgać – nakazała Gorgona.

– Grenville…

– Patrz na własne zwierzęta, Ainswood – odparła. – Do zobaczenia w Liphook.

– Przyjechaliśmy jednocześnie! Zawieśmy ten wyścig! Głucha jesteś, kobieto?

Rzuciła mu zabójcze spojrzenie i odwróciła się, żeby postawić daszek kabrioletu.

– Nie musisz za mnie wychodzić! – ryknął. – Już koniec! Rozumiesz? Udowodniłaś, że jesteś najlepszym woźnicą świata!

– Widzę, że tobie wciąż niczego nie udowodniłam. Hej, ty tam! – krzyknęła na posługacza. – Pomóż mi z daszkiem, zamiast się gapić!

Vere patrzył z niedowierzaniem, jak podnosili daszek i zaprzęgali bestię z piekielnych otchłani. Zanim odzyskał rezon, by wyskoczyć z powozu i na siłę wyciągnąć ją z kabrioletu, ogier szarpnął się z zaprzęgu, kopnął stajennego i wystrzelił przed siebie. Panna Price bezwładnie poleciała na siedzenie. Po chwili kabriolet pędził opętańczo po drodze. Ponad krzykami i przekleństwami służby Vere usłyszał dziki śmiech Grenville.

* * *

– Lydio, to zwierzę jest szalone – wyjąkała Tamsin. Obiema rękami chwyciła się boków kabrioletu. Koń rwał przed siebie. – Książę dostanie apopleksji, jak Boga kocham! Zamartwia się pewnie na śmierć, biedaczysko.

– A ty się zamartwiasz? – zapytała Lydia, wpatrując się uważnie w drogę. Ogier był doprawdy z piekła rodem, ale wystarczająco silny, by w dobrym tempie podjechać na wzgórze Hindhead. Miał, niestety, skłonność do zbaczania na lewo, musiała go stale pilnować.

– Nie. To jest zbyt ekscytujące. – Tamsin wyjrzała zza daszka. – Doganiają nas. Sir Bertram jest purpurowy.

Grom przetoczył się ponad Whitley Common. Lydia zobaczyła w oddali błyskawicę i niebawem usłyszały kolejny grzmot.

Tamsin schroniła się pod daszkiem.

– Nie wiem, doprawdy, skąd bierzesz siły na stanowcze przeciwstawianie się Jego Wysokości. Był strasznie zdenerwowany. Wiem, że jest niebywale irytujący i mógł sformułować swą propozycję znacznie taktowniej, ale…

– Zdaje mu się, że jestem na tyle nieodpowiedzialna i szalona, by dać się zabić i zabrać ciebie ze sobą – wycedziła Lydia. – Dlatego tak się wścieka i to właśnie jest niedopuszczalne. – Kątem oka dostrzegła kolejną błyskawicę. Głęboki łoskot grzmotu wstrząsnął okolicą. – Uważa, że powinnam siedzieć cicho i z uwielbieniem wpatrywać się w jego twarz. Niedoczekanie! Nie będę jego własnością! Nie dam się związać do końca życia, choćby nie wiem co.

Były już w połowie wzgórza. Czarny ogier zwolnił nieco, ale nie zdradzał objawów zmęczenia.

– Nie byłoby to takie złe, gdyby on także patrzył na ciebie z uwielbieniem – stwierdziła Tamsin.

– To byłoby znacznie gorsze – parsknęła Lydia. – Ainswood potrafi zabić miłosnym wzrokiem. Widziałam to w Covent Garden. Jego Wysokość na kolanach, patrzący z uniesieniem w czyjąś twarz. To wstrząsający widok.

– Szkoda, że nie mogłam tego zobaczyć – westchnęła Tamsin.

– Szkoda, że ja musiałam to oglądać. Musiałam sobie wyobrazić Susan i jej wierne spojrzenia, którymi usiłuje nas omamić, gdy chce wymusić dodatkowe przekąski. W innym wypadku stopniałabym jak wosk.

– Biedna Susan. Jak książę mógł użyć jej przeciwko tobie?

– Biedna Susan, akurat. Jej zachowanie było odrażające.

– Może było jej go żal? – zasugerowała Tamsin. – Wiesz, jak doskonale wyczuwa, gdy ktoś jest w stresie czy rozpaczy. Wczoraj Millie płakała w kuchni, bo rozerwała fartuszek. Susan przyniosła jej piłkę i polizała ją po dłoni, jakby… Och, matko! Widzę szubienicę!

Dotarły niemal na szczyt wzgórza, gdzie stała surowa, przyprawiająca o dreszcze szubienica. Deszcz tłukł o daszek kabrioletu, wiatr wył w konarach drzew i potrząsał łańcuchami. Oślepiająca błyskawica rozdarła niebo, a grom dołożył swoje brzmienie do szatańskiego koncertu.

Na wzgórzu Lydia zatrzymała konia. Ociekał pianą i potrzebował chwili odpoczynku. Jednak po minucie zaczął się szarpać, drobiąc niecierpliwie

nogami.

– Na Boga, szaleniec z ciebie, mój mały. – Lydia się uśmiechnęła. – Zabraniam ci jednak lecieć na łeb, na szyję ze wzgórza. Zrozumiałeś?

Usłyszała klekot uprzęży i łomot kopyt. Ainswood był coraz bliżej.

Przed nimi ciągnęła się prosta droga w dół, z głębokimi poboczami dla mułów. Jedynym znakiem życia była strużka dymu unosząca się z komina przy Seven Thorns Inn, nieprzyjaznego miejsca, gdzie dziennikarka nie zamierzała szukać schronienia.

Zwykle zatłoczony odcinek drogi był dziś kompletnie opustoszały z powodu burzy. Nie było to dogodne miejsce ani czas na wypadek.

Krople deszczu wściekle łomotały o daszek, który tak naprawdę przed niczym nie osłaniał. Wiatr rozpryskiwał strugi wody we wszystkie strony. Lydia nie miała czasu, aby zastanawiać się nad przeciwnościami losu. Ogier rwał się do drogi. Walczył z wszelkimi próbami powściągnięcia szaleńczych skoków w typowo męskim dążeniu do bezwarunkowej samozagłady. Byle tylko zaistnieć.

Zanim dotarli do stóp wzgórza, ramiona paliły Lydię z wysiłku, a koń wciąż nie pokazywał po sobie ani odrobiny zmęczenia.

Lydia z poczuciem winy spojrzała na Tamsin. Jej suknia ociekała wodą. Dziewczyna dygotała na całym ciele.

– Jeszcze dwie mile! – Lydia usiłowała przekrzyczeć deszcz i wycie wiatru.

– Jestem tylko mokra – wyjąkała Tamsin, szczękając zębami. – Nie rozpuszczę się.

Boże, wybacz mi, pomyślała Lydia, czując wyrzuty sumienia. Nie powinna była pozwolić jej ze sobą jechać. Nie powinna była godzić się na ten głupi wyścig. A przynajmniej mogła się zgodzić na rozejm Ainswooda. Tamsin wygląda na wyziębioną, jeśli się rozchoruje…

Błyskawica strzeliła tak nagle, że kobieta prawie wyskoczyła z kabrioletu. Grzmot wstrząsnął drogą. Ogier z rżeniem zatańczył na zadnich nogach. Lydia napięła mięśnie do granic wytrzymałości, usiłując go opanować i odciągnąć od pobocza, zanim się rozbiją.

Nagła czerń okryła świat, a po chwili niebo pojaśniało od błyskawic, tłukących bez opamiętania wśród ogłuszającego łoskotu grzmotów. Dopiero po jakimś czasie Lydia wyłowiła z kakofonii inne dźwięki: krzyk, wizg spanikowanego konia, łomot kół powozu.

Odwróciła się i jej oczom ukazał się przerażający widok. Ze wzgórza toczyła się na nią bezładna lawina złożona z obłąkanego ze strachu zwierzęcia, splątanej uprzęży i rozklekotanego pojazdu. Kobieta pociągnęła ogiera na lewo. Kabriolet prawie zjechał z drogi, a powóz księcia przetoczył się obok, niemal zawadzając o niego kołami. W oślepiającym błysku Lydia ujrzała Ainswooda ciągnącego za lejce. Jedno uderzenie serca później gwałtowny łoskot grzmotu zagłuszył przerażający łomot, z jakim powóz roztrzaskał się o prawe pobocze.

* * *

Lydia czuła na sobie strugi deszczu, widziała błyski i słyszała grzmoty i głosy, ale to wszystko docierało do niej jakby z oddali. Cel i sens jej istnienia skurczył się do nieruchomej postaci leżącej przy strzaskanym powozie. Zanim do niego dotarła, minęła wieczność.

Padła na kolana w błoto, na którym leżał, twarzą do dołu.

Złota zorzo, korzę się przed tobą…

Przypomniała sobie, jak klęczał przed nią na Covent Garden. Dźwięk jego drwiącego głosu, błysk rozbawienia w szatańskich oczach. Obłąkańczy śmiech zaczął jej bulgotać w krtani. Nie pozwoliła sobie na histerię.

Szarpnęła go za płaszcz.

– Wstawaj, łajdaku! Och, błagam, rusz się! – To nie łzy. To deszcz zalewał jej twarz, a ten ucisk w gardle to na pewno z chłodu. Było strasznie zimno, a książę okazał się przerażająco ciężki. Rozerwała połę płaszcza w rozpaczliwym trudzie przewracania go na plecy. Nie mogła pozwolić, by leżał w błocie, więc ostatkiem sił wciągnęła sobie jego głowę i ramiona na kolana. – Obudź się, ty głupi, uparty barbarzyńco – płakała w głos. – Ocknij się, błagam!

Nie ocknął się jednak. Nie była w stanie utrzymać go w pionie, ułożyła więc jego głowę na swoich kolanach i ocierając mu błoto z twarzy, prosiła, groziła, perswadowała, błagała i obiecywała. Wszystko.

– Nie umieraj, potworze! – szlochała. – Ja… przyzwyczaiłam się do ciebie. Proszę! Nigdy nie chciałam… Jak mogłeś, Ainswood? To było nieuczciwe! Już dobrze, wygrałeś. – Potrząsnęła nim. – Słyszysz, uparty draniu? Wygrałeś. Zrobię wszystko, co chciałeś. Obrączki. Pastor. Cały ten przeklęty galimatias. Będę twoją księżną. – Znów nim potrząsnęła. – Czyż

nie o to ci chodziło? Zdecyduj się wreszcie! Teraz albo nigdy! To twoja ostatnia szansa. Ocknij się, do cholery, i… ożeń się ze mną!

Zdławiła szloch.

– Albo zostawię cię tak, jak cię znalazłam. – W rozpaczy opuściła nisko głowę. – Tutaj. W tym błocie. Na poboczu. Zawsze wiedziałam, że… źle skończysz.

* * *

Vere był złym człowiekiem. Do szpiku kości złym.

Powinien był otworzyć oczy od razu, gdy odwróciła go na plecy. Ale bał się, że to tylko sen: jego straszliwa smocza dziewczynka tuli go i płacze jak dziecko.

To jednak działo się naprawdę. Musiała przemoknąć do suchej nitki. Byłby ostatnim zbrodniarzem, gdyby pozwolił jej przemarznąć i zachorować dla własnej przyjemności słuchania czułych słów.

Sięgnął więc i przyciągnął jej śliczną twarz ku swojej twarzy.

– Umarłem i rozmawiam z aniołem czy to tylko ty, Grenville? – szepnął.

Chciała się wyrwać, ale nie był aż tak nawrócony, by dać jej się odsunąć bez pocałunku. Złapał ją za kark i przytrzymał. Od razu się poddała. Wtedy ostatecznie przekonał się, że to nie sen.

Żaden sen nie smakował tak wspaniale jak jej miękkie wargi. Wpił się w nie z zapamiętaniem, całując Lydię coraz namiętniej wśród szalejącej wokół nich burzy.

Tym razem jednak, gdy ją wypuścił – z ociąganiem tak wyraźnym, że powinni od razu kanonizować go za wstrzemięźliwość – doznał gwałtownego objawienia, które kazało mu mówić, zanim zdążył pomyśleć:

– Wolę ciebie, dzikusko, od wszystkich serafinów z niebios. Przyjmiesz mnie, skarbie? Mówiłaś serio?

Odetchnęła drżąco.

– Tak. Mówiłam serio, niech to piekło pochłonie. I nie mów do mnie: „skarbie”. Wstawaj, wstrętny oszuście!

* * *

To nie był pierwszy wypadek Bertiego, jednakże po raz pierwszy to nie on prowadził, gdy pojazd roztrzaskał się w drzazgi. Trent wstał, otrzepał się z grubsza i patrząc na plecy panny Grenville, biegnącej ku Ainswoodowi, stwierdził, że nikt, nawet najlepszy woźnica, nie byłby w stanie zapobiec tej katastrofie. Przerażony błyskawicą koń skoczył tak gwałtownie, że złamał jedną oskę powozu. Druga pękła, gdy się przewrócili. Uwolniony koń umknął, ciągnąc za sobą resztki dyszla i uprzęży.

Bertie wyszedł z kraksy bez szwanku, zrobił jedynie efektownego fikołka, lądując w polu. Pobiegłby do przyjaciela, ale zobaczył, że panna Grenville już tam pędzi, ruszył więc ku pannie Price, dygoczącej w kabriolecie.

Bertie wyjaśnił jej, że jeśli Ainswood nie żyje, to już nikt mu nie pomoże. Jeśli jednak nie zginął, będą musieli przewieźć go do Liphook. Powóz księcia nadawał się jedynie na opał, zatem Bertie wskoczył do kabrioletu i ruszył wraz z panną Price po pomoc do wioski.

To nie trwało długo. Gospoda Anchor pękała w szwach od przyjaciół i znajomych Ainswooda, czekających niecierpliwie na zakończenie wyścigu. Po kilku minutach zaprzężono pierwszy lepszy powóz i pomoc ruszyła w drogę.

Bertie nie zważał nawet, czyj to pojazd, gdyż zanim dotarli do gospody, jego myśli skupiły się na czymś innym. W pędzie dostrzegł kierunkowskaz z nazwami kilku wiosek i odległościami.

– Och, rety – powiedział, mrugając. – Blackmoor. O to szło.

Panna Price była do tej chwili dość oschła, choć, z oczywistych przyczyn, znacznie mniej niż w piątek. Tamtego wieczoru była strasznie zła, a Bertie nie miał pojęcia, o co jej chodzi. Teraz, gdy mężczyzna wspomniał Blackmoor, nagle odwróciła się ku niemu z uważnym, drapieżnym spojrzeniem, jakiego nigdy wcześniej u niej nie widział.

– Zna pan tę wieś?

– Nie. Chodzi o obraz. I to nie był portret Karola II, tylko jego przyjaciela. Nie pamiętam zupełnie, czego dokonał, by zdobyć tytuł i pasowanie, pamiętam tylko, że miał długie jasnozłote loki i zastanawiałem się, dlaczego facet wygląda jak dziewczyna. Żałuję, że wtedy nie słuchałem, bo to właśnie o niego mi chodziło. Jednak nie o króla.

Panna Price wpatrywała się w niego przez chwilę.

– Długie jasnozłote loki – powiedziała. – Przyjaciel króla Karola II. Najprawdopodobniej rycerz. Widział pan portret dworaka, przyjaciela króla.

– Mógłby być bratem bliźniakiem panny Grenville – powiedział Bertie, zatrzymując powóz przed drzwiami gospody. – To znaczy, gdyby nie był martwy od kilku pokoleń. Pierwszy hrabia Blackmoor, którego portret wielbi moja przeklęta siostra. Jej mąż twierdzi, że trawi ona całe poranki, wpatrując się w niego. O, proszę, on też tu jest! Nie spodziewałem się, że przyjedzie w tak krótkim czasie. Mam nadzieję, że nie przywiózł swej piekielnej żony.

Panna Price zwróciła swe ogromne orzechowe oczy na drzwi gospody, w których stał markiz Dain, wyglądając jak zwykle, to znaczy jak obwieś i morderca. Bertie był przyzwyczajony do przerażającego wyglądu szwagra. Panna Price najwyraźniej nie, gdyż westchnęła tylko: „O mój Boże!” i zemdlała.

Bertie poczuł się zupełnie zagubiony.

Rozdział 12

– Oczywiście, że idę z tobą. – Tamsin upięła włosy Lydii szpilkami. – Czuję się już zupełnie dobrze. Zemdlałam, bo byłam głodna, zziębnięta i ponad miarę podekscytowana. Ale zupełnie nic mi nie dolega. To najlepszy dzień w moim życiu i nie zgadzam się na utracenie choćby jednej chwili.

Znajdowały się w izbie sypialnej gospody Anchor.

Lord Dain i Sellowby dotarli na miejsce wypadku, gdy Lydii udało się podnieść Ainswooda i namówić go na błotnistą wędrówkę w stronę gospody. Wspomnieli o omdleniu Tamsin – Sellowby śmiał się, że straciła przytomność na widok Belzebuba – lecz Lydia była zbyt oszołomiona, by martwić się o przyjaciółkę.

Odurzenie Lydii nie wynikało jedynie z wypadku i prób budzenia księcia, które skończyły się obietnicami małżeństwa. Ostatecznie z równowagi wytrąciło ją nagłe pojawienie się lorda Daina.

Choć mówiono jej, że jest lustrzanym odbiciem ojca Belzebuba, w czasie krótkiej drogi do gospody ani obecny markiz, ani Sellowby nie zdradzili się, że rozpoznali to podobieństwo. Po przyjeździe ustalono, że ślub odbędzie się natychmiast, gdy panna młoda i jej kawaler doprowadzą się do porządku. W tamtej chwili Lydia była zupełnie niezdolna do zgłoszenia jakichkolwiek sprzeciwów wobec tak prędkich a ostatecznych kroków. Książę nalegał.

Nawet teraz, po gorącej kąpieli, herbacie i przy czułej opiece Tamsin, wciąż czuła się zagubiona. Narastał w niej niepokój. Sprawy nagle wymknęły się jej spod kontroli, a nie była przyzwyczajona do takiego stanu.

– Powinnam była zażądać przynajmniej czasu na odpoczynek – burknęła. – Ale Ainswood… och, on jest taki niecierpliwy i natarczywy. Robi nieznośne sceny, kiedy mu się odmawia.

– Odkładanie ślubu nie miałoby najmniejszego sensu – łagodnie wyjaśniła Tamsin. – Wszystko jest już gotowe. Czy to nie zdumiewające, jak świetnie potrafi się zorganizować, gdy ma silną motywację?

– Ja w tym widzę raczej pychę i arogancję. Jednak masz rację. Wszystko gotowe i cała jego banda jest na miejscu, więc równie dobrze możemy to już mieć za sobą.

Tamsin odstąpiła dwa kroki, by z zachwytem przyjrzeć się eleganckiej fryzurze, jaką stworzyła.

Kilka miękkich, złotych loków okalało twarz Lydii, a kok, na co dzień byle jak przyszpilony tuż nad karkiem, był szykownie upięty na czubku jej głowy.

– Lady Dain twierdzi, że im dłużej każe się mężczyźnie czekać, tym większa szansa, że biedak doprowadzi się do cywilizowanego stanu. – Tamsin się uśmiechnęła. – Mówiła, że tak się stało z lordem Dainem, który był zupełnie nie do wytrzymania, zanim się pobrali. Wyznała, że tygodnie przygotowań do ślubu doprowadziły ją niemal do szaleństwa.

– Zorganizowanie ślubu z Dainem musiało być równie wyczerpujące jak zaplanowanie bitwy pod Waterloo – mruknęła Lydia. – Rozmach był imponujący. Kościół pękał w szwach, a na weselu było jeszcze więcej ludzi.

– A jeśli wierzyć słowom Jego Wysokości, gusta markizy są bardzo kosztowne.

– Cóż… Nasz ślub nie będzie tak wystawny. – Lydia przejrzała się w lustrze. – Z wyjątkiem moich włosów. Zrobiłaś z nich coś naprawdę wspaniałego.

To tylko wygląd, westchnęła w duchu. Tak naprawdę nie miała najmniejszego pojęcia, kim jest i dokąd zmierza.

Wydaje ci się, że jesteś wielką damą, kpił z niej w dzieciństwie ojciec. Miał wiele racji. W duchu marzyła, że jest jedną z Ballisterów. Nie miała ku temu żadnych praw ani podstaw, nie licząc pochodzenia matki, której się przecież wyparli. W innym przypadku wykryłaby coś w ciemnych oczach Daina: zaskoczenie, zdumienie, rozpoznanie. On jednak omiótł ją tylko przelotnym spojrzeniem i skierował całą uwagę na przyjaciela.

Lydia doszła do wniosku, że gdy Sellowby wspomniał o kobiecie, która żywcem zeszła z galerii portretów w Athcourt, po prostu żartował. Widział ją z daleka i uznał wydarzenie za przelotne złudzenie, to wszystko. Z bliska ich podobieństwo musiało znikać, gdyż dziś nie wydawał się zaskoczony jej widokiem. Nikt niczego nie zauważył.

Może o to właśnie chodziło. Może mama widziała poprzedniego markiza z daleka, gdzieś na ulicy lub w powozie. Wydawał się podobny do Lydii

i na tym podobieństwie mama zbudowała całą historię. Lydia nie byłaby tym zaskoczona. Jej inspiracją do stworzenia całej sagi o Tebańskiej Róży była skąpa wzmianka o pierścieniu ślubnym lady Dain: wielkim rubinie otoczonym diamentami.

– Nie sądzę, by książę zwracał uwagę na twoją fryzurę – powiedziała Tamsin. – Jestem pewna, że ożeniłby się z tobą, tak jak stałaś, z ociekającymi włosami i w ubłoconej sukni, i z rozerwanym czepkiem zwisającym na plecach.

– Sam też nie wyglądał jak książę z bajki – stwierdziła Lydia, wstając od toaletki. – Woda lała się z niego strumieniami i gdyby nie skorzystał z kąpieli, w połowie ceremonii padłby nieprzytomny. Nie miałam zamiaru spędzić pierwszych dni małżeństwa, pielęgnując go w chorobie. – Spojrzała Tamsin w oczy. – Musisz mieć mnie za kompletną wariatkę.

– Uważam za błąd twoje przekonanie, że uczucia kryjące się w twym sercu to dziewczęce zaślepienie czy delirium żądzy – zaśmiała się cicho Tamsin. – Czułam, że rosną w tobie jak…

– Jak grzyb, prawda?

– Nie ma sensu udawać, że jest ci obojętny. Widziałam, jak wyskoczyłaś z powozu, nie dbając o burzę, nie zważając na rwącego się ogiera czy bijące w ziemię błyskawice. Myślałaś jedynie o księciu Ainswood. – Wyszczerzyła zęby. – To było takie romantyczne!

– Romantyczne – wykrzywiła się Lydia. – Chyba mi niedobrze.

– To nerwy. – Tamsin podeszła do drzwi. – Założę się, że on jest w znacznie gorszym stanie. Wręcz w agonii. Chodźmy. Niech pastor ukróci wreszcie wasze męki.

Lydia zadarła brodę.

– Nie pozwalam sobie na żadne nerwy, moja droga, acz niewierna przyjaciółko. Nie doświadczam żadnych mąk. Jestem opanowana i spokojna. – Podeszła dumnie do drzwi. – Za krótką chwilę będę już księżną Ainswood, a wtedy lepiej miejcie się wszyscy na baczności.

Wymaszerowała na korytarz. Tamsin ruszyła za nią, tłumiąc śmiech.

* * *

Dain, Sellowby i Trent robili wszystko, co w ich mocy, by utrzymać księcia w stanie całkowitego rozproszenia. Gadali jeden przez drugiego, nie

dając przyjacielowi nawet chwili na skupienie myśli. Kłębili się przed nim w małej sypialni dla nowożeńców.

– Mówię wam, to jest zdumiewające! – powtarzał Trent. – Nie pojmuję, jak możecie tego nie widzieć! Jedyne, co was tłumaczy, to fakt, iż była cała w błocie i rozczochrana, tak że nie poznałaby jej własna matka…

– Ja ją rozpoznałem – obruszył się Sellowby. – Widziałem ją przed kościołem po ślubie Daina. Trudno nie zauważyć pięknej kobiety o tak posągowych kształtach, co nie? Wyglądała jak lśniący klejnot wśród tych obszarpanych dziennikarzy. Jest tylko jedna lady Grendel i trudno się pomylić. Nawet z daleka jej uroda powala.

– Przecież mówię – nastawał Trent. – Ten wysoki dżentelmen ze złotymi lokami…

– Nie nazwałbym ich złotymi – wtrącił Dain. – To raczej barwa lnu. I żadnych loków.

– Jasnozłote – zgodził się z Trentem Sellowby. – Przypominają mi…

– Ten facet, *chevalier*, którego moja siostra…

– Książę d’Esmond – potwierdził Sellowby. – Ma inne oczy. Jej też są błękitne, ale jaśniejsze.

– I nie jest Francuzką – dodał Dain.

– Nigdy nie twierdziłem, że jest Francuzką. Mówię jedynie, że tak nazywano wtedy dworaków, jak powiedziała panna Price. *Chevalier* znaczy kawaler.

– A ja słyszałem – ciągnął Dain, jakby szwagra w ogóle nie było w pokoju – że urodziła się na Borneo i wychowały ją krokodyle. Przypuszczam, że nic nie wiesz o jej pochodzeniu, Ainswood? Nie jestem pewny, czy na Borneo żyją krokodyle.

– W nosie mam jej pochodzenie – zirytował się Vere. – Chcę wiedzieć jedynie, gdzie się podziewa przeklęty pastor i czy panna młoda zamierza w tym stuleciu zejść do ołtarza!

Wykąpał się i przebrał w pół godziny, popędzając zrzędliwie Jaynesa. Potem przez półtorej godziny siedział jak na szpilkach, zamartwiając się, że jego księżna się rozchorowała albo ucieka przez okno, podczas gdy jego tak zwani przyjaciele kłócą się o kolor jej włosów i o to, czy na Borneo żyją krokodyle.

– Może żałuje, że się zgodziła? – zasugerował Dain drwiąco. Vere miał ochotę stłuc go na kwaśne jabłko. – Może postanowiła za ciebie wyjść, bo

była w szoku, a teraz wrócił jej zdrowy rozsądek?

– Zgodziłam się za niego wyjść wyłącznie z litości – dobiegł ich od drzwi chłodny kobiecy głos. – I z poczucia obowiązku wobec społeczeństwa. Nie można pozwolić na to, by nadal szalał w amoku po drogach, rozbijał powozy i zadręczał konie.

Czterech dżentelmenów jak na komendę odwróciło się ku drzwiom.

Gorgona stała w progu wyprostowana jak struna, odziana w czerń i zapięta pod samą szyję. Gdy weszła, jej halki kusząco zaszeleściły.

Szła za nią panna Price, a w korytarzu czekał pastor.

– Lepiej poszukam żony. – Dain ruszył ku drzwiom. – Nie ważcie się bez nas zaczynać. To ja prowadzę pannę młodą do ołtarza.

Grenville uniosła brew.

– Ciągnęli zapałki – wyjaśnił jej Vere. – Trent jest drużbą, a Sellowby będzie pilnował drzwi i uciszał pijane tłumy.

Tłumy dały o sobie znać dzikim rykiem w głównej sali gospody. Śpiewały sprośne piosenki i skutecznie odstraszały podróżnych szukających schronienia przed burzą.

– Twoi bliscy nie widzieli spektakularnego zakończenia wyścigu – zauważyła Gorgona. – Chcesz im odebrać przyjemność uczestniczenia w ceremonii?

– Uwierz mi, Grenville, nie są w stanie docenić wagi tej chwili. Połowa z nich nie odróżniłaby już pana młodego od beczki wina, a większość zdecydowanie woli być bliżej beczki.

– To uroczysta okoliczność – surowo wtrącił pastor. – Święty stan małżeński nie jest okazją do krotochwili czy pijaństwa. Nie wolno lekce go sobie ważyć ni… – Urwał, gdy spoczął na nim lodowaty wzrok Grenville. – To znaczy… Ha! – Poluzował lekko kołnierzyk. – Zajmijmy już miejsca.

Nieznośnie nieuchwytne wspomnienie znów zatrzepotało tuż pod powiekami Vere’a. Ale w tym momencie wszedł do pokoju lord Dain z małżonką i – jak w każdej sytuacji – przejął dowodzenie, komenderując wszystkimi i rozstawiając po kątach.

W następnej chwili zaczęła się ceremonia i Vere mógł myśleć już tylko o stojącej przy nim kobiecie. O tym, że już za chwilę będzie należała do niego. Wyłącznie. I na zawsze.

* * *

Panna młoda i jej przyjaciółka oddaliły się już kilka godzin wcześniej, ale Vere zdołał się wyrwać z poślubnej orgii dopiero przed północą i to wyłącznie dlatego że ktoś sprowadził wóz pełen ladacznic. Ujrzawszy je, Dain oznajmił, że żonaci mężczyźni są wolni i mogą udać się na spoczynek, jeśli wola. Choć Trent był kawalerem, poszedł z nimi i nieustannie zagadywał swego szwagra, opowiadając niemożliwą do sklecenia historię o Karolu II, dworakach, kawalerach i Lucyfer wie o kim jeszcze.

– Wiem, że tam wisi – upierał się, wchodząc za nimi po schodach. – W galerii portretów, co ma chyba dwa kilometry, on jest w takiej alkowie, a Jess twierdzi, że to jej ulubiony i…

– Galeria ma pięćdziesiąt metrów – uciął Dain. – Ainswood potwierdzi. W dzień pogrzebu mego ojca ustawiłem na sztaludze jeden z jego portretów i urządziłem zawody w łucznictwie. Pamiętasz, druhu? Uznałeś wtedy, że ten konkurs jest dziecinny i że osiągnę więcej satysfakcji, jeśli zamknę się na kilka godzin w jego sypialni z tą rudą Charity Graves. Sprawdziłeś ją wcześniej i wiedziałeś, o czym mówisz. – Klepnął Vere’a w ramię. – Ach, te dni już minęły, przyjacielu. Koniec z ladacznicami. Musimy służyć naszym damom i nie będziemy się nimi wymieniać. – Spojrzał na Bertiego. – Dobranoc, Trent. Dobrych snów.

– Ale, Dain, ty w ogóle…

Czarne oczy Belzebuba przeszyły go na wskroś. Bertie szarpnął za fular pod szyją, jakby się dusił.

– To znaczy… – Odsunął się od Daina. – Wszystkiego najlepszego Ainswood, wszelkiej pomyślności i powodzenia. Dziękuję za zaproszenie i za twą wspaniałomyślną przyjaźń. Jestem zaszczycony. – Potrząsnął dłonią Vere’a i uciekł do swojego pokoju.

W zakamarkach umysłu księcia coś monotonnie domagało się uwagi, ale wystarczyło jedno spojrzenie na drzwi, za którymi czekała jego księżna, i szum krwi zagłuszył wszelkie odgłosy.

– Moja pani spodziewa się wczesną wiosną. W lutym, może w marcu – powiedział Dain i Vere zwrócił na niego nieprzytomne spojrzenie. – Dzieciak potrzebuje chrzestnych. Może ty i twoja żona zgodzicie się nimi zostać?

Dobrą chwilę trwało, nim zrozumiał słowa Daina. Kolejną, zanim przetrawił ich znaczenie. Coś ścisnęło go w gardle. Mimo mijających lat, oddalenia, nieporozumień i okazjonalnych bójek wciąż byli przyjaciółmi.

– To dlatego tak ci zależało na moim ożenku? – odparł chropowatym głosem.

– Zależało mi na nim z kilku powodów. Ale nie będę cię teraz zatrzymywał. Masz pewne… obowiązki. – Uśmiechnął się lekko. – Nie mogę cię opóźniać.

Ku swemu potwornemu zawstydzeniu Vere poczuł żar wypływający na policzki.

– Ainswood, ty się rumienisz! Doprawdy, dzień ten obfituje w cuda.

– Idź do diabła! – mruknął Vere, ruszając przed siebie.

Usłyszał demoniczny chichot przyjaciela.

– Jeśli nie podołasz, Wasza Wysokość, bez wahania pukaj do mych drzwi.

– Nie podołam, też coś – odparł Vere, nie odwracając się. – To ja nauczyłem cię wszystkiego, co wiesz, Belzebubie. A nie jest to nawet połowa moich umiejętności.

Wybuch szatańskiego śmiechu przetoczył się po korytarzu. Potem rozbrzmiał trzask zamykanych drzwi.

– Pukaj do mych drzwi – zżymał się Vere. – Bardzo zabawne. Paradne wręcz. Jakbym to nie ja był starszy i zaprowadził cię do pierwszej ladacznicy. – Zastukał niecierpliwie do drzwi sypialni. – Przeklęty mądrala. Zawsze taki był i już się nie zmieni. Powinienem złamać co najmniej rękę…

Panna młoda otworzyła drzwi.

Przelotnie zauważył, że jest kompletnie ubrana, ale nie zamierzał się zastanawiać, czy to coś oznacza. Wszedł, kopniakiem zatrzasnął drzwi, chwycił ją w ramiona i zmiażdżył w objęciach.

Ukrył twarz w zagłębieniu jej ramienia. Gęste, miękkie pukle łaskotały go w policzek. Odetchnął chciwie zapachem jej ciała.

– Och, Grenville – mruknął. – Myślałem, że nigdy mnie nie puszczą.

Jej ramiona z wahaniem oplotły szyję mężczyzny, smukłe ciało zadrżało. Podniósł głowę i spojrzał na Lydię. Była blada, w oczach miała mrok.

– Jesteś zmęczona – powiedział prędko, rozluźniając objęcia. – To był bardzo długi i męczący dzień.

– Nie jestem zmęczona. – Jej głos drżał lekko. – Kiedy wróciłam do pokoju, padłam na łóżko i zasnęłam, zanim dotknęłam głową poduszki. –

Wysunęła się z jego ramion. – Obudziłam się godzinę temu. Miałam mnóstwo czasu na odpoczynek. I przemyślenie wszystkiego.

– Za to nie zdążyłaś się przebrać w coś bardziej odpowiedniego na noc poślubną – odparł, chcąc uciec przed jej poważnym tonem i pociemniałym spojrzeniem. Zmusił ją do małżeństwa. Wykorzystał moment słabości. Już się stało. Jest bez sumienia, zdeprawowany i odrażający *et cetera*, *et cetera*. Taką ma naturę. – To nie szkodzi. Z radością wyłuskam cię z tej zbroi. – Podniósł dłonie do guzików pod jej brodą.

– Nie jestem gotowa do skonsumowania tego małżeństwa – wycedziła.

– To też nie szkodzi. – Odpiął pierwszy guzik. – Przygotuję cię.

Odepchnęła jego dłonie.

– Nie żartuję, Ainswood. Musimy porozmawiać.

– Grenville, wiesz przecież, że nie jesteśmy w stanie rozmawiać dłużej niż dwie minuty bez kłótni – westchnął. – Nie rozmawiajmy już dzisiaj, dobrze? – Zaczął rozpinać drugi guzik.

Jej lodowata dłoń zacisnęła się na jego palcach.

– Sumienie nie pozwala mi być twoją żoną. Chcę rozwodu.

– Twoje sumienie straciło rozum. – Pocałował ją w prosty, zgrabny nos. – To tylko nerwy.

– Nie bywam nerwowa. – Jej głos trząsł się coraz bardziej. – Nie jestem histeryczką i nie traktuj mnie jak dziecka. Ja tylko odzyskałam zdrowy rozsądek. – Odetchnęła, zadzierając brodę. – Nie jestem damą, nawet w połowie. Ty jesteś księciem Ainswood. Musisz ożenić się z prawdziwą damą. Jesteś to winny swojej rodzinie.

– Ożeniłem się z tobą – zirytował się Vere. – Nie chcę żadnej damy. Nie wiedziałbym, co z taką począć. – Chwycił ją za ramiona. – Wyobrażasz sobie mnie z damą?!

– Nie możemy iść do łóżka. – Jej policzki nabrały różowego odcienia. – Nie możesz mieć ze mną dzieci. Nie pozwolę ci na takie ryzyko.

– Co?!

– Moja rodzina. – Przełknęła podchodzący do gardła szloch. – Nie wiesz nic o mojej rodzinie. Chciałam ci wcześniej powiedzieć, ale byłam zbyt przerażona, gdy wypadłeś z powozu. Bałam się, że zginąłeś, a potem… – Odepchnęła go. – To jakiś absurd. Chciałam cię uszczęśliwić, a ty chciałeś jedynie ślubu. Nie wiem, dlaczego tak mi zależało na twoim szczęściu, nie wiem, co we mnie wstąpiło, że wyobraziłam sobie, że mogę ci je dać.

– Bardzo łatwo mnie uszczęśliwić, Grenville. Musisz tylko zdjąć…

– Moja matka zachorowała po urodzeniu mojej siostry. – Słowa zaczęły płynąć bez żadnej kontroli. – Zmarła, gdy miałam dziesięć lat. Siostra zachorowała i zmarła trzy lata później. Mój ojciec był trzeciorzędnym aktorem, pijakiem i hazardzistą. Nie miał żadnej zalety. – Splotła dłonie i podeszła do kominka. – Jestem złą krwią. Twój ród zasługuje na coś lepszego. Musisz brać ich pod uwagę. Musisz liczyć się z rodem.

– Zaraza niech pochłonie mój ród – powiedział, choć pragnął krzyknąć. Gorgona była na skraju histerii, nie chciał jej dodatkowo rozdrażniać. – Posłuchaj własnych słów, Grenville. Jesteś gorszą snobką niż Dain. Muszę liczyć się z rodem, doprawdy. Co się stało z panną Wolność, Równość i Braterstwo? Co się stało z panną Walką o Prawa Kobiet? Gdzie się podziała moja smocza dziewczyna?

– Nie jestem smokiem – szepnęła. – Jestem tylko podrzędną dziennikarką z przerośniętą ambicją.

– Widzę, że nie jesteś w nastroju na rozsądne rozmowy – odparł. – Musimy to rozwiązać po męsku.

Zrzucił płaszcz i zerwał z szyi fular. Błyskawicznie rozpiął kamizelkę i rzucił ją na podłogę. Kopnął buty pod ścianę.

Przyjął pozycję, unosząc pięści.

Gapiła się na niego bez zrozumienia.

– Wal! – krzyknął. – Masz trzy szanse. Jeśli ci się nie uda, ja będę miał trzy szanse.

– Będziesz mnie bił? – zdumiała się.

Opuścił pięści.

– Grenville, gdybym cię uderzył, padłabyś na podłogę i nie wstała – powiedział cierpliwie. – Na co byś mi się wtedy przydała? No, myśl!

Uniósł pięści.

– Jeśli nie zdołasz mnie uderzyć, ja mam trzy szanse powalenia cię na łóżko, dyszącej z pożądania.

Diabelski błysk zapłonął w jej błękitnych oczach.

– Niech cię piekło pochłonie, Ainswood! Nie słyszałeś ani słowa? Mógłbyś przez chwilę myśleć mózgiem, a nie organem, i zastanowić się nad przyszłością? Swoją? Twoich potomków?

Pokręcił głową.

– Wybacz. Nie jestem aż tak cywilizowany. No, rusz się, Grenville. Nie marzysz o tym, żeby mnie strzelić w pysk? Podbić mi oko? Nie to, żebyś miała jakąś szansę, ale ubawię się, patrząc na twoje wysiłki.

Patrzyła na niego z wściekłością.

Pokiwał się trochę na boki, markując ciosy.

– No weź, czego się boisz? Daję ci szansę na wyrządzenie mi tych krzywd, które obiecywałaś w Vinegar Yard. A może tylko blefowałaś? Czy celny cios w moją szczękę nazbyt nadwerężyłby twe dłonie, mój cenny kwiecie? Dostałaś wtedy nauczkę?

Cios nadleciał znikąd, szybki jak błyskawica, nisko wymierzony w jego męskość.

Uchylił się w ostatniej chwili.

– Nie tutaj, Grenville – wyjąkał, ocierając pot z czoła. – Pomyśl o swoich dzieciach.

Odsunęła się o krok, mrużąc oczy. Otaksowała go z góry na dół, szukając luk w jego obronie.

– Nie mówiłeś, że mam walczyć uczciwie.

– Nie dawałbym ci forów, gdybym wiedział, że będziesz grała nieczysto.

Uniosła pięści pod dziwnymi kątami i zaczęła się kołysać jak kobra gotująca się do ataku. Włosy rozsypały jej się na ramiona. Wyglądała cudownie, Vere ledwie się powstrzymał, żeby nie wsunąć palców w złote loki. Ale nie mógł się rozpraszać. Miała w repertuarze za dużo sztuczek i była zupełnie nieprzewidywalna. Nie wspominając o tym, jak szybka!

Czekał, gotując się na zdradziecki atak, zastanawiając się, skąd nadleci cios. Wiedział, że się z nim bawi, kołysaniem usiłuje go zdekoncentrować i zmylić.

Uchwycił to na ułamek sekundy, zanim się poruszyła. Zaledwie delikatny ruch oczu w dół. Jej suknia zafalowała, a stopa wystrzeliła spod niej jak żmija. Vere okręcił się niczym sprężyna, jego żona straciła równowagę i upadłaby, gdyby nie chwycił jej prędko za rękę. Uskoczył w ostatniej chwili, tylko dzięki temu zdradziecki cios łokciem nie pozbawił go męskości.

– Słodki Jezu – jęknął. Gdyby był odrobinę wolniejszy, mógłby już śpiewać falsetem.

Oddychał płytko, nie śmiejąc opuścić gardy, choć kobieta ostentacyjnie się odwróciła i mamrotała pod nosem obelżywe przekleństwa.

– To były trzy próby, Grenville – odezwał się ostrożnie. – Teraz moja kolej.

Odwróciła się gwałtownie.

– A jeśli tobie też się nie uda?

– Dostajesz kolejne trzy szanse. A potem ja. I tak do skutku, dopóki któreś z nas nie wygra. Zwycięzca zgarnia, co chce.

A ja zamierzam doprowadzić do tego, byś chciała właśnie tego, czego chcę ja – pomyślał.

Kobieta założyła ramiona na piersiach i zadarła podbródek.

– Zatem proszę, daj z siebie wszystko.

Uważnie zlustrował ją od góry do dołu, podobnie jak ona jego. Zaczął ją powoli okrążać. Stała w miejscu i tylko obracała za nim głowę, śledząc go nieufnym spojrzeniem. Zatrzymał się tuż za nią.

Przez długą chwilę po prostu stał, trzymając ją w niemym oczekiwaniu, budując napięcie. Potem pochylił się i rozchylonymi wargami przesunął od jej ucha do jedwabistego policzka.

– Jaka jesteś gładka – mruknął, delikatnie zdejmując jej ręce z piersi i opuszczając je w dół. – Twoja skóra przypomina płatki róż.

Gwałtownie wciągnęła powietrze.

– To była pierwsza próba – powiedziała ostro.

Musnął policzkiem jej policzek.

– Uwielbiam zapach twojej skóry. – Rozpostarł palce i przesunął dłońmi po jej ciele, ledwie dotykając materiału sukni, powoli i zmysłowo. Nacisnął lekko na jej brzuch i zaczął wracać w górę, przyciągając ją do siebie. Jej krągłe pośladki naparły na nabrzmiałą męskość księcia.

Zamknęła oczy i przełknęła ślinę.

– To… to druga – zacięła się.

Nie poruszył się. Chwila trwała, książę stał nieruchomo, z policzkiem przy jej policzku, z dłońmi na płaskim brzuchu Gorgony. Jego dotyk był niemal niezauważalny. Otaczał ją tylko swoją męskością, zapachem i żarem.

Zadrżała.

Czekał dalej, choć bał się, że oszaleje. Wiedział jednak, że drgające od żądzy napięcie bardzo na nią działa. Czuł, jak się skręca w sobie, jak bije się z myślami, jak walczy ze zdrowym rozsądkiem z dumą i uprzedzeniem.

Cofnęła się o krok. Musnął wargami kącik jej ust.

Z cichym westchnieniem oparła się o niego i odwróciła głowę, szukając pocałunku, którym ją kusił. Nadal jednak się z nią droczył, delikatnie i leniwie igrając z jej pełnymi wargami.

Położyła dłonie na jego rękach.

– To była trzecia próba – powiedział surowym tonem. – Twoja kolej.

– Ty potworze – syknęła. – Wiesz, że nie mogę cię pobić. – Chciała się odwrócić, ale trzymał ją mocno, a jej słodki tyłeczek wiercił się rozkosznie na jego rozporku.

– Ach, nie tak szybko, smocza dziewczyno. – Przygryzł jej ucho i przytulił mocniej. – Chciałem być dla ciebie delikatny, skoro to pierwszy raz, ale wtedy zarzuciłabyś mi arogancję i wywyższanie się, czyż nie? Nie boisz się ze mną walczyć i nie wstydzisz się swoich pragnień. Nie będę się wysilał na delikatność.

Trzymając ją jedną ręką, drugą prędko rozpiął guziki sukni. Zepchnął górę aż do talii, krępując ramiona Lydii rękawami.

Miękka, kremowa skóra wychynęła spod halek i koszuli. Zasypał pocałunkami wrażliwe miejsce za uchem, szyję i kark Gorgony. Przesuwał się wzdłuż jej ramienia. Zadygotała.

Odpiął haftki i haczyki, zerwał rękawy z jej rąk i suknia ześlizgnęła się na podłogę. Lekko popchnął żonę, żeby wyszła ze skłębionej u stóp materii, i od razu zaczął rozwiązywać gorset. Sztywna zbroja z koronek wreszcie ustąpiła, opadając na biodra. Rozsupłał wstążki i odrzucił gorset na bok.

Chwycił ją na ręce i zaniósł na łóżko, na które bezceremonialnie ją rzucił. Zaklęła, ale zanim zdążyła się poderwać, padł na nią całym ciałem. Wsunął palce w jej włosy i zaczął całować bez opamiętania.

Przez chwilę szarpała się z nim, ale poddała się, jak zawsze.

– Żadnego rozwodu – mruknął. – Żadnego innego. Nigdy. Nawet o tym nie myśl.

– Jesteś idiotą – szepnęła gardłowo. Złapała go za koszulę i przyciągnęła do siebie. Mściła się, plądrując jego usta pocałunkami i wdzierając się w nie językiem.

Złapał ją i obrócił się na plecy, wpijając się w słodkie usta i plącząc nogi w halkach. Zadarł do góry liczne warstwy i dotknąwszy jedwabnej pończochy, jęknął głucho. Przesunął palcami po sprężystym udzie. Nad podwiązką znalazł gładką, gorącą skórę i przesunął dłonie wyżej, do dzieła sztuki, jakim okazały się jej pośladki.

Zupełnie nagie pośladki.

– Słodki Jezu – jęknął. – Gdzie są twoje majtki, kokietko?

– Zapomniałam spakować – burknęła.

– Zapomniałaś – powtórzył i było to ostatnie słowo, które wyartykułował, i ostatnia jasna myśl.

Wydał z siebie niski, dziki pomruk, zepchnął ją z siebie i rzucił na plecy. W kilka sekund zdarł z siebie resztkę ubrań. Zanim sfrunęły na podłogę, on już rozwiązywał tasiemki halek.

Wstążki puściły. Książę pociągnął halki w dół. Skóra Gorgony była jasna i świetlista jak księżycowy promień, cudownie gładka na oszałamiających krągłościach jej ciała. Z czcią położył dłonie na pełnych wzgórkach piersi, kciukami otoczył naprężone malinowe brodawki.

Z jękiem wyprężyła się w łuk, poddając się dotykowi, wyciągając ku niemu ręce. Pochylił głowę i objął brodawkę wargami. Kobieta wplątała palce w jego włosy. Ssał ją, aż zaczęła rytmicznie pojękiwać. Serce prawie wyskoczyło mu z piersi, wszystkie mięśnie spięły się aż do bólu.

Pogłaskał jej brzuch i czuł, jak napina się pod jego dotykiem. Koszula owinięta wokół jej talii przeszkadzała mu, więc zerwał ją i rzucił w bok. Zatrzymał się na chwilę, chłonąc widok jej ciała, wykrojonego perfekcyjnie jak z kawałka marmuru. Śmiało dotykał jej krągłości opuszkami palców i wargami. Wzdychała, nie tłumiąc cichych okrzyków zaskoczenia i rozkoszy.

Była dla niego stworzona, każdy zakamarek jej aksamitnego ciała był skarbem. Gdy wsunął palce w miękkie loki pomiędzy udami, była już gotowa. Wilgotna i gorąca, wiła się pod jego dłonią z namiętnością prawdziwego smoka.

Była w jego mocy. Pod jego kontrolą. Nareszcie.

Chciał napawać się tą chwilą, dać jej rozkosz, zanim sam weźmie cokolwiek. Chciał, by pod jego dłonią stała się dzika i bezradna zarazem. Obiecał sobie, że będzie go błagała o więcej i doprawdy, zasłużyła sobie na to wszystko.

Jej błyskawiczna, pełna żaru reakcja na pieszczoty rozwiała w dym wszystkie obietnice i plany.

Męska duma nie mogła mierzyć się ze zwierzęcą, pierwotną żądzą tętniącą mu w żyłach jak lawa.

Pieścił ją jeszcze przez chwilę, rozsunął uda i wszedł w nią jednym płynnym ruchem.

Krzyknęła.

Rozdział 13

To, co dla zdumiewająco dziś powściągliwego pana młodego brzmiało jak krzyk, było jedynie oznaką zdumienia.

Książę zamarł. Lydia zawstydziła się i przestraszyła. Uniosła powieki. Jego oczy były pełne mroku, twarz zacięta.

– Co? – zapytała nieprzytomnie. – Zrobiłam coś nie tak?

– Zabolało cię?

Lydia oblała się rumieńcem. Ze skrępowaniem pokręciła głową.

– Pośpieszyłem się – jęknął Ainswood ze skruchą. – Nie byłaś gotowa.

– Nie wiedziałam, czego się spodziewać – uspokoiła go. – Byłam tylko zaskoczona. – Zakręciła się lekko i delikatnie uniosła kolana. Książę syknął. Lydia westchnęła, czując go w sobie.

Jego męskość wydawała się jej nie tylko duża, ale też jakby żyjąca własnym życiem. Emanowała falami żaru i drżała lekko.

– Och – jęknęła cichutko. – Nie miałam pojęcia…

Twarz Ainswooda złagodniała nagle.

Mięśnie Lydii rozluźniły się powoli, dostosowując się do jego rozmiaru. Nie zrobił jej krzywdy. Przez chwilę bolało, ale to było do zniesienia. Teraz czuła się już znacznie lepiej.

– Jestem dziecinna – przyznała z trwogą. – Przez chwilę bałam się, że się nie zmieścisz. Że coś jest ze mną nie tak.

– Twoje ciało jest idealne. – Poruszył się w niej i znów wstrzymała oddech.

Tak, z jej ciałem było wszystko w porządku. Przy nim nie czuła się wcale jak olbrzymka. Ale ciało było jedyną rzeczą, jakiej była pewna. Nie była damą. Nawet w połowie. W jej żyłach nie płynęła już krew Ballisterów. Nie była już pewna, kim jest.

Przysunął ku niej twarz.

– Grenville.

– Nienawidzę nie wiedzieć, co robić.

Pocałował ją. Wsunęła palce w jego włosy. Pragnęła go, to było zupełnie jasne. Napawała się grzesznym zapachem jego ciała, jego smakiem.

Nauczyła się go całować, odsuwać od siebie myśli i oddawać się przyjemności. Dowiedziała się, jak łatwo można utracić kontrolę i oddać się we władzę pragnienia. I że pragnienie przenika ją na wskroś, do głębi serca.

Tęskniła za nim, choć był w niej, był częścią jej ciała. Tęskniła i żałowała, bo znała go już i wiedziała, że Ainswood się nie zmieni. Wiedziała, że pragnie znacznie więcej, niż on będzie w stanie kiedykolwiek jej dać.

Czuła, jak jego ręce wędrują po jej ciele coraz niżej i sięgają miejsca, które pieścił, gdy ją przygotowywał. Tym razem jednak był w niej i pieszczota wrażliwego miejsca połączona z falami żaru płynącymi z jego męskości zdawała się nie do zniesienia.

Pragnienie rosło z każdym uderzeniem serca.

Poczuła, że Ainswood wysuwa się z niej.

– Nie, proszę! – Wbiła palce w muskularne ramiona, by go zatrzymać.

Napiął ręce pod jej palcami i wbił się z powrotem. Rozkosz rozbrzmiała w niej jak akord.

– Och, Boże – szepnęła, drżąc. – Słodki Jezu.

Znów pchnął. Instynktownie wygięła się w łuk, by go przyjąć. Tęsknota i pragnienie rosły w niej jak gorąca fala przypływu. Kolejne pchnięcie. I jeszcze, i jeszcze. Rozkosz rozpraszała wszelkie wątpliwości, rozpacz i lęk.

Poddała mu się. Duszą i ciałem należała już do niego. Przylgnęła do zroszonego potem ciała męża, kołysząc się z nim coraz prędzej i coraz gwałtowniej, jak burza, z której wyszli cało.

Aż oboje rozpadli się na kawałki. Usłyszała jego niski pomruk, poczuła, jak chwyta jej pośladki i unosi je. Poczuła ostatnie, dzikie pchnięcie i przeszyła ją nagła błyskawica jasności i rozkoszy, jak wybuchająca gwiazda, która pochłania świat.

Przez długi czas leżała w bezruchu, niezdolna do sklecenia jednej myśli.

Nie wiedziała, co powiedzieć, nie wiedziała, co czuć.

Gdy wreszcie z ociąganiem rozwarła powieki, zobaczyła nad sobą jego oczy. Zanim odczytała w nich emocje, zamrugał i odwrócił wzrok. Przekręcił się na plecy i leżał cicho, gapiąc się w sufit.

Ona także leżała nieruchomo, wmawiając sobie, że zupełnie nie ma podstaw, by czuć się samotną i odrzuconą.

To nie było przeciwko niej. Taki już był, i Helena ostrzegała ją wyraźnie: gdy już raz użyje kobiety, staje się ona bezwartościowa.

Ale tylko dla niego, tłumaczyła sobie. Nie jest przecież bezwartościowa dla świata. Nie powinna się załamywać tylko dlatego, że pyszny książę odsunął się od niej i nawet na nią nie patrzy.

– To nie moja wina – wybuchnęła wreszcie i usiadła. – To ty chciałeś się ze mną ożenić. Mogłeś mnie mieć i bez ślubu. Sama na ciebie nastawałam. Nie ma sensu się teraz nad tym użalać. Dałam ci wszak szansę na zmianę zdania.

Podniósł się z poduszek, ujął w dłonie jej twarz i pocałował ją z mocą.

Zmiękła w jego ramionach i zarzuciła mu ręce na szyję. Opadł na poduszki, ciągnąc ją za sobą. Jego długie smukłe nogi splotły się z jej nogami. Wysysał z niej wątpliwości i strach długim, namiętnym pocałunkiem.

Zrozumiała, że jeszcze z nią nie skończył. Jeszcze nie nasycił swych żądz. Nawet gdy oderwał od niej wargi, wciąż błądził po jej ciele opuszkami palców.

– Jesteś zbyt uparty, by przyznać, że żałujesz tego wszystkiego – wyrzuciła mu z goryczą.

– To ty wciąż narzekasz, twierdzisz, że nie jesteś mnie warta, i szukasz drogi ucieczki – powiedział spokojnie.

Lydia przełknęła gorycz. Trudno. Jest z nim już związana na dobre i na złe. Musi teraz skupić się na dobrych stronach, wyciągnąć dla siebie jak najwięcej.

Nie będzie się zamartwiała, że książę może ją skrzywdzić. Da sobie z tym radę, jak zawsze. Życie nauczyło ją jednego: może znieść wszystko i przezwyciężyć wszelkie trudności.

Uniosła się na łokciu i napawała widokiem szczupłego, długiego ciała Ainswooda.

– Skupię się na zaletach – oznajmiła. – W łóżku na pewno nie mam na co narzekać.

Nie zdawała sobie sprawy, jak był napięty. Gdy wyznała mu prawdę, rozluźnił się i uśmiechnął. Nigdy wcześniej nie widziała tego uśmiechu. Pamiętałaby.

Łobuzerski, chłopięcy i bezbronny zarazem. Uśmiech, pod którym rozkwitały róże, jak powiedziała Helena.

Lydia czuła, jakby skąpała się w promieniach słońca. Bicie serca, które wreszcie się uspokoiło, przyśpieszyło gwałtownie na ten widok. Miała wrażenie, że opuszcza ją siła woli i rozsądku, że gotowa jest uwierzyć i zrobić dla niego wszystko.

– Wiesz co, Grenville? – powiedział. – Zdaje mi się, że jesteś mną zauroczona.

– Też mi odkrycie – prychnęła. – Uważasz, że wyszłabym za ciebie, gdybym nie była zauroczona?

– Jesteś we mnie zakochana?

– Zakochana? – Lydia wpatrywała się w niego przez chwilę. Była pisarką, słowa były jej narzędziem pracy. Zauroczona i zakochana nie są synonimami. – Zakochana? – powtórzyła z zadumą.

– Po wyścigu wyznałaś, że się do mnie przywiązałaś.

– Jestem też przywiązana do mego psa – odparła surowym tonem nauczycielki. – Doceniam jej inteligencję i wierność, akceptuję dopuszczalne wybryki. Byłoby mi przykro, gdyby spotkało ją coś złego. Czy to oznacza, że jestem w niej zakochana?

– Susan to pies.

– Z mojego doświadczenia wynika, że męski umysł nie różni się zbyt wiele od umysłu dobrze wyszkolonego psa…

– Jesteś okropnie uprzedzona. – Ainswood się uśmiechnął.

– Miłość wymaga zaangażowania serca i umysłu czy też duszy, jeśli wolisz. Zauroczenie jest odwrotnym stanem, podobnym do upicia się na umór.

– Wiesz, że kiedy prawisz kazania, jesteś absolutnie urocza?

– Zarówno zauroczenie, jak i upojenie wykluczają sprawne działanie umysłu – ciągnęła. – I wiążą się z błędnymi osądami.

– A może to tylko wtedy, gdy prawisz kazania na golasa? – zastanowił się książę. Omiótł spojrzeniem całą jej sylwetkę, od splątanych włosów aż do palców u stóp.

Skoro nie słuchał, co mówi do niego kobieta w zwykłych okolicznościach, jakże mogła się spodziewać, że będzie jej słuchał w łóżku?

Jego spojrzenie było pełne uznania. Lydia cieszyła się każdą chwilą. Uśmiechnęła się, by go nie zniechęcać. Potem odwróciła się i zeszła z łóżka, nie widziała więc, jak uśmiech rozwiał się i po twarzy księcia przemknął cień niepewności.

– Gdzie idziesz, Grenville?

– Umyć się – powiedziała, wchodząc za parawan, gdzie ustawiono dzban z wodą i miednicę.

– Od tyłu jesteś równie oszałamiająca jak z przodu, księżno – westchnął. – Masz…

Parawan stłumił jego głos. Choć z rozkoszą wysłuchałaby pochwał, zajęła się tym, co konieczne.

Prawie nie krwawiła, co jej nie zaskoczyło. Była młoda i w świetnej formie, wiedziała też, jak się ułożyć. Na udach miała jednak kilka krwawych smug i była lepka. Od jego nasienia.

Umyła się, w pełni świadoma, że rozlał w niej całą armię małych Mallorych, która nie potrzebuje żadnych specjalnych starań i za wszelką cenę będzie dążyła do kiełkowania. Nie ostrzegła go, że nie należy do szczególnie płodnej gałęzi. Nie spodziewała się zresztą, że wywoła to w nim jakąkolwiek reakcję. Nie dbał o ewentualne dzieci, które im się urodzą, bardziej niż o nią. Jej życie legnie w gruzach, jeśli zakocha się w tej bestii.

– Grenville.

– Będę gotowa za minutę.

Przez chwilę ciszę zakłócał plusk wody.

– Grenville, co masz na pośladku?

– Na pośladku? – zdziwiła się. – Ach! To znamię. Wiem, że wygląda jak tatuaż, ale urodziłam się z nim.

Prędko dokończyła mycie, wysunęła się zza parawanu i wpadła na rosłą, umięśnioną męską sylwetkę.

– Pokaż – zażądał. Minę miał nieprzeniknioną, głos obojętny.

– Po intymnej bliskości jesteś jeszcze bardziej irytujący niż przed. Powinnam…

– Odwróć się.

Zagryzła zęby i odwróciła się, choć czuła się jak dziwoląg na wystawie. Postanowiła, że odbierze od niego taką samą nagrodę. Najpóźniej za minutę.

– Tak sądziłem – mruknął pod nosem. Dotknął jej ramienia i delikatnie odwrócił ją ku sobie. – Wiesz, co to jest, kochanie?

Czułe słowo obudziło w niej czujność.

– Znamię, przecież mówiłam. Zresztą bardzo małe. Kształtu nie rozpoznaję. Mam jedynie nadzieję, że nie odczuwasz przemożnego wstrętu do tego rodzaju…

– Jesteś piękna – przerwał jej prędko. – A znamię pasuje do ciebie. – Pogłaskał opuszkami palców jej zaciśniętą szczękę. – Nie wiesz, co to jest, prawda?

– Chciałabym jedynie wiedzieć, czym moje znamię jest dla ciebie – odparła, intuicyjnie czując nadciągające kłopoty.

– Ach, niczym. – Odstąpił od niej. – Zupełnie nic dla mnie nie znaczy. Nie trap się tym. – Odwrócił się. – Będę musiał go po prostu zabić, to wszystko.

Wrócił do łóżka. Chwycił z podłogi nocną koszulę i wciągnął ją przez głowę. Wieczorem obie leżały elegancko złożone na poduszkach. Jego spadła na podłogę w szale ich uniesienia. Jej skotłowała się w bezładną kupkę pomiędzy poduszkami.

Lydia nie próbowała nawet zrozumieć, o co mu chodzi. Podbiegła do łóżka, wyszarpnęła swoją koszulę i zaczęła ją strzepywać. Vere bez słowa wymaszerował na korytarz. Ubrała się w pośpiechu i pobiegła za nim.

* * *

– Słyszałem plotki o jej pochodzeniu – mruczał pod nosem Vere. – Krokodyle z Borneo! A Trent próbował mi powiedzieć!

– Ainswood! – szepnęła teatralnie jego żona.

Odwrócił się. Stała w progu ich sypialni.

– Wracaj do łóżka – powiedział. – Zajmę się tym.

Ruszył przed siebie. Zatrzymał się przy sypialni Daina i załomotał w drzwi.

– Lord Wszechmogący! Wszechwiedzący! – burczał. – *Portret mego ojca, pamiętasz Ainswood?* Bardzo zabawne. Paradne!

Drzwi się otworzyły i stanął w nich jego arogancki przyjaciel, olbrzymi, smagły pół-Italczyk.

– Ach, Ainswood. Jednak przyszedłeś po radę. – Belzebub uśmiechnął się drwiąco.

Jej uśmiechem. Jak Vere mógł tego wcześniej nie zauważyć?

Wykrzywił wargi.

– Nie mógłbyś nazwać jej włosów złotymi, co? Nie jest Francuzką? Krokodyle z Borneo? Wiedziałeś, makaronowy draniu!

Belzebub spojrzał ponad jego ramieniem. Ukradkowe zerknięcie uświadomiło Ainswoodowi, że jego żona nie wróciła posłusznie do łóżka, lecz zbliżała się ku nim prędko. Boso. Ona go naprawdę wykończy.

– Grenville, powiedziałem ci, że sam się tym zajmę – parsknął z irytacją. Belzebub uśmiechał się z rozbawieniem.

Panna młoda stanęła z boku, skrzyżowawszy ramiona na piersiach, i wpatrywała się w męża z zaciętą miną.

W tej samej chwili lady Dain stanęła obok swego męża.

– Niech zgadnę – powiedziała. – Nie powiedziałeś nic Ainswoodowi, choć obiecałeś mi, że zrobisz to przed…

– Niech to zaraza porwie! – wycedził Vere. – Najwyraźniej cały świat już wie! Niech diabeł porwie twoją duszę, Belz! Nie dbam o własne uczucia, ale mógłbyś wziąć pod uwagę moją żonę! Biedaczka…

– Mam nadzieję, że nie mówisz w ten sposób o mnie – ucięła Grenville lodowatym tonem. – Nie wiem, czy doznałeś udaru, czy masz wrodzoną wadę mózgu, ale…

– Ach, nie powiedział ci niczego? – Dain uśmiechnął się jeszcze szerzej. – Pan młody wskoczył w koszulę i wypadł z sypialni, nie wyjaśniając, co wzbudziło w nim taki zamęt? To u niego typowe, niestety. To dlatego, że w swym durnym łbie nie umie utrzymać naraz dwóch myśli.

– Proszę, proszę – prychnęła lady Dain. – Przyganiał kocioł garnkowi.

Dain spojrzał na nią surowo.

– Wracaj do łóżka, Jessico.

– Nigdy w życiu i za żadne skarby. – Spojrzała na Vere’a. – Umieram z ciekawości, co odkryłeś.

– Próbowaliśmy z Sellowbym wszystkiego. Kiedy Trent lamentował i paplał, podsuwaliśmy ci wskazówki dotyczące hrabiego Blackmoora. Pamiętasz? Charles, kawaler ze złotymi lokami?

Vere usłyszał, jak jego żona gwałtownie wciąga powietrze. Dain spojrzał na nią.

– Jesteś bardzo podobna do mego przystojnego przodka. Gdyby Trent ujrzał też portret mego ojca, jego opowieść nabrałaby więcej sensu i może obyłoby się bez Karola II. Niestety, jego wizerunek z młodzieńczych lat dostał się w łapy diabelskiego nasienia, to znaczy mego syna, Dominicka.

Kiedy Trent do nas przyjechał, obraz był w naprawie. W innym wypadku Bertram doszedłby zapewne do wniosku, że mój nieodżałowany ojczulek, gdyby był kobietą, wyglądałby tak jak ty… kuzynko.

* * *

Zwykle nawet strzał armatni nie był w stanie obudzić Bertiego. Jednak tej nocy dręczyły go wizje damy w okularach podgryzanej przez stado krokodyli, uciekającej w panice przed przystojnym kawalerem o złotych lokach.

Dlatego zamęt w korytarzu przedarł się do jego świadomości, poderwał go z poduszki i wyciągnął z łóżka. Mężczyzna znalazł szlafrok, kapcie i tak przyzwoicie odziany otworzył drzwi, aby usłyszeć przemowę Daina zakończoną wyrazem: „kuzynko”.

Zanim Bertie zdążył przetrawić informacje, czwórka z korytarza zniknęła w sypialni Dainów. Trent chciał wrócić do pokoju, by zastanowić się nad tym, co podsłuchał, lecz w końcu korytarza zamajaczył mu biały obłok.

Po chwili zza rogu wychyliła się głowa damy w okularach w otoczeniu białych strzępków koronki, a drobna dłoń kiwnęła na niego.

Przez chwilę mocował się ze sobą, lecz wreszcie ruszył ku dziewczynie.

– Co się stało? – szepnęła nagląco panna Price. Jej głowę okrywał ozdobiony koronką kaptur szlafroka. Szerokie poły rękawów i obszerny dół zasłaniały ją całą z wyjątkiem dłoni i twarzy, resztę pozostawiając imaginacji obserwatora.

– Nie jestem pewien. – Bertie gwałtownie zamrugał. – Słyszałem tylko końcówkę. Wygląda na to, że byłem na dobrej ścieżce, ale zacząłem od złej strony. Nie chodziło o kawalera z obrazu, lecz ojca Daina. Dain zwrócił się do niej: „kuzynko”, co mnie trochę zaskoczyło. Myślałem, że jest jego siostrą… to znaczy… – Jego twarz okryła się purpurą i odruchowo chciał poprawić fular. Odkrył, że nie ma go na sobie, i twarz poczerwieniała mu jeszcze bardziej. – Miałem na myśli przyrodnią siostrę, po mieczu, jeśli wie pani, co mam na myśli.

Panna Price przez chwilę patrzyła na niego w skupieniu.

– Nie chodziło o kawalera – powtórzyła powoli. – Ale o ojca lorda Daina. Naprawdę?

– Panna Grenville wygląda identycznie jak on – potwierdził z zapałem Trent.

– Panna Gren… chciałam powiedzieć, księżna Ainswood jest podobna do poprzedniego hrabiego.

– A Dain mówi do niej: kuzynko. To wszystko. Potem zamknęli się w pokoju. – Machnął dłonią. – Pełno ich tam. I co pani z tego rozumie? Skoro Dain już wcześniej się zorientował, to dlaczego nic nie powiedział? A może to był jakiś żart, którego ja nie rozumiem, bo skoro powiedział do niej: kuzynko, to raczej nie próbuje się jej wyprzeć, prawda?

Jej bystre spojrzenie omiotło drzwi sypialni Daina.

– Żart – powtórzyła. – To mogłoby wiele wyjaśniać. Kiedy go ujrzałam, od razu dostrzegłam podobieństwo. I to ich przenikliwe spojrzenie. Ale pomyślałam, że moja fantazja posuwa się za daleko. – Spojrzała na Bertiego. – To był naprawdę ekscytujący dzień i wygląda na to, że trafił nam się zdumiewający finał tej historii. Kto by pomyślał, że panna Grenville, to jest Jej Wysokość, jest krewną dobrego przyjaciela księcia!

– Najlepszego – sprostował Bertie. – Dlatego zdumiało mnie, kiedy Dain powiedział, że ja mam być drużbą, i wyjaśnił Ainswoodowi, że ciągnęliśmy zapałki, choć wcale nie ciągnęliśmy. Dain postanowił, że to właśnie on poprowadzi pannę młodą do ołtarza, a z nim się nikt nigdy nie kłóci. Z wyjątkiem Ainswooda, ale jego z nami nie było.

Wielkie oczy panny Price lśniły oślepiająco zza okularów.

– Myślałam, że ona nikogo nie ma i jest zupełnie sama na świecie, ale okazało się, że nie. Krewny poprowadził ją do ołtarza! – Przełknęła ślinę i zamrugała. – Cieszę się, że nic nie wiedziałam. Płakałabym przez całą ceremonię. To wszystko jest takie… poruszające. Tak miło z jego strony! A ona zasługuje na to wszystko, wie pan? Jest najmilszą, najlepszą… – Głos jej się załamał.

– Och, proszę nie płakać… – przeraził się Bertie.

Wyjęła chusteczkę z przepastnych fałdów szlafroka i prędko otarła łzy.

– Proszę mi wybaczyć. – Głos panny Price drżał. – Jestem taka szczęśliwa! Czuję ogromną ulgę.

Bertie także czuł wielką ulgę – gdy przestała płakać.

– Tak, cóż, sądzę, że to rzeczywiście był bardzo ekscytujący dzień i domyślam się, że potrzebuje pani odpoczynku. Nie wspominając o tym, że stoimy tu w przeciągu, a pani jest w stroju… domowym i jeszcze się pani

przeziębi. Ponadto większość gości jest już pijana w sztok i nie wiadomo, co jeszcze może im przyjść do głowy.

Patrzyła na niego przez chwilę i roześmiała się cicho.

– Ależ z pana psotnik, sir Bertramie. Co im przyjdzie do głowy, doprawdy. Ci upojeni panowie zemdleliby z wyczerpania, zanim znaleźliby mnie w tym, jak się pan wyraził, domowym stroju. – Znów zachichotała.

Bertie nie miał wątpliwości, że on sam znalazłby ją prędko, zwłaszcza że stała tak blisko. Jej oczy lśniły rozbawieniem, jakby był najzabawniejszym facetem w Królestwie, a policzki pokryły się rumieńcem, co z kolei sprawiło, że mężczyzna utwierdził się w przekonaniu, iż panna Price jest najpiękniejszą dziewczyną na ziemi. Uświadomił sobie, że najpierw ją straszy, a potem trzyma na korytarzu, ukłonił się więc i chciał odejść. Ale się potknął i nagle trzymał w ramionach wielkie kłębowisko białej materii, a miękkie wargi spoczywały na jego ustach. Jaskrawe, barwne światła zawirowały nad głową biednego Trenta.

* * *

W tej samej chwili Lydia rozglądała się za czymś ciężkim. Chętnie walnęłaby kuzyna w tępy łeb, aż zobaczyłby wszystkie gwiazdy. Doprowadzał ją do szału.

– Dain może snuć rodzinne historie tygodniami – westchnęła lady Dain. Siedziały z Lydią przy kominku, trzymając kieliszki z szampanem. – Udaje, że go to nudzi, robi sobie żarty, ale tak naprawdę to jego konik.

– Nie mam się jak przed tym bronić! – wykrzyknął z pretensją Dain. – Wszędzie kilometry regałów z książkami, pudłami i dokumentami. Ballisterowie gromadzili od wieków każdy świstek o jakiejkolwiek wartości historycznej. Ojciec nie zdobył się nawet na całkowite wymazanie twej matki z historii naszej rodziny. Jednak Jess i ja nigdy nie dokopalibyśmy się do tego, gdyby Sellowby nie naprowadził nas na trop. Dostrzegł cię w tłumie po naszym ślubie, zauważył podobieństwo do mego ojca i jego przodków. Napisał do nas jednak dopiero po waszym uroczym spotkaniu w Vinegar Yard. Wszystkie plotki, jakie słyszał, oraz powtarzane co i rusz opinie o Grenville z „Argusa” przekonały go o naszym pokrewieństwie.

– Gdybyście tylko wiedzieli, jak bardzo go unikałam – rzekła Lydia z goryczą. – I wszystko na nic. Przysięgam, musi mieć w sobie coś z ogara.

– Na Boga, Grenville! Czy to dlatego właziłaś do domu Heleny przez okno, a nie jak normalny człowiek? – zdumiał się Ainswood. – Ryzykowałaś skręcenie karku, byle tylko uniknąć spotkania z Sellowbym?

– Nie chciałam podsycać jego ciekawości.

Wszyscy patrzyli na nią z wyczekiwaniem, nie mogła jednak powiedzieć nic więcej. Ci, którzy oglądali ostateczne poniżenie matki i jej drogę przez mękę, już dawno nie żyją. Anna Ballister pochodziła z dalekiej gałęzi rodziny. Nie znano ich w wielkim towarzystwie. Smutna historia jej życia zakończyła się z dala od ciekawskich spojrzeń elity. Ich uwagę przyciągały skandale osób postawionych znacznie wyżej. Jak książę Walii.

Lydia trzymała upadek matki w sekrecie. Nie chciała, by jej nieszczęsne, pełne cierpienia życie było tematem plotek przy herbatce.

– Teraz na pewno wszystko się wyda – domyślił się Ainswood. – Zdumiewa mnie, że Sellowby tak długo gryzł się w język. Nie oczekujmy, że będzie milczał na wieki.

– Szczegółów nie zna – zauważył Dain. – Grenville nie jest częstym nazwiskiem. Wystarczy mówić, że jej rodzice pokłócili się z resztą rodu i wyjechali, a potem ślad po nich zaginął. Nikt nie wiedział nawet, że mieli córkę. To wystarczające wyjaśnienie dla plotkujących bab.

– Chciałabym o coś dopytać – lady Dain zwróciła się do Lydii. – Wciąż nie wiemy, jak Jego Wysokość dokonał tego zdumiewającego odkrycia.

– Wniosek ów wysnuł bezpośrednio z mojego znamienia.

Wargi lady Dain zadrżały lekko. Spojrzała na męża. Belzebub wyglądał jak skamieniały.

– Niemożliwe – wydukał.

– To samo pomyślałem – przyznał Ainswood. – Nie mogłem uwierzyć własnym oczom.

Dain spoglądał to na druha, to na kuzynkę.

– Jesteś pewny? – zapytał wreszcie.

– Rozpoznałbym ten kształt z daleka. „Znak Ballisterów”, jak nas wiecznie pouczałeś w szkole. Jedyny i niepodważalny dowód na to, że twoja matka nie zdradzała ojca. A kiedy Charity Graves posądziła cię o spłodzenie piekielnego Dominicka, sam pojechałem do Athton, żeby się przekonać, czy nie jest mój. I była na swoim miejscu. Mała, ciemna kusza.

Spojrzał ostro na Daina.

– Nie miałem pojęcia, że kuzynka ma takie samo znamię, przysięgam – bronił się Dain. – Byłem zresztą przekonany, że miewają je wyłącznie mężczyźni. – Uśmiechnął się lekko. – Jakże żałuję, że ojciec tego nie dożył. Święty znak Ballisterów na kobiecie! Córce nikogo i dziewczyny, o której chciał jak najszybciej zapomnieć. Padłby na apopleksję, gdyby to usłyszał. A ja znów byłbym w siódmym niebie.

Spojrzał na księcia z rozbawieniem.

– To co? Zaczniesz się już bawić tym niewinnym żartem? Czy brzydzi cię fakt, że jesteśmy teraz rodziną? Jeśli nie chcesz Ballisterówny za żonę, z radością zabierzemy ją ze sobą.

– Nie sądzę – burknął Ainswood. Opróżnił szklankę i odstawił ją. – Nie po to przeżyłem pięć tygodni niekończącego się horroru, żeby teraz ją wam oddać. Biedna znajda, też mi coś. A co do ciebie, Grenville – dodał z irytacją – ciekaw jestem, dlaczego nie złamałaś mu nosa. Z ciebie też zakpił, a jeszcze przed chwilą drżałaś na myśl o swej prostackiej krwi. Widzę, że te rewelacje przyjmujesz ze spokojem.

– Znam się na żartach. W końcu wyszłam za ciebie, prawda? – Odstawiła kieliszek, wstając. – Nie wolno nam trzymać lady Dain całą noc. Potrzebuje teraz wiele snu.

Lady Dain również się podniosła.

– Nie zdążyłyśmy porozmawiać – poskarżyła się. – Nie sądzisz chyba, że z przyjemnością uczestniczę w dyskusjach tych hałaśliwych troglodytów, wciąż udowadniających sobie, który jest lepszy. Musisz jutro jechać z nami do Athcourt.

– Musisz bez wątpienia – potwierdził Dain. – To w końcu nasze rodowe gniazdo.

– Ja także posiadam rodowe gniazdo. – Ainswood otoczył Lydię ramieniem. – To twoja kuzynka, Dain, i to daleka. Teraz należy już do Mallorych i nie dbam o to, co jest wyciśnięte na jej…

– Może następnym razem – ucięła Lydia. – Mamy wiele spraw do ustalenia z Ainswoodem, a ponadto muszę dokończyć materiał dla „Argusa”, który…

– Owszem, wiele do ustalenia – przerwał jej mąż oschle.

Pożegnali się prędko i już wychodzili, gdy zawołała ich jeszcze lady Dain. Zatrzymali się. Dama podbiegła, wcisnęła w dłonie Lydii mały pakunek i pocałowała ją w policzek.

Dziennikarka odpakowała paczuszkę dopiero w sypialni.

Cichy szloch wyrwał się z jej piersi.

– Dobry Boże, co to jest?! – przeraził się Ainswood.

Wpadła w ramiona księcia.

– Pamiętnik mojej matki. – Wtuliła twarz w fałdy jego nocnej koszuli. – Oddali mi pamiętnik mamy…

Głos jej się załamał, a wraz z głosem budowana latami i z wysiłkiem utrzymywana zbroja. Przyciskając pamiętnik do piersi, szlochała jak dziecko.

Rozdział 14

Pamiętnik Anny Ballister.

Nie mogę wprost uwierzyć, że skończyłam dziś dziewiętnaście lat. Wydaje mi się, że od dnia, w którym opuściłam dom mego ojca, minęło raczej dwadzieścia lat, a nie dwadzieścia miesięcy.

Ciekawa jestem, czy ojciec pamięta o moich urodzinach. Zarówno on, jak i jego kuzyn, lord Dain, postanowili wymazać mnie z rodzinnych kronik, lecz pamięć nie ulega tak łatwo. Nietrudno jest dotrzymać słowa i nigdy więcej nie wypowiadać imienia córki, jednak wspomnienia nie poddają się sile woli, nawet Ballistera, i wracają czasem wiele lat po czyjejś śmierci. Dosłownej czy też symbolicznej.

Żyję, ojcze, i mam się dobrze, choć twe życzenie niemal się spełniło, gdy wydawałam na świat najdroższą mą córkę. Nie było mnie stać na modne londyńskie akuszerki i pomagała mi sąsiadka nie starsza ode mnie, która jednak urodziła już troje dzieci. Gdy znów nadejdzie czas Alicji Martin, ja pomogę jej w zamian.

Cudem przetrwałam gorączkę połogową, co do tego zgadzają się wszystkie mądre matrony z okolicy. Ja wiem, że to nie był cud, lecz siła woli. Nie mogłam poddać się Śmierci, choć wabiła mnie i nalegała. Nie mogłam porzucić córki i zostawić jej z kłamliwym, samolubnym człowiekiem, za którego wyszłam.

Nie wątpię, iż John żałuje, że przeżyłyśmy – ja i Lydia. Był przez to zmuszony do przyjmowania nędznych rólek i, co gorsza, nauczenia się tych kilku linijek tekstu. Upewniłam się, że wszystkie gaże będą trafiały bezpośrednio do moich rąk. W innym wypadku każdy grosz zostałby przeznaczony na wino, kobiety i karty, a Lydia umarłaby z głodu. John narzeka bez ustanku, wyrzuca mi, że jego życie stało się nie do zniesienia, i przeklina dzień, w którym mnie uwiódł.

Ja zaś płonę ze wstydu na myśl o tym, że dałam się uwieść. Że byłam tak głupia i zaślepiona. Niestety, gdy uciekłam z domu, wciąż byłam dziewczynką i nic nie wiedziałam o świecie. Choć gałąź naszej rodziny jest

wiotka i nieznacząca, jednak wychowywana byłam z troską, pod kloszem i odcięta od świata, jak każda książęca córka. Z tego powodu byłam tak naiwna. Byłam aż nazbyt łatwym celem dla przystojnego i złotoustego łajdaka, Johna Grenville'a. Skąd mogłam wiedzieć, że jego pełne uniesienia przemowy i skrzące się od łez oczy to nie miłość, lecz… gra?

On zresztą nie był ode mnie mądrzejszy. Zdawało mu się, że będę jego biletem do życia w bogactwie i zbytkach. Myślał, że zna angielską arystokrację, bo grywał szlachciców w teatrze. Nie przyszło mu do głowy, że dumny ród Ballisterów odepchnie na zawsze upadłą córkę, której przez całe siedemnaście i pół roku życia niczego nie brakowało. Szczerze wierzył, że rodzina go przyjmie: człowieka, który w żadnej mierze nie spełniał warunków bycia dżentelmenem, a swoje nędzne pochodzenie i brak manier uzupełniał etykietką podrzędnego aktora.

Gdybym była świadoma tej ułudy, rozwiałabym nadzieje Johna przed ślubem. Żyłam jednak w przekonaniu, że on wie równie dobrze jak ja, że ucieczka z domu zerwie wszelkie więzi łączące mnie z Ballisterami. Wszak było dla mnie oczywiste, iż powrotu nie będzie. Że będziemy zdani na siebie.

Żyłabym przy nim szczęśliwa – w biedzie i głodzie – gdyby łączyły nas miłość i wspólnota dusz. Zniosłabym wszystkie niedogodności, gdybyśmy walczyli z nimi razem. Jednak walka nie leży w jego naturze. Jakże żałuję, że nigdy nie nauczono mnie umiejętności mogącej przynieść jakiś zysk! Sąsiedzi płacą mi za pisanie listów – jakże niewielu potrafi napisać choćby własne imię! Trochę szyję, jednak nie mam do tego talentu, a tych, którzy głodują tu ze mną, nie stać na wynajmowanie nauczycielki dla dzieci. Nie licząc więc marniutkich groszy, które czasem dorobię, muszę polegać na Johnie.

Czas kończyć, gdyż, doprawdy, jedynie narzekam. Moja śliczna Lydia budzi się z drzemki i niebawem znudzi ją gaworzenie. Powinnam pisać wciąż o niej: jaka jest piękna, bystra i dobrze ułożona. To najwspanialsze dziecko pod słońcem. Jakże mogę narzekać na cokolwiek, mając ją?

Tak, skarbie, słyszę Cię. Mama już idzie.

Lydia zatrzymała się po pierwszym wpisie, bo czuła, że znów zaczyna tracić nerwy. Głos jej drżał, wargi dygotały. Siedziała na łóżku, opierając się o poduszki, które poukładał dla niej książę. Przyciągnął też do łóżka

mały stolik i ustawił na nim wszystkie świece, by miała dobre światło do czytania.

Odszedł dyskretnie do okna i spoglądał na dziedziniec. Odwrócił się ze zdumieniem, gdy usłyszał, jak Lydia czyta na głos. Sama była zdziwiona.

W pierwszej chwili przewracała kartki w milczeniu, prędko, wygłodniała słów, które uleciały już z jej pamięci, których w dzieciństwie nawet nie rozumiała. Zdania przelatywały jej przed oczami jak mgnienie nie dlatego, iż już je znała, lecz dlatego że przypominały sposób mówienia matki. Wkrótce też w wyobraźni zaczęła słyszeć jej miękki głos, podobnie jak słyszała głos roli, którą miała odgrywać, i wystarczyło już tylko otworzyć usta, by przemówić jak ktoś zupełnie inny. Wcale nie chciała tego robić. To zawsze samo wychodziło.

Chyba zapomniała, że Ainswood w ogóle jest w pokoju, lub była zbyt skoncentrowana na przeszłości, by zwracać uwagę na teraźniejszość. Przejrzawszy prędko cały pamiętnik, uspokoiła się, wróciła do pierwszej strony i zaczęła czytać głosem matki, który wrócił do niej znienacka jak klejnot z pozoru utracony na zawsze.

Tak, skarbie, słyszę Cię. Mama już idzie.

Zawsze ją słyszała. Zawsze przychodziła. Lydia pamiętała to tak wyraźnie. Zrozumiała, co Mary Bartles czuła do swego dziecka: czystą, nieposkromioną, wieczną miłość. Lydia wiedziała, że to się zdarza. Żyła w raju matczynej miłości przez dziesięć lat.

Ściskało ją w gardle. Przez mgłę przesłaniającą jej oczy nie widziała już liter.

Usłyszała kroki. Materac ugiął się, gdy Ainswood siadał na łóżku.

– Biedaku, chyba nie o takiej nocy marzyłeś – wyjąkała. – Musisz słuchać moich szlochów.

– Możesz od czasu do czasu być człowiekiem – odparł łagodnie. – Czy jest jakieś prawo Ballisterów, które tego zabrania?

Usiadł tuż przy niej i objął ją ramionami, przyciągając ku sobie. Wiedziała, że to nie jest raj prawdziwej miłości, a jednak przez chwilę poczuła się bezpiecznie.

– Uwielbiała mnie – powiedziała Lydia, ocierając łzy.

– Oczywiście – potwierdził. – Na swój straszliwy sposób potrafisz być nawet czarująca. Ona także była Ballisterówną, więc na pewno doceniała twą charakterystyczną osobowość lepiej niż obcy. Tak jak Dain. On nie

widzi w tobie nic dziwacznego – powiedział ze smutkiem i z rezygnacją. Już dawno uznał przyjaciela za szaleńca.

– Nie ma we mnie nic dziwacznego. – Postukała palcem w kartkę. – Tu to masz, czarno na białym. Jestem najwspanialsza pod słońcem.

– Tak, bez wątpienia. Chciałbym usłyszeć, co jeszcze pisała o tobie. Może udziela w którymś miejscu rady, jak postępować z kimś tak wspaniałym. – Trącił ją ramieniem. – Czytaj, Grenville. Jeśli to jej głos, to doprawdy jest kojący.

Głos matki był kojący.

Lydia zaś czuła się ukojona jego bliskością, żartami i silnym ramieniem, którym ją obejmował.

Czytała dalej.

* * *

Drżące światło poranka powoli rozjaśniało mrok, gdy Grenville zamknęła pamiętnik i ziewając, stoczyła się z poduszek księcia na swoje. Nie odwróciła się do niego, ale nie protestowała, gdy wtulił się w jej plecy. Zanim ułożył ją w swoich ramionach, już spała, równo oddychając.

Choć zazwyczaj kładł się do łóżka, gdy reszta społeczeństwa właśnie wstawała albo była już w pracy, czuł zmęczenie większe niż na co dzień. Był przyzwyczajony do życia na krawędzi, ciągłego nadwerężania się, szukania guza i niebezpieczeństw, lecz ostatnie wydarzenia dały mu w kość. Ponadto wciąż nie mógł się pozbyć uczucia dziwnego niepokoju.

Cisza i półmrok powinny mu były w tym pomóc, tymczasem zdawało mu się, że jest samotnym żeglarzem wyrzuconym wraz z łódką na skały po długiej walce z gniewnym oceanem. Może i zdołałby zawinąć do bezpiecznego portu, gdyby nie ten niewielki notes.

Jego treść była jak najeżone skałami zdradliwe dno zatoki.

Przynajmniej tuzin razy, gdy słuchał zmienionego głosu żony, miał ochotę wyrwać jej pamiętnik z dłoni i wrzucić go w ogień.

Nie mógł znieść chłodnej ironii i odwagi, z jaką Anna Grenville opisywała swe okropne doświadczenia. Żadna kobieta nie powinna potrzebować tak wielkiego opanowania, żadna nie powinna walczyć z życiem, które wszystko odbiera, a nie daje niczego w zamian. Żyła z dnia na dzień, nie wiedząc, kiedy wtrącą ją do więzienia, odwiedzi je komornik

albo czy wieczerza, którą jedzą, nie okaże się ostatnia. A jednak stroiła żarty ze swej nędzy i opisywała podłość swego męża za pomocą barwnych anegdot, jakby chciała zakpić z Losu, który tak brutalnie się z nią obszedł.

Tylko raz, na samym końcu, napisała coś, co jakkolwiek przypominało błaganie o pomoc. I bynajmniej nie dla siebie. Te ostatnie, prawie nieczytelne linijki skreślone tuż przed śmiercią, lśniły przed jego oczami, jakby wypalono je żelazem: *Ojcze Niebieski, troszcz się o moje dzieci*.

Chciał odsunąć od siebie jej historię, jak odpychał wszystko, co go dręczyło, ale nie mógł. Utknęła w nim i zapuściła korzenie jak uparty chwast.

Pełne niewinności słowa kobiety nieżyjącej od osiemnastu lat przeszyły mu duszę na wylot. Czuł się jak leń i tchórz. Ona znosiła wszystko dzielnie i z humorem, a on nie potrafił stawić czoła temu, co wydarzyło się w jego noc poślubną.

Z ulgą i zażartością rzucił się na okazję kłótni z Dainem, by uciec przed prawdą. Jakby świadomość, która go nagle olśniła, była torturą nie do zniesienia. A przecież nie była. To tylko on okazał się słaby.

Pragnął Grenville, jak nigdy dotąd nie pragnął żadnej kobiety. Jak mógł zatem oczekiwać, że kiedy w końcu weźmie ją do łoża, będzie tak samo jak z innymi?

Z innymi tylko kopulował.

Ze swą żoną kochał się całym sercem.

To ona jest pisarką i będąc na jego miejscu, znalazłaby zapewne setki metafor, by opisać, jak się czuł i dlaczego tak niezwykle.

Ainswood nie znał metafor. Był za to lubieżnikiem z doświadczeniem znacznie bogatszym, niż ktokolwiek powinien mieć. Z doświadczeniem, które powinno mu ułatwić opisanie tej zdumiewającej różnicy. I wystarczająco inteligentnym, by zrozumieć, że jego serce było tym razem bardzo zaangażowane. I znał słowo, opisujące ten stan.

– Zakochałaś się we mnie? – zapytał ją z uśmiechem, jakby sama możliwość była niedorzeczna. I musiał dalej żartować i droczyć się z nią, czując to nieznośne ukłucie w sercu, ból w piersi i ucisk w gardle, gdy nie odpowiedziała tak, jak skrycie pragnął.

Ból, to wszystko. Miłość zawsze sprawia ból.

Czymże był jego ból w porównaniu z tym, co przecierpiała Anna Grenville? Co musiała wycierpieć jej córka? Nie wspominając już o tym, że

znał teraz zaledwie fragment jej historii. Mały notatnik mieścił się w jego dłoni. Stroniczki kryły w sobie tak niewiele – kilka odstręczających spraw, opisywanych nieregularnie, w dużych odstępach czasu. Wiedział, że to zaledwie strzęp historii.

Nie chciał wiedzieć nic więcej. Nie chciał czuć się jeszcze słabszy niż teraz. Słaby, samolubny, nikczemny i… ślepy.

Skoro jednak Grenville zdołała przeżyć to wszystko, on musi poradzić sobie z wysłuchaniem jej historii. Nie od niej. Nie chciała grzebać się w przeszłości. Nie zamierzał jej do tego zmuszać.

Dain na pewno będzie wiedział coś więcej i powie mu – czy mu się to podoba, czy nie. Ainswooda dręczyło zbyt wiele pytań. Przyjaciel może zrobić dla niego tę jedną rzecz i odpowiedzieć na niektóre z nich.

Uda się do niego od razu po przebudzeniu, postanowił, i jeśli to będzie konieczne – wytłucze z Lorda Wszechwiedzącego wszystkie informacje.

Ułożywszy wreszcie satysfakcjonujący plan, książę Ainswood zapadł w sen.

* * *

Vere nie musiał szukać Daina. W południe, dowiedziawszy się od Jaynesa, że państwo już wstali, Belzebub sam zaprosił go do swojej jadalni, podczas gdy panie jadły śniadanie w sypialni Dainów.

– Jessica prawie pękła z ciekawości – wyjaśnił Dain, schodząc ze schodów. – Zorganizowała sobie randkę z moją kuzynką, w czasie której zapewne podzieli się z nią doświadczeniem w tajnej sztuce torturowania mężów. Trent zabrał pannę Price do Portsmouth, by kupić jakieś fatałaszki, bez których – zdaniem mojej żony – twoja pani nie będzie mogła się dziś obyć. A wszystko po to, by nie przeszkadzał nam w śniadaniu. Zabierzemy ich oboje do Athcourt. Musisz przeorganizować swoje gospodarstwo i Trent w domu nie będzie ci już potrzebny. Nie to, żebym chciał mieć go u siebie, ale ktoś musi mieć go na oku. Zresztą jemu będzie wszystko jedno. Zdaje się, że okazał pierwszy przebłysk inteligencji, zakochując się w pannie, która jako jedyna we wszechświecie wie, jak sobie z nim radzić.

Vere zatrzymał się na schodach.

– Zakochał się? Jesteś pewny?

– Oczywiście, że nie. Skąd miałbym mieć pewność? Jak dla mnie wygląda i brzmi równie idiotycznie jak zwykle, ale Jessica zapewnia mnie, że zakochał się po uszy.

Poszli dalej. Dain obliczał, ile przeznaczy na wiano dla panny Price, jeśli ta ulituje się nad Trentem i będzie chciała za niego wyjść. Vere nie mógł się na tym skupić. Zastanawiał się z lękiem, czy lady Dain odkryła symptomy zakochania także u innych towarzyszy męża.

– Jesteś dziś zdumiewająco milczący – ocenił Dain, gdy usiedli przy stole. – Od pięciu minut nie pisnąłeś ani słowa.

Wszedł sługa i panowie zamówili śniadanie. Gdy wyszedł, Vere oznajmił:

– Chciałbym, żebyś powiedział mi wszystko, co wiesz o Grenville.

– Właśnie zamierzałem to uczynić, niezależnie od twego kaprysu. Chcesz czy nie, musisz to usłyszeć – powiedział stanowczo Dain. – Planowałem stłuc cię do nieprzytomności, ocucić i złożyć twe bezwładne ciało na krześle. Uznałem, że w stanie otępienia będziesz łatwiej przyswajał tę historię, a może nawet i radę, której na koniec zamierzam ci udzielić.

– Ciekawe. Ja ułożyłem podobny plan, na wypadek gdybyś chciał mnie zbywać półsłówkami.

– Tym razem dam ci fory. Ożeniłeś się z moją kuzynką, przywracając ją na właściwe miejsce. Co więcej, twoje motywy – nawet jeśli nie były szlachetne – to nie były też całkiem podłe. Byłem szczerze wzruszony twym świętym brakiem zainteresowania dla jej pochodzenia. – Uśmiechnął się lekko. – Być może „święty” nie jest słowem, którego chciałem użyć. Mimo to jestem poruszony i głęboko zdumiony doskonałym gustem, którym wykazałeś się pierwszy raz w swym mizernym życiu. Śliczna z niej dziewczyna, prawda? Kobiety Ballisterów są bardzo ładne. Zawdzięcza swą urodę dziadkowi od strony matki. Frederick Ballister i mój ojciec w młodości wyglądali zupełnie tak samo. Jednak Frederick zapadł na późną ospę, która mocno zniekształciła jego rysy. Dlatego Anne porównywała swą córkę do mego ojca zamiast do własnego. Pewnie nie wiedziała, że Frederick był najpiękniejszym Ballisterem, jakiego nosiła ziemia. Nie odnaleźliśmy jeszcze portretu Anne, ale jeśli taki istnieje, Jessica na pewno go wyszpera. Ma zdumiewający talent do odnajdywania rzeczy.

Vere wiedział, że jedną z „rzeczy”, które lady Dain odnalazła – i kazała mężowi zatrzymać – był jego nieślubny syn, Dominick. Ta myśl przejęła

księcia zimnym dreszczem i wzbudziła echa z ciemnej otchłani pamięci Ainswooda, w której upychał sieroty i inne stworzenia wymagające opieki i ochrony. Wstrząsnął się i postanowił nazwać nieprzyjemne uczucie głodem. Niecierpliwie spojrzał na drzwi.

– Gdzie ten sługa? – zirytował się. – Ile może zająć przyniesienie kufla piwa?

– Służba miała dziś okropne zamieszanie przy pomaganiu gościom weselnym. Choć nazwałbym to raczej przetaczaniem zwłok. Gdy tu przyszedłem w południe, cała jadalnia zasłana była śpiącymi. Przywołało to setki wspomnień z naszych wspaniałych lat w Oksfordzie.

Służący wrócił wreszcie z pomocnikiem. Uginali się obaj pod ciężarem tac, choć posiłek miał być tylko dla dwóch mężczyzn. Jednak byli oni rośli ponad wszelką miarę, a apetyty dorównywały ich rozmiarom.

Minęło kilka chwil, zanim służba zniknęła i Dain mógł wrócić do swojej historii. Na szczęście nie rozdrabniał się i nie ozdabiał opowieści sentymentalnymi dodatkami. Opowiedział to właśnie, tak jak życzył sobie w duchu Vere, jak przyjaciel przyjacielowi, trzymając się faktów, przedstawiając je w kolejności i nie bawiąc się w dygresje.

Niestety, odarcie opowieści z ozdobników nie pozbawiło jej tragizmu. Vere zupełnie stracił apetyt, nawet zanim Dain dotarł do więzienia Marshalsea. Odepchnął talerz.

– Powiedziała mi jedynie, że jej siostra nie żyje. Ani słowem nie wspomniała, jak to się stało. Ani o wyroku za długi.

– Ballisterowie nie lubią się zwierzać – westchnął Dain. – Lydia jest najwyraźniej taka jak my wszyscy. Twierdząc, że nie chce rozgrzebywać przeszłości, po prostu unikała opowiadania o sobie i swoich przodkach. Wiedziałeś, że przyszła na mój ślub, stała u stóp świątyni i nie podeszła? Co, u diabła, sobie wyobrażała?! Że obchodzi mnie to, co robiła jej matka? – Zmarszczył brwi. – Moja matka uciekła z kupcem. Bachor, którego urodziła mi dziwka z Dartmoor, żyje pod moim dachem. Czy ona sądziła, że jesteśmy od niej lepsi?

– Mnie nie pytaj – odparł z goryczą Vere. – Nie mam najmniejszego pojęcia, co się dzieje w jej głowie.

Dain spojrzał na niego surowo.

– Wiem, że nie interesuje cię jej głowa, a zupełnie inna część ciała. Nie wziąłeś jej dla intelektu. Nie potrafisz przyjąć, że jakakolwiek kobieta go

posiada. Pozwól, że cię oświecę, Ainswood. Kobiety są bystre. Myślą i analizują przez cały czas. Jeśli nie chcesz być w każdej sytuacji wystrychnięty na dudka, to radzę ci, też zacznij myśleć, żeby wyćwiczyć sobie umysł choćby w połowie tak sprawny jak umysł twojej żony. Wiem, że to dla ciebie trudne. Myślenie nadweręża twoją delikatną naturę. Staram ci się pomóc, wyjawiając wszystko, co wiem. My, mężczyźni, musimy się trzymać razem.

– Wracaj zatem do historii. Skończyłeś na śmierci siostry Grenville.

Dain podjął opowieść, ale niewiele miał już do dodania od chwili, w której ojciec Grenville wyjechał do Ameryki, ona zaś zamieszkała z ciotecznymi dziadkiem i babką. Ojciec zginął. Chciał uwieść bogatą amerykańską panienkę i uciec z nią, ale bracia dziewczyny zatłukli go na śmierć.

– Zdaje się, że moja kuzynka wiele podróżowała ze Stephenem i Eufemią Grenville'ami – dodał Dain. – Oboje zmarli zeszłej jesieni. Wyszperałem nazwisko jednego z ich służących, który mieszka w Marizon, w Kornwalii. Planowaliśmy tam pojechać, kiedy dostałem zaproszenie na wasz ślub. – Opróżnił kufel kilkoma haustami.

Spojrzał na nietknięty talerz przyjaciela.

– Wyślę pana Herriarda na spotkanie z twoimi radcami w Londynie. Nie odmówisz mi kolejnej, niestety niewielkiej, zemsty na ukochanym ojcu, jak sądzę? By ulżyć swej próżności, zamierzam obdarować Lydię stosownym wianem. Herriard będzie trzymał rękę na pulsie, w razie gdybyś nagle zapragnął udowadniać wszystkim, jak potwornie cierpi twoja męska duma. Lydia, rzecz jasna, doskonale potrafi sama o siebie zadbać, co wydatnie udowodniła. Jednocześnie jestem pewny, że nie będzie się broniła przed odpowiednim zabezpieczeniem przyszłości swych dzieci.

– W razie gdyby jednak zaczęła się bronić, odeślę ją do ciebie – uspokoił go Vere. Oczywiście, że będą mieli dzieci, powiedział sobie, a Dain nie zadawał pytań. Poza tym lepiej, by wianem i zabezpieczeniem przyszłości zajmowali się radcy. Jeśli inne aspekty tego, co nadejdzie, niepokoiły księcia i jeśli miał większą niż zwykle trudność w opędzaniu się od nieprzyjemnych myśli, to starał się tego nie okazywać. Dain zaś najwyraźniej nic nie zauważył.

– Nie boję się – odparł Dain. – Powiedziałem ci już wszystko, czego nie wiedziałeś. Teraz twoja kolej. Znam już wersję Sellowby'ego, ale nawet on

nie zna wszystkich szczegółów. Ciekaw jestem, o co szło z tym wspinaniem się do domu Heleny Martin przez okno. On tam wtedy był?

– To długa historia – zbył przyjaciela Vere.

– Zamówię więcej piwa – odciął się Dain.

Wezwał sługę. Prędko napełniono im kufle. Zrezygnowany Vere zaczął od samego początku, to jest od pierwszego spotkania w Vinegar Yard. Naturalnie, nie powiedział wszystkiego i starał się obrócić wszystkie wydarzenia w żart. Czy miało znaczenie to, że sam stał się obiektem żartu losu?

Nie on pierwszy na ślepo rzucił się w małżeńską otchłań, nie wiedząc, na co się pisze. Przypominało to, jak kiedyś powiedział Dain, wejście przez drzwi prosto w mrok. Dain wiedział, co mówi. On także przeszedł przez te drzwi.

Dlatego właśnie nie szczędził przyjacielowi serdecznych wybuchów śmiechu, klepnięć w ramię, okrzyków: „Bezcenny kretynie” i innych tego rodzaju czułości. Był bezlitosny, lecz Vere przyznawał w duchu, że tacy właśnie byli dla siebie nawzajem. Zawsze obrzucali się obelgami i ciosami. Tak się porozumiewali. Tak okazywali uczucie i przywiązanie.

Wszystko było jak zawsze. Vere niebawem trochę się rozluźnił. Nawet jeśli niepokój nie zniknął całkowicie, zapomniał o nim u boku przyjaciela.

Zdawało się, że między nimi czas się zatrzymał i Vere doprawdy w niczym nie zawinił, nie dostrzegając, że tak naprawdę wszystko się zmieniło. Nie wiedział, że w ciągu pół roku małżeństwa Dain poznał siebie o wiele lepiej, a także potrafił lepiej przejrzeć skrywane uczucia innych.

Lord Belzebub słuchał przyjaciela i miał ogromną pokusę chwycić go za fular i tłuc jego głową o ścianę. Z trudem opanował tę potrzebę, a po południu powiedział do żony:

– Na szczęście biedak ma Lydię. Niech sobie radzą.

* * *

– Och, Lizzy, tak mi przykro! – rzewnie płakała Emily.

– Niepotrzebnie – odparła łagodnie Elizabeth, ocierając czoło siostry wilgotną chusteczką. – Gdyby to było coś gorszego niż niestrawność, musiałabyś przepraszać, bo chybabym oszalała ze zmartwienia. Zwykłym zwracaniem wcale się nie martwię.

– Za dużo zjadłam.

– Na pusty żołądek, a jedzenie było paskudne. Mnie też było niedobrze, ale jakoś się trzymam.

– Przegapiłyśmy to! – szepnęła Emily. – Przegapiłyśmy wesele.

To prawda. Był już czwartek wieczorem. Siostry zajmowały osobną izbę w gospodzie niedaleko Aylesbury, wiele mil od celu swej podróży. Zapewne dotarłyby do Liphook na czas, gdyby Emily nie pochorowała się gwałtownie pół godziny po zjedzonym w wielkim pośpiechu środowym śniadaniu. Musiały wysiąść na następnym postoju. Emily była tak chora i słaba, że posługacz musiał ją zanieść do łóżka.

Podróżowały jako guwernantka i jej towarzyszka. Elizabeth włożyła starą suknię żałobną, bo w czerni wyglądała na starszą. „Pożyczyła” też parę okularów z biblioteki w Blakesleigh. Nic przez nie nie widziała, więc musiała spoglądać ponad nimi, a Emily zapewniała, że przez to wygląda jeszcze bardziej surowo.

– Przestań się zamartwiać weselem – powiedziała Elizabeth. – Przecież nie rozchorowałaś się celowo.

– Powinnaś była jechać dalej beze mnie.

– Chyba popadłaś w delirium, moja droga. Tkwimy we wszystkim razem, lady Em. Mallory nie porzuca krewnych. – Elizabeth poprawiła siostrze poduszki. – Niebawem przyślą nam bulion i herbatę. Musisz się skupić na powrocie do zdrowia. Gdy tylko staniesz na nogi, ruszamy w drogę.

– Ale nie do Blakesleigh. – Emily pokręciła głową. – Nie możemy tam wrócić, dopóki nie uznają naszych racji. On musi się dowiedzieć. Że próbowałyśmy.

– Napiszmy list.

– Nigdy ich nie czyta.

Służba z Longlands utrzymywała regularne kontakty ze służącymi w Ainswood House w Londynie, a gospodyni pisywała do panienek raz na kwartał. Dlatego też miały pewność, że książę Ainswood przez ostatnie półtora roku nie otworzył ani jednego prywatnego listu. W Longlands na wiadomości związane z interesami odpowiadał rządca Jego Wysokości, w Londynie – kamerdyner Houle.

– Napiszmy do niej – podsunęła Elizabeth. – Ona mu powie.

– Jesteś przekonana, że się pobrali? Wieści krążą szybko, ale nie zawsze są prawdziwe. Może ona wygrała wyścig i Vere będzie musiał spróbować czegoś innego?

– Wszystko będzie w jutrzejszej gazecie. Przeczytamy ją i zdecydujemy, co robić.

– Nie mam zamiaru wracać do Blakesleigh – stanowczo oznajmiła Emily. – Nie wybaczę im tego. Nigdy!

Ktoś zastukał do drzwi.

– Przynieśli obiad. – Elizabeth wstała. – W samą porę. Może twój gniew ulotni się nieco, kiedy coś zjesz.

* * *

Choć Lydia i Ainswood dotarli do Londynu w czwartek bardzo późnym wieczorem, cała służba czekała na nich w hallu. Gospodyni pomogła księżnej zdjąć płaszcz, a reszta służących ustawiła się na baczność – na tyle, na ile byli w stanie.

Lydia zrozumiała, jak czuł się Wellington przed bitwą pod Waterloo, gdy objął dowództwo nad swą niesławną hałastrą, obszarpańcami, z którymi musiał pokonać Napoleona.

Zanotowała w pamięci: wymięte fartuszki, podarte liberie, czepki na bakier, niedokładnie wygolone podbródki i wszystkie odmiany nieprzyjemnych emocji na twarzach: przerażenie, wstyd, rozpacz i trwogę.

Powstrzymała się od komentarzy i skoncentrowała na zapamiętaniu nazwisk i stanowisk. W przeciwieństwie do Wellingtona miała całe lata na doprowadzenie tej zdemoralizowanej zgrai do przyzwoitego wyglądu.

Co do samego domu, wystarczył jej widok hallu i wiedziała już, że jest w równie kiepskim stanie jak służba. Nie była tym zaskoczona. Ainswood spędzał tu niewiele czasu i jak większość mężczyzn, omijał wzrokiem kurz, brud i bałagan.

Tylko sypialnia pana domu była bez zarzutu. Bez wątpienia należało zasługę tę przypisać Jaynesowi. Lydia odkryła już wcześniej, że pomimo straszliwego wyglądu Jaynes był porządnym i lojalnym sługą. Miał jedynie nieszczęście pracować dla rozpasanego pana.

Gdy tylko gospodyni, pani Clay, i kamerdyner, pan Houle, przedstawili służących, Ainswood odprawił wszystkich niecierpliwym gestem.

W związku z tym Jaynes był zmuszony oprowadzić księżnę po jej komnatach. Przylegały do pokoi Ainswooda. Widać było, że od lat nikt tu nie wchodził.

Książę także nie miał zamiaru ich nawiedzać. Gdy Jaynes otworzył drzwi do komnat księżnej, Jego Wysokość udał się w odwrotnym kierunku, ku swojej garderobie.

– Domyślam się, że pani Clay nie zdążyła zająć się moimi pokojami w tak krótkim czasie – powiedziała półgłosem Lydia.

Jaynes zerknął przez ramię, zaciskając wargi i obejmując wzrokiem pajęczyny zwisające z baldachimu nad łóżkiem oraz grubą warstwę kurzu, jakiej nie powstydziłyby się nawet Pompeje.

– Na pewno by coś zrobiła, gdyby miała odwagę – mruknął.

Lydia zajrzała do mrocznej, wilgotnej nory, którą służący nazwał jej garderobą.

– Przypuszczam, że kawalerowie nie lubią, gdy się im zawraca głowę.

– Wielu służących pamięta jeszcze czasy czwartego hrabiego – powiedział z dumą Jaynes. – Mamy tu takich, których rodziny służą Mallorym od wielu pokoleń. Lojalność to wspaniała zaleta, jednak gdy dzień po dniu nie masz co robić, bo nie wiesz, co trzeba zrobić, albo nie śmiesz… – Urwał nagle i zacisnął wargi.

– Nie szkodzi. Łatwiej nam będzie nauczyć służbę moich zasad. – Lydia się uśmiechnęła. – Zaczniemy od rana. Nie będzie nam przeszkadzać żadna nawykła do konkretnych praw gospodyni ani wścibska teściowa.

– Oczywiście, Wasza Wysokość – odparł Jaynes i zasznurował wargi.

Lydia wiedziała, że lokaj pewnie pęka od ochoty opowiedzenia jej o wszystkim. Choć była ogromnie ciekawa, nie mogła go zachęcać do poufałości. Zauważyła, że nie jest zbyt powściągliwy w kontakcie ze swym panem. Słyszała wyraźnie, jak burczy i klnie, pomagając księciu przy porannej toalecie.

– Wszelkie zmiany muszą jednak poczekać do jutra – powiedziała, kierując się do sypialni pana domu.

– Oczywiście, Wasza Wysokość. – Jaynes ruszył za nią, zaciskając dłonie. – Będzie pani potrzebowała pokojówki. Poślę po…

– Tutaj jesteś! – krzyknął Ainswood, wypadając z garderoby. – Ciekaw byłem, czy zamierzasz plotkować z moją panią przez całą noc! Co, do diabła, stało się z moimi ubraniami?!

– Są w pańskiej garderobie, sir – odrzekł spokojnie Jaynes i mruknął coś pod nosem.

– Nie tymi ubraniami, cwaniaczku! Tymi, które miałem na sobie wczoraj. Tymi, które były w torbach podróżnych! Znalazłem tylko przeklęte koszule i fulary. Gdzie moja kamizelka?

– Jest w moim pokoju, gdyż wymaga czyszczenia, mój panie.

– Szlag by cię trafił! Nie wyjąłem rzeczy z kieszeni!

– To prawda, Wasza Wysokość. Pozwoliłem sobie samodzielnie je opróżnić. Znajdzie pan… zawartość w lakowym pudełku na… Sam je dla pana odnajdę – postanowił lokaj i ruszył ku garderobie.

Ainswood stanął w drzwiach pomieszczenia, zagradzając wejście.

– Zostaw to. Znajdę przeklęte pudełko. Nie jestem ślepy.

– W takim razie proszę mi wybaczyć, sir, udam się na dół po pokojówkę. Powinienem zadzwonić, ale nie wiadomo, kto przyjdzie po takim sygnale.

Ainswood zrobił krok do przodu.

– Pokojówkę? Na diabła mi pokojówka?!

– Jej Wysokość potrzebuje…

– Ale chyba nie w moim pokoju?!

– Pokoje Jej Wysokości nie są gotowe…

– Już po północy, do licha! Nie zgodzę się na stado bab klepiących i kręcących się po mojej sypialni. – Przypomniał sobie nagle o Lydii. Rzucił jej ponure spojrzenie. – Do diabła, Grenville, musimy zaczynać jeszcze dzisiaj?!

– Bynajmniej, mój drogi – odparła.

Rzucił Jaynesowi ostre spojrzenie.

– Słyszałeś panią. Precz stąd. Jutro będziecie mieli cały dzień na sprzątanie.

Jaynes zacisnął wargi, ukłonił się sztywno i wyszedł.

Twarz Ainswooda złagodniała nieco.

– Sam mogę cię rozebrać – burknął.

– Mogę to nie to samo co chcę. – Podeszła do niego i odgarnęła kasztanowy lok z czoła męża. – Wiem, że nie będzie to dla ciebie żadna atrakcja. Już raz to robiłeś.

Odchylił się i zmierzył ją uważnym spojrzeniem.

– Grenville, nie zamierzasz chyba być… – Spojrzał na chwilę w przestrzeń, szukając właściwego słowa. – …miła? – spróbował

i zmarszczył brwi. – Cierpliwa? – To słowo też nie pasowało. Westchnął. – Chciałbym wiedzieć, o czym rozmawiała z tobą lady Dain. Belzebub twierdzi, że chciała cię nauczyć, jak się torturuje męża.

– A o czym rozmawiał z tobą Dain?

– O tobie. – Uśmiechnął się jednym kącikiem ust. – Mam się spotkać z jego radcami, zaprzedać duszę i przyjąć dla ciebie wiano.

– Lady Dain mnie ostrzegła. Chciałam omówić to z tobą w drodze, ale sam wiesz…

Całą drogę przespała.

Uśmiech zniknął z jego twarzy.

– Na litość boską, Grenville, po ślubie też zamierzasz wszystko omawiać?! Dlatego jesteś taka milusia? Jeśli tak, to uprzedzam cię, że to strata czasu. Będziesz musiała wykłócać się o to z Dainem.

Patrzyła na niego przez chwilę. Zdjął płaszcz, kamizelkę i fular bez pomocy Jaynesa. Co zapewne oznaczało, że leżały teraz na podłodze w garderobie. Na butach. Lewy rękaw koszuli miał zapięty. Z prawego odpadł guzik i w rękawie ziała wielka dziura. Chwyciła go za nadgarstek.

– Dlaczego nie poprosiłeś o pomoc, skoro nie mogłeś sobie poradzić z guzikiem? – zapytała. – Byliśmy tuż obok.

Wyrwał rękę.

– Nie próbuj się mną opiekować. Ja nie potrzebuję opieki.

Gniew zapłonął w niej jak pochodnia. Zdławiła go prędko i odeszła w stronę okna.

– Nie. I zapewne nie potrzebujesz też żony. To będzie interesujące, patrzeć na ciebie, jak się gryziesz i zastanawiasz, co masz ze mną począć.

Wpadł jak burza do garderoby i zatrzasnął za sobą drzwi.

Rozdział 15

Po dziesięciu sekundach drzwi rozwarły się z hukiem.

– Wcale tak nie myślałem! – ryknął Ainswood. – Zadowolona? Przyznaję się! Nie sięgałem myślą dalej niż do nocy poślubnej. A teraz zaczynasz rządzić się w moim domu i wywracasz wszystko do góry nogami. Pokojówki będą paradować tam i nazad po mojej sypialni i nie będę miał ani chwili spokoju!

– Zgadza się – potwierdziła Lydia. – Wywrócę ten dom do góry nogami i przenicuję go na wylot, od piwnic po dach. Ponieważ jego stan woła o pomstę do nieba. Nie zniosę takiego nieporządku. Nie godzę się na brud. – Założyła ręce na piersiach. – I co zamierzasz z tym zrobić? Zastrzelisz mnie? Wyrzucisz przez okno?

– Oczywiście, że nie! Niech cię piekło pochłonie, Grenville! – Jak burza przetoczył się w stronę kominka, trzasnął dłonią w okap i zapatrzył się w ogień.

– Nawet gdybym sama mogła mieszkać w takim brudzie – ciągnęła Lydia – to wpływa on bardzo źle na morale służby. To taki piękny dom. Doprawdy wstyd, że doprowadziłeś go do ruiny, razem z całym zastępem wiernych ci ludzi. Nie zniosę sprzeciwu w tej kwestii, Ainswood. Musisz to polubić albo będzie źle.

– Cholera jasna!

– W zasadzie od razu powinnam rozwiać twe złudzenia – uznała. – Jest wysoce nieprawdopodobne, że zniosę sprzeciw w jakiejkolwiek kwestii. Chyba nie posiadam takiej umiejętności.

Podniósł głowę i zerknął na nią przelotnie.

– Wyszłaś za mnie. To był ogromny kompromis i wyrzeczenie się wszystkich twych cholernych zasad.

– Wyrzuciłam je dosłownie w błoto – przyznała. – Jedynym sposobem na odzyskanie godności i spokoju ducha jest oddanie się konkretnej pracy i organizacji wszystkiego, aby było tu tak, jak powinno być.

– Mówiłaś, że chcesz mnie uczynić szczęśliwym – burknął oskarżycielsko.

Otworzyła usta, żeby się odciąć, ale zamknęła je prędko.

Zaczęła spacerować po sypialni. Pokój był duży, więc chodziła nieznośnie długo. Ainswood się nie odzywał. Wodził za nią oczami.

Czuła wyraźnie, w czym tkwi fundamentalny problem, a ponieważ miała w zwyczaju mierzyć się z trudnościami od ręki, instynktownie chciała rozmówić się z mężem.

Jednak on nie lubił stawiać czoła problemom. Odpychał je od siebie i udawał, że nie istnieją.

Musiała ostrożnie dobierać słowa.

Ponownie obeszła pokój. Przez chwilę wyglądała na ogród. Zaczął padać deszcz. Bardziej to słyszała, niż widziała. Księżyc i gwiazdy zasłonięte były przez chmury, świat tonął w ciemności.

– Niech mnie szlag! – szepnął z rozpaczą. – To nie twoja wina, że nie brałem pod uwagę konsekwencji. Dałaś mi wiele szans na zastanowienie się i wiele razy zwracałaś uwagę na to, że małżeństwo nie jest szczęśliwym pomysłem.

Odwróciła się od okna. Ainswood zaciskał palce na oparciu krzesła. Wpatrywał się w swoje dłonie z bolesnym uporem. Jego przystojna twarz wyglądała jak maska pośmiertna.

– Dain powiedział mi, że muszę przeorganizować swój dom i znaleźć w nim miejsce na żonę – mówił cicho. – Co to ma znaczyć, do cholery?! Do tej pory nie przywiązywałem wagi do tego stosu cegieł. Ani do swej przyszłości.

Oczywiście. Lydia przypuszczała, że Ainswood wolałby w ogóle nie zostać księciem, nie mieć tego domu, nie mieć przyszłości i w każdej okoliczności udawać, że nic się nie zmieniło. Że nie odziedziczył tytułu. Przymykał oczy i nie dopuszczał do siebie myśli o dziedzictwie, służbie, posiadłościach i całej reszcie. Tak jak nie myślał o obowiązkach związanych z tytułem.

– To nie moja wina, prawda?– zapytał z goryczą nie tak dawno temu, gdy Lydia wypomniała mu te sprawy.

– Celna uwaga – powiedziała, idąc w stronę łóżka. – Skoro nie przywiązujesz żadnej wagi do tego stosu cegieł, nie ma potrzeby, byś ryczał i miotał się, kiedy ja chcę go doprowadzić do przyzwoitego stanu. Jeśli czas remontu i porządkowania będzie źle wpływał na twoje nerwy, a przyznaję,

że zamieszanie może trwać nawet dwa tygodnie, możesz być tak miły i skupić swą energię na czymś innym. Z dala od domu.

– Z dala…

– Nie chcę, żebyś straszył i demoralizował mi służbę. Jak mam się spodziewać, że będą z entuzjazmem pracować – i słuchać poleceń swej nowej pani – jeśli będziesz się tu miotał, warczał i wrzeszczał na wszystkich?

– Chcesz mnie wyrzucić z mojego domu?!

Spojrzała mu w oczy. Wrzały gniewem. Wolała je takie niż pozbawione wyrazu jak w ciągu ostatnich dni.

– I tak rzadko tu bywasz. Nie obchodzi cię, co się z nim stanie. Spodziewam się, że będziesz znacznie szczęśliwszy poza domem.

– Do licha, Grenville! Pobraliśmy się wczoraj, a już mnie odpychasz? – Puścił krzesło, podszedł prędko i chwycił ją za ramiona. – Ożeniłem się z tobą! Jestem twoim mężem, a nie kochankiem, którego możesz kopnąć w tyłek po jednej nocy!

Pocałował ją.

Czy też rzucił się na nią, dławiąc pocałunkami. Pożerał pożądliwie jej wargi, domagając się odpowiedzi. W jego ustach czaiły się gniew i moc, a przede wszystkim grzech świadomości, że ona mu ulegnie. Że będzie mógł zrobić z nią, co zechce.

Nagle wypuścił ją z rąk. Straciła równowagę i chwyciła się jego koszuli.

– Na Boga, Ainswood – wyjąkała. Tylko na tyle było ją stać.

– Vere – zamruczał. – Wymówiłaś już moje imię, gdy przysięgaliśmy sobie miłość. Powiedz to teraz, Lydio.

– Vere. – Ujęła w dłonie jego twarz. – Zrób mi to jeszcze raz.

– Nie odpychasz mnie – zdziwił się. Błyskawicznie porozpinał guziki jej sukni. Ze swobodą wytrawnego pianisty na oślep poluzował na niej ubranie.

Opuściła ręce.

– Wszystko źle zrozumiałeś – powiedziała.

– Naprawię to. – Porozpinał haftki i haczyki. Suknia opadła na podłogę. Kopnął ją na bok i zabrał się za halki.

– Nigdy nie powiedziałam, że cię nie chcę – zaczęła.

– Nie chcesz mnie wystarczająco. – Zatrzymał się na chwilę. Pogłaskał opuszkami koronki i jedwabne tasiemki koszuli. – Śliczne.

– Prezent od lady Dain.

Pochylił głowę. Zaznaczył gorącym językiem haftowany dekolt halki. Syknęła i wsunęła palce we włosy męża, by go powstrzymać.

– Co ty wyprawiasz?

Jej głos drżał z niepokoju i niepewności. Pogardzała sobą, ale nie mogła nic na to poradzić. Vere był doświadczonym lubieżnikiem. Setki razy dopuszczał się aktów bezwstydu, jakich ona nawet nie umiała sobie wyobrazić.

Przygryzł jej ramię.

Głęboko odetchnęła.

– Włożyłaś śliczną bieliznę tylko dla mnie – zamruczał. – To słodkie.

Bielizna była śliczna. I bez wątpienia szalenie droga. Lydia nie mogła jednak odmówić lady Dain, choć dostała od niej tyle prezentów, że mogłaby uszykować na raz tuzin ladacznic.

– Czy rozchmurzyłeś się choć trochę?

Podniósł na nią oczy. Lśniły szmaragdowym płomieniem.

– Byłem zachmurzony? Nic nie pamiętam.

I uśmiechnął się tym rozbrajającym uśmiechem, rzucając ją niemal na kolana. Leniwy, delikatnie unoszący kąciki ust, miał w sobie zabójczą moc, a Vere na pewno o tym wiedział. Wystarczyłby jeden uśmiech, by cała armia padła mu do stóp.

Lydia rzuciła mu się na szyję, wpijając wargi w ten zabójczy uśmiech. Trzymał ją mocno w talii.

Zaznaczyła językiem wykrój jego ust, podobnie jak on zaznaczał wykrój jej dekoltu. Ścisnął ją mocniej.

Przygryzła jego dolną wargę, jak on przygryzł jej ramię.

Rozchylił usta.

To był długi, głęboki i mroczny pocałunek, jakby ich dusze otwierały się przed sobą nawzajem z pominięciem umysłów.

Lydii zdawało się, że tonie. Jej halki opadały jedna za drugą. Duże dłonie księcia opływały ją jak woda, magicznie rozplątując wstążki, rozpinając guziki i haftki.

Vere uklęknął, odsunął na bok stertę halek, delikatnie zdjął jej buty i odstawił je równo. Wyciągnął do niej rękę. Złapała ją i uklękła na dywanie obok męża.

– To najpiękniejszy gorset, jaki w życiu widziałem. Zbyt piękny, żeby go zdejmować w ślepym zapamiętaniu. Odwróć się, Lydio.

Owszem, był śliczny. Wyhaftowany w różowe pączki kwiatów i zielone listeczki. Klęcząc za nią, wsunął dłonie ponad gorset, gdzie jej piersi okrywała cieniutka koszula. Powoli całował jej kark i ramiona.

Czuła się rozpalona i osłabiona z tęsknoty. Mogła jedynie głaskać jego dłonie i rozpływać się z rozkoszy.

Zdjął i delikatnie odłożył gorset. Wstrzymał na chwilę oddech.

– Och, Lydio… to doprawdy niegodziwe – szepnął chrapliwie. Pogłaskał jej plecy.

Koszula była z najcieńszego jedwabiu o delikatnym różowym połysku.

– Odwróć się do mnie.

Odwróciła się, zwalczając odruch zakrycia się rękami. Przecież widział ją już całkiem nagą…

– Niezbyt wiele zakrywa, prawda? – zapytała, zdławiwszy brutalnie nerwowy chichot.

– Wybaczam ci – odparł z wysiłkiem. Wpatrywał się w jedwab spływający jak mgiełka z jej piersi.

– Co?

– Wszystko.

Chwycił ją w ramiona i pociągnął za sobą na dywan.

Wybaczył jej pocałunkami, od których kręciło się jej w głowie; dłońmi pieszczącymi jej ciało.

Lydia straciła kontrolę. Rozbierał ją powoli, budząc jakieś uczucia, głębokie i pierwotne, które wcześniej nazywała żądzą.

Jej mąż był potężny, silny, przystojny i znał wszystkie tajniki bliskości. Chciała go mieć tylko dla siebie, całego, bez wyjątku.

Potrzeba zdobywania i posiadania była w jej krwi. To dziedzictwo Ballisterów, którego nigdy nie zdołała się pozbyć.

Zdawało jej się, że ta krew zagotuje się zaraz w jej żyłach. Nie miała już cierpliwości do powolnego rozbierania. Odepchnęła jego dłonie, popchnęła męża na plecy i zdarła z niego koszulę. Roześmiał się cicho, lecz śmiech przeszedł w jęk, gdy zaczęła rozpinać mu spodnie. Nie była taka delikatna jak on, za to szybka i precyzyjna. Rozebrała go błyskawicznie, odrzuciła ubrania i usiadła na nim.

Był wspaniale zbudowany, szczupły i umięśniony.

Szeroka pierś ostrą krawędzią przechodziła w wąską talię i biodra. Lydia przesunęła palcami po delikatnych włosach na torsie Vere’a i w dół, gdzie

zbiegały się w wąską linię na brzuchu. Jej wzrok spoczął na wyprężonej męskości.

– Nie zdążyłam ci się wczoraj przyjrzeć – szepnęła, sunąc palcami w dół.

– Patrz, dotykaj, całuj – odparł z uśmiechem.

Złapała gorącą męskość i zacisnęła na niej palce. Pulsowała w jej dłoni. Mężczyzna jęknął boleśnie.

– Powiedziałeś, że mogę dotknąć.

– Możesz. Uwielbiam, jak się nade mną znęcasz.

Pochyliła się i polizała go czubkiem języka.

– Chryste – wykrztusił.

Odepchnął jej dłoń, przyciągnął ją, wsunął rękę pod majtki Lydii i odnalazł wrażliwe miejsce.

Orgazm wstrząsnął jej ciałem bez ostrzeżenia. Dygotała pod jego palcami w spazmach, jęcząc cicho. Vere złapał ją za biodra i wszedł w nią. Instynktownie uniosła się na nim i opadła, przyjmując go w siebie, do samego końca.

– Taaak! – wykrzyknęła triumfalnie.

Przyciągnął ją do siebie i pocałował. Wsunęła język do jego ust, poddając się rytmowi bliskości.

Przetoczył ją na plecy, odrywając wargi od jej ust. Chwycił ją za nadgarstki i przytrzymał przy dywanie. Patrzyła na niego, a on obserwował, jak ostatnie spazmy przebiegają jej ciało. Przymknęła oczy. Pod powiekami widziała ogniste rozbłyski. Poczuła, jak Vere dygocze, szepcząc jej imię, i opada, spełniony, na jej ciało.

* * *

O wpół do jedenastej następnego dnia Jej Wysokość spotkała się z panią Clay w gabinecie Vere’a.

O wpół do dwunastej rozpętało się pandemonium.

Ze służbówki wylała się armia pokojówek i lokajów uzbrojonych w wiadra, miotły, ścierki i utensylia, których Vere nigdy wcześniej nie widział. Uciekł do pokoju bilardowego, lecz i tam dopadł go zastęp służących.

Zbiegł do biblioteki, ale tam też już byli.

Chodził więc od pokoju do pokoju, szukając schronienia, natykając się wszędzie na ślady inwazji i przemocy.

Wreszcie wpadł do gabinetu, zatrzasnął za sobą drzwi i zastawił je krzesłem.

– Mój drogi – dobiegł do niego rozbawiony głos żony – to raczej nie będzie konieczne.

Odwrócił się ku niej gwałtownie. Czuł, że na twarz wypłynął mu rumieniec. Siedziała za biurkiem, usilnie starając się nie roześmiać.

– Są wszędzie – powiedział ze zgrozą.

– Tutaj dziś nie przyjdą – odparła. – Powiedziałam pani Clay, że muszę pracować.

– Pracować? – krzyknął. – Rozszarpują nam dom! Są ich tysiące! Wyrywają mi dywany spod stóp! Zdzierają zasłony i draperie! Oni…

– Doprawdy? – Uśmiechnęła się. – Pani Clay obiecała mi, że się przyłożą. Mam nadzieję, że tak się rzeczywiście stanie.

Odłożyła pióro i oparła łokcie na biurku.

– Widzę, że jesteś z siebie zadowolona – burknął. Chciał wyjąć krzesło spod klamki, ale się rozmyślił. Podszedł do biurka, odepchnął z rogu stertę nieczytanych listów i przysiadł. – Tak się ciebie boją, że przestali mnie w ogóle zauważać.

– A po co kręcisz im się pod nogami? Sądziłam, że raczej uciekniesz stąd z krzykiem.

– Nie wiem, dokąd się wybrać – wyznał. – Rozważałem Chiny, są dość daleko. Ale wtedy pomyślałem o Nowej Walii, w końcu to nasza kolonia.

– Sugerowałabym Bedfordshire.

Nie poruszył się, tylko drgnął mu mięsień w policzku. Wpatrywał się wciąż w stertę listów i kart wizytowych, a jego umysł bawił się wspomnieniem leniwej porannej miłości przy dźwięku deszczu kapiącego na parapet. Lydia wstała wcześniej, on zapadł jeszcze w drzemkę, a gdy się obudził, czuł jej zapach na poduszce, na pościeli i na własnej skórze.

– Cóż, spodziewałam się, że nie będziesz skakał z radości na tę propozycję – stwierdziła. – Nie mogę jednak obchodzić się z tą sprawą jak z zepsutym jajkiem. Jestem twoją żoną. Musisz mnie przedstawić rodzinie. W tym domu przez kilka dni będą się działy dantejskie sceny. Pomyślałam, że upieczemy dwie pieczenie przy jednym ogniu: uciekniemy od zamętu i uporamy się z zapoznaniem.

– Podobno masz pracę – powiedział spokojnie i cicho, wspominając ostatni wieczór, jej śliczne fatałaszki i to, jak zaschło mu w ustach na widok jej nagości – jemu, który widział już setki nagich kobiet.

– Zamykam powoli zobowiązania dla „Argusa”. Moją nową pracą jest posada księżnej Ainswood. Przyjęłam ją ze świadomością wszystkich obowiązków i zamiarem ich wypełniania. Przynajmniej jedno z nas zastanawia się nad konsekwencjami swych czynów.

– Rób zatem, na co masz ochotę. – Zeskoczył z biurka, odstawił krzesło i otworzył drzwi. – Ja nie wybieram się do Bedfordshire.

Powiedziawszy to, wyszedł z gabinetu.

* * *

Lydia szybko założyła buty i pobiegła za nim. Szedł spokojnym krokiem przez korytarz.

Bezszelestnie ruszyła jego śladem, ignorując zdumione spojrzenia służących. Chwyciła wiadro i chlusnęła jego zawartością w Ainswooda. Usłyszała chór westchnień i cichych pisków, a potem w hallu zapadła grobowa cisza.

Książę stał przez chwilę w bezruchu. Strugi brudnej wody ściekały mu z głowy i ramion, lejąc się na podłogę.

Odwrócił się bardzo powoli.

– Ojej – powiedziała Lydia.

Omiotła wzrokiem służbę. Pokojówki zakrywały usta dłońmi, lokaje zastygli w pełnym grozy zdumieniu.

Vere spojrzał na swoje ubranie, a potem na żonę… i wybuchnął gromkim śmiechem. Krztusił się i parskał, nie mogąc powstrzymać chichotu. Zatoczył się na drzwi, złapał za brzuch i trząsł się konwulsyjnie jeszcze przez kilka minut.

– Dziękuję, moja droga – wyjąkał wreszcie, ocierając łzy. – Bardzo orzeźwiające.

Wyprostował się z trudem i spojrzał na służących. Nadal nie śmieli wrócić do pracy, spoglądali tylko na siebie z niedowierzaniem.

– Przypuszczam, że podłoga w tym miejscu jest już doskonale odkurzona. Zdaje mi się, że powinienem zmienić ubranie.

Nie tylko ubranie, pomyślała Lydia, patrząc bez emocji, jak Vere idzie korytarzem i po schodach, zostawiając mokre ślady.

* * *

Tego popołudnia książę Ainswood znosił narzekanie swego lokaja z podejrzanie anielską cierpliwością. Wykąpał się, włożył świeże ubranie i przez długi czas wpatrywał się w swoje odbicie w lustrze.

– Szkoda, że tyle twojej pracy się zmarnuje – powiedział wreszcie. – To wszystko się zaraz pobrudzi i pogniecie, kiedy będę wyskakiwał oknem.

– Jeśli mogę sobie pozwolić na śmiałość, sir – rzekł z godnością Jaynes – to sugeruję skorzystanie z frontowych drzwi. Są sprawne.

– Miałem szczęście, że pod ręką było wiadro – ciągnął książę. – Strach pomyśleć, czego użyje następnym razem.

– Jestem przekonany, że Jej Wysokość nie ma nic przeciwko temu, że opuści pan dom, sir.

– Dlaczego w takim razie mnie powstrzymała?

– Nie próbowała pana powstrzymać, sir. Jej Wysokość wyraziła jedynie swe poirytowanie.

Książę nie wyglądał na przekonanego. Splótł ręce za plecami i podszedł do okna.

– Jeśli mogę mówić szczerze, sir – Jaynes zawsze mówił szczerze – jest pan ogromnie irytujący.

– Wiem.

– Jeśli Jej Wysokość zamorduje pana we śnie, nikt nie będzie ani trochę zaskoczony i każdy sąd w Anglii natychmiast ją uniewinni. Myślę, że wręcz uhonorowaliby ją orderem.

– Wiem.

Jaynes czekał na jakąś konkluzję, lecz jego pan w milczeniu wyglądał przez okno.

Tłumiąc westchnienie, lokaj udał się do garderoby po zegarek kieszonkowy i niewielkie pudełko na różne drobiazgi, które Jego Wysokość nosił zwykle przy sobie.

Gdy wrócił do sypialni po minucie, okno było otwarte, a pan zniknął.

Jaynes wychylił się i dostrzegł kasztanową czuprynę pomiędzy wysokimi zaroślami.

– Oczywiście nie wziął kapelusza – mruknął. – Może to i lepiej. I tak by go zgubił.

Odłożył zegarek i pudełko na krawędź parapetu i zamknął okno. Dzień był wilgotny, deszcz wisiał w powietrzu.

– To będzie prawdziwy cud, jeśli wróci tylko przemoczony.

Zajęty rozważaniem rozmaitych scenariuszy, Jaynes wyszedł z sypialni, zupełnie zapominając o przedmiotach, które zostawił na parapecie.

* * *

Ekskluzywny magazyn Rundella i Bridge'a był często odwiedzany przez klientów z wysokich sfer, a nawet z najwyższych, gdyż obsługiwano tu także Jego Miłość króla Anglii. Oswojeni z wszelkimi dziwactwami subiekci nawet nie mrugnęli, gdy do sklepu wpadł ogromny dżentelmen, ciągnący na smyczy mastifa wielkości młodego słonia.

– Do licha, Susan – burczał Vere. – Kiedy chodzi o Trenta, potrafisz się poruszać zaskakująco zwinnie.

Pociągnął za smycz, stękając z wysiłku, i przeciągnął psa przez próg. Gdy zamknął drzwi, Susan położyła się przy nich, wsparła łeb na przednich łapach i sapnęła męczeńsko.

– Nie prosiłem cię, żebyś ze mną szła – wytknął jej Vere. – Nie będę ci wypominał, kto piszczał, skamlał i robił z siebie ofiarę.

Książę natknął się na Susan w ogrodzie. Szwendała się po zaroślach ze smyczą w pysku. Poklepał ją po łbie i ruszył ku wyjściu. Susan za nim. Kiedy chciał zamknąć za sobą bramkę, zaczęła skowytać.

– Tarasujesz drzwi – westchnął Vere. – Wstawaj, Susan. Wstań!

Chór męskich głosów zapewnił Jego Wysokość, że pies bynajmniej nikomu nie przeszkadza.

– Nie w tym rzecz – sprzeciwił się Vere. – Chodzi o to, że ona wciąż robi mi na złość. Popatrzcie tylko, jaka zmęczona. Myślałby kto, że biegła tu ze skweru St James, a nie jechała dorożką.

Najmłodszy subiekt wyszedł zza kontuaru.

– To pies Jej Wysokości księżnej, prawda? – zagaił. – Widziałem ją już wcześniej. Wydaje mi się, że pilnuje drzwi, sir. Stoi na straży, żeby pana chronić.

Vere przez chwilę patrzył na Susan, a potem na subiekta.

Chłopak się ukłonił.

– Proszę mi wybaczyć śmiałość, chciałbym serdecznie państwu pogratulować.

Chór zamruczał i zafalował w tle.

Fular zaczął dusić księcia, a w sklepie zrobiło się o wiele za ciepło. Vere wybełkotał jakieś podziękowanie i z wysiłkiem skupił wzrok na chłopaku.

– Chcę kupić kilka błyskotek. Dla mojej pani.

Jeśli nawet termin „błyskotki” był mało precyzyjny, subiekt nie okazał wahania ni zakłopotania.

– Znakomicie, Wasza Wysokość. Zapraszam tutaj.

Wprowadził księcia do prywatnego pokoiku.

Kilka minut później Susan przyczłapała z udawaną obojętnością i zwaliła się na stopy Vere’a.

Po dwóch godzinach książę opuścił sklep na zdrętwiałych stopach, z niewielką paczką pod pachą.

Nie spostrzegł kobiety czmychającej spod wystawy i umykającej w ciemny zaułek. Nie rozumiał, na kogo warczy Susan, i uznał ostatecznie, że znów się na niego boczy.

Nie zauważył, że Coralie Brees wygląda za nim zza rogu, nie mógł się więc domyślić, jaka ślepa, zawzięta furia bulgocze w jej piersi na myśl o tym, co zamierza zrobić damie, która otrzyma tę paczkę w prezencie.

* * *

Późnym popołudniem Lydia natknęła się na pudełko.

Wiedziała już, że Ainswood wyszedł i zabrał ze sobą psa. Millie szła właśnie do ogrodu, żeby namówić Susan na posiłek, gdy zobaczyła, że książę bierze smycz i wychodzi z mastifem do miasta.

Bess przyniosła swej pani obiad do sypialni, gdyż tylko tam nie kręcili się służący z miotłami. Wyznała też Lydii, że książę pan uciekł z domu przez okno.

– Pan Jaynes jest tak okropnie smutny, panienko, to znaczy, Wasza Wysokość! To był nowiutki płaszcz, prosto od krawca. – Widząc, jak Lydia marszczy brew, dodała prędko: – Powiedział mi to w sekrecie, nie przy wszystkich, pozwolił także powiedzieć to pani, ale nikomu innemu. Uznał,

że lepiej, by pani była na to przygotowana, gdyby książę zapragnął wrócić do domu tą samą drogą w środku nocy.

Gdy Bess wyszła, Lydia podeszła do okna. Nie byłoby łatwo się tędy wspiąć ani się stąd wydostać. Przez chwilę zastanawiała się, jak mu się udała ta sztuka. Gdyby akurat padało, pewnie spadłby i skręcił sobie kark.

Westchnęła. Jej wzrok przykuło lśniące lakowane pudełko leżące na parapecie. Pamiętała, jak wczoraj się o nie wściekał. Była dziennikarką i grzebanie w cudzych sprawach stało się jej drugą naturą. Była też kobietą.

Otworzyła pudełko. Zobaczyła w nim ogryzek ołówka, czarny guzik, spinkę do włosów i mahoniową drzazgę.

Zatrzasnęła je prędko, odłożyła na parapet, potem chwyciła z powrotem i przycisnęła do serca.

– Och, Ainswood – westchnęła cicho. – Jesteś szalony. Kto by pomyślał, że zbierasz pamiątki?

* * *

– Jesteś najbardziej irytującą kobietą, jaką poznałem. Na wszystko stroisz fochy! – Vere kucnął obok mastifa. – Pada deszcz. Po co, u licha, kładziesz się tu w deszczu, skoro mogłabyś poszwendać się po wielkim, ciepłym, suchym domu, roztrącać lokajów i wpędzać pokojówki w histerię?! Mama jest w domu, wiesz? Nie chcesz do mamy?

Pies westchnął rozdzierająco.

Vere pozbierał paczki, które upuścił, gdy Susan ostentacyjnie rzuciła się na chodnik, wstał i stanowczym krokiem pomaszerował do domu.

Od razu wezwał Jaynesa.

– Cholerny pies nie chce wejść do środka! – krzyknął do lokaja.

Zostawiając kłopot na jego głowie, sam pobiegł na górę, do sypialni.

Rzucił paczki na łóżko. Zerwał z siebie płaszcz. Odwrócił się, by cisnąć go na krzesło, i ujrzał swą żonę na dywaniku przed kominkiem. Oplatała ramionami podciągnięte pod brodę kolana.

Serce księcia gwałtownie przyśpieszyło.

Unikając jej spojrzenia, uklęknął obok. Starał się odnaleźć odpowiednie słowa, ale nic nie przychodziło mu do głowy. Nie śmiał spojrzeć jej w twarz i błądząc wzrokiem dookoła, dostrzegł lakowe pudełko, które trzymała w poplamionych inkaustem palcach.

Przez chwilę patrzył na nie bez zrozumienia. Potem sobie przypomniał.

– Co tam masz, Grenville? – zapytał lekko. – Trutkę na irytujących mężów?

– Pamiątki – odrzekła.

– To nie są żadne pamiątki – wycedził, lecz purpurowe rumieńce przeczyły jego słowom. – Wsadzam do kieszeni mnóstwo śmieci, bo to doprowadza Jaynesa do pasji. Ułatwiasz mi to. Wszędzie zostawiasz i gubisz jakieś drobiazgi.

Uśmiechnęła się.

– Jesteś taki uroczy, gdy się wstydzisz.

– Wcale się nie wstydzę! Pół dnia spędziłem, gadając do psa, więc w ogóle nie wiem, co to wstyd. – Wyciągnął dłoń. – Oddaj mi to. Nie wolno grzebać w czyichś rzeczach. To ty powinnaś się wstydzić. Nie chciałabyś chyba, żebym czytał ci przez ramię najnowszy odcinek *Tebańskiej Róży*, prawda?

Poczuł, jak pudełko wpada mu do ręki. Wzrok miał utkwiony w twarzy Lydii. Dostrzegł iskierkę zdumienia, która jednak natychmiast zgasła.

– Nie jestem ślepy – powiedział. – Widziałem piękny rubin na palcu lady Dain, identyczny jak ten opisany w powieści. Już dawno podejrzewałem, kto kryje się pod ciekawym nazwiskiem St Bellair, które tak łatwo zamienić na „Ballister”, gdyby przestawić kilka liter. Pierścień ułatwił mi rozwiązanie zagadki. Dziś dowiedziałem się – zakładam, że z tego samego źródła co ty – skąd pochodzi rubin lady Dain. Nikt nie może dać gwarancji, że prosto z grobowca faraona, ale na pewno kupiono go w Egipcie.

Trzeba przyznać, że Grenville przyjęła cios z godnością. Nie próbowała się wypierać.

– Dawno podejrzewałeś? – Jej błękitne spojrzenie było pełne zwątpienia. – Ciekawe, na jakiej podstawie? Nikt się nie domyśla. Nawet panna Price, która jest do bólu spostrzegawcza, gapiła się na mnie jak sroka, kiedy jej powiedziałam.

– Zdradziłaś się w dwóch ostatnich rozdziałach, gdy Diablo zaczął brzmieć zupełnie jak ja.

Zerwała się na równe nogi i zaczęła krążyć po sypialni tak jak poprzedniej nocy.

Vere położył się na dywaniku, podłożył ręce pod głowę i obserwował ją. Uwielbiał patrzeć, jak robi długie, zdecydowane kroki, które zdawałyby się

męskie, gdyby nie aroganckie zarzucanie tyłeczkiem. Co za kobieta!

Było to zaledwie chwilowe wytchnienie i niezupełne, gdyż leżąc na pozór spokojnie, odpychał od siebie wspomnienia, narzucające mu się z całą swą ohydą.

Zabrał Susan do więzienia w Marshalsea. Widział tam dziesiątki zabiedzonych dzieci. Niektóre biegały na posyłki dla rodziców, którzy nie mogli sami wyjść. Inne wracały z miasta z ociąganiem i niechęcią, narastającą w miarę zbliżania się do bram więzienia.

Jego żona była jednym z takich dzieci. Wiedział też, co więzienie zabrało jej na zawsze.

…musisz mnie przedstawić rodzinie.

Wiedział, czego szukała w Bedfordshire.

– Och, to się nie uda! – Rzuciła się na krzesło. – Nigdy sobie z tobą nie poradzę. – Oparła twarz na dłoni, patrząc na niego z rozpaczą. – Odpychasz mnie i odtrącasz na każdym kroku. Zawsze gdy chcę, byś zrobił coś, co uważasz za niedopuszczalne – czyli praktycznie wszystko, o co poproszę – łamiesz mi serce. Coś ty zrobił? Przeczytałeś to, co kiedykolwiek napisałam, rozebrałeś na części i przyswoiłeś w całości?

– Tak. – Zapatrzył się w sufit. – Gdybym zaś wiedział, że cokolwiek czynię, łamię ci serce, darowałbym sobie te spacery, zaoszczędził mnóstwo pieniędzy i nerwów, które zszargał mi ten nieznośny pies.

Milczała przez chwilę. Zgadywał, że przypatrywała się paczkom leżącym na łóżku.

– Szaleńcze! – westchnęła drżącym głosem. – Kupiłeś mi prezenty?

– To łapówki – odrzekł, zerkając na nią z boku. Stała przy łóżku. – Żebym nie musiał dziś spać w stajni.

Był wykończony. Po wizycie u Rundella i Bridge’a, po obejrzeniu więzienia zabrał Susan na długi spacer od sklepu do sklepu, zaledwie z jedną krótką przerwą na szybki posiłek w gospodzie.

– Być może jednak nie potrafisz aż tak dobrze czytać w moich myślach – zwątpiła Lydia. – Myśl o stajniach nigdy nie postała mi w głowie.

Podniósł się i podszedł ku niej.

– Otwórz je – poprosił.

Odpakowała notesy o grubych kartkach oprawione w skórę miękką jak jedwab. Piórnik z delikatnym srebrnym deseniem i kałamarzem przykręconym do dna. Niewielkie podróżne biurko ozdobione scenami

z mitologii, wyposażone w pióra, atrament i pumeks. W maleńkich szufladkach znalazła też przycięte kartki i srebrny nożyk do kopert. Oprócz tego w paczkach znalazła też okazały srebrny kałamarz i pudełko z papier-mâché pełne ołówków.

– Och! – wykrzykiwała półgłosem Lydia, odpakowując kolejne skarby. I: – Och, dziękuję! – na sam koniec, gdy siedziała już otoczona prezentami, a papiery słały się u jej stóp. Ustawiła biurko na kolanach. Otwierała i zamykała wszystkie szafeczki i szufladki, wyjmowała ze środka zawartość i chowała ją z powrotem, bawiąc się jak dziecko.

Czuła się jak dziecko. Oczywiście, dostawała prezenty od Ste i Effie na urodziny i święta, zresztą bardzo ładne: buciki albo czepki, sukienki, a czasem kolczyki czy bransoletkę.

To było zupełnie co innego. Narzędzia do pracy, którą kochała całym sercem.

– Dziękuję – szepnęła bezradnie. Spojrzała w piękną twarz księcia i straciła wszelką nadzieję, że będzie jeszcze kiedykolwiek rozsądna.

Radość lśniła w zielonych oczach Vere’a, jego wargi drżały w uśmiechu, który roztarł jej połamane serce w proch. To był chłopięcy uśmiech, na poły łobuzerski, na poły nieśmiały.

– Widzę, że moje nędzne dary znalazły uznanie Waszej Wysokości.

Pokiwała głową. Nawet gdyby była w stanie cokolwiek wykrztusić, bałaby się spróbować. Nie chciała się ośmieszyć.

– Mniemam zatem, iż jesteś udobruchana na tyle, by przyjąć ten ostatni – powiedział i wyjął z kieszeni kamizelki jeszcze jedną paczkę.

Tę rozpakował sam, odwracając się, żeby nie podglądała.

– Zamknij oczy – poprosił. – I odstaw to cholerne biurko. Przecież ci go nie zabiorę.

Posłusznie wykonała jego polecenia.

Ujął jej lewą dłoń i wsunął pierścień na serdeczny palec. Czuła, jak ręka jej drży.

– Możesz popatrzeć.

Błękitny szafir, prosto cięty i tak wielki, że wydawałby się przesadny na każdej dłoni, nie licząc jej własnej. Po obu stronach lśniły diamenty.

Łzy popłynęły jej z oczu. Przestań się mazać, upomniała się w duchu.

– Jest prześliczny – szepnęła. – Nie mogę nawet powiedzieć, że nie powinieneś był go kupować, bo nie umiałabym się już z nim rozstać. Czuję

się jak księżniczka z bajki.

Pochylił się i pocałował ją w czubek głowy.

– Zabieram cię do Bedfordshire – powiedział.

Rozdział 16

W sobotni ranek Vere siedział przy biurku wśród stert pogniecionych kartek. Usiłował napisać list do lorda Marsa. To nie powinno być trudne, lecz Grenville poprosiła go, by pisał dyplomatycznie. Cokolwiek to w ogóle znaczy!

Zamierzał właśnie odnaleźć żonę i zażądać szczegółów, gdy ta weszła prędko do gabinetu.

– Lord Mars przyjechał – powiedziała. – Wnoszę po jego wyglądzie, że to nie jest wizyta towarzyska.

Chwilę później byli już w bibliotece.

Lord Mars był zdrożony, brudny i nieogolony.

– Uciekły – wypalił na wstępie. – Błagam, na litość boską, powiedzcie, że są u was, całe i zdrowe! Mam na myśli dziewczynki. Elizabeth i Emily.

Vere patrzył na niego skamieniały.

Grenville podbiegła do karafki, napełniła szklankę i wręczyła ją gościowi.

– Proszę usiąść i się uspokoić.

– Nie ma ich tu! – Westchnął rozdzierająco i opadł na fotel. – Obawiałem się tego. Mimo to wciąż żywiłem nadzieję.

Obawiałem się. Miałem nadzieję. Nie ma ich tu.

Przed oczami księcia pociemniało, biblioteka skurczyła się i nagle rozciągnęła z powrotem. W piersi Vere’a coś nagle zatrzepotało i serce przygniótł mu zimny ciężar.

– Cholera jasna – wycedził przez zęby. – Ich też nie zdołaliście ochronić?

– Ochronić? – Twarz lorda Marsa zbielała. – Te dzieci są mi równie drogie jak własne. Lecz moje uczucia, moja troska nic dla nich nie znaczą, bo nie jestem tobą. – Wyszarpnął z kieszeni pomiętą kartkę. – Proszę. Sam sobie przeczytaj. Czytaj, co piszą dziewczynki, które odepchnąłeś. Nie napisałeś do nich ani słowa. Nie przyjechałeś ani razu. Nawet nie wysłałeś kartki na święta! Mogłyby równie dobrze leżeć w trumnach obok rodziców i braci. A jednak porzuciły mój dom, gdzie były kochane i zadbane,

kochane tak bardzo, tak bardzo!… Uciekły, bo ich uczucia są zawsze tylko przy tobie!

– Proszę się uspokoić, sir – przemawiała do niego Grenville. – Jest pan wyczerpany.

Wetknęła lordowi Marsowi kolejną szklankę.

Vere przeczytał list. Było to zaledwie kilka linijek, ale każde słowo wbijało się w jego serce jak sztylet. Spojrzał na żonę.

– Koniecznie chciały być na naszym ślubie.

Wzięła od niego kartkę i przebiegła ją wzrokiem.

Lord Mars pił. Jego twarz powoli nabierała normalnej barwy. Odetchnął i zaczął mówić. Wszystko wskazywało na to, że dziewczęta opuściły dom w poniedziałek przed świtem. On sam wraz ze szwagrem udali się na poszukiwania w południe. Panienki miały zaledwie kilka godzin przewagi, lecz mimo to nie udało się ich wytropić. Nikt ich nie widział: ani w gospodach, ani na rogatkach. Na pewno nie dotarły do Liphook, bo tę wioskę i okolice dokładnie przeczesali.

Mars wyjął z kieszeni miniaturki i położył je na stole.

– Nie wyglądają pospolicie – powiedział z przekonaniem. – Jak to możliwe, że nikt nie zwrócił na nie uwagi?

Vere wpatrywał się w małe obrazki z ciężkim sercem. Wstyd palił go w gardle, serce ciążyło w piersi. Rozpoznałby je, oczywiście, były przecież tak podobne do Charliego. Ale wcale ich nie znał. Nie poznałby dźwięku ich głosów, bo nigdy z nimi nie rozmawiał. Nigdy nie słuchał. Nie zwracał uwagi.

One zaś uciekły z bezpiecznego, kochającego domu, żeby być na jego ślubie, bo: *Musimy dać mu jasno do zrozumienia, że życzymy mu wszelkiej szczęśliwości, jak zrobiłby to nasz tata. Tata na pewno by pojechał.*

Vere ocknął się, słysząc głos żony:

– Przygotuj się, a lord Mars trochę odpocznie i się odświeży, choć trudno go będzie do tego namówić. Poślij gońca do wszystkich twoich znajomych, potrzebujesz teraz tylu par oczu, ile zdołasz zmobilizować. Weźmiesz połowę służących, drugą połowę ja wyślę na ulice Londynu. Musisz też wziąć kilka pokojówek. Kobiety dostrzegają detale, które umykają mężczyznom. Powiadomię wszystkich moich szpiegów.

Zwróciła się do lorda Marsa:

– Musi pan wysłać do żony list z wiadomością, że panujemy nad sytuacją. Wiem, że wolałby pan zaczekać na dobre wiadomości, ale to dla niej horror siedzieć tam dniami i nocami, nie wiedząc, co się dzieje.

– Jest pani taka troskliwa – powiedział znużony Mars. – Wstydzę się swojej bezmyślności. I swojej głupoty.

Księżna uniosła brew.

– Odtrąciliśmy panią z powodu haniebnie niskiego urodzenia – ciągnął lord Mars. – Z powodu mezaliansu i skandalu.

– Lydia jest z Ballisterów – wtrącił Ainswood. – To kuzynka Daina. Kręciliście nosem na Ballisterów, bando pustych snobów.

Mars pokiwał głową.

– Słyszałem o tym, ale zdawało mi się, że to tylko plotka. Przed chwilą zrozumiałem swój błąd i pomyłkę. – Wstał i z uwagą odstawił szklankę. Dłonie mu drżały. – Niewiele spałem. Myślałem, że mam już przywidzenia. Że widzę duchy. – Usiłował się uśmiechnąć. – Myślałem, że znów widzę trzecią markizę Dain. Bardzo pani przypomina moją nieodżałowaną nemezis.

– Cóż, Lydia z pewnością dorośnie do roli nemezis całej naszej rodziny, jeśli nie odnajdziemy dziewcząt – uciął Vere. – Zabiorę cię na górę. Musisz się wykąpać, zjeść coś i zdrzemnąć się, jeśli zdołasz. Potrzebujemy pełni twoich sił umysłowych.

Wziął Marsa pod rękę.

– Chodź. Niech Grenville porozstawia armie i wyśle gońców. Lepiej nie wchodzić jej w drogę, gdy się do czegoś zabierze.

Athcourt, Devon

– Muszę wyznać, panno Price, że potrafi się pani chować po kątach, których zresztą jest nazbyt wiele w tym domiszczu. Dain powinien utrzymywać osobną służbę z lektykami, która nosiłaby damy z jednego końca w drugi. Sądzę jednak, że nie powinna się pani dziwić, jeśli będę się upierał, że mnie pani unika, co zresztą – Bertie spojrzał na nią surowo – jest niezbyt uprzejme z pani strony, bo na pewno pani widzi, że miotam się w tę i z powrotem i wie pani doskonale, co chciałbym jej powiedzieć.

– Ojejku – odparła panna Price, załamując ręce.

– Wiem na pewno, że się pani ze mną nie droczy, bo po prostu nie jest pani taka pusta. Nie powie mi pani jednak, że to był przypadek i że wcale mnie pani nie lubi, prawda?

Oblała się rumieńcem.

– Lubię pana niezmiernie – odrzekła z głębokim przygnębieniem.

– Cóż zatem – ciągnął Bertie niezrażony. – Chyba najlepiej zrobimy, jeśli damy się zaobrączkować, nie sądzi pani?

Bezradnie rozejrzała się po sali muzycznej Athcourt, gdzie ostatecznie przydybał ją Trent. Była już niedziela, a Bertie uganiał się za nią, odkąd tylko przyjechali. Postanowił, że pobawi się z nią w chowanego jeszcze jeden dzień, a potem oświadczy się jej niezależnie od okoliczności i przy świadkach. Wszak w oświadczynach nie ma nic takiego, co byłoby w stanie niemile wstrząsnąć Jessicą czy Dainem.

– Może powinienem klęknąć przed panią i wygłosić stosowną przemowę? – Bertie się skrzywił. – Powiedziałbym, jak diabelnie jestem w pani zakochany, choć zdaje mi się, że jest to dla wszystkich oczywiste i nawet ślepiec dostrzegłby to wyraźnie. I głuchoniemy wraz z nim.

Jej oczy rozwarły się z przerażeniem.

– Och, nie! Proszę nie klękać! Jestem już wystarczająco zakłopotana. Dlaczego jestem takim nędznym tchórzem? Lady Ainswood byłaby mną wielce rozczarowana.

– Tchórzem? Na litość wszystkich bogów, chyba się mnie pani nie boi?!

– Nie, ależ bynajmniej. Jestem niemądra, to wszystko. – Zdjęła okulary, wytarła je rękawem i założyła z powrotem. – Na pewno wszystko pan zrozumie. Że nigdy nie chciałam pana zwieść ani oszukać. Nie nazywam się Price, tylko Prideaux. – Uniosła podbródek. – Tamsin Prideaux. Nie jestem sierotą. Mam ojca i matkę, mieszkają w Kornwalii. Musiałam jednak ich porzucić, bo sytuacja w domu stała się nie do zniesienia. Uciekłam więc. Tylko Jej Wysokość zna prawdę.

– Ach. – Bertie był zdumiony, ale czuł się w obowiązku prędko uporać ze swymi emocjami, bo panna Price wierzyła, że ją zrozumie, a on nie chciał jej rozczarować. – Nie do zniesienia? Cóż zatem innego mogła pani uczynić? Ja także uciekłem. Moja niestrudzona ciotka Claire przywoziła do domu jedną dziedziczkę za drugą albo kazała mi wozić się po herbatkach, jakbym był okazem zoologicznym. Wiem, że dziewczyny były w porządku, ale albo się kogoś lubi, albo nie, a mnie żadna się nie podobała. Nie chcąc

ranić ich uczuć i nie mogąc już znieść wiecznego biadolenia ciotki Claire, po prostu uciekłem.

Zmarszczył brwi.

– Nie wpadłem na to, żeby zmienić nazwisko. Czyż to nie było bardzo sprytne z pani strony? – Rozpromienił się. – Prideaux – Price. Tomasina – Tamsin. Nie, zaraz, to było odwrotnie. Najpierw Tamsin, potem Thomasina. Zdaje mi się, że Tamsin lepiej do pani pasuje. Brzmi jak imię wróżki z bajki, prawda?

Przez chwilę patrzyła na niego z uwagą. Potem uśmiechnęła się i naprawdę wyglądała jak wróżka. Nieco krótkowzroczna, bez wątpienia, ale uwielbiał stawać blisko niej, żeby go wyraźnie widziała, nawet bez okularów.

– Czy ten uśmiech oznacza „tak”? – zapytał. – Czy zostaniemy przy „lady Trent” i zapomnimy o innych nazwiskach?

– Jeśli tylko nie będzie pan dbał o całą resztę. – Odruchowo poprawiła okulary. – Nie dostaniemy nic od moich rodziców, to jasne. Ja zaś nie mogę przyjąć wiana od Jej Wysokości, nawet dla pana dobra. Wiem, że będzie na mnie naciskała. Ale nie jestem droga w utrzymaniu, sir Bertramie, i sądzę…

– Bertie – przerwał jej.

Przygryzła wargę.

– Bertie – powtórzyła miękko.

– Och, to było rozkoszne. – Uśmiechnął się, chwycił ją w ramiona i całował tak długo, aż obojgu zakręciło się w głowie.

Posunąłby się zacznie dalej, gdyby nie świadomość, że do ślubu jeszcze daleko. To znaczyło, że należy się stosownie zachowywać, czy mu się to podoba, czy nie. W związku z tym postanowił zająć się ożenkiem jak najprędzej. Wziął narzeczoną za rękę i udał się z nią do Daina, by poprosić go o pomoc.

* * *

Choć Athcourt był jednym z największych domów w Anglii, nie musieli szukać długo, gdyż Dain także ich szukał. Spotkali się u stóp ogromnych schodów.

– Dain, słuchaj tego, panna P. i ja zamierzamy się pobrać! – wykrzyknął Bertie.

– Będziecie musieli się wstrzymać – uciął Dain. – Dostałem właśnie list od Ainswooda. Jego podopieczne zniknęły. Musisz zabrać pannę Price do Londynu, potrzebują waszej pomocy. – W kilku słowach wyjaśnił sytuację i zwrócił się do Tamsin: – Proszę mi wybaczyć to komenderowanie. Moja żona nie bierze pod uwagę swej dość delikatnej obecnie kondycji, ale ja nie mogę jej pozwolić na kolejną długą podróż, niemal bez odpoczynku. Jednak wiem, że będzie się czuła lepiej, gdy się przekona, że Lydia ma przy sobie kobietę i przyjaciółkę.

– Wielkie nieba, gdzież indziej mogłabym teraz być, jeśli nie przy niej! – wykrzyknęła Tamsin. – Będę gotowa w ciągu godziny – dodała i pobiegła.

– Życzę ci wszelkiej pomyślności, Trent – powiedział Dain. – Choć nigdy w życiu nie pojmę, co ona w tobie widzi. – Wzruszył ramionami. – Nie mamy teraz czasu na zagadki wszechświata. Ainswood potrzebuje pomocy, więc jedziemy mu pomóc, a potem stłukę go na kwaśne jabłko.

Dain ruszył schodami na górę.

– Nawet nie wiedziałem, że ma więcej podopiecznych! Jessica oświeciła mnie, że od śmierci Charliego mieszkały cały czas z Marsem. Chyba zabiję tego łajdaka! Naprawdę wszystkiego muszę się dowiadywać od żony? Dostałem tyle zawiadomień o pogrzebach, że nie połapałem się, czy ktoś w ogóle tam został. Pytam Jess: „Kim, u licha, jest Elizabeth?!”, a ona na to: „Siostrą tego chłopca, który zmarł rok przed naszym ślubem”. „Ale ona nie żyje”, powiadam. „Zmarła niebawem po moim starym przyjacielu Wardellu. Pamiętam, jak jeździliśmy wtedy z jednego pogrzebu Mallorych na drugi”. Ona na to: „To była matka chłopca”. „Komu zatem mój sekretarz wysłał list kondolencyjny po śmierci chłopaka?”, dopytuję się. I okazało się, że starszej siostrze.

Doszli do skrzydła gościnnego i pokoju Trenta.

– Co więcej, jest też druga siostra – ciągnął Dain. – I obie mieszkają u Marsa, który ma dziewiątkę własnych dzieci i kolejne w drodze, choć jego żona ma już czterdzieści pięć lat!

Markiz otworzył drzwi do pokoju Bertiego.

– Ainswood mógł mi to wszystko powiedzieć.

– Mnie także nic nie mówił – przyznał Trent.

– Ciebie ledwie zna – burknął Dain, wrócił na korytarz i przywołał lokaja. – Byłem już pół roku po ślubie. Mogłem pojechać po te dziewczyny i wziąć je do siebie. Mamy, jak mi się zdaje, dość miejsca. Jessica miałaby

jakieś towarzystwo. Nie mówiąc już o tym, że to przecież córki Charliego! Jednego z najwspanialszych facetów, jakich znałem. Przyjechałbym na jego pogrzeb i dowiedział się wszystkiego, gdyby ten łajdak Ainswood napisał mi o tym. Ale zanim się dowiedziałem, Charlie był od tygodnia w grobie.

Dain znalazł za szafą torbę Bertiego i rzucił ją na łóżko. W tej chwili nadbiegł Andrews, ale markiz odprawił go machnięciem dłoni.

– Sam pomogę Trentowi. Leć, spakuj moje rzeczy. Pani powie ci, co będzie potrzebne.

Andrews zniknął.

Dain podszedł do szafy i opróżniając półki, nie przestawał narzekać:

– Powinienem być przy Charliem i na pogrzebie. Powinienem być przy Ainswoodzie, gdy chował tego chłopaka. Mężczyzna w takich chwilach potrzebuje przyjaciół. Siostry Charliego go nie znoszą, ich mężowie tym bardziej. – Rzucił ubrania na łóżko i spojrzał na Trenta. – Przynajmniej tym razem poprosił o pomoc. Bez wątpienia to sprawka mojej kuzynki. – Znów podszedł do szafy. – Zabierzesz do niej pannę Price…

– W zasadzie – wtrącił Bertie – to panna Prideaux.

– Nieważne. – Dain wyciągnął kamizelki z szuflady. – Nie interesuje mnie, jak ma na nazwisko twoja narzeczona. Zabierzesz ją do Londynu i zostaniecie tam, wykonując rozkazy mojej kuzynki. Lydia doskonale zna Londyn i ma mnóstwo informatorów w urzędach i na ulicach.

– Myślicie, że dziewczynki pojechały do Londynu? – zdziwił się Bertie. – Skoro nie dotarły nawet do Liphook, może po prostu wróciły do domu?

– Może – zgodził się Dain. – Pytanie brzmi: co jest dla nich domem?

* * *

Vere rozpaczliwie przedzierał się przez zarośla gęste jak tropikalna dżungla. Szponiaste korzenie wyrastały znikąd, potykał się, padał, podnosił z wysiłkiem i parł dalej. Zimno kąsało go w twarz, ciemność zasłaniała świat. Światło księżyca i gwiazd nie przenikało przez warstwę liści i splątanych gałęzi. Nie widział, dokąd idzie, ale parł ślepo w kierunku dźwięku, który napełniał go grozą.

Gdzieś tam w gęstwinie płakało dziecko.

Koszula oblepiła mu ciało zlane zimnym potem.

Chciał krzyczeć, że już się zbliża, ale żaden dźwięk nie wydostał się z jego ust. Chłopiec go nie słyszał, nie widział. Myślał na pewno, że Vere go porzucił.

To nieprawda! Nigdy bym tego nie zrobił. Nigdy!

A jednak porzucił syna Charliego. Zostawił go na pastwę głupców i tchórzy…

Dlatego teraz musi odbyć karę. Odebrano mu głos, wrzucono w piekielną gęstwę, a dziecko… dziecko cierpi! Zabija je zaraza, podła, podstępna choroba.

Dłoń Vere'a uderzyła o marmur. Pomacał palcami w poszukiwaniu klamki. Drzwi się nie poruszyły. Zamknięte. Tłukł w nie bez opamiętania, na próżno.

Nie!

Paznokciami wyrwał zamek, rozwarł je na siłę i pobiegł w kierunku głosu, niknącego już, zamierającego.

Wokół trumny płonęły świece. Zepchnął pokrywę, zerwał całun i chwycił chłopca w objęcia.

Ale była to jedynie zimna mgła, rozwiewający się cień, który zadrżał i zniknął.

Nie. Nie! Robin!!!

Ainswooda obudził własny krzyk.

Klęczał skulony, ściskając w objęciach poduszkę. Ręce mu się trzęsły, był mokry od potu. Łzy ściekały mu po policzkach.

Rzucił poduszkę na podłogę i otarł twarz.

Podszedł do okna. Na zewnątrz panowała ciemność, ciężka od mgły, która przetaczała się wokół nich przez ostatnie godziny drogi, zanim niechętnie stanęli na noc. Służący nie jedli kolacji i byli już wykończeni, należało się zatrzymać. W przeciwieństwie do Ainswooda nie napędzały ich poczucie winy i zimna groza, które odbierały sen i apetyt.

Vere otworzył okno. Deszcz cicho szemrał. Choć było zupełnie ciemno, mężczyzna czuł w powietrzu obietnicę świtu.

Mamy więc wtorek, pomyślał. Dziewczęta zaginęły tydzień temu i nikt nie może wpaść na ich trop.

Umył się i ubrał. Zostawił Jaynesa z Grenville w Londynie. Tam przyda się znacznie bardziej, znał każdy kąt i zaułek. Mógł iść gdziekolwiek i bez trudu wtopić się w tłum.

Vere nie chciał myśleć o zakazanych zaułkach miasta. Nie chciał zastanawiać się nad tym, czy zniknęły w nich jego podopieczne jak większość samotnych dziewcząt bez opieki. Jak panna Price na przykład.

Jeśli byłby pan skłonny odprowadzić je na komisariat, chętnie udam się z wami, żeby złożyć zeznania…

Tamtego dnia w Vinegar Yard Grenville nie prosiła go o nic więcej niż postąpienie zgodne z prawem i obowiązkami każdego szanującego się Brytyjczyka.

A on pozwolił Coralie odejść i żerować na kolejnych dziewczętach. Zresztą w mieście aż roiło się od podobnych do niej drapieżników.

Od soboty zmagał się z ciężarem wstydu i poczucia winy. Nie mógł dokładać sobie niczego więcej, bo bał się, że polegnie.

Wyjął z walizki podróżne biurko Grenville, wyciągnął papier i pióro. Musiał napisać raport.

Grenville nadała sobie tytuł generała. Londyn był kwaterą główną, a każdy z jej oficerów miał obowiązek składać raport dwa razy dziennie. Kurierami byli służący i przyjaciele.

Armia służących utworzyła wokół Londynu pierścień o promieniu pięćdziesięciu mil, zagęszczający się w miarę zbliżania się do miasta. Grupy współpracowały ze sobą i kontrolowały drogi wjazdowe. Na przykład Dain zarządzał drogami z Exeter i Southampton.

Vere i Mars byli w Maidenhead, gdzie spotykały się drogi z Bath, Stroud i Gloucester.

Regularnie wymieniali się informacjami, które jednak nie przynosiły nic nowego. Vere szczegółowo opisał ich wysiłki.

Millie znakomicie wywiązuje się ze swoich obowiązków – pisał, usiłując stworzyć choćby jedno niosące nadzieję zdanie. – *Ma przedziwną tendencję do szwendania się poza wyznaczonymi ścieżkami. Za to doskonale zbiera informacje z terenu i słyszy wszystko, choć, jak dotąd, nic na temat. Okoliczni mieszkańcy nie są wobec niej tak powściągliwi jak w rozmowach z nami. Wczoraj znaleźliśmy dla niej mały powozik i przydzieliliśmy jednego ze służących Marsa, żeby ją woził. Nie wróciła na noc. Staram się tym nie zamartwiać, bo zapewniałaś mnie, że można na niej polegać, i był z nią postawny chłopak. Powtarzam sobie, że Millie prowadzi śledztwo własną metodą i mam gorącą nadzieję, że przyniesie ono skutek.*

Zmarszczył brwi i przyjrzał się listowi. Jak zawsze, był chłodny i skupiał się na faktach. Choć nie na wszystkich.

Wstał, chodził przez chwilę po izbie i usiadł znowu. Wziął świeżą kartkę i zamoczył pióro w kałamarzu.

Droga żono,

piszę do Ciebie dwa razy dziennie o tym, że nie znaleźliśmy dziewcząt. Nie piszę jednak o tym, co znalazłem.

Ich brat jest tu ze mną. Nie mogę się od niego uwolnić. Podróżowaliśmy tymi drogami, Robin i ja. Gdziekolwiek spojrzę, widzę krajobraz, na który niegdyś patrzyliśmy razem. Z okna powozu. Z końskiego grzbietu. Czasem nawet niosłem go w ramionach.

Wyrzuciłem go z moich myśli ladacznicami, alkoholem i bójkami, za wszelką cenę unikałem kontaktu z każdym, kto mógłby mi go przypomnieć. Gdy pojawiłaś się w moim życiu, te tchórzliwe ucieczki musiały się wreszcie skończyć. Przecięłaś ostatnią nić, pytając mnie, czy wezmę Cię do Bedfordshire. Wiedziałem dobrze, do czego zmierzasz. Miałem pod opieką dwie sieroty, o czym zapewne od dawna doskonale wiedziałaś, i chciałaś je po prostu wziąć do siebie, jak przygarnęłaś pannę Price, Bess i Millie. Wiem, że sama wybrałaś te trzy dziewczyny, i na pewno musiałaś się zadręczać, że wzięłaś tylko tyle. Gdyby było Cię na to stać, zapewne wszystkie londyńskie sieroty mieszkałyby w Twoim mieszkanku przy Soho Square. Wiem także i to, że lady Dain zmusiła Belzebuba do przygarnięcia tego bękarta, gdyż uznała, że to jego odpowiedzialność, i wątpię, by Twoje poczucie odpowiedzialności było o włos mniejsze.

Niestety, to, że mężczyzna wie i widzi, że sprawy są nieuniknione, nie oznacza, że podda się bez walki. Zwłaszcza ten uparty gość, za którego wyszłaś.

Płacę teraz okrutną cenę za swą głupotę i dręczą mnie wyrzuty sumienia, nie wspominając o narzucających się wizjach idiotyzmów, jakie popełniłem. Pamiętam doskonale mą wzruszającą przemowę o wszystkim, co zyskasz, wychodząc za mnie. Boże jedyny, jaki ze mnie idiota! A powinienem był powiedzieć, że mam pod opieką dwójkę dziewcząt i proszę Cię, byś mi pomogła się nimi zająć. Niestety, nigdy o nich nie myślałem. Wyrzuciłem je z myśli razem z Robinem. Charlie zostawił mi swe największe skarby:

dzieci, a ja… Zmarnowałem to wszystko. Mogę się jedynie modlić, bym miał szansę to jeszcze naprawić.

Siedząc przy toaletce, Lydia po raz dziesiąty odczytywała list od Ainswooda. Pierwszą stronę oddała Tamsin, która nanosiła ruchy armii poszukiwaczy na mapę rozłożoną w bibliotece. Z drugą schroniła się w sypialni.

Było grubo po północy i zdążyła dostać już kolejny list od męża, informujący o tym, co się zdarzyło w ciągu dnia. A raczej o tym, że nic się nie wydarzyło.

Na te listy łatwo jej było odpowiadać. Wystarczyło donieść własne „nic nowego", uzupełnione o histeryczne „nic nowego" Dorothei, której listy nadchodziły kilka razy dziennie. Kawałek po kawałku Lydia dowiadywała się, co dziewczęta zabrały ze sobą, i usiłowała wyciągnąć na tej podstawie jakieś wnioski.

Wczoraj mogła wspomnieć poszukującym o okularach, które zniknęły z biblioteki. Należało zatem pytać o młodą wdowę podróżującą z pokojówką albo guwernantkę z towarzyszką. Ludzie mogli nie dostrzec sióstr, zwłaszcza jeśli się przebrały i udawały kogoś innego.

Lydia przekazała te informacje także swoim szpiegom w Londynie.

Najbardziej chciałaby odpisać: „Jadę do Ciebie", ale to było niemożliwe. Nie mogła zostawić wszystkiego na głowie Tamsin. Oczywiście, przyjaciółka była wspaniale zorganizowana, bystra i zrównoważona, ale ugięłaby się pod takim ogromem pracy. Odbieranie i wysyłanie setek wiadomości, koordynowanie poszukiwań, obserwowanie ruchów na mapie, uspokajanie wszystkich i znajdowanie im sensownych zajęć.

Lydia westchnęła i zaczęła pisać:

Nie możesz brać na siebie całej winy za ucieczkę dziewcząt. Trudno mi się z tym pogodzić, ale wygląda na to, że Charlie jako jedyny spośród rodzeństwa miał odrobinę oleju w głowie. Dostaję teraz mnóstwo listów od Dorothei i – wybacz, że to napiszę – nie dziwi mnie, że tak łatwo dała się oszukać. Jednakże nie mogę znaleźć wytłumaczenia dla lorda Marsa. Przez dwadzieścia pięć lat pracował w Parlamencie i słynął z rozsądku, a omamiły go dwie uczennice. Skoro zdołały się wymknąć z tak ludnego i strzeżonego domu, zapewne oszwabiły niezliczonych pocztylionów,

woźniców, karczmarzy i niewinnych wieśniaków. Wynika stąd, że to para ładnych gagatków, i nie mogę się doczekać, kiedy dostanę je w swoje ręce.

Pisanie o Robinie było znacznie trudniejsze, ale i temu musiała podołać.

Rozumiem, co piszesz o małym duchu, który Cię prześladuje. Od piętnastu lat mam przy sobie Sarę. Gdy znów się spotkamy, musimy ich ze sobą zapoznać. Tymczasem porzuć wszelkie gdybanie i skup się na tym, co Cię otacza. Masz teraz na głowie siostry Robina. Być może, jeśli spojrzysz na nie tak, jak kiedyś spojrzałeś na niego, one także staną Ci się bliskie. Dorothea napisała mi, że byłeś z nim przez sześć miesięcy, a gdy wróciliście, nie mogła go rozpoznać, tak bardzo się zmienił. Nie chcę się nawet domyślać, czego go nauczyłeś, szalony! Spróbuj sobie przypomnieć, bo być może nauczył wszystkiego swe siostry. Może opowiedział im o Waszych wspólnych wyprawach? Może wędrują Waszymi śladami? Czy uważasz, na przykład, że potrafią się tak uśmiechnąć, że rozmówca zaczyna wierzyć, że białe jest czarne?

Wysłała list do męża i drżała z niepokoju. Wiedziała, że napisanie do niej o Robinie musiało go wiele kosztować, a ból, jaki rozdziera jego serce, potęguje fakt, że Vere tak długo tłamsił swe uczucia i nie dopuszczał do siebie żalu. Zaufał jej, a reakcja mogła mu się zdawać zbyt lekka. Za nic nie chciała, by uznał, że Lydia żartuje sobie z jego żałoby. Nie widziała jednak najmniejszego sensu, by odpowiedzieć mu skropionymi łzą sentymentami, jakie na co dzień dostawała od Dorothei.

Czytając ponownie jego list, uznała, że postąpiła właściwie, a przynajmniej na tyle, na ile było to możliwe. Oczywiście, Vere wciąż rozpacza po chłopcu, ale w tych dniach najbardziej dręczy go lęk o dziewczęta. Dlatego starała się dodać mu odwagi i choć na chwilę rozgonić ciemne chmury. Vere potrzebuje porady, co jeszcze może zrobić, nie zaś bezowocnego biadolenia. Najważniejsze było odnalezienie dziewcząt, wszystko inne musiało poczekać.

Odłożyła list i poszła na dół, żeby odesłać Tamsin do łóżka. Bertie Trent zabrał Susan na conocne obejście Piccadilly, gdzie uciekinierki mogły wysiąść z powozu, i przestrzeń między Duke a St James, gdzie mogły iść, gdyby próbowały dostać się do Ainswood House.

Było to niesłychanie optymistyczne założenie, jednak niepozbawione sensu. Gdyby dziewczęta okazały się tak naiwne, by próbować po zmroku iść na piechotę przez miasto, nie zdołałyby zwieść Susan. Lady Mars przysłała ubrania, które Elizabeth i Emily miały na sobie dzień przed ucieczką. Suka znała już ich zapach. Wyraźnie też rozumiała, o co chodzi, gdyż Trent donosił, że z uwagą obwąchuje wszystkie mijające ją kobiety, budząc ich panikę.

Dodatkowo Bertie miał co robić wieczorami, a przykładał się do tego ogromnie, jak zresztą do każdego zadania, jakie wyznaczyła mu Lydia. Była zdumiona, jak bardzo jej pomógł. Wystarczyło pomyśleć na głos o czymkolwiek: jeszcze jednym znajomym, którego nie powiadomiła, pomyśle, który nagle przyszedł jej do głowy, by Bertie oznajmiał: „Ja się tym zajmę” i robił, co trzeba.

Trent miał na szczęście tyle zdrowego rozsądku, że po powrocie z miasta natychmiast kładł się do łóżka, by wyspać się przed kolejnym dniem. Tamsin potrzebowała wyraźnego rozkazu, Lydia udała się więc do biblioteki, gotowa do walki.

Zanim zeszła po schodach, ktoś zastukał do frontowych drzwi i lokaj otworzył je bez chwili zwłoki. Rozpoznawszy posłańca od męża, Lydia przebiegła hall i odebrała pocztę. Odesłała kuriera do kuchni, żeby najadł się przed drogą powrotną.

W drodze do biblioteki rozpieczętowała list.

Najdroższa żono,

Niech Bóg Cię stokrotnie błogosławi za Twą mądrość! Na kolanach dziękuję Ci za Twą przenikliwość i za przysłanie do mnie Millie.

Niestrudzenie przeczesywała okolicę na północ od Bagnigge i właśnie miałem kogoś po nią posłać, gdy dotarł Twój list i powstrzymałem się, przywołując resztki cierpliwości. Przypomniało mi się, że wędrowałem tamtędy z Robinem w drodze na Coombe Hill, niedaleko Aylesbury. Streszczając: dzięki wspaniałemu talentowi Millie do plotkowania znaleźliśmy tuż obok Aylesbury gospodę, w której dziewczęta spędziły kilka dni. Emily chorowała. W sobotę ruszyły w drogę. Niedzielę spędziły w Prince’s Risborough, gdzie Emily wymieniła swą brązową suknię na chłopięce ubranie. Zabrały je z kosza wystawionego dla ubogich w kościele. Wiemy to, ponieważ Millie przesłuchała żonę pastora.

Tu następował szczegółowy opis stroju.

Potem wspomniał, że ruszyli śladem dziewcząt na południe, w kierunku obszaru patrolowanego przez lorda Marsa, wypytując o kobietę i chłopca – ze znacznie lepszym rezultatem.

Lydia dokończyła list i przekazała Tamsin kluczowe informacje.

– Trzeba obudzić służbę – podsumowała. – Musimy przekazać te wiadomości wszystkim poszukującym. Nie wiemy, dokąd dotarli ludzie Ainswooda, mogą lada chwila być w mieście. Wszyscy muszą być w pogotowiu.

– Skopiuję opis ubrania – postanowiła Tamsin. – To zaledwie kilka linijek, a nasi ludzie będą śpiący. Nie możemy wymagać, że dokładnie wszystko zapamiętają.

– Ty także jesteś śpiąca – westchnęła Lydia. – Ale teraz nie ma na to rady. Powiem kucharce, żeby zaparzyła mocną kawę.

* * *

Uczynny farmer wysadził Elizabeth i Emily na Covent Garden. Plac był pełen ludzi, choć był dopiero wczesny ranek. Elizabeth przed kilkoma minutami słyszała kościelne dzwony wybijające szóstą.

Rolnik nie chciał wziąć pieniędzy. I tak jechał w tę stronę, pasażerki zajmowały niewiele miejsca, a jego jabłka były cenione w Londynie i wiedział, że mnóstwo na nich zarobi.

Elizabeth widziała, że nie przechwala się bezpodstawnie, bo mimo wczesnej pory kilka osób rzuciło się ku nim, gdy tylko mężczyzna zatrzymał wóz na skraju placu. Targował się już ostro, zanim zdążyła zsadzić Emily na chodnik.

Nie dosłyszał jej podziękowań, lecz nie przejęła się tym. Dziękowała mu setki razy w czasie nużąco powolnej podróży. Uchylając się przed łokciami energicznych amatorów jabłek, wyprowadziła Emily z tłumu.

– Teraz będzie już łatwo – uspokajała siostrę. – Skwer St James nie jest daleko stąd.

Gdybym tylko wiedziała, w którą stronę iść, dodała w duchu, rozglądając się dookoła oszołomionym wzrokiem. Nie mogła kierować się położeniem słońca, bo jeszcze nie wzeszło. Żałowała, że nie zabrała kompasu, jak setek innych przydatnych rzeczy, o których nie pomyślała, planując ucieczkę. Nie

była przygotowana nawet na dwa dni podróży, tym bardziej że rozciągnęły się już do ośmiu.

Wzięły za mało pieniędzy, sprzedały więc lub wymieniły większość swego niewielkiego dobytku. Emily była śmiertelnie zmęczona i równie głodna. Ulegając namowom farmera, zjadły kilka jabłek, powściągając wilczy apetyt, by nie odzierać go z zarobków.

Jednak niebawem będzie po wszystkim, powtarzała sobie Elizabeth. Są wreszcie w Londynie i muszą jedynie się dowiedzieć, w którą stronę iść, by dotrzeć do placu St. James, a wtedy…

Emily zachwiała się i osunęła na chodnik. Elizabeth usłyszała ostry krzyk:

– Ojejku, ten chłopiec źle się czuje! Nelly!

Elizabeth nie zdążyła pomóc siostrze ani nawet zaprotestować. Wszystko stało się w mgnieniu oka: wysoka ruda dziewczyna odciągnęła Emily na bok, tłum zamknął się za nimi. Jakaś dłoń boleśnie ścisnęła Elizabeth za ramię.

– Cicho, moja droga, ani słowa. Bądź cichutko jak myszka, a być może Nelly nie poderżnie gardła twojemu małemu przyjacielowi.

Rozdział 17

Tom nie zdążył przyjrzeć się podejrzanej parce. Prawdopodobnie nie zwróciłby na nią uwagi, gdyby nie rozpoznał z opisu wozu farmera i nie podszedł bliżej. To wtedy starsza z pozoru dama zeskoczyła zręcznie z wozu, migając w locie bardzo zgrabną kostką. Tom próbował przecisnąć się przez tłum. Nie wiedział, dlaczego pasażerowie wydali mu się dziwaczni, ale był już na warcie tak długo, że wszystkiemu przyglądał się dwa razy.

Widział, jak wyższa postać rozgląda się niepewnie wokoło, a niższa znienacka blednie i osuwa się na chodnik. I nagle, w mgnieniu oka, obie były już u wylotu Bow Street, z Coralie Brees i jednym z jej osiłków.

Nie zastanawiał się, czy ma rację. Czy tajemnicza parka jest tą właśnie, której poszukuje panna Grenville. Tom i jego uliczna wataha tropili w ostatnich dniach setki fałszywych śladów, ale nie sposób wiedzieć, czy trop jest właściwy, dopóki się nim nie ruszy. Lepiej się trochę pościgać, niż coś przeoczyć.

Nie myśląc ani chwili, ruszył w pogoń.

* * *

Coralie była głupia jak but, umiała jednak odróżnić chłopca od przebranej dziewczyny i rozpoznawała wytworny akcent wyższych sfer. Dokonała tych odkryć, gdy tylko wpakowała swe zdobycze do stareńkiego powozu, czekającego tuż za rogiem.

– Domyślam się, że porwała nas pani dla okupu – odezwała się starsza, spoglądając z niepokojem na nóż Coralie. – Czyż nie byłoby prościej, gdyby odwiozła nas pani do Ainswood House i powiedziała, że nas odnalazła i uratowała? Od razu i bez wysiłku mogłaby pani odebrać sowitą nagrodę.

Gdyby dziewczyna nie wspomniała o Ainswood House, Coralie otworzyłaby drzwi powozu i wypchnęła je na ulicę. Polowała na dziewczęta, o które nikt się nie upominał, a nie uciekinierki z bogatych

domów. To mogłoby ściągnąć jej na głowę kłopoty. Żadna stręczycielka nie ryzykowałaby porywania arystokratek, nawet dla wyjątkowo wysokiej zapłaty.

Oczywiście, porwania dla okupu mogły stanowić bardzo dochodowy interes, gdyby nie fakt, że każdym prawem sterują pieniądze. Dlatego właśnie sprawy sądowe wytaczane przez elity biegły błyskawicznie i zawsze na ich korzyść. Prawnicy i policja stawali na głowach, żeby zaspokoić wysoko urodzonych klientów, więc tylko kompletny głupiec mógłby zdecydować się na coś podobnego.

A choć intelekt Coralie pozostawiał wiele do życzenia, była wystarczająco sprytna, by nie dawać się złapać. Była też niebezpieczna. Kłopotliwe dziewczęta karała z okrutną srogością. Nieliczne uciekinierki były tropione, chwytane, okaleczane i zabijane jako przykład dla innych. Do tej pory udało się zbiec jedynie Annette. Coralie była pewna, że dziewczyna zawdzięcza życie wyłącznie ukradzionym pieniądzom. Zapewne przekupiła Billa i Josiaha, namawiając ich, by pracowali dla niej w Paryżu, gdyż żaden z nich nigdy nie wrócił.

Całe nieszczęście stręczycielki było winą nowej księżnej Ainswood. Dowiedziawszy się zatem, że jej zdobyczą padły świeżo upieczone krewne księżnej – oczywiście nie wyrzuciła ich z powozu.

Obiło jej się o uszy, że ktoś z rodziny Ainswooda zaginął i że sam książę wyjechał z miasta, ale nie znała żadnych szczegółów. W ciągu ostatnich tygodni starała się nie wychylać. Uciekła z poprzedniej siedziby, nie płacąc czynszu, co także zawdzięczała przeklętej olbrzymce. Mimo to komornicy byli już na jej tropie.

Niestety kilka dni wcześniej zamordowała jedną uciekinierkę i zatłukła drugą dziewczynę w ataku alkoholowego szału. Straciła w ten sposób dwie pracownice, co odbijało się na jej finansach. Musiała więc wyruszyć o świcie na łowy, czy jej się to podobało, czy nie.

Ale teraz nikogo już nie będzie potrzebowała. Wyrówna rachunki z cholerną dziennikarką i zbije przy tym fortunę.

Uśmiechnęła się więc, prezentując niekompletne i odrażająco sine uzębienie.

– Ainswood House jest zamknięty na głucho, wszyscy wyjechali – skłamała gładko. – Przypuszczam, że udali się na polowanie. Na was. – Potrząsnęła głową. – Dwie małe uciekinierki. Macie szczęście, że to ja was

znalazłam. Niektórzy nie dbaliby o was tak jak trzeba. Znalezione, niekradzione, jak mawiają. Wiecie zapewne, co niektórzy robią z takimi znajdami jak wy, prawda?

Starsza dziewczyna przyciągnęła do siebie młodszą.

– Wiemy. Czytałyśmy w „Argusie”.

– Jeśli więc nie chcecie, by przytrafiło się wam coś podobnego, musicie być grzeczne, miłe i nie robić kłopotów. – Skinęła głową ku oknu. – Widzicie, gdzie jesteśmy? W niezbyt eleganckiej części miasta. Wystarczy, że otworzę drzwi i zawołam: „Kto chce dwie ładne dziewczynki?” i pstryk! Już więcej was nie zobaczę.

– Nie chcecie tego – roześmiała się Nell, nachylając się ku nim. – Cokolwiek sobie wyczytałyście, to nie jest nawet połowa. Dziewczynom zdarzają się rzeczy tak straszne, że nie opiszą tego nawet w „Gazecie Policyjnej”.

– Zabiorę was w bezpieczne miejsce – podjęła Coralie. – Ale tylko jeśli będziecie grzeczne. Wyślemy im słówko, żeby was odebrali. Im szybciej, tym lepiej. Nie szanuję myśliwych, którzy nie potrafią upilnować zdobyczy.

* * *

Tom przez długi czas śledził swą zwierzynę. Zrujnowany powóz Coralie nie pędził zbyt szybko. Jednak chłopak utknął w zatłoczonej ulicy i nieopodal Tower stracił pojazd z oczu, a choć szukał go przez kilka następnych godzin, nie odnalazł tropu.

Późnym rankiem opowiedział wszystko Lydii. Stroje, wzrost i wygląd opisanych przez niego podróżnych nie pozostawiały wątpliwości: to musiały być Elizabeth i Emily. Kobieta nie miała złudzeń co do tego, że porwała je Coralie.

Lydia wysłała Toma do kuchni na śniadanie i w pośpiechu napisała do Ainswooda, żeby rzucał wszystko w diabły i co koń wyskoczy gnał do Londynu.

Wezwała do biblioteki Tamsin i Bertiego. Musieli opracować nowy plan.

Do tej pory prowadzili poszukiwania tak dyskretnie, jak tylko zdołali, z wielu powodów. Panienki z dobrych domów nie powinny z nich uciekać i taki wybryk mógł położyć się cieniem na reputacji Elizabeth i Emily.

Teraz jednak nie warto było o tym myśleć. Grenville z „Argusa” miała wielu wrogów. Nie mogła pozwolić na to, by mścili się na niej, krzywdząc dziewczęta.

A Elizabeth i Emily znalazły się w szponach największego wroga.

– Nie mamy wyboru – powiedziała. – Musimy wyznaczyć ogromną nagrodę za ich odnalezienie i ufać, że chciwość okaże się silniejsza niż chęć zemsty.

Przy pomocy Tamsin prędko zredagowała ogłoszenie, a Bertie zaniósł je do redakcji „Argusa”. Obawiali się, że dzisiejsze wydanie będzie już w druku, lecz jeśli nie, Macgowan zatrzyma drukarnię i doda informację o nagrodzie.

Gdy Bertie wyszedł, Lydia zaczęła rozsyłać liściki do siatki szpiegów i wypytywać o Coralie.

– Nie spodziewam się, że cokolwiek osiągniemy – westchnęła, odkładając na chwilę pióro. – Kilka dni temu wyciągnięto z rzeki ciało jednej z jej dziewczyn. Nie pierwszy raz próbowano wziąć Coralie na przesłuchanie i nikt nie mógł jej znaleźć. Ona dobrze wie, że policja straci zbyt wiele czasu na poszukiwanie. I bez tego mają za dużo pracy i za mało ludzi, żeby zawracać sobie głowę zabójczynią jakiejś bezimiennej ladacznicy.

Policjanci z Bow Street utrzymywali posterunek głównie z datków i nagród za odnalezienie zagubionych. Korona nie chciała wypłacać wynagrodzenia za rozwiązywanie takich spraw jak zabójstwa w najniższych sferach. Prywatne fundusze także nie angażowały się w tego rodzaju historie.

– Gdziekolwiek się ukryła, na pewno nie opuściła Londynu – stwierdziła Tamsin. – Musi mieć na oku swoje dziewczęta.

– Niestety, Londyn jest najlepszym na świecie miejscem, by się ukryć i nigdy nie dać odnaleźć – zatroskała się Lydia. Wezwała lokaja i poprosiła o czepek i płaszcz.

– Nie zamierzasz chyba wyjść?! – wykrzyknęła Tamsin. – Nie możesz jej szukać w pojedynkę!

– Idę na Bow Street. Nie powinniśmy mieć żadnych kłopotów ze zleceniem im poszukiwania, ale wolę osobiście porozmawiać z oficerami. Mogą mieć przed oczami wskazówki, których nawet nie wezmą pod uwagę.

– Spojrzała przyjaciółce w oczy. – Mężczyźni patrzą na świat inaczej niż kobiety. Zwykle nie widzą tego, co znajduje się tuż przed nimi.

W drzwiach stanęła Bess z suknią swej pani. Lydia prędko się ubrała.

– Coralie nie będzie grała uczciwie – dodała jeszcze. – Gdyby zamierzała, już by się z nami skontaktowała.

– List z żądaniem okupu?

Lydia pokiwała głową i spojrzała na zegarek.

– Minęło południe. Schwytała Elizabeth i Emily przed świtaniem. Po co miałaby zawracać sobie nimi głowę, skoro mogła je tu przywieźć i zażądać nagrody? Przypomnij sobie, że kiedy złapała ciebie i obawiała się kłopotów, od razu zaczęła udawać, iż cię uratowała. Gdyby przywiozła nam dziewczęta, nie mielibyśmy podstaw, żeby ją o cokolwiek oskarżać, a wszyscy obsypaliby ją złotem z wdzięczności. To byłoby praktyczne i łatwe. Skoro zaś nie wybrała łatwej drogi, zakładam, że ma w planach coś nieprzyjemnego. Nie będę tu siedziała i bezczynnie czekała na najgorsze, jeśli mam szansę jakkolwiek pomóc.

Obiecała, że będzie na bieżąco informowała Tamsin o postępach, i wyszła.

* * *

Bertie Trent zajmował niewielkie biuro panny Grenville w redakcji „Argusa”. Czekał na kolejną partię ogłoszeń. Głowa pękała mu od ponurych myśli.

W drodze do Londynu Tamsin opowiedziała mu swoją historię. Nie winił jej za to, że uciekła. Jej matka wyraźnie miała nie po kolei w głowie, a ojciec skupiał się wyłącznie na pracy. Tamsin czuła, że po prostu ją porzucił.

Wiele osób zapewne oskarżyłoby również Ainswooda o porzucenie podopiecznych.

Bertie jednak wiedział, jak skomplikowane są losy rodzin i jak łatwo pogubić się w relacjach z bliskimi. Od wielu lat nie mógł znieść własnej siostry, lecz dałby się zabić, gdyby coś jej groziło.

W ogóle kobiety sprawiały same kłopoty i jeśli nie umiało się z nimi postępować, należało je ignorować, trzymać się z daleka i unikać jak ognia.

Bertie sam dopracował tę strategię do perfekcji. Co nie oznaczało, że ojciec Tamsin nie ma serca.

Może pan Prideaux nie dostrzegał, jak źle się mają sprawy pod jego dachem?

To nie ma zresztą znaczenia. Bertie był przekonany, że mężczyzna na pewno przejrzał już na oczy, a jeśli w głębi serca kochał swą córkę, zapewne zamartwia się teraz na śmierć.

Wszak i Bertie drżał o losy podopiecznych przyjaciela, choć nie miał okazji ich poznać. Nawet Dain był rozbity. Bertie nigdy nie widział go tak wściekłego jak w dniu, gdy dowiedzieli się o ucieczce. A jak dziwnie się zachowywał! Pakował do walizy ubrania szwagra! On sam, Belzebub, wiecznie ustawiający służbę po kątach.

Trent nie chciał sobie nawet wyobrażać, w jakim stanie jest pan Prideaux. Biedak bez przerwy ma przed oczami wszystkie przerażające rzeczy, jakie mogły przydarzyć się jego córce w drodze do Ameryki u boku nieznanego mężczyzny, który mógł być zwykłym łotrem.

Młodzieniec nie chciał o tym myśleć, lecz nie mógł się uwolnić od straszliwych wizji i z godziny na godzinę popadał w coraz większą histerię. W utrapieniu wpatrywał się w uporządkowane biurko, poukładane równo pióra, ołówki i kartki.

Powinien najpierw zapytać o zdanie Tamsin, ale ona miała własne sprawy na głowie. Nie chciał wciągać jej w okropne rozważania, które jemu samemu wystarczająco zatruły życie. Poza tym nie ufał własnej sile ducha i był zbyt przybity, by wdawać się w dyskusje z ukochaną. Potrafił odróżnić dobro od zła, słuszność od niesłuszności i wiedział doskonale, co należy uczynić.

Przysunął sobie kartkę, otworzył kałamarz i wziął do ręki pióro.

* * *

Kilka godzin po wyjściu z Ainswood House Lydia uważnie przyglądała się zwłokom starszej kobiety, które spoczywały na stole w chłodni na dziedzińcu magistratu Shadwell.

Ostatniej nocy wyciągnięto je z Tamizy. Lydia dowiedziała się o tym w komisariacie przy Bow Street. Strażnik, który je znalazł, zauważył

charakterystyczne rany i poprosił oficera, by porównał je z ranami na ciele młodej prostytutki, które wyłowili kilka dni wcześniej.

Twarz starszej kobiety była pocięta w identyczny sposób. Gardło poderżnięto tak głęboko, że głowa niemal odpadła od szyi. Garota.

– Coralie mogłaby równie dobrze podpisać się na jej ciele, nie sądzi Wasza Wysokość? – zapytał młody policjant.

– Owszem, to na pewno jej sprawka – zgodziła się Lydia – ale zupełnie inny rodzaj ofiary. Te są zwykle młode. Dlaczego miałaby zaatakować starą wariatkę?

– Wariatkę? – Posterunkowy Bell spojrzał na zwłoki. – Po czym pani wnosi, że była szalona?

– Uchodziła za taką, gdy byłam małą dziewczynką – wyjaśniła Lydia. – Zajmowała się wyławianiem topielców z rzeki. Albo robił to jej mąż. Bez przerwy dyskutowała i kłóciła się z kimś, kogo przy niej nie było. Dzieci wierzyły, że rozmawia z duchami. Sama ją kiedyś słyszałam. Krzyczała coś na temat pieniędzy.

– Może prześladował ją duch topielca, któremu obrobiła kieszenie?

Lydia wzruszyła ramionami.

– Wszyscy kanalarze to czynią. To jeden z profitów tego zajęcia.

– Zdumiewa mnie, że ją pani rozpoznała. Nie była w rzece zbyt długo, ale nóż zrobił swoje.

– Widziałam ją niedawno w Ratcliffe, gdzie przesłuchiwałam prostytutki – wyjaśniła Lydia. – Byłam zdziwiona, że wciąż żyje, więc sporządziłam znacznie obszerniejszą notatkę niż zwykle. Poznaję te spłowiałe, farbowane na rudo włosy i dziwnie spleciony warkocz. Ciemne znamię na nadgarstku. Znałam ją pod przydomkiem Szalona Dorrie. Ale czy to jej imię, czy tylko przezwisko, nie wiem.

– I tak bardzo dużo nam pani powiedziała. – Bell się uśmiechnął. – Znacznie łatwiej będzie rozpytywać o Szaloną Dorrie niż o niezidentyfikowaną starszą kobietę. Niestety, to nie pomaga w pani sprawie – dodał i przykrył zwłoki kocem. – Ta tutaj była martwa na długo przed tym, zanim Coralie spotkała podopieczne księcia. Chyba że uważa pani, że jest coś znaczącego w fakcie, że ofiara ta znacząco różni się od innych.

Podniósł wzrok i spostrzegł, że gada do ściany. Księżna zniknęła.

– Wasza Wysokość? – Wybiegł z pośpiechem na dziedziniec. Słońce stało jeszcze wysoko, lecz mgła uniosła się znad rzeki, otulając okolicę gęstym oparem. Wołał przez chwilę, ale nikt nie odpowiadał. Słychać było jedynie oddalające się kroki. Policjant pobiegł za cichnącym dźwiękiem.

* * *

Niedługo później książę Ainswood zeskoczył z konia i usiłował przetrawić i uporządkować niepomyślne, niepokojące wieści.

– Shadewell? – wrzasnął. – Poszła sama aż do East End? Potraciliście zmysły? Nie widzicie, co ona knuje? To samo co w Vinegar Yard! Uważa, że może sama stawić czoło bandzie nożowników uzbrojona zaledwie w zegarek! I to nawet bez Susan!!!

– Hau! – potwierdziła Susan.

Vere spojrzał na nią z wyrzutem.

– Jak mogłaś pozwolić jej iść samej, durny psie?

– Lydia wyszła wiele godzin temu – wtrąciła Tamsin. – Susan była wtedy z Bertiem. Jej Wysokość nigdzie się nie zapuszcza, po prostu przeszła z jednego posterunku na drugi. Są z nią stangret i lokaj. Jestem pewna, że nie zrobi nic szalonego.

– Jest pani zaślepiona! – wycedził Vere, wypadł z biblioteki i runął ku drzwiom. Szarpnął za nie, nim lokaj zdążył mu otworzyć, i prawie staranował stojącego na schodach posterunkowego.

– Obyś pan miał wiadomości od mojej żony – zagroził oficerowi. – I obyś donosił, że siedzi grzecznie na komisariacie w Shadewell.

– Proszę o wybaczenie, Wasza Wysokość. Żałuję, że nie przynoszę wieści, jakich pan żąda. To moja wina. Towarzyszyłem jej w kostnicy, a kiedy na chwilę odwróciłem wzrok, już jej nie było. Uciekła pieszo, niestety. Znalazłem nieopodal jej powóz, ale księżnej nie było w środku. Miałem nadzieję, że ktoś z państwa pomoże mi poskładać elementy tej układanki, jak to z pewnością zrobiła księżna.

Skoro Lydii nie było już na posterunku, Vere nie miał pojęcia, gdzie jej szukać. Z największym wysiłkiem opanował nerwy i zaprosił policjanta do domu.

Joseph Bell był nowy, dopiero zaczynał służbę i przydzielono go do sprawy w zastępstwie kolegi, który został ranny. Był młody, przystojny

i wyraźnie lepiej wykształcony niż większość mundurowych.

Zwięźle opowiedział, co się wydarzyło. Był przekonany, że Jej Wysokość wiedziała o Szalonej Dorrie coś jeszcze.

– Uciekła, zanim zdążyłem zadać jej więcej pytań. Wszystko wskazywało na to, że denatka jest ofiarą Coralie, i oboje zastanawialiśmy się dlaczego. Mam silne podejrzenie, że księżna znała odpowiedź na to pytanie. Wnioskuję, że starsza kobieta stała się zagrożeniem dla stręczycielki. Może wiedziała, gdzie się ta łajdaczka ukrywa. Może zagroziła, że ją zdradzi?

– Albo zajmowała doskonałą kryjówkę, którą Coralie postanowiła jej odebrać – podsunęła Tamsin. – Lydia musiała obrać konkretny cel swej wędrówki, w innym wypadku nie wybiegłaby tak nagle i z pośpiechem. – Zmarszczyła brwi. – Nie rozumiem tylko, dlaczego nie wysłała mi listu z informacją, dokąd zmierza, jak obiecywała.

Vere nie chciał nawet myśleć, z jakiego powodu jego żona nie mogła wysłać wiadomości. Cały ten dzień przypominał koszmar. Wyczerpany do cna Mars wypadł z karety, gdy zatrzymali się, żeby zmienić konie, skręcił nogę i musiał zostać w gospodzie. Koń im się znarowił. Dziesięć mil od Londynu pijany woźnica uszkodził jedno z kół w powozie. Zdesperowany Vere biegł do następnej gospody, wynajął wierzchowca i gnał na oślep, ale gdy wreszcie dopadł do bramy, dowiedział się, że jego żony nie ma w domu.

Przerażające wizje torturowanych dziewcząt, jakie dręczyły go przez całą drogę do Londynu, wzbogaciły się o dodatkowy element: torturowaną żonę. Posłała po niego. Potrzebowała go. Przyjechał, najprędzej jak zdołał. Jak wtedy, gdy gnał do Robina.

Za późno, dźwięczało mu w głowie upiorne echo. *Za późno*.

– Wasza Wysokość?

Vere otrząsnął się z koszmaru i skupił wzrok na twarzy posterunkowego Bella.

– Przydomek Szalona Dorrie nic państwu nie mówi, jak mniemam?

– Grenville twierdzi, że była poławiaczką? – zastanowił się Vere. – Ostatnio widywana przy Ratcliffe Highway… – Zacisnął powieki, ale z niczym mu się to nie kojarzyło. – Nawet jeśli ją tam kiedyś widziałem, byłem zbyt pijany, by zwrócić na nią uwagę.

– Jeśli Jaynes był z tobą, to może pamiętać – podsunął Bertie.

Vere spojrzał na niego pustym wzrokiem.

– Mówiłeś mi, że chłop jest rdzennym londyńczykiem, wychował się w zaułkach – ciągnął mężczyzna. – Jeśli panna G., przepraszam, Jej Wysokość, słyszała o Szalonej Dorrie, to sądzę, że i Jaynes o niej słyszał. Wygląda na to, że kiedyś była dość sławna.

Vere zwrócił zdumiony wzrok na Tamsin, która promieniała z dumy.

– Jesteś niezwykle bystry, Bertie – powiedziała. – Powinniśmy byli wpaść na to wcześniej. – Wstała i podeszła do stolika. Wzięła czystą karteczkę. – Za pół godziny będzie zaczynał wieczorny obchód. Jeśli wyjdziesz od razu, powinieneś znaleźć go przy tawernie Pearkesa.

Po chwili trzech dżentelmenów i pies byli już w drodze.

* * *

Lydia zdołała zwieść posterunkowego Bella, ale nie udało jej się wywinąć Tomowi. Gdy tylko skręciła w High Street, wyrostek wynurzył się jak duch z mgły i mroku.

– A dokąd to? – zapytał grubiańsko. – Modny powozik został z tamtej strony – wskazał umorusanym kciukiem.

– Tam, gdzie się udaję, nie mogę pojechać modnym powozikiem – wyjaśniła. Nie mogła też jechać z policjantem u boku. Przedstawiciele londyńskiego półświatka potrafili z kilku mil wywęszyć stróżów prawa. Wszyscy znikali nagle jak kamfora i nikt nigdy o nich nie słyszał ani ich nie widział.

Coralie z pewnością zdaje sobie sprawę z tego, iż jest poszukiwana, ale uważa, że nic jej nie grozi. Lydia nie chciała rozwiewać tej iluzji. W normalnych warunkach stręczycielka była dość niebezpieczna, przyparta do muru może posunąć się do rzeczy nieodwracalnych.

Księżna zmarszczyła brwi.

– Czy to panna Price kazała ci mnie śledzić? – zapytała.

– Nie, panno Grenville. – Chłopak pokręcił głową. – Sam na to wpadłem. Jeśli pani wpadnie w kłopoty, to będzie moja wina. To ja ich nie upilnowałem.

– Gdybyś ich nie spostrzegł, nawet nie wiedzielibyśmy, gdzie szukać – odparła Lydia. – Ale nie zamierzam cię odpędzać. Będę potrzebowała pomocy i chętnie skorzystam z twojej.

Machnęła na przejeżdżającą dorożkę, wspięła się do niej wraz z Tomem i kazała woźnicy jechać do Ratcliffe.

W drodze opowiedziała mu o Szalonej Dorrie i przypuszczeniu, że Coralie potrzebowała jej kryjówki, by się przyczaić. Na Szalonej Dorrie nie można było polegać, więc stręczycielka zamordowała ją i wrzuciła do rzeki.

– Jedziemy do jej domu. To samotna chałupka na brzegu Tamizy, gdzie wałęsają się tylko szczury. Dorrie miała też łódkę. Przypuszczam, że Coralie wyśle przez posłańca anonim, żebym do niej przyjechała. Zastawi na mnie pułapkę. Jak dotąd, panna Price nie dała mi znać o żadnym liście, więc spodziewam się, że Coralie czeka, aż zapadnie zmrok. Po ciemku łatwiej jest urządzić zasadzkę, a także uciec łódką, gdy już będzie po wszystkim. Naszą jedyną szansą na pokrzyżowanie jej planów jest pojawienie się tam teraz, gdy się mnie nie spodziewa.

– Ja bym powiedział, że szansa byłaby lepsza, gdyby wzięła pani ze sobą tego siłacza, za którego pani wyszła. I kilku innych. Z pałkami.

– Jego Wysokość nie zdążył wrócić, zanim wyszłam do Shadewell – westchnęła Lydia. – Nie wiadomo, kiedy dotrze do miasta. Nie mamy czasu, by na niego czekać, już robi się ciemno. Będziemy musieli sobie poradzić z takimi posiłkami, jakie zdołamy zebrać w okolicy. Potrzebujemy kogoś, kto wygląda, jakby tam mieszkał.

– Znam tam paru ziomków. – Tom się uśmiechnął. – I kilka dzielnych dziewuch.

* * *

Tymczasem we wstrętnej norze Szalonej Dorrie Nell wpadała w ślepą rozpacz.

Gdy zniknęła Annette, dziewczyna została przyboczną Coralie. Przejęła wszystkie powabne suknie uciekinierki oraz jej klientów, niegrzeszących urodą ni manierami. Większość z nich jednak płaciła i choć robota była odrażająca, Nell mogła zatrzymywać połowę wynagrodzenia, co bardzo jej odpowiadało.

Tego ranka Coralie obiecała jej, że niebawem w ogóle nie będzie musiała pracować, bo zostaną bogate i pojadą do Paryża. Dogonią Annette i odzyskają wszystko, co ukradła, a wtedy będą jeszcze bogatsze.

Godziny mijały, a Nell coraz mniej podobał się ten plan. Najpierw będą uciekały wstrętną, brudną krypą kołyszącą się nieopodal, przy zapadniętym pomoście. Nell nie darzyła łódek ciepłymi uczuciami, zwłaszcza małych, a szczególnie takich, które służyły do odławiania topielców. Dziewczyna nie wiedziała, jak Coralie weszła w posiadanie łodzi i domu, który choć brudny, niewątpliwie był wcześniej zamieszkany. Bardzo niedawno.

Zapadał już zmrok i wiatr wciskał się do chatki przez liczne szczeliny. Corrie ładowała do łódki tłumoki i zawiniątka. Dwie lalunie siedziały zamknięte w komórce, ale były zupełnie cicho i Nell czuła się bardzo samotna. Wiatr zawodził ludzkim głosem, a buda skrzypiała i trzeszczała, jakby ktoś wokół niej krążył.

Dziewczyna domyśliła się, że domek należał do poławiacza. Na ścianach wisiały rozmaite ogłoszenia o zaginionych osobach i wycinki z gazet o topielcach. Było jasne, że w nędznej chatce często leżakowały zwłoki wyłowione z rzeki. Nell zdawało się, że nawet ściany przesiąkły zapachem śmierci. Wzdrygnęła się i zapatrzyła na kartkę leżącą na stole.

Stręczycielka wiele razy pisała list na odwrocie starych rachunków i wciąż żądała nowych kawałków papieru. Od czasu do czasu, dla rozrywki, szła do komórki i opowiadała struchlałym pannom, co im zrobi, jeśli księżna Ainswood nie wykona co do joty jej poleceń.

Z każdą minutą w sercu Nell narastała pewność, że Coralie i tak je skrzywdzi, z księżną na czele. Nigdy nie zostawiała świadków. Skoro będzie już miała okup za dziewczęta, łódkę i możliwość ucieczki pod osłoną nocy, dlaczego miałaby ocalić kogoś, kto mógłby na nią donieść? Niestety, dotyczyło to również Nell.

Drzwi otworzyły się z przeciągłym skrzypieniem i weszła Coralie. Zdjęła czepek i szal z haczyka i rzuciła nimi w Nell.

– Czas na ciebie! – warknęła. – Do sklepu i z powrotem idzie się dziesięć minut. Jeśli spóźnisz się choć minutę, wyślę po ciebie Micka i pożałujesz.

Nell miała zanieść list do sklepu, dać kopertę i monetę posługaczowi i kazać mu zanieść wiadomość do Ainswood House. Niczego nie wiedząc, chłopak nie będzie w stanie nic wyjaśnić. Coralie, rzecz jasna, nie zaryzykowałaby wysłania do księcia Micka czy Nell. Wiedziała, że mogliby się dać przekupić.

Dziewczyna bardzo powoli założyła czepek i zawiązała wstążki. Następnie owinęła się szalem. Gdy przejdzie przez próg, będzie miała

jedynie dziesięć minut, a nie mogła się zdecydować, czy powinna wrócić do chatki i spróbować swych szans z Coralie, choć nie oceniała ich zbyt wysoko, czy biec czym prędzej do Ainswood House z Mickiem depczącym jej po piętach i zastępem policjantów czekających na nią na miejscu, czy po prostu wskoczyć do łódki i spróbować szczęścia na rzece.

Zanim zamknęła za sobą drzwi, podjęła decyzję.

* * *

Słysząc szybkie kroki, Lydia kucnęła za odwróconą łodzią. Następnie wychyliła się i dostrzegła postać potykającą się na kamieniach. Biegła do szczątków zawalonego pomostu.

Księżna wyjęła zza paska nóż, który pożyczyła od znajomej prostytutki, i spokojnym krokiem podeszła do kobiety, modląc się w duchu, by była to Coralie.

Jej zwierzyna, zajęta histerycznym odwiązywaniem cum, nie słyszała zbliżających się kroków.

Lydia dotknęła czubkiem noża jej pleców.

– Piśnij tylko, a wytnę ci nerkę – szepnęła.

Jedno stłumione westchnienie i kobieta zamarła jak głaz.

To nie Coralie, chyba że skurczyła się znacznie we wszystkich wymiarach.

Lydia przełknęła gorycz rozczarowania. Cóż, mogła trafić gorzej. Spojrzała z bliska na Nell. Dziewczyna musiała wymknąć się z domu, a to znaczyło, że wie, co się dzieje wewnątrz. Lydia pociągnęła ją na śliskie kamienne nabrzeże.

– Współpracuj grzecznie, a dopilnuję, by włos ci nie spadł z głowy – powiedziała cicho. – Czy dziewczyny jeszcze żyją?

– T-tak… Żyły, gdy wychodziłam z domu.

– Są w starej chatce niedaleko stąd?

– Tak, madame. – Nell dygotała ze strachu. Zęby jej szczękały. – Corrie jest z nimi, a Mick pilnuje przy progu. Wysłała mnie, żebym dostarczyła list i zaraz wracała. Będą mnie wypatrywać.

– Coralie zamierza je zabić, prawda?

– Tak, madame. Zabije dziewczyny i panią też. Nie zrobi tego, co obiecuje w liście. Najpierw napadnie na panią, zabije i zabierze pieniądze.

Wtedy zabije dziewczyny. Powiedziała, że zabierze mnie do Paryża, ale wiem, że nic z tego nie będzie. Wyrzuci mnie z łódki, jestem pewna. – Nell zaczęła płakać. – Wiedziałam, że nic dobrego z tego nie wyniknie. Od razu, jak się okazało, że zamierza je tu ukryć, zamiast odwieźć je prosto do domu. Ona pani nienawidzi najbardziej na świecie.

Lydia podeszła do łodzi, odcumowała ją i puściła z nurtem. Cokolwiek planuje Coralie, tą drogą nie ucieknie.

– Muszę odzyskać te dziewczyny – powiedziała do Nell. – Możesz iść ze mną albo biec do gospody Pod Dzwonkiem i Flaszką. Jeśli ci się uda, będziesz bezpieczna.

– Idę z panią – zdecydowała Nell. – Nie uda mi się dotrzeć do gospody w jednym kawałku. Mick jest jeszcze gorszy niż Jos i Bill.

W takim razie trzeba najpierw pozbyć się Micka, pomyślała Lydia. Cicho i szybko. To nie będzie bynajmniej proste. Jej armia składała się z trzech uliczników poniżej dziesiątego roku życia i dwóch najbardziej żałosnych ladacznic, jakie Lydia miała nieszczęście spotkać. Jednak było to najlepsze, na co mogła liczyć w tak krótkim czasie, a bez pomocy Toma byłaby zupełnie sama.

W tej okolicy ludzie byli albo całkiem pijani, albo zupełnie zgnębieni nędzą i głodem, albo podli.

Oddałaby duszę, by mieć teraz przy sobie Ainswooda.

Ale go nie było i mogła mieć tylko nadzieję, że Nell nie kłamie i Coralie – zanim dokona piekielnej zemsty na Elizabeth i Emily – będzie czekała, aż list dotrze do księżnej.

Modląc się gorąco, ruszyła z Nell do domu Szalonej Dorrie.

* * *

Jako że porywaczka kilka razy i ze szczegółami opisała, co zamierza im zrobić, Elizabeth i Emily w lot pojęły znaczenie przeraźliwego dźwięku, który rozbrzmiał w izbie kilka minut po wyjściu Nell. W ciszy nietrudno było rozpoznać trzask tłuczonego szkła. Butelkę widziały już wcześniej. Coralie machała im nią przed oczami.

Przełykając wstręt, Elizabeth wyciągnęła spod sterty słomy wijący się tobołek. Lekko poluzowała wstążkę oddartą z halki, którą był przewiązany.

Popchnęła Emily ku drzwiom. Dziewczynka rozpłaszczyła się na ścianie obok wejścia.

– Żadnego bohaterstwa – szepnęła Elizabeth. – Wiej!

Emily przygryzła wargę i pokiwała głową.

Zdawać by się mogło, że czekają rok. Wreszcie drzwi się otworzyły i weszła Coralie, dzierżąc przed sobą szyjkę stłuczonej butelki.

Emily krzyknęła przenikliwie, a Elizabeth cisnęła w porywaczkę tobołkiem. Łajdaczka chrapliwie ryknęła, gdy przerażony szczur wplątał się w jej włosy. Starsza panna Mallory wpadła na nią i obaliły się na klepisko. Emily wybiegła. Elizabeth poderwała się i popędziła przed siebie. Usłyszała krzyk i zobaczyła, że młodszą dziewczynkę ściga ten ogr, Mick. Za jej plecami Coralie darła się bez opamiętania.

Elizabeth puściła się pędem na ratunek siostrze.

* * *

Lydia biegła już za Mickiem ścigającym Emily, gdy zobaczyła Coralie wypadającą z chatki.

– Nell, Tom, reszta! Pomóżcie dziewczętom! – krzyknęła i ruszyła ku Coralie. Oślepiona furią stręczycielka była znacznie bardziej niebezpieczna niż Mick.

– Poddaj się, Corrie! – krzyknęła. – Jesteście otoczeni.

Na dźwięk głosu Lydii Coralie zatrzymała się jak wryta. Spojrzała na nią, zawahała się przez ułamek chwili, zaklęła i pobiegła ku pomostowi.

Lydia ruszyła za nią nieśpiesznie.

– Łódź odpłynęła! – krzyknęła. – Nie masz dokąd uciec.

Coralie z uporem biegła dalej, lecz nagle ześlizgnęła się z nabrzeża i wpadła za rachityczny pomost.

– Ty dziwko! – ryknęła wreszcie i było to najłagodniejsze ze słów, jakie wykrzykiwała, ślizgając się na mokrych, zbutwiałych deskach pomostu. Wśród straszliwych przekleństw Lydia posłyszała niedające się z niczym pomylić warczenie mastifa tropiącego zwierzynę.

– Dzięki Bogu – szepnęła. Wcale nie miała ochoty zsuwać się z nabrzeża i szamotać z Coralie na mokrych kamieniach. Nóż na nic jej się nie zda, jeśli upadnie i skręci sobie kark. Została na ścieżce.

– Rzuć tę butelkę, Corrie – wycedziła zimno. – Słyszysz przecież mojego psa. Opór nie ma już sensu. Susan rozedrze cię na strzępy.

Coralie zaczęła się niezdarnie przemieszczać, przełazić przez głazy, pod pomostem i dalej. Zmierzała w stronę przewróconej łodzi, za którą wcześniej ukrywała się Lydia.

Szczekanie było coraz głośniejsze, jednak zanim Susan tu dobiegnie, Coralie zdoła odwrócić łódkę i zepchnąć ją na rzekę. Ucieknie, a dzisiejsza porażka tylko podnieci w niej nienawiść i zawziętość.

Lydia ruszyła za stręczycielką.

* * *

Vere i jego towarzysze z oddali usłyszeli kobiece krzyki i bez wahania rzucili się w ich stronę. Zbliżywszy się do brzegu rzeki, dostrzegli wielkiego mężczyznę goniącego drobną dziewczynę i gromadę wątłych postaci depczących mu po piętach.

– Lizzy! Em! – ryknął Vere. – Tutaj!

Musiał krzyknąć kilka razy, by zagłuszyć wściekłe ujadanie Susan rwącej się na smyczy i toczącej pianę z pyska.

Usłyszeli go, bo wszyscy na moment zastygli ze zdumienia. Dwie drobne postaci popędziły w jego kierunku, a Mick stanął w miejscu, rozglądając się dookoła dzikim wzrokiem.

– Bierz! – warknął Vere i spuścił psa ze smyczy.

Susan puściła się w stronę Micka, który biegł już ku rzece. Chwyciła go za kostkę i runął jak długi w błoto. Susan nie puszczała.

Trent i Jaynes rzucili się w ich stronę, a Vere pobiegł ku swym podopiecznym, które jak zaczarowane patrzyły na polowanie na Micka.

– Jesteście całe? – zapytał z trwogą.

W mroku ledwie widział ich twarze, słyszał jednak, jak prędko łapią oddech i szczękają zębami.

Chwycił je w ramiona i mocno przytulił. Wtuliły się w niego z całej siły. Emanowały dusznym smrodem piwnicy, stęchłych ryb i zbutwiałej słomy.

– Do licha, kiedy brałyście porządną kąpiel?! – wycharczał przez ściśnięte gardło.

Nie dosłyszał odpowiedzi, bo Susan, oddawszy więźnia w ręce Jaynesa, znów zaczęła histerycznie ujadać.

Vere się rozejrzał. Widział nieopodal kilka czających się w mroku postaci, ale żadna nie przypominała jego żony.

– Lydio! – krzyknął.

– Hau! – potwierdziła Susan i skoczyła w ciemność.

Vere gwałtownie wypuścił dziewczęta z objęć i pobiegł za psem.

* * *

Przedzierał się przez mrok gęsty od mgły i smrodu. Nie widział ścieżki, ślepo podążał za szczekaniem psa.

– Lydio! – krzyczał raz po raz, ale odpowiadało mu jedynie coraz gwałtowniejsze ujadanie, przechodzące w skomlenie.

Potknął się na kamieniu, przez chwilę machał na oślep rękami, uspokoił się i pobiegł dalej. Jego wyobraźnię rozrywały bolesne obrazy: Charlie, Robin, zimne grobowce, twarze wszystkich, których kochał, rozwiewające się jak dym i znikające w mroku.

Nie! Nie tym razem! Tylko nie ona!

– Idę! – krzyknął, czując ogień w ściśniętych płucach.

Zaczynał dostrzegać coś w mroku. Przewróconą łódkę zobaczył o chwilę za późno, potknął się o nią i wylądował twarzą w śmierdzącym mule. Poderwał się i ruszył przed siebie tylko po to, by zatrzymać się raptownie dwa kroki dalej. Bał się odetchnąć, gdy zobaczył je przed sobą.

Splątane postaci rzucały się w błocie nad brzegiem rzeki.

Susan doskakiwała do nich i odskakiwała, szczekając zawzięcie.

Nie wiedziała, co zrobić.

Vere także nie wiedział. Widział co jakiś czas błysk noża, ale nie umiał dostrzec, kto go trzyma. Jeden fałszywy krok i kobieta, którą kochał ponad wszystko na świecie, mogła zginąć.

Odchrząknął z trudem.

– Dość już tej zabawy, Grenville – rzekł najspokojniej, jak zdołał. – Jeśli jej nie wykończysz w dziesięć sekund, włączę się do gry i zepsuję ci całą radość.

Kłąb ciał zatrzepotał gwałtownie, Vere dojrzał wzniesioną dłoń z nożem i usłyszał triumfalny chichot. Włosy stanęły mu dęba na głowie. To nie był głos jego żony. Ciała raz jeszcze zakotłowały się i po chwili zamarły.

Vere wstrzymał oddech i usłyszał chrapliwy głos Lydii:

– Rusz się tylko, a poderżnę ci gardło od ucha do ucha.

Zbliżył się ostrożnie.

– Potrzebujesz wsparcia, Grenville? – Mówił z trudem. Jego dłonie drżały.

– Chętnie skorzystam. – Syknęła przez zęby. – Uważaj. Ta gadzina stosuje nieczyste chwyty.

Vere był wdzięczny za to ostrzeżenie. Łajdaczka zdawała się na wpół martwa, jednak gdy tylko przejął ją spod noża Lydii, zwinęła się jak piskorz i próbowała uciec. Książę zaciągnął ją siłą na nabrzeże. Kopała, drapała i darła się, jakby chciała obudzić całe miasto.

– Ogłusz ją – wydyszała Lydia.

Coralie nie traciła sił ani energii, walczyła jak obłąkana.

– Nie uderzę kobiety.

Grenville zbliżyła się, uchyliła przed nadlatującą pięścią i zadała swej przeciwniczce cios w szczękę. Coralie zwiotczała jak szmaciana lalka.

Vere rzucił ją na kamienie. Susan stanęła nad twarzą stręczycielki, warcząc i tocząc pianę z pyska.

– Pilnuj – nakazał Vere.

Pochylił się nad żoną. Lydia stała krzywo, trzymając się za bok. Odepchnął jej dłoń, poczuł wilgoć pod palcami. Zachwiał się.

– Wybacz – szepnęła słabym głosem. – Ta wiedźma chyba mnie dziabnęła.

Złapał ją w ostatniej chwili, a gdy tym razem osunęła się w jego ramiona, wiedział, że nie udaje.

Rozdział 18

Francis Beaumont stał w tłumie gapiów obserwujących, jak książę Ainswood niesie swą żonę do powozu. Po upływie kilku minut cała okolica wiedziała, że Coralie zamordowała księżnę.

Francis Beaumont był bardzo niezadowolony.

Nie było mu bynajmniej żal księżnej, lecz obawiał się o własną skórę. Coralie Brees bez wątpienia zawiśnie i z pewnością ona sama nie ma co do tego złudzeń, a to oznacza, że zrobi wszystko, by jak najwięcej wspólników zakończyło żywot na tej samej szubienicy. Opowie im historię swego życia, a będzie to długa, pasjonująca opowieść, Francis Beaumont zaś odegra w niej główną rolę.

Żałował, że nie zabił jej w Paryżu. Po cóż pomagał jej uciec? Niestety, w tamtym czasie nie myślał zbyt racjonalnie. Miał masę kłopotów finansowych i trudne do nasycenia apetyty erotyczne, a w ich zaspokajaniu Coralie wydatnie mu pomagała.

Gdy tylko usłyszał dziś po południu, co ta idiotka zrobiła, wybrał się, żeby ją wreszcie zabić. Nie miał najmniejszych trudności w odnalezieniu łajdaczki, gdyż czytał w „Gazecie Policyjnej” o jakiejś staruszce, której pocięto twarz i poderżnięto gardło garotą. Opis był na tyle czytelny, że Francis Beaumont domyślił się od razu, o jaką staruszkę chodzi i kto ją wykończył.

Niestety, księżna Ainswood go ubiegła. Był zaledwie kilka kroków od chatki, gdy rozpętała się awantura. Gdy tylko usłyszał, jak księżna mówi, że są otoczeni, wycofał się w mrok. Byłby pewnie mniej ostrożny, gdyby wcześniej się zorientował, że dama ruszyła na wojnę w towarzystwie trzech wątłych chłopaczków i pary bezzębnych dziwek. Ale niewiele widział we mgle.

Teraz było już za późno. Policja przyjechała zaraz po Ainswoodzie. Całe zamieszanie trwało nie dłużej niż kwadrans. Francis był pewny, że od razu skażą Corrie na szubienicę, a ona wsypie wszystkich, których zna choćby z widzenia i będzie to prawie pół miasta.

Musi uciekać. Natychmiast. Nie może nawet iść do domu po pieniądze czy ubrania. Wszyscy wiedzą, gdzie mieszka Francis Beaumont. Jego żona jest sławną artystką.

Ona z pewnością nie będzie za nim tęskniła. Ustawi się do niej długa kolejka i wielu szacownych dżentelmenów będzie się bić, żeby zająć jego miejsce. A na czele kolejki stanie jasnowłosy francuski książę.

Ta wizja dławiła go niemal równie namacalnie jak grożąca mu pętla.

Niestety, musiał znieść i to.

Miał przy sobie wystarczającą ilość pieniędzy, by wynająć karetkę pocztową. Zanim ktokolwiek zorientuje się, że zwiał, będzie już na wybrzeżu.

Przedzierał się powoli przez tłum, udając, że donikąd mu się nie śpieszy, gdy podeszli policjanci, niosąc Coralie na prowizorycznych noszach.

– Mam nadzieję, że ta suka zdechła! – rozdarła się przy nim jakaś prostytutka.

– Nie zdechła! – odkrzyknął ktoś. – Niestety. Księżna tylko złamała jej szczękę.

Potwierdzona przez policjanta wiadomość bardzo rozczarowała zebranych.

Francis Beaumont zorientował się, że Grenville z „Argusa” ma w tej okolicy więcej sprzymierzeńców niż wrogów. Dwie na wpół martwe dziwki pomagały jej ratować dziewuchy. Jakaś banda uliczników biegała tam i z powrotem naokoło powalonego Micka. Rozejrzał się i zobaczył kilka steranych ladacznic szlochających i przeklinających Coralie Brees.

Wystarczyła chwila, by uporządkował w umyśle to zamieszanie, i kolejna, aby uznał, że to wspaniała okazja, której nie może nie wykorzystać. Przepychając się do wylotu uliczki, rzucał co chwilę niby niedbałe uwagi i zawoalowane sugestie. W ciągu minuty stojący ramię w ramię marynarze, dziwki, żebracy, stręczyciele i inne nadbrzeżne męty zamienili się w morderczą lawinę.

Pomruk narastał, wreszcie okolicą wstrząsnął gardłowy ryk. Tłum ruszył przed siebie, rozpędzając się do kulawego biegu. Przewrócił policyjny wóz, który wlókł się na posterunek, odepchnął na bok policjantów i stratował więźniów, rozpraszając się następnie w okolicznych zaułkach.

Po chwili Coralie Brees leżała na bruku, zmieniona w bezkształtną i krwawą masę, a Mick wykrwawił się kilka minut później.

Francis Beaumont był już w drodze.

* * *

Kilka godzin później Vere siedział, jak wiele razy wcześniej – z wujem, z Charliem, z Robinem – trzymając kurczowo zbyt zimną dłoń.

Dłoń swojej żony.

– Nigdy ci tego nie wybaczę, Grenville – szlochał. – Miałaś zostać w domu jak każdy szanujący się generał. Nie powinnaś była latać po mieście i ganiać przestępców. Nawet na chwilę nie można cię spuścić z oka! Wydaje mi się, że zginąłem kilka miesięcy temu i trafiłem prosto do piekła. Tylko dlatego się jeszcze nie powiesiłem, bo to by było bezcelowe.

– Przestań robić sceny. – Grenville uraczyła go lekkim uśmieszkiem. – Zaledwie mnie drasnęła.

To nie było draśnięcie. Gdyby nie kilka warstw odzieży, sztywny gorset i wielki zegarek wuja Ste, księżna Ainswood zginęłaby na miejscu. Ostrze ześlizgnęło się po zegarku i tylko dlatego nie weszło między żebra.

Doktor opatrzył ranę i chwilę wcześniej wyszedł z pokoju, odprowadzany przez lorda Daina.

– Kiedy tylko wydobrzejesz – chlipnął Vere – stłukę cię na kwaśne jabłko.

– Nie bijesz kobiet.

– Dla ciebie zrobię wyjątek. – Spojrzał z dezaprobatą na jej rękę. – Masz lodowatą dłoń.

– Bo tak ją ściskasz, że krew nie może krążyć.

Poluzował palce.

– Teraz lepiej – mruknęła.

– Wybacz. – Otworzył dłoń.

– Nie, nie puszczaj. Masz takie wielkie i ciepłe dłonie. Uwielbiam twoje dłonie, Ainswood.

– Zobaczymy, jak ci się spodobają, gdy przełożę cię przez kolano i uraczę solidnymi klapsami.

Uśmiechnęła się.

– Gdy pojawiłeś się dziś na nabrzeżu, byłam najszczęśliwsza na świecie. Coralie walczy tak nieuczciwie jak ja. Nie mogłam się skupić, bo drżałam ze strachu o dziewczęta. Nie byłam pewna, czy kiedy walka się skończy,

będę w stanie jakkolwiek im pomóc. Była taka wściekła! Oszalała z wściekłości. Ludzie tacy jak ona nabierają nadludzkiej siły, gdy się im zagrozi. Nie chciałam dopuszczać jej zbyt blisko, bo wiedziałam, jak to się skończy. Ale nie miałam wyboru. Uciekłaby.

– Wiem.

– Wysłałam do gospody chłopca, żeby sprowadził pomoc – ciągnęła. – Ale nie mogłam ryzykować i czekać. Bo przecież…

– Lizzy i Em nie przeżyłyby tej nocy, gdybyś zaczekała choćby chwilę dłużej – wtrącił. – Weszła do komórki, żeby je zabić.

Opowiedział o szczurze, którego schwytały w słomie i rzuciły wiedźmie w twarz.

– Były bardzo dzielne, ale ten fortel dał im zaledwie kilka minut. Na szczęście dla nich w ciągu tych minut zjawiłaś się ty. Ocaliłaś im życie, Grenville. Ty i twoja obszarpana armia z rynsztoka.

Pocałował jej dłoń.

– Nie bądź śmieszny – otrząsnęła się. – Nie dalibyśmy sobie rady, gdyby nie nadciągnęły posiłki. Nawet gdybym pojmała Coralie, a nie byłaby to łatwa sprawa, uwierz mi, wciąż jeszcze miałam przeciwko sobie Micka. Zanim bym do nich dotarła, zrobiłby dziewczętom coś strasznego.

– Wiem. Tom uderzył go w głowę kamieniem, ale ten ogr nawet nie poczuł. Jednak nie stanowił wyzwania dla Susan. – Vere zmarszczył brwi. – Do licha, niczego tam nie dokonałem! Poszczułem Micka psem. Patrzyłem, jak moja żona walczy z wściekłą wiedźmą, jakby były na arenie.

– A cóż, u diabła, miałbyś zrobić?! – prychnęła, unosząc się na poduszkach. – Nikt przy zdrowych zmysłach nie ważyłby się ingerować w taką sytuację. Zrobiłeś to, co było trzeba. Zresztą nie masz nawet pojęcia, jak sam dźwięk twojego głosu dodał mi sił i odwagi. Byłam już strasznie zmęczona i obawiałam się, że nie dam rady. A twoje drwiny były jak łyk ożywczej ambrozji. Poza tym żadną miarą nie mogłam przegrać na twoich oczach. To byłoby nadzwyczaj upokarzające. – Splotła palce z jego palcami. – Nie możesz sam zrobić wszystkiego, wiesz? Czasem musi ci wystarczyć udzielanie moralnego wsparcia. Nie potrzebuję wiecznej ochrony i ciągłego dopieszczania. Nie chcę, żebyś toczył za mnie wszystkie walki. Chcę jedynie, abyś we mnie wierzył.

– Wierzył – powtórzył Vere, kręcąc głową. – Tylko tego ci trzeba, prawda?

– To dla mnie bardzo ważne – szepnęła. – Twoja wiara we mnie. Biorąc pod uwagę, jaką pogardą obdarzasz mą płeć, muszę uznawać twój szacunek dla mego intelektu i umiejętności za najdroższy skarb.

– Najdroższy? – Puścił jej dłoń, wstał i podszedł do okna. Zapatrzył się na ogród. Po chwili wrócił do żony. – A co z miłością, Grenville? Sądzisz, że z czasem, być może, będziesz w stanie z godnością znieść moją miłość? A może uważasz, że miłość jest dla zwykłych śmiertelników i tobie nie przystoi? Być może boscy Ballisterowie nie potrzebują głębszych uczuć, tak jak ich kuzyni z Olimpu?

Przez chwilę wpatrywała się w niego ze współczuciem. Westchnęła wreszcie i powiedziała:

– Pozwól, że udzielę ci dobrej rady, Ainswood. Jeśli czujesz potrzebę wyrażenia miłości, to najlepiej po prostu powiedzieć: „Kocham cię”. Warto wyrażać swe uczucia wprost, nie zaś za pomocą drwin czy retorycznych pytań, jak to na ogół czynisz. Chwila ta powinna być pełna czułości i wzruszać mnie, a nie sprawiać, że mam ochotę rzucić w ciebie tym oto wiadrem z węglem.

Zmrużył oczy i zacisnął pięści.

– Kocham cię – wycedził ponuro.

Przycisnęła dłonie do piersi i przymknęła powieki.

– Ach! Coś mnie przepełnia… coś… coś takiego, że chyba zaraz zemdleję.

Podbiegł zwinnie i chwycił jej dłonie.

– Kocham cię, Grenville – powtórzył nieco łagodniej. – Zakochałem się w tobie już wtedy, gdy mi przyłożyłaś w Vinegar Yard. Ale sam o tym nie wiedziałem, a raczej nie chciałem o tym wiedzieć, aż do naszej nocy poślubnej. A wtedy nie miałem już odwagi ci powiedzieć, bo ty mnie nie kochasz. Wiem, że to głupie. Mogłaś dziś zginąć i nie miałbym w żałobie nawet tej pociechy, że powiedziałem ci, jak bardzo jesteś mi droga.

– Ależ powiedziałeś mi o tym – szepnęła. – Na setki sposobów. Nie potrzebowałam magicznych słów, by to pojąć, choć cieszę się, że to wreszcie powiedziałeś.

– Cieszysz się – powtórzył. – Cóż, to chyba dobrze. Cieszysz się, że moje serce w całości do ciebie należy. – Wypuścił jej dłonie. – Może kiedy poczujesz się lepiej, zdołasz wykrzesać odrobinę entuzjazmu. Gdy tylko staniesz na nogi, postaram się zdobyć twoje. Może za dekadę czy dwie

będziesz na tyle udobruchana, że zdołasz odwzajemnić moje uczucia. Oddać mi miłość za miłość.

Zaczął się rozbierać.

– To się z pewnością nie stanie – powiedziała.

Spojrzał na nią groźnie.

– Dlaczego, u licha, miałabym ci ją oddawać?! Zamierzam ją zachować. W moim sercu. Jest tu od dawna. „Kocham cię”, potem przecinek i wszystkie twoje cholerne nazwiska i niezliczone tytuły.

Uśmiech rozciągnął mu wargi. Poczuł dziwne ukłucie w sercu, które mu skradła.

– Musisz być zupełnie ślepy – ciągnęła – skoro wciąż tego nie dostrzegłeś.

Uśmiech zamienił się w drapieżny grymas.

– Pozwól, że się rozdzieję, ukochana. Wejdę do łoża i przyjrzę się uważniej.

* * *

Na ogół zamieszki na londyńskich ulicach budziły fale plotek, domysłów i lęk graniczący z paniką, jakiej można byłoby się spodziewać w przypadku inwazji obcych wojsk.

Incydent nad Tamizą, opisany szeroko w porannych gazetach, przeszedł kompletnie bez echa, gdyż wydarzyło się coś o wiele straszniejszego.

Miranda, bohaterka *Tebańskiej Róży*, rzeczywiście naostrzyła łyżkę o kamienie, jak przewidział sir Trent. Biedny Bertie prawie zemdlał, gdy przeczytał we wtorkowym „Argusie”, że Miranda nie wykopała nią tunelu. Dźgnęła Diabla własnoręcznie przygotowanym ostrzem i uciekła.

W ostatnim akapicie oszałamiająco przystojny złoczyńca „wpatrywał się w drzwi, za którymi zniknęła dziewczyna, dopóki mrok śmierci nie przesłonił mu wzroku. Nawet wówczas wytężał oczy wyobraźni i widział przeklęte drzwi, słysząc, jak drogocenna krew wypływa z jego ciała i kapie na zimne kamienie. Dźwięk ten uosabiał jego szalone życie wyciekające powoli… stracone, bezowocne, zmarnowane”.

Londyn był zdruzgotany.

Fikcyjne wydarzenie pojawiło się na pierwszych stronach niemal wszystkich gazet. Jedynie najbardziej surowe czasopisma, wśród nich „The

Times”, darowały sobie ogólną histerię i wspomniały na lokalnej stronie o zamieszkach pod redakcją „Argusa”.

Zjawiły się tam tłumy wściekłych czytelników. Niektórzy grozili spaleniem budynku. Inni proponowali redaktorom rozerwanie ich na strzępy.

Macgowan pojawił się w Ainswood House późnym popołudniem, by powiadomić wszystkich w uniesieniu, że na latarni powieszono kukłę wyobrażającą St Bellaira.

Wydawca promieniał jak słońce. Nazywał księżnę Ainswood geniuszem.

Vere zaniósł żonę do bawialni, w której zgromadził się tłum. Pochwalne hymny wywrzaskiwane przez Macgowana słyszeli wszyscy: Emily, Elizabeth, Jaynes, Bertie i Tamsin, a także cała służba. Wydawca, nie zwracając uwagi na groźne spojrzenia Lydii, piał i krzyczał, jednoznacznie zdradzając tożsamość prawdziwej twórczyni *Tebańskiej Róży*.

Gdy emocje opadły i zdał sobie sprawę z tego, co zrobił, zasłonił dłońmi usta. Spurpurowiał, a przerażone oczy napotkały zimny wzrok Lydii.

Ta uśmiechnęła się słabo i machnęła dłonią.

– Nic nie szkodzi. Świat zna już wszystkie moje sekrety, może więc poznać i ten ostatni. – Potrząsnęła głową. – Powiesili kukłę. Na Boga, ludzie strasznie serio biorą romantyczne powieści! – Przesunęła wzrokiem po zebranych. Ich miny wyrażały zaskoczenie, niedowierzanie, wstrząs. – Może to sentymentalne bzdury, ale najwyraźniej popularne. I, owszem, moje.

– Och, ale zakończenie było tak okrutne! – jęknęła Emily. – Diablo był moim ulubieńcem.

– Moim też – potwierdziła jej siostra.

– I moim – dołączył Bertie.

Tamsin cierpliwie czekała. Znała Lydię.

Ainswood sterczał w kącie przy oknie, obserwując wszystkich gości z nieodgadnioną miną, lecz w jego oczach lśniły podejrzane iskry.

– Uważam, że wyjątkowo celnie wybrałaś ostateczną broń, Grenville – odezwał się. – Trudno sobie wyobrazić bardziej niegodną śmierć niż zadźganie łyżką.

Przyjęła jego komplement pełnym gracji skinieniem.

– Wzbudziłaś prawdziwą sensację – ciągnął. – Co więcej, gdy się rozniesie, kto jest prawdziwym autorem, wrzawa publiki zagłuszy nawet

dzisiejsze zamieszki. Wszystkie niewinne dusze, nieświadome przygód Mirandy, poczują nagły przymus nadrobienia lektury.

Zwrócił się do Macgowana:

– Na pana miejscu natychmiast wydałbym powieść w wersji książkowej, w kilku tomach. Tani nakład dla mas i elegancki, oprawiony w skórę, dla snobów. Trzeba spieniężyć tę sławę, zanim przeminie.

Lydia z trudem ukryła zaskoczenie. Ainswood był ostatnią osobą, po której spodziewałaby się jakiegokolwiek zainteresowania jej pisaniną, a co dopiero możliwością jej spieniężenia. Napomniała się w duchu, że przecież to jej mąż. Stary dobry Ainswood, który kocha zamęt i rozgłos.

– O tym samym myślałam – powiedziała. – Nie wpadłam na wydanie powieści w tomach, co jest w istocie genialnym posunięciem. Tym bardziej nie chcemy, by czytelnicy stracili zainteresowanie dalszą częścią historii. Wszak ich ulubieniec jest w drodze do bram piekielnych.

Zastanawiała się przez chwilę.

– Jutro rano umieśćcie notkę, że w następną środę ukaże się numer specjalny „Argusa” z czterema ostatnimi odcinkami *Tebańskiej Róży* – powiedziała do wydawcy. – Jeśli Purvis zacznie narzekać, że nie zdąży z ilustracjami, weźcie kogoś innego.

Macgowan miał już następne dwa rozdziały. Lydia posłała Tamsin po ostatnie dwa, zamknięte bezpiecznie w szufladzie jej biurka.

Po chwili Macgowan wybiegł z Ainswood House, tuląc do piersi bezcenne rozdziały. W myślach przeliczał już spodziewane wpływy z wydania specjalnego i z książki.

Gdy wydawca wyszedł, Ainswood wyrzucił wszystkich z bawialni. Poprawił poduszki pod plecami Lydii i okrywający ją koc. Przyciągnął otomanę i usiadł na jej oparciu, wspierając łokcie na kolanach. Patrzył na żonę z uwagą.

– Jesteś złem – powiedział wreszcie.

– Zasłużyłeś sobie na to – odparła spokojnie.

– To nieczysta, przeklęta sztuczka – warknął.

Spojrzała wzrokiem pełnym urażonej niewinności.

– Co takiego?

– Nie wiem – wyznał. – Ale widzę po twoich oczach, że wywinęłaś światu jakiś numer. Znam cię. Świat cię nie zna. Znam tego diabła pod twoją skórą.

– Ciągnie swój do swego.

Uśmiechnął się drapieżnie. Słońce za oknem nie mogło przebić się przez gęste chmury, lecz pod jego wzrokiem Lydia roztapiała się jak wosk, ciekła przez palce, jej umysł spływał kaskadą w dół i w dół.

– To ci nic nie da – jęknęła, czując, że bezmyślnie się uśmiecha i robi maślane oczy. – Nie zdradzę ci zakończenia historii. Nic ze mnie nie wyciągniesz. Przez ciebie nabieram jedynie ochoty na amory.

Objął namiętnym spojrzeniem całą jej postać, od wyniosłej korony splecionej ze złotych włosów do palców stóp kulących się pod kocem.

– Chętnie widziałbym cię dyszącą z rozkoszy – powiedział. – Ale doktor nie pozwala.

– Powiedział jedynie, że mam się nie nadwerężać i nie naciągać szwów na ranie. – Posłała mu zaczepne spojrzenie. – Skorzystaj z wyobraźni.

Wstał i zaczął się oddalać.

– Widzę, że nie posiadasz wyobraźni – obraziła się.

– Pomyśl jeszcze raz – burknął. – Zamykam tylko drzwi.

* * *

Vere doprowadzał do porządku własne ubranie i suknię żony po chwili zapomnienia. Dziewczęta najwyraźniej nie miały jednak wyczucia sytuacji i zaczęły tłuc do drzwi bawialni, żeby wypytać Lydię o dalsze losy Mirandy.

– Precz! – ryknął Vere.

– Co się dzieje? Czy kuzynce Lydii nic się nie stało?

– Hau! – dołączyła Susan.

Usłyszał nuty paniki w ich głosach i przypomniał sobie, że zamknął się na klucz z ich bratem, gdy chłopiec umierał.

Otworzył drzwi i spojrzał surowo na dwie pobladłe twarze.

– Przestańcie krzyczeć. Musiałem troszkę skarcić swą żonę – wyjaśnił. – Po przyjacielsku.

Dwie pary zielonych jak ocean oczu spoczęły na Lydii, która na wpół leżała na sofie. Kobieta uśmiechnęła się do nich.

– Jak możesz karcić… auu! – krzyknęła Emily, gdy Elizabeth szturchnęła ją łokciem w żebro.

– Kuzyn ma na myśli, sama wiesz co – szepnęła.

– Och…

Susan obwąchała go podejrzliwie. Podeszła do sofy i obwąchała swą panią. Mruknęła coś do siebie z dezaprobatą i zwaliła się na podłogę obok mebla.

Dziewczęta nabrały odwagi, podeszły do księżnej i usiadły na dywanie obok Susan.

– Wybacz – rzekła Elizabeth. – Nie wpadłam na to. Ciotka Dorothea i wuj John nigdy nie zamykali się w tym celu w bawialni.

– Ani w żadnym innym pomieszczeniu – dodała Emily. – A przynajmniej ja nigdy na nich nie wpadłam.

– Pewnie chronią się w sypialni – uznała Elizabeth. – Wszak muszą to czasem robić. Mają dziewięcioro i trzy czwarte dziecka.

– Przypuszczam, że gdy ma się dziewięcioro i trzy czwarte dziecka, sypialnia jest jedynym pomieszczeniem, w którym można zaznać odrobiny prywatności – burknął Vere. – O ile zabarykaduje się drzwi.

– Możecie to robić, gdzie wam się podoba – łaskawie oznajmiła Elizabeth. – Nie będziemy nigdy więcej przeszkadzać. Po prostu nie miałyśmy z tym wcześniej do czynienia.

– Teraz już wiemy – potwierdziła Emily – i będziemy się trzymały z daleka. Usiłując to sobie wyobrazić – dodała z chichotem.

– Jest jeszcze młodziutka i głupia – westchnęła Elizabeth. – Ignorujcie ją.

– Kocham Susan – mówiła dalej Emily, patrząc Lydii w oczy. Drapała psa za uchem. Susan uwaliła wielki łeb na kolanach dziewczyny, zamknęła oczy i zapadła w pełen szczęścia letarg.

– Jest słodka, kiedy nie goni przestępców – zgodziła się Elizabeth. – Mamy w Longlands pół tuzina mastifów.

– Tęsknię za nimi – wyznała Emily. – Nie mogłyśmy przywieźć nawet jednego do Blakesleigh, bo ciotka Dorothea twierdzi, że za bardzo się ślinią i wpychają jęzory w niestosowne miejsca. Woli małe pieski. Twierdzi, że są bardziej higieniczne.

– Ciotka wierzy, że Robin zaraził się od któregoś psa – wtrąciła Elizabeth. – Chłopcy byli na polowaniu i zabrali ze sobą psy. Nikt nie wie, co sfora tam robiła, ale jeden pies, Rolf, wrócił cały ubłocony i śmierdzący. Ja jednak w to nie wierzę. Dwie kobiety ze wsi też miały dyfteryt, a przecież nie były przy naszych psach.

– I żaden z chłopców nie zachorował, tylko Robin – westchnęła Emily. – To nie ma sensu.

– Nikt nie wie z całą pewnością, jak rozprzestrzeniają się choroby – zauważyła Lydia. – Doktorzy nie potrafią wyjaśnić, dlaczego raz zaraza zabija całe miasta, a kiedy indziej zaledwie garstkę ludzi. Nie wiadomo, kto przejdzie ją łagodnie, a kto się jej podda. To okropnie niesprawiedliwe – dodała ze smutkiem.

– Przynajmniej nie męczył się długo – odparła Elizabeth. – W dwa dni było po wszystkim. Przez większość czasu był nieprzytomny. Pielęgniarka mówiła, że niewiele czuł, nie cierpiał. Był nawet zbyt słaby, żeby się bać.

Vere odwrócił się i odszedł w stronę okna. Zapadał zmrok. Tyle tylko widział przez łzy.

– Wiem na pewno, że się nie bał – powiedziała z mocą Elizabeth. – Przecież kuzyn Vere był przy nim.

– Wszyscy inni się bali. Doktor surowo zakazał ciotce się zbliżać. Była w połogu i łatwo mogła się zarazić, a nawet jeśli jej by się upiekło, to dziecko przy jej piersi było maleńkie i mogło umrzeć. A wuj John też miał się trzymać z daleka, bo mógł przenieść zarazki od Robina do ciotki. Nam także nie pozwolili do niego wchodzić.

– Starali się was chronić jak własne dzieci – wyjaśniła Lydia.

– Wiem, ale było nam strasznie ciężko – wyznała Elizabeth.

– Wtedy przyjechał kuzyn Vere, a on się niczego nie boi – klasnęła w dłonie Emily. – Próbowali go nie wpuścić, ale nikt nie był w stanie go zatrzymać. Wdarł się do sypialni i został z Robinem do końca, jak wcześniej został przy tacie. Trzymał tatę za rękę, widziałam. Nawet na minutę go nie opuścił. I tak samo zrobił z Robinem.

– Kuzyn Vere niczego ci nie powie. – Elizabeth się uśmiechnęła. – Teraz też udaje, że nas nie słyszy. Tak samo się zachowywał, kiedy próbowałyśmy mu podziękować.

– Słyszę was – wymamrotał Vere, na siłę wyciągając słowa z gardła. Odwrócił się i spojrzał na trzy pary utkwionych w siebie lśniących oczu.

– Boże jedyny, ależ robicie sceny! – burknął. – Kochałem chłopaka. Cóż innego miałbym robić, jeśli nie czuwać przy jego łóżku? Co, do kata, miałem do stracenia?! – Zrobił kilka kroków i spojrzał na nie z góry. – Czemu robicie ze mnie bohatera? Niedobrze mi się od tego robi. Grenville będzie myślała, że was na nią nasłałem. – Skinął głową ku żonie. – To ona

jest prawdziwą bohaterką. Popędziła wam na ratunek, choć was nawet na oczy nie widziała, i ryzykowała życie. Uratowała was, małe pluskwy. A wy? Zamiast podziękować i obiecać, że już zawsze będziecie grzeczne, paplacie o tym, co ja zrobiłem lata temu.

Surowa nagana odniosła pożądany skutek. Dziewczęta otarły łzy i rzuciły się do stóp Lydii. Pokornie podziękowały za ocalenie życia i obiecały już zawsze być grzeczne, a zwłaszcza nie uciekać z domu.

– Dość tych głupot – ucięła księżna. – Miny niewiniątek mogły zrobić wrażenie na lordzie i lady Mars, ale mnie nie tak łatwo omamić.

Na buziach dziewcząt pojawiło się zdziwienie, które szybko przeobraziło się w lęk.

– Niewinne panienki nie zaglądają do cudzej korespondencji i nie czytają niczego, co nie jest dla nich przeznaczone. Jesteście rozpuszczone i rozbrykane bez opamiętania. Żadna szanująca się młoda dama nie powinna mieć pojęcia, jak uciec z domu, ważyć się na taki czyn w środku nocy, co więcej, kryć się przed wszystkimi przez ponad tydzień! Oczywiście, podziwiam waszą odwagę i domyślam się, że ta desperacja zrodziła się ze ślepego uwielbienia dla szalonego kuzyna. – Na młodych twarzyczkach zaczęła wykwitać nadzieja. – Widać jednak wyraźnie, że przez ostatnie dwa lata nikt się nie zabrał za wasze wychowanie. Musicie się pogodzić z tym, że czas przygód właśnie się skończył.

Surowy ton głosu Lydii dotarł nawet do Susan. Podniosła się i zastrzygła uszami.

– Hau!

Dziewczęta rzuciły Vere’owi błagalne spojrzenie.

– Nie chciałyśmy sprawić takich kłopotów – powiedziała Elizabeth.

– Chciałyśmy tylko być z tobą! – pisnęła Emily.

– Dobrze, ale jak widzicie, my jesteśmy już jednym – powiedział Vere. – Mamy jedno serce i jeden umysł, Grenville i ja, a jest to jej umysł, gdyż jako mężczyzna ja nie posiadam go wcale.

Dziewczęta wymieniły zakłopotane spojrzenia.

– Nie szkodzi – pocieszyła go Elizabeth. – Nadal chcemy być z tobą. I nieważne, jak surowa jest kuzynka Lydia. Przynajmniej nie jest nudna i bezbarwna.

– Może nauczy nas, jak się bić? – rozpromieniła się Emily.

– Z całą pewnością tego nie uczyni – odparł Vere.

– I jak palić cygara, nie dostając mdłości – dodała Elizabeth.

– Nie, nie, nie! – krzyknął Vere. – Niewiele jest bardziej odrażających widoków niż paląca kobieta.

– Dlaczego zatem dałeś jej jedno ze swoich? – zapytała niewinnie Elizabeth.

– Bo Lydia jest… inna. Nie jest normalna. – Spojrzał surowo na dziewczynę. – Chciałbym za to spytać, skąd o tym wiesz.

– Z „Plotkarza” – szepnęła Emily.

– Szmatławiec o rozmaitych skandalach – wyjaśniła Lydia, gdy zwrócił na nią zdumione spojrzenie. – Jesteś jednym z ulubionych bohaterów takich gazet. Mają znakomitych dziennikarzy. Ich notki są zwykle zgodne z prawdą i celnie podane. Sama czasem od nich ściągałam. – Spojrzała na dziewczęta. – Nie wierzę w trzymanie panienek pod kloszem. Uważam, że powinny móc czytać wszystko to, co i ja czytam, ale w towarzystwie opiekunów, z którymi mogą o tym porozmawiać. A co do bicia…

– Niech cię licho porwie, Grenville!

– Młode damy powinny znać kilka prostych chwytów skutecznej samoobrony. Oczywiście, pod odpowiednią opieką nigdy nie będą ich potrzebować. Świat jest jednak nieprzewidywalny.

Dziewczęta poderwały się i obsypały księżnę pocałunkami.

Vere widział, jak twarz jego żony pokrywa się rumieńcem, jak jej oczy nabierają blasku.

Te dziewczęta będą wyzwaniem. Lydia wiedziała o tym i była bardzo szczęśliwa.

Śmierć wydarła jej matkę i siostrę, lecz jej serce pozostało otwarte i szczere. Przyjęła do niego obce sobie kobiety, które potrzebowały wsparcia i opieki. Przyjęła Elizabeth i Emily, gdy tylko przeczytała o nich w „Rocznikach”. I pokochała je bez opamiętania. Tak jak kochała jego.

On nie był taki mądry. Straciwszy tych, których kochał, odsunął się od tych, którzy pozostali, i nie chciał przyjąć ich bliskości i troski. Był wiecznie zły. Zrozumiał to tamtej nocy, gdy śnił mu się koszmar o Robinie. Chłopiec zdradził go, umierając, zupełnie jak wcześniej jego ojciec. Vere odciął się od wszystkich wspomnień i od wszystkich żywych, którzy mogliby odświeżyć mu pamięć.

Niestety, ten wszechogarniający gniew nie był jego jedyną przewiną.

Vere wiedział już, że był tchórzem. Inaczej niż jego żona, bał się znów zaryzykować. Bał się pokochać.

Musiało mu się to przytrafić nieświadomie, jak z Lydią. Miłość okazała się taka jak ona. Sprytna, wścibska i stosująca nieczyste zagrania. Dlatego uległ im obu.

I, do cholery, czuł się szczęśliwy.

Zrobił minę zranionego do głębi serca i powiedział cierpko:

– Proszę bardzo! Oto cała ty, Grenville! Kradniesz dla siebie całą uwagę i wszystkie ciepłe uczucia. Czy ja nie mógłbym też trochę dostać, czy przytulanie jest tylko dla przeklętych kobiet?

– Chodź do nas – odparła. – Zmieścisz się.

Rozdział 19

W środę Diablo nadal wykrwawiał się na kamiennej posadzce.

Jego sługa, Pablo, biegnąc mu na pomoc, poślizgnął się w kałuży krwi, padł na nieruchome ciało pana i zaniósł się szlochem.

– Argh – stęknął na wpół nieżywy Diablo. – Złaź ze mnie. Okropnie śmierdzisz.

Ostry zapach Pabla ocucił jego pana równie skutecznie jak sole trzeźwiące. Chwilę później bohaterowie odkryli, że ostrze utoczone z łyżki o włos ominęło serce i choć krew wypłynęła szeroką strugą, mężczyzna raczej przeżyje. Upiorne kapanie, które słyszał w zamroczeniu, to krople wina z butelki, którą Miranda przewróciła, wybiegając z lochu.

Gdyby w chwili zadawania sztychu nie kopnęła go dodatkowo w krocze, prawdopodobnie utrzymałby równowagę i zdołał schwytać dziewczynę. Tymczasem upadł i na chwilę stracił przytomność. Bolała go głowa, krwawił, a wrażliwe okolice odniosły straty nie do opisania, lecz żył. I był wściekły.

Londyn odzyskał ducha i zagłębił się w lekturze.

Dotarłszy do wypisanego ozdobną czcionką słowa „Koniec”, wszyscy odetchnęli z satysfakcją.

Prawdziwym złym charakterem powieści ostatecznie okazał się Orlando. Diablo, jak każdy rasowy bohater, uratował Mirandę, odzyskał Tebańską Różę i zatłukł złoczyńcę.

Miranda i Diablo żyli potem długo i szczęśliwie.

W Ainswood House ostatnie rozdziały powieści zostały odczytane na głos w bibliotece.

Przy pomocy swego kuzyna, markiza Daina, księżna Ainswood czyniła honory głośnego czytania przed publicznością złożoną z jej męża, żony i pierwszego syna Daina, Elizabeth, Emily, Tamsin, Bertiego, Jaynesa i tych służących, którzy mieli szczęście znajdować się w zasięgu jej głosu.

Dain dotarł z prowincji do Londynu w chwili, gdy do domu wnoszono pozbawione ducha ciało jego kuzynki. Zdołał utrzymać Ainswooda w ciszy

w kącie sypialni, gdy doktor badał ją, zszywał i opatrywał ranę. Potem wyślizgnął się za lekarzem i zostawił krewną na pastwę jej wściekłego męża.

Następnego wieczoru sam kłócił się zaciekle z własną żoną, która nie zważając na swój stan i jego wyraźne polecenia, opuściła Athcourt i wybrała się w samobójczą drogę do Londynu. Przywiozła ze sobą pomiot diabelski gdyż, jak twierdziła, martwił się o tatusia i wył wniebogłosy, gdy chciała go zostawić.

Tego dnia Dominick zachowywał się jak anioł. Siedział w milczeniu na dywanie, pomiędzy Elizabeth i Emily, z uwagą przysłuchując się historii. Nawet w czasie półgodzinnej przerwy na odpoczynek lektorów i przekąskę grzecznie i cicho bawił się z Susan, łaskawie pozwalając dziewczętom karmić się słodyczami.

Vere nie wiedział, czy dzieciak rozumie czytaną opowieść, czy jest oczarowany lektorami. Uwielbiał bezgranicznie swego ojca i uważał, że wszyscy mają siedzieć cicho i uważać, gdy tatuś czyta. Można byłoby się spodziewać, że uwaga chłopca rozproszy się, gdy wątek podejmie drugi lektor.

Jednak drugim lektorem była Grenville, a ona nie umiała po prostu czytać. Nadawała postaciom indywidualne rysy, zmieniając głos, akcent i gestykulując. Krótko mówiąc, grała, choć rano solennie obiecała mężowi, że nie ruszy się z sofy.

Dominick siedział jak zaczarowany, a na koniec klaskał i wiwatował, poderwawszy się na nogi jak sprężyna.

Grenville przyjęła ten komplement pełnym gracji ukłonem. Podobnym przywitała kiedyś księcia Ainswooda w zadymionej sali Pod Błękitną Sową.

Tym razem jednak Vere w końcu pojął, dlaczego ten ukłon tak drażni jego świadomość. Widział identyczny ruch wielokrotnie, za pierwszym razem w szkole w Eton.

Spojrzał na Daina. Czarne brwi markiza połączyły się w jedną linię nad zmrużonymi oczami.

– Poznałeś, prawda? – zagaił Vere.

– Mówiłeś, że świetnie naśladuje ludzi – burknął Dain – ale nie mogę sobie uświadomić, kiedy mogła mnie widzieć przy tym procederze.

– Jakim procederze? – zapytała Lydia, sadowiąc się na sofie.

Vere wpatrywał się w nią uważnie, dopóki nie ułożyła stóp pod kocem i nie wsparła się na poduszkach.

– Chodzi o ukłon – wyjaśnił. – Teatralny ukłon. Gdzie go podpatrzyłaś?

– Mój ojciec był aktorem – rzekła.

– Ojciec Daina nie był, a jednak kuzynek wykonywał identyczny ukłon, gdy byliśmy jeszcze dziećmi. Pierwszy raz widziałem go w tej pozie, gdy stłukł na miazgę Wardella, chłopaka o dwa lata od siebie starszego i większego o głowę. Byliśmy wtedy w Eton.

– Ja widziałam go także, w gospodzie Amesbury – dodała lady Dain. – Po tym, jak okładaliście się nawzajem w naszą noc poślubną. Jest dość charakterystyczny, prawda? Dain ma pewne zdolności aktorskie. Zresztą Ballisterowie zawsze lubili robić z siebie widowisko. Mają skłonności do dramatyzowania i nie wahają się tego używać dla osiągnięcia własnych celów.

– Pierwszy hrabia Blackmoore często zabawiał króla scenkami – powiedział Dain. – Dziadek twojej matki i jego bracia byli w młodości wielkimi wielbicielami teatru. I aktorek. Zanim nastała era mego ojca, wędrowne trupy były często zapraszane do Athcourt, by zabawiać gości.

– Siłą rzeczy, moja droga – oznajmił Vere – nie mogłaś odziedziczyć żadnego talentu po kimkolwiek innym niż Ballisterowie. Wszelkie piękno, dobro i cnota lęgną się wyłącznie w tym rodzie.

– Cnota nie – zaprzeczył Dain. – To nigdy nie była nasza mocna strona. Mieliśmy w szeregach kilku zaciętych hipokrytów, jak mój ojciec czy dziadek Lydii, ale w każdym pokoleniu z naszego łona wychodził co najmniej jeden demon.

W tej chwili demon, którego on sam spłodził, zaczął okazywać zniecierpliwienie. Dziewczęta zaproponowały mu zabawę z Susan w ogrodzie. Tamsin poszła z nimi, żeby mieć na wszystko oko. Bertie podążył za nią jak nieodłączny cień.

– Jestem wstrząśnięty – wyznał Dain. – Nigdy nie widziałem, by szatańskie nasienie tak długo siedziało w spokoju.

– Jest pod urokiem mistrzyni opowieści – powiedział Vere. – Nie ma na świecie mężczyzny, kobiety czy dziecka, którzy by się jej oparli.

– Bogowie musieli cię obdarzyć swymi łaskami, kuzynko. – Dain przeczesał włosy palcami. – Nikt w naszym rodzie nie miał dotąd talentów pisarskich. Mam w archiwum kilka zgrabnych listów i kilka porywających

mów politycznych, ale poetyckie urywki były wręcz odrażające. Nigdy nie napotkałem dobrze piszącego Ballistera.

– Moja żona nie docenia swego talentu – rzekł Vere. – Uważa *Tebańską Różę* za sentymentalne głupoty i to najmilsze, co powiedziała o tej powieści. Gdyby Macgowan jej nie wsypał, nigdy by się do niej nie przyznała.

– Bo nie służy żadnemu wyższemu celowi – żachnęła się Lydia. – To mierna rozrywka z prostym morałem. Dobrzy kończą dobrze, a źli – źle. Nie ma nic wspólnego z prawdziwym życiem.

– Prawdziwym życiem musimy żyć na co dzień, czy nam się to podoba, czy nie – odparł Vere. – A sama wiesz najlepiej, jaki żywot pędzą ogromne masy ludzkości. Obdarowanie ich kilkoma godzinami wytchnienia i rozrywki to najpiękniejszy prezent, na jaki kogokolwiek stać.

– Nie wydaje mi się – ucięła Grenville. – Uważam, że taka pisanina jest z gruntu nieodpowiedzialna. Czytając te głupoty, dziewczęta dochodzą do wniosku, że mogą uciec z bezpiecznego domu i poradzą sobie w każdej sytuacji. Wyobrażają sobie, że mogą pokonać każdego złoczyńcę. Wystarczy łyżka.

– Twierdzisz, że przedstawicielki twojej płci są idiotkami, które nie odróżniają prawdziwego świata od fikcji literackiej? Każdy, kto poważyłby się na jakikolwiek czyn Mirandy, jest albo głupi z natury, albo źle wychowany. Takie osoby prędzej czy później zrobią coś niemądrego, niezależnie od tego, czy znają twoje powieści. Moje podopieczne są tego najlepszym przykładem.

– Twoje podopieczne potwierdzają raczej mój punkt widzenia.

– Przeklęte dziewczyniska, tak o nich mówiłaś, zanim jeszcze je poznałaś – odparł Vere podniesionym głosem. – To dziewczyny Mallorych, Lydio! Nasza rodzina jest przeklęta od wieków. Nie masz prawa tłumaczyć się ich wyczynami i rezygnować z pisania tak wspaniałych powieści. Nie masz prawa nazywać ich romantycznymi bzdurami i bezwartościowym śmieciem. Jesteś utalentowaną pisarką, umiesz przyciągnąć uwagę czytelników w każdym wieku, obydwu płci i różnych stanów. Nie masz prawa odrzucać takiego daru. Kiedy tylko wydobrzejesz, zaczynasz pisać kolejną powieść, do diabła! Choćbym miał cię zamknąć w twoim pokoju, zrobię to!

Lydia zamrugała z zaskoczeniem.

– Boże, ależ robisz sceny! – westchnęła. – Nie wiedziałam, że to dla ciebie takie ważne.

– To dla mnie bardzo ważne. – Wstał. Podszedł do kominka, po chwili wrócił. – Gdyby nie romantyczne bzdury i tego rodzaju bezwartościowe śmieci, byłbym analfabetą. Uczyłem się czytać na *Baśniach z tysiąca i jednej nocy* i stercie tanich romansideł. To one obudziły we mnie głód książek, choć nie miały nawet obrazków.

– Matka dawała mi do czytania swoje sentymentalne powiastki – powiedział cicho Dain. – To były najszczęśliwsze chwile mojego dzieciństwa.

– Zacznijmy je czytać Dominickowi – podsunęła lady Dain.

– Widziałaś tego chłopca – ciągnął Vere. – Dopóki czytałaś, cały świat mógł nie istnieć, liczyła się tylko opowieść. Nawet nie drgnął. To samo działo się z Robinem, kiedy mu czytałem. Uwielbiałby twoje powieści, Grenville.

W pokoju zaległa ciężka cisza, którą po chwili przerwał chłodny głos jego żony:

– Zatem następną napiszę specjalnie dla niego. I będzie sto razy lepsza niż cokolwiek, co czytałeś w dzieciństwie.

– Naturalnie – odezwał się Dain. – W końcu wypłynie spod pióra Ballistera.

* * *

Vere nie wiedział, dlaczego prześladują go urywki rozmów z Dainem.

Dziadek twojej matki i jego bracia byli w młodości wielkimi wielbicielami teatru. I aktorek…

Cnota nigdy nie była naszą mocną stroną… w każdym pokoleniu z naszego łona wychodził co najmniej jeden demon…

…wypłynie spod pióra Ballistera…

Tej nocy księciu Ainswoodowi śnił się Karol II. Grenville zabawiała króla naśladowaniem trzeciego markiza Daina, który stał w tłumie odziany jedynie w kapelusz z piórem, z aktorką Nell Gwyn uwieszoną u ramienia.

Vere obudził się, gdy niebo zaczęło się rozjaśniać. Jego żona pochrapywała przez nos. Wstał ostrożnie i bezszelestnie przeszedł na jej

stronę łóżka. Wziął z nocnego stolika pamiętnik jej matki, podszedł do okna i zaczął go wertować.

Przeczytał całość i był równie niepocieszony jak za pierwszym razem. Te długie przerwy pomiędzy wpisami i wrażenie, że kobieta ukrywała znacznie więcej, niż pisała. Ta duma, która nie pozwalała jej narzekać. Jedyne gorzkie słowa padły w pierwszym wpisie. Gdy z rozżaleniem wspominała ojca i złośliwie nakreśliła sylwetkę męża.

…pamięć nie poddaje się żadnej woli, nawet woli Ballistera, a imię i postać potrafią nawiedzać długo po śmierci…

Vere zastanawiał się, czyje imię i czyja postać nawiedzały z uporem pamięć matki Grenville.

Lydia powiedziała, że żadna szanująca się młoda dama nie powinna mieć pojęcia, jak uciec z domu.

Anna Ballister była z pewnością dobrze strzeżona.

Jak to się stało, że poznała trzeciorzędnego aktora Johna Grenville'a? Jak zdołał do niej dotrzeć, omamić ją i namówić na ucieczkę do Szkocji? Jeśli wierzyć Dainowi, ojciec Anny był parszywym hipokrytą. Na pewno nie zapraszał wędrownych trup do domu, nie bywały one również w Athcourt.

Słuchając ostatnich akapitów *Tebańskiej Róży*, Vere przypomniał sobie wszystkie wskazówki, jakie Grenville podstępnie umieszczała w kolejnych rozdziałach powieści. Czytelnicy, oczarowani ekscytującą przygodą, zupełnie je przegapili. Dopiero gdy perfidia Orlanda została zdemaskowana, wielbiciele powieści zaczęli tropić i odkrywać kropelki prawdy sprytnie sączone im co kilka kartek.

Vere był przekonany, że podobne wskazówki kryją się w małym pamiętniku. Jednak były zbyt dobrze ukryte. Nie potrafił ich znaleźć.

Odłożył notes na miejsce i poszedł do garderoby.

* * *

Belzebub od lat uznawał, że kancelaria Carton, Brays i Carton to banda niekompetentnych obwiesiów, więc rozwiązał z nimi współpracę, gdy tylko odziedziczył tytuł. Musiał mieć przy tym spojrzenie bazyliszka, gdyż w kancelarii wszystko wyglądało tak, jakby przez ostatnie dziewięć lat nic się nie zmieniło. Nawet warstwa kurzu na meblach wyglądała identycznie.

Starszy pan Carton był nieobecny, postradał bowiem zmysły, jak poinformował księcia młody kancelista. Młodszy pan Carton był w Chancery, próbując postradać zmysły na własną rękę. Pan Brays także przebywał poza kancelarią, zapewne pijany, jak ma to w zwyczaju – wyjaśniał chłopak.

– To okropne miejsce, Wasza Wysokość – zatroskał się. – Ale innego na razie nie mam, więc staram się, najlepiej jak mogę.

Miggs był jeszcze wyrostkiem. Wysokim, chudym, z rzadkim meszkiem udającym wąsy i imponującą kolekcją pryszczy.

– Jeśli spełnisz moje prośby bez pozwolenia pracodawców, możesz stracić posadę – zauważył Vere.

– Nie sądzę – odparł szczerze Miggs. – Nic beze mnie nie zrobią. Niczego nie mogą znaleźć, a kiedy wręczam im akta, nie rozumieją, co w nich stoi, i muszę wszystko tłumaczyć. Gdybym odszedł, straciliby tę nędzną garstkę klientów, których zresztą sam pozyskałem.

Vere uśmiechnął się i wyznał, czego szuka.

– Sprawdzę – powiedział chłopak i zniknął na pół godziny w przyległym pokoju. – Nie widzę akt – powiedział, gdy wrócił. – To jednak nic nie znaczy. Staruszek niegdyś wszystko pamiętał i pewnie dlatego postradał zmysły. Muszę zejść do katakumb, sir. To może zająć kilka dni.

Vere postanowił mu towarzyszyć. Katakumby okazały się ciemną, obszerną piwnicą wypełnioną pudłami ze starymi dokumentami. Ustawiono je byle jak, w stertach, bez żadnej logiki ani systemu.

Przeglądali pudła przez cały dzień, robiąc jedynie dwie krótkie przerwy na paszteciki i piwo. Vere podnosił skrzynki, a kancelista prędko przeglądał akta. Kartka za kartką, godzina za godziną, w ciemnej, wilgotnej piwnicy wśród pierzchającego na boki robactwa.

Tuż przed dziewiętnastą Vere z trudem wydobył się z katakumb. Szary od kurzu fular zwisał mu z szyi. Na płaszczu miał kolekcję pajęczyn, smugi brudu i kilka robaków. Krople potu wyżłobiły bruzdy w zakurzonej twarzy księcia. Dłonie miał czarne.

Trzymał w objęciach rozpadające się pudło i szedł, pogwizdując, ku domowi.

* * *

Lydia postanowiła się uwolnić od nadopiekuńczej grupy, którą Ainswood zostawił na straży, i oznajmiła, że udaje się na poobiednią drzemkę. Wcale nie zamierzała spać. Wzięła do łóżka książkę, otuliła się narzutą i… zasnęła.

Obudził ją hałas dobiegający zza okna. Otworzyła oczy i ujrzała swego męża włażącego przez parapet do pokoju.

Nie zapytała go, dlaczego nie wszedł drzwiami jak normalny człowiek. Wystarczyło jedno spojrzenie i domyśliła się, czemu wolał się nie natknąć na domowników w korytarzu.

Rano powiedział jej, że idzie na spotkanie z panem Herriardem w sprawie ich małżeńskiej ugody i spędzi u niego kilka godzin. Wszelkie ustalenia prawne zeszły na dalszy plan ze względu na akcję poszukiwawczą. Dain przypomniał im o nich zeszłego wieczoru.

– Widzę, że jednym z warunków ugody było spuszczenie się przez komin pana Herriarda – powiedziała, patrząc na brudnego i wymęczonego męża.

Ainswood wpatrywał się w pudło, które trzymał w dłoniach.

– Hm… Nie do końca – mruknął.

– Zatem wpadłeś do studzienki kanalizacyjnej?

– Nie. Hm… – Zmarszczył brwi. – Chyba powinienem się umyć.

– Zadzwonię po Jaynesa.

Pokręcił głową.

Lydia podniosła się z łóżka.

– Vere? – Jej głos był łagodny jak letnia mżawka. – Czy coś ci spadło na głowę?

– Nie. Umyję tylko ręce i przetrę twarz, dobrze? Kąpiel wezmę później.

Pobiegł do garderoby, ściskając pudło.

Uznała, że jest w nim małżeńska ugoda, a szczegóły dokumentu, zdaniem męża, nie przypadną jej do gustu. Zwalczyła ciekawość i czekała, spacerując po sypialni.

Wpadł do pokoju po kilku minutach, w nocnej koszuli i z pudłem w dłoniach. Przyciągnął fotel do kominka i poprosił, żeby usiadła. Sam usadowił się na dywaniku u jej stóp i otworzył pudełko. Wyjąwszy z niego owalny przedmiot, położył go na jej kolanach.

Była to miniatura młodego, jasnowłosego mężczyzny. Uśmiechał się lekko.

Lydii zdawało się, że patrzy w lustro.

– Wygląda jak… mój brat – szepnęła. Serce jej łomotało.

– To Edward Grey – powiedział cicho Ainswood. – Był obiecującym aktorem i reżyserem, synem słynnej i uwielbianej aktorki Serafiny Grey i Richarda Ballistera, stryjecznego dziadka twej matki. To diabelskie nasienie zasiane przez Richarda we wczesnej młodości. Sam Richard był późnym dzieckiem, urodził się z drugiej żony swego ojca, gdy ten miał już ponad sześćdziesiąt lat.

Wyjął z pudła pożółkłą kartkę z fragmentem drzewa genealogicznego Anny Ballister, naszkicowanym jej drobnym pismem. Późny drugi związek wyjaśniał, dlaczego stryjeczny dziad Anny – Richard – był zaledwie trzy lata starszy od jej ojca.

Wzrok Lydii pobiegł prędko niżej, do jej własnego imienia, zapisanego pomiędzy Anną Ballister i Edwardem Greyem. Spojrzała na miniaturę. Potem na drzewo genealogiczne. Znów na miniaturę.

– To mój ojciec – powiedziała cicho, z nadzieją.

– Tak.

– Nie jestem córką Johna Grenville’a.

– Nie ulega wątpliwości. Twoja matka spisała to dokładnie. Jak prawdziwy Ballister, miała wszystko udokumentowane. Zgaduję, że chciała ci to przekazać, gdy dorośniesz, ale coś poszło nie tak. John Grenville znalazł te dokumenty i sprzedał je trzeciemu markizowi Dainowi przez pośredników. Na paragonie jest data: sierpień 1813 roku.

– To wyjaśnia, skąd wziął pieniądze na wyjazd do Ameryki – stwierdziła Lydia. Spojrzała mężowi w oczy. – To wyjaśnia wiele spraw.

Jej matka uciekła do Szkocji z Edwardem, a nie z człowiekiem, którego Lydia nazywała ojcem.

– W pudle są też listy, które do niej pisał – powiedział Vere. – Przynajmniej dwa tuziny. Nie miałem czasu na uważne przestudiowanie wszystkiego. – Jego oczy lśniły miękkim blaskiem, chłopięcy uśmiech wygiął wargi. – Fragmenty, które przeczytałem, świadczą o tym, że szalenie kochał twoją matkę. Nie był dzieckiem z prawego łoża, ale byli w sobie głęboko zakochani. I z miłości poczęli dziecko.

– Kocham cię – wykrztusiła Lydia. – Nie mam pojęcia, jak to zrobiłeś, jak na to wpadłeś i z jakiego powodu zacząłeś szukać czegoś, czego nikt się nie spodziewał. Wiem jednak, że zrobiłeś to z miłości do mnie, i wierz mi,

Ainswood, szaleję za tobą coraz bardziej. Odkąd cię poznałam, robię same głupstwa.

Jej oczy napełniły się łzami. Nie mówiła nic więcej, zsunęła się tylko z fotela wprost w ramiona księcia.

* * *

Choć z nieprawego łoża, Edward Grey był bardzo przywiązany do ojca, który dbał o jego utrzymanie i edukację. Mężczyzna uczestniczył w życiu rodzinnym i bywał na licznych przyjęciach i zjazdach w ojcowskim domu. Tam właśnie poznał Annę, której został przedstawiony jako daleki kuzyn. Zakochali się w sobie od pierwszego wejrzenia.

Była obecna przy ich ostatniej kłótni. Richard nie akceptował kariery teatralnej, na którą uparł się Edward. Ojciec odtrącił go więc i zabronił pokazywać mu się na oczy. Gdy Anna odkryła, co się stało, nalegała na wspólną podróż. Edward prosił, żeby zaczekała, aż będzie w stanie ją utrzymać, lecz Anna nie chciała czekać. Wiedziała, że jej ojciec nigdy nie zaakceptuje ich związku. Zmusi ją do małżeństwa z jakimś bogatym starcem. Była o tym przekonana.

Uciekła więc z Edwardem do Szkocji.

Pobrali się w urzędzie; bez pastora, bez mszy, bez świadków i zgody rodziców. Małżeństwo było legalne, ale nie zdaniem ich krewnych. Ballisterowie mieli o dzikich szkockich obyczajach podobne zdanie jak o egzotycznych hinduskich rytuałach. W ich oczach Anna została ladacznicą, utrzymanką bękarta. W pudle znalazły się także listy świadczące o jej wydziedziczeniu, zanegowaniu wszelkich roszczeń wobec Ballisterów i głoszące surowe zakazy wszelkiego kontaktu z rodziną pod groźbą kar finansowych.

Anna i Edward nie spodziewali się niczego innego. Znali swoją rodzinę. Wiedzieli, że spalili za sobą wszystkie mosty.

Nie mogli jednak wiedzieć, że zaledwie po trzech miesiącach fragment scenografii spadnie na Edwarda w czasie próby, zabijając go na miejscu. Nie zdążył zadbać o przyszłość swojej żony ani dziecka, które nosiła pod sercem.

Miesiąc później Anna wyszła za Johna Grenville’a. Jak wskazywały zapiski w pamiętniku, zdołał ją przekonać, że naprawdę ją kocha. Miała

siedemnaście lat, była w ciąży i nie miała wyjścia. John wydawał jej się szlachetny i wielkoduszny. Dopiero gdy usiłował wykorzystać jej dziecko, by wkraść się w łaski Ballisterów i do ich portfeli, zrozumiała swój błąd. Oczywiście, nic nie wskórał.

Mimo to musiała z nim zostać, przynajmniej na początku. W innym wypadku musiałaby iść na ulicę. Nie umiała nic robić, nie potrafiła się utrzymać. Była chora na długo przed urodzeniem Sary i po porodzie nigdy na dobre nie wyzdrowiała. Gdyby była silniejsza, w końcu opuściłaby Johna Grenville'a, Lydia nie miała co do tego żadnych wątpliwości.

John wciąż mógł skorzystać na śmierci Anny, wykorzystując informację o prawdziwym pochodzeniu Lydii. Pamiętnik był jedynie wskazówką i nie opowiadał o skandalu. W porównaniu z nim pudło stanowiło istną puszkę Pandory. Każdy wydawca w Londynie biłby się o te dokumenty. Nic dziwnego, że prawnicy Ballisterów odkupili je za pokaźną sumkę i zakopali na dnie piwnicy.

Najwyraźniej pudło zostało przetrząśnięte, gdy obecny markiz Dain zmienił kancelarię. Pamiętnik, wraz z innymi dokumentami, trafił do nowej firmy, gdzie kanceliści posegregowali zawartość i przesłali interesujące ich zdaniem materiały do Athcourt. Dain mieszkał głównie w Paryżu, nic zatem dziwnego, że pamiętnik trafił na jakąś półkę czy do szuflady i natknęła się na niego dopiero lady Dain.

Lydię zaś w całej tej historii najbardziej zdumiewał fakt, iż to właśnie Ainswood ją wytropił. I, jak zwykle, nie uważał, że zrobił cokolwiek niezwykłego.

Następnego dnia, gdy cała młodzież wyszła oglądać paradę ku czci królowej Portugalii, Lydia i Vere wtajemniczyli Daina i Jessicę.

Jako Ballister, Dain bez wahania uwierzyłby w historię Anny i Edwarda, nawet gdyby nie widział dokumentów rozłożonych na stole w bibliotece. Nie mógł jednak dać wiary, że to Ainswood odkrył wszystkie karty.

– Jak, do diabła, na to wpadłeś?! – wykrzyknął. – I co cię pchnęło akurat do Cartonów?!

– To ty powiedziałeś mi, że Ballisterowie siali swe ziarna na prawo i lewo – odparł Vere. – Ty wspomniałeś o zdolnościach aktorskich i słabości do aktorek. Ty zauważyłeś, że, jak dotąd, święte znamię Ballisterów miewali wyłącznie mężczyźni. Anna nigdy nie wspomniała o tym cudzie w swoim pamiętniku. Nabrałem podejrzeń, że ukrywała znacznie więcej.

A potem dodałem dwa do dwóch. A jako że Anna uciekła w czasie rządów twojego ojca, zacząłem poszukiwania w najbardziej logicznym miejscu, to jest u jego prawników. Miałem jedynie cień nadziei, że jestem na dobrym tropie.

Rozejrzał się po zgromadzonych.

– Teraz, skoro znamy już prawdziwe pochodzenie Lydii i nie musimy się zamartwiać o złą krew Johna Grenville'a krążącą w jej żyłach, nadszedł czas świętowania. Nie wiem jak wy, ale ja potrzebuję drinka.

* * *

W poniedziałek rano Bertie Trent i jego narzeczona schronili się w małym saloniku Ainswood House, bynajmniej nie w celu, w jakim zwykły chronić się na uboczu młode pary. Starali się zapobiec wojnie.

Wszyscy inni znajdowali się w bibliotece i dyskutowali o ich przyszłości. Robili to od śniadania Dain i Ainswood, ich żony, Elizabeth, Emily, a nawet Dominick.

Nie mogli się zdecydować, gdzie wyprawić wesele – w Longlands, Athcourt czy w Londynie, a jeśli tutaj, to czy w kościele, czy może w którymś z ich domów. Nie mogli się zgodzić, kto z nich ma przywilej zapewnienia wiana Tamsin, gdzie nowożeńcy powinni mieszkać oraz jak się utrzymywać.

Ponieważ kłócili się głównie Dain i Ainswood, kompromis nie wchodził w grę. Panie, zostawione same sobie, na pewno wypracowałyby zadowalające rozwiązania, jednak nie mogły zostać same, gdyż było jasne, że oznacza to układy.

Tamsin była przygnębiona. Nie chciała żadnego wiana. Nie chciała także zranić niczyich uczuć. Bertie zamartwiał się jej nastrojem, a dodatkowo bał się powiedzieć cokolwiek, by nie zarzucono mu, że bierze czyjąś stronę.

– W tym tempie nie dogadają się nawet do dnia Sądu Ostatecznego – powiedział ostrożnie. – Tymczasem moja babka i Abonville wrócą z Francji i będą chcieli, żebyśmy się do nich wprowadzili.

– Nie chcę być niewdzięczna – westchnęła Tamsin – ale ucieczka do Szkocji wydaje mi się bardzo nęcąca.

– Nie musimy się posuwać do ostateczności – szepnął Bertie porozumiewawczo. – W Londynie co kilka kroków można się natknąć na

kościół. A gdzie kościół, tam i pastor.

Podniosła na niego ogromne brązowe oczy.

– Powiemy im, że idziemy na spacer.

Bertie poklepał się po kieszeni.

– Mam tu pozwolenia i licencję. – Nosił dokumenty przy sobie, odkąd dostał je od Daina. Wiedział, że w pewnych rodzinach ważne papiery mają tendencję do znikania i uznał, że bezpieczniej będzie mieć się na baczności.

– Pójdę po czepek. – Tamsin się uśmiechnęła.

Po kilku minutach ruszyli do kościoła Świętego Jerzego przy Piccadilly. Musieli jedynie przeciąć plac St James i przejść ulicą York, na końcu której znajdowała się świątynia.

Skręcali właśnie w York, gdy natknęli się na świetnie ubranego dżentelmena w średnim wieku, uzbrojonego w okulary.

Zatrzymał się raptownie. Tamsin zamarła.

– Tato! – wykrzyknęła.

– Tam! – Dżentelmen otworzył ramiona.

Tamsin puściła Bertiego i rzuciła się ojcu na szyję.

– Nareszcie, na Jupitera! – uradował się Bertie.

* * *

Pozwoliwszy zaledwie na krótką chwilę czułości, Bertie zapędził narzeczoną i starszego dżentelmena w uliczkę, aby nie ściągnęli na siebie uwagi mieszkańców Ainswood House.

– Chcieliśmy się cichcem pobrać – wyjaśniał panu Prideaux. – Zanim zdecydowaliby o wszystkim za nas. Wcale z nią nie uciekałem, niech mi pan wierzy. – Wyciągnął licencję, trzymając ją przed sobą jak tarczę.

Pan Prideaux obejrzał dokument, a Bertie mówił dalej:

– Mam nadzieję, że nie podniesie pan rabanu. Wszystko jest już postanowione, jak panu pisałem. Tamsin jest bezpieczna, kochana i potrafię o nią zadbać. Nie chcemy nic poza pana błogosławieństwem, ale jeśli to niemożliwe, i bez niego sobie poradzimy.

Tamsin otrząsnęła się, puściła ojca i wzięła Bertiego pod rękę.

– Nie zmienisz już jego zdania, tato. Ani mojego. Za nic w świecie nie wrócę do mamy.

Pan Prideaux oddał Bertiemu licencję.

– Ja także nie zamierzam – odrzekł. – Twoja matka słowem nie pisnęła, że uciekłaś. Dowiedziałem się dopiero przed tygodniem. Byłem już w Plymouth, szykując się do podróży do Ameryki, gdzie zamierzałem cię odnaleźć, gdy w ostatniej chwili dotarła do mnie wiadomość od sir Bertrama. Matka czekała na znak od Najwyższego, zanim przesłała list memu sekretarzowi. – Zdjął okulary, przetarł je chusteczką i włożył z powrotem. – Opiekowałem się tobą bardzo mizernie, Tam, doprawdy mizernie. Nie wątpię, że ten młodzieniec zrobi to znacznie lepiej.

– Nie ma sensu do tego wracać, tato – rzekła Tamsin. – Nie mogę cię winić za to, że uciekłeś od mamy, skoro zrobiłam to samo. Gdybym miała pracę, która dawałaby mi od niej wytchnienie, pracowałabym dzień i noc. – Wyciągnęła dłoń. – Chodź z nami. Musisz poprowadzić pannę młodą do ołtarza.

Ujęła jedną ręką ramię Bertiego, drugą – ramię ojca i ruszyli do kościoła we trójkę.

To był krótki spacer, jednak Bertie myślał bardzo intensywnie. Gdy stanęli u wrót świątyni, powiedział:

– Wiesz, tak mi się zdaje, że nikt nie będzie się kłócił z ojcem panny młodej, gdy ów rzeknie, że ten kościół mu się podoba i że nie potrzebujemy wesela jak się patrzy. Może zaprosimy ich wszystkich? Mam na myśli wszystkich z Ainswood House… Wiem, że w głębi serca naprawdę chcesz mieć teraz przy sobie księżnę Ainswood, moja Tamsin, wiem, że chcesz. I pomyśl tylko, jak rozczarowane będą Lizzy i Em. – Skrzywił się. – Nie chcę ich wszystkich zawieść.

Spojrzała na niego roziskrzonym wzrokiem.

– Jesteś najmilszym, najlepszym mężczyzną na całym świecie, Bertie. Zawsze myślisz o wszystkich. – Zwróciła się do ojca: – Widzisz, tato? Widzisz, jaką jestem szczęściarą?

– Ależ widzę, widzę – odparł jej ojciec, a Bertie spłonął rumieńcem. – Mam nadzieję, iż drogi ów młodzian pozwoli mi czynić honory i napisać zaproszenie do waszych przyjaciół.

Zaproszenie napisano w mgnieniu oka, a goniec pobiegł z nim do Ainswood House.

Przed upływem kwadransa goście weselni wmaszerowali nieco sztywno do kościoła Świętego Jerzego, ale nikt się już z nikim nie kłócił. Kilka osób,

owszem, roniło łzy, jak to kobiety mają w zwyczaju, a Susan pocieszała je lizaniem po dłoniach i radosnym szczekaniem.

Pastor, przyzwyczajony do wszelkich dziwactw, zniósł to z godnością i humorem, a ślub, choć znacznie krótszy niż ceremonie, do jakich przywykła arystokracja, miał tę nad innymi przewagę, że wszyscy uczestnicy byli równie szczęśliwi jak nowożeńcy.

* * *

Po ślubie pan Prideaux zaprosił wszystkich na małą przekąskę do hotelu Pulteney, gdzie się zatrzymał. Wkrótce nikt nie miał już wątpliwości, po kim Tamsin odziedziczyła swą zaradność, gdyż w bardzo krótkim czasie podano im obfite i szykowne weselne śniadanie.

Niedługo potem Bertie przekonał się, że zaradność nie jest jedynym skarbem, jaki Tamsin otrzymała od ojca.

Pan Prideaux kazał bowiem przygotować „miłą niespodziankę” dla nowożeńców w postaci uroczego apartamentu na noc poślubną. Hotel Pulteney był bardzo eleganckim i niezwykle drogim przybytkiem. Apartament okazał się zestawem gigantycznych pokoi, rezerwowanych na ogół w czasie wizyt koronowanych głów.

Nawet Bertie, którego od liczenia pieniędzy natychmiast zaczynała boleć głowa, wywnioskował, że jego teść opływa w niezmierzone bogactwa.

Gdy służba przestała się frenetycznie krzątać przy sprawach, które nie wymagały żadnych poprawek, i wyszła, pieczołowicie zamykając za sobą drzwi, Bertie zwrócił się do żony:

– Zdaje się, moja droga, że zapomniałaś mi wspomnieć, iż ojciec twój jest krezusem północy.

Zarumieniła się, przygryzając wargi.

– Och, przestań. – Mężczyzna się uśmiechnął. – Wiem, że miałaś dobry powód, by zachować to dla siebie, ale teraz chyba możesz mi wszystko powiedzieć? Na pewno nie obawiałaś się, że jestem łowcą posagów. Nawet gdybym chciał nim zostać, jestem na to za głupi. Nigdy nie wiem, co powiedzieć dziewczynie, która mi się naprawdę podoba, a co dopiero, gdybym miał udawać afekt, żeby się dobrać do jej pieniędzy. Cokolwiek pomyślę, zaraz muszę powiedzieć, wiesz przecież, że nie umiem kłamać ani niczego ukrywać.

– Oczywiście, mój drogi. Wiem doskonale. – Odsunęła się o kilka kroków, zdjęła okulary, wytarła je rękawem i założyła z powrotem. – Chciałam ci wszystko powiedzieć już w Athcourt, kiedy poprosiłeś mnie o rękę. Ale powiedziałeś mi kiedyś, że odtrąciłeś wszystkie dziedziczki, które podsuwała ci ciotka. Przestraszyłam się. Wiem, to głupie, ale wtedy nie myślałam jasno. Bałam się, że jeśli ci powiem, będziesz widział we mnie jedną z takich bogatych dziedziczek i odwrócisz się ode mnie. Że twoja duma nie zniesie mojej fortuny. Przepraszam cię, Bertie. – Zadarła brodę. – Nie jestem podła i bezwzględna z natury, ale w pewnych sprawach kobieta nie może sobie pozwolić na słabość. Nie mogłam ryzykować, że się ode mnie odwrócisz.

– Nie mogłaś ryzykować, powiadasz. – Pokiwał głową. – Powiem ci jedno, lady Trent, spisałaś się na medal. Nie odwróciłem się, prawda? Nie odszedłem. – Roześmiał się. Tamsin była podła i bezwzględna, bo bała się go utracić. Sama myśl o tym wydawała mu się tak śmieszna, że nie mógł się powstrzymać.

Chichocząc, zbliżył się i wziął ją w ramiona.

– Nigdzie się nie wybieram. – Pocałował jej mały, zadarty nosek. – Z wyjątkiem łóżka, do którego udam się zaraz z moją piękną żoną. – Rozejrzał się. – O ile uda nam się je znaleźć w tym przeklętym pałacu.

Rozdział 20

Longlands, Northamptonshire
Tydzień później

Służący w Longlands prowadzili ożywioną korespondencję z Ainswood House, znali więc już oczekiwania nowej księżnej i wprowadzone przez nią domowe zasady. W konsekwencji, choć wiadomość o przyjeździe państwa dostali zaledwie dzień wcześniej, czekali na nich w pełnej gotowości i galowych liberiach. Wszyscy byli wyszorowani, ostrzyżeni, ogoleni i wypolerowani. Stali w równym rzędzie jak wojsko na paradzie.

Cała dyscyplina i dryl w jednej chwili zamieniły się w chaos oklasków, gwizdów i okrzyków, gdy książę Ainswood porwał swą żonę w ramiona i ceremonialnie przeniósł ją przez rodzinny próg.

Pulchne policzki gospodyni zalały się łzami na widok młodych panienek, za którymi tak tęskniła. Utonęły we trzy w uściskach, pocałunkach i pełnych wzruszenia szeptach.

Nawet Morton, surowy kamerdyner, uronił łzę, gdy jego krnąbrny pan postawił swą małżonkę wśród hordy skowyczących na powitanie mastifów. Ich radosne szczekanie wstrząsało murami domu.

Psy umilkły raptownie, gdy w drzwiach pojawiła się Susan, ciągnąca na smyczy Jaynesa.

– Wrrrr! – oznajmiła Susan.

Położyła uszy, wyprężyła ogon, całą postawą komunikując swą wrogość. Mastify Ainswoodów były psami. Susan była nie tylko intruzem, ale i suczką. Jedna na czterech. Mimo to wyraźnie dawała im do zrozumienia, że jest gotowa rozedrzeć wszystkich na strzępy.

To zaskoczyło psy.

– Hau… – szczeknął jeden niepewnie.

– Hau! – potwierdził drugi, nieco odważniej.

Trzeci szczeknął, rzucił się do drzwi i wrócił. Susan stała wyprężona, z obnażonymi kłami, warcząc cicho.

– Oj, przestań – odezwał się Vere. – Przecież one chcą się bawić, nie widzisz? Nie chcesz się z nimi pobawić, skarbie?

Susan burknęła coś, spojrzała na psy z wyższością, ale jej napięta postawa nieco się rozluźniła.

Jeden z mastifów podszedł trochę bliżej, trzymając piłkę w zębach. Upuścił ją na podłogę, w bezpiecznej odległości od Susan.

– Hau! – zagaił zachęcająco.

Susan podeszła z godnością i powąchała piłkę. Poburczała coś do siebie, chwyciła piłkę w zęby i wymaszerowała przez drzwi. Psy pobiegły za nią.

Vere spojrzał żonie w oczy.

– Ci panowie zrobią wszystko, byleby dobrać się do sama wiesz czego. Dziwi mnie, że nie wyczołgali się za nią na brzuchach.

Podał ramię Lydii i poprowadził ją po schodach.

– Nie dostaną, sam wiesz czego, za nic w świecie – odparła. – A przynajmniej nie dziś. Susan nie jest w dobrym momencie.

– Będą ją uwodzić na zapas.

– To dziwaczka. Za duża i w dziwnym umaszczeniu. Dlatego kupiłam ją dosłownie za bezcen. Pochodzenie ma co najmniej podejrzane. Nie chcesz jej mieszać ze swoim arystokratycznym miotem.

– Mallory’owie nie są tak wybredni, jeśli chodzi o pochodzenie, jak Ballisterowie – prychnął. – Ty na przykład sama wolałabyś mieć nieprawego syna, byleby – jak twój ojciec – nawet jako bękart miał w żyłach szlachetną krew.

– Nie obchodzi mnie mój ojciec i równie dobrze mógłby być kominiarzem. Nie ma znaczenia, że naprawdę kochał moją matkę i uczynił ją szczęśliwą, skoro nie zadbał o to, by mogła sobie poradzić bez niego. Charakter i osiągnięcia są moją własną zasługą, a nie krwi.

Vere mógłby się o to spierać, bo wszyscy wiedzieli, że Ballisterowie to największe snoby, ale małżonkowie weszli już na pierwsze piętro i skręcili do skrzydła dla najbliższej rodziny. Łzy kręciły mu się w oczach, serce ściskało boleśnie.

Na ścianach rozwieszone były obrazki. Nie wyrafinowane portrety i krajobrazy słynnych artystów, jak przy salach reprezentacyjnych, ale rysunki, akwarele i tempery o charakterze znacznie mniej oficjalnym. Intymne ślady życia kilku generacji jego rodziny.

W połowie drogi do sypialni pana domu Vere zatrzymał się przed portretem, zanim na niego spojrzał. Nie patrzył w jego stronę od osiemnastu miesięcy. Ścisnęło go w gardle.

– To Robin – odezwał się do żony. Ledwo zdołał wykrztusić te słowa. Wiedział jednak, że nie będzie łatwo, przygotował się więc na to. – O nim ci opowiadałem. Lizzy i Em także mówiły co nieco. A teraz możesz go zobaczyć.

– Piękny chłopiec – szepnęła Lydia.

– Prawda. Mamy jeszcze inne jego portrety, ale ten jest najlepszy. – Powoli ucisk w gardle mijał. – Jest najwierniejszy. Malarz uchwycił tu jego uśmiech. Robin zawsze uśmiechał się tak, jakby znał jakiś zabawny sekret. Charlie uśmiechał się tak samo. Niech Bóg ma mnie w swojej opiece, jakimże byłem idiotą! Powinienem był zabrać ten obrazek ze sobą. Czy ktoś mógłby spojrzeć w tę twarz i nie poczuć na twarzy słonecznych promieni? Chryste, jakże ja tego potrzebowałem!

– Nie spodziewałeś się, że jeszcze zobaczysz to słońce – powiedziała Lydia cicho.

Spojrzał jej w oczy, dwie bezdenne błękitne otchłanie.

– Nie wiem, czy ujrzałbym je kiedykolwiek, gdyby nie ty. Dzięki tobie odważyłem się o nim opowiadać. Słuchałem, jak Lizzy i Em o nim mówią – ciągnął coraz pewniejszym głosem. – Z czasem stawało się to coraz łatwiejsze. Mimo to nie byłem pewny, czy będę dziś w stanie na niego spojrzeć. Nie celebrowałem zbyt dobrze pamięci o tym biednym chłopcu. Miałem w sercu jedynie czerń, śmierć, zniszczenie i zimną wściekłość. A Robin przez całe sześć miesięcy napełniał mnie wyłącznie radością. – Spojrzał na portret. – Zawsze już będę za nim tęsknił i na pewno od czasu do czasu popadnę w głęboką nostalgię. Ale mam tyle wspaniałych wspomnień! Tak szczęśliwych! To prawdziwe błogosławieństwo. Mam też rodzinę, z którą mogę się nimi dzielić. To jeszcze większe błogosławieństwo.

Mógłby jeszcze długo stać z nią przy portrecie i opowiadać. Ale będą mieli mnóstwo czasu na oglądanie Robina i długie rozmowy.

Tymczasem podjął decyzję, co należy zrobić przede wszystkim.

Otworzył drzwi do komnat książęcych i zaprowadził Lydię do sypialni.

Był to ogromny pokój, należny głowie wielkiego rodu, lecz przytulnie urządzony i ciepły. Popołudniowe słońce rozświetlało dębowe meble

i kładło złote blaski na bogatych błękitnych draperiach okalających okna i łóżko. Samo łóżko – misternie rzeźbione – zostało wykonane wieki wcześniej dla wizytującego posiadłość króla Jakuba I.

– Gdy ostatnim razem widziałem to łóżko, Robin przenosił się na nim w zaświaty – powiedział Vere. – Patrzę na nie i oczyma wyobraźni widzę umierającego chłopca. Teraz mogę już nieść w sercu tę wizję, wraz z innymi. Nie przyjechałem za późno. Byłem przy nim, gdy mnie potrzebował. To niełatwe wspomnienie, ale jestem już gotowy je nieść.

– Mam kilka podobnych – pocieszyła go Lydia.

Ona także wpijała palce w ziębnące powoli dłonie tych, które kochała całym sercem, a ich puls zwalniał stopniowo, uciszając się wraz z wypływającym życiem.

– Twoja matka i siostra – domyślił się Vere.

Pokiwała głową.

Przysunął się do niej.

– Stwórzmy własne wspólne wspomnienie tego pokoju – zaproponował. – Niech będzie idealne. Musi nadać ton naszemu dalszemu życiu. Bo dopiero teraz jesteśmy w domu.

Spojrzała na łóżko, a potem na męża. Kąciki jej warg uniosły się powoli.

Zrozumiała.

Vere objął wzrokiem jej postać.

Miała na sobie jedną z nowych sukien: bladolawendową szeroką szatę zapinaną od góry do dołu na mnóstwo małych guziczków.

– Tyle guzików – mruknął, ujmując w palce pierwszy z nich. Pocałował ją delikatnie i nie odrywał od niej ust, odpinając guzik po guziku aż do talii.

Potem padł na kolana i rozpiął prędko resztę, aż do dołu.

Podniósł na nią oczy. Lydia strząsnęła suknię na podłogę. Podeszła do łóżka, rzucając mężowi jedno rozkazujące spojrzenie znad ramienia. Oparła się o kolumnę łóżka i sięgnęła pod halki.

Vere klęczał i jak zaczarowany patrzył na jedwabne majtki, które rzuciła na podłogę. Lydia poluzowała wstążki gorsetu. Opadł, odsłaniając oszałamiające, napięte brodawki koloru malin.

Odwróciła się powoli i chwyciła kolumnę obiema rękami.

Vere poderwał się błyskawicznie i w mgnieniu oka zrzucił z siebie ubranie. Obserwowała go znad ramienia, uśmiechając się.

Podszedł do niej.

– Zrobiła się z ciebie dzikuska, Wasza Wysokość. Zdeprawowana dzikuska.

– Mam wspaniałego nauczyciela – odparła miękko.

Chwycił jej piersi i obsypał pocałunkami gładkie jak jedwab plecy. Czuł, jak drży z rozkoszy, i sam zadrżał, rozpalając się nagle jak płomień.

– Kocham cię – wyznała. – Weź mnie tak.

Przycisnęła kuszące pośladki do jego męskości.

Muślin łaskotał wyprężone ciało, budząc chrapliwy, drapieżny śmiech. Jego żona potrafiła zmrozić każdego w ułamku sekundy swymi oczami o barwie lodowca. W ukryciu, przy nim, cała była z ognia jak gorejący krzew.

Podciągnął halki.

– Właśnie tak, księżno? Tak mnie pragniesz?

– Właśnie tak. Teraz.

Wsunął dłoń między jej uda, pogładził jedwabiste włosy, dotknął gorącej wilgoci.

Powiedziała: „teraz”. Była równie niecierpliwa jak on.

Rozchylił jej wargi i wziął ją, tak jak chciała, bo on sam też tego pragnął. A Lydia o tym wiedziała.

Chciał, by ten pokój napełnił się jej jękiem, krzykiem rozkoszy, śmiechem i wyznaniami miłości. Oboje nie byli z natury grzeczni, ułożeni i stonowani. Byli nieustraszeni, nieokiełznani i dążący po trupach do celu. Nie byli do końca ucywilizowani i nigdy już nie będą.

Kochali się więc jak dzikie stworzenia, pełni pasji i namiętności, a potem padli na łóżko i kochali się znów. I jeszcze raz. Dziko, głośno, radośnie i bezwstydnie.

A gdy w końcu leżeli bez sił i ich spocone nagie ciała splotły się ze sobą w purpurowych promieniach zachodzącego słońca, echa ich miłości wciąż dźwięczały wśród ścian sypialni.

– To jest wspomnienie, które zdoła ogrzać stare kości starego człowieka – wyjąkał Vere. – I dać radość życia bardzo staremu.

– Ja myślę – odparła. – W innym wypadku znajdę sobie kogoś innego.

– Byłabyś srodze rozczarowana – ostrzegł Vere. – Nie zdołasz mnie zastąpić. Jestem jedynym mężczyzną na świecie, który posiada stosowną dla ciebie kombinację wad. – Leniwie głaskał jej pierś. – Możesz mnie przeszywać do woli swym ballisterowskim spojrzeniem, ale wiesz przecież,

że się ciebie nie boję. Możesz tłuc mnie w zaciszu naszych komnat do nieprzytomności, ale wiesz, że mnie nie zranisz. Możesz zaskakiwać mnie każdym szaleństwem, jakie spłodzi twój lubieżny umysł, i wiesz, że z radością wezmę w nim udział. Jesteś łobuzem, Lydio. Demonem z rodu Ballisterów. Nikt inny nie dałby ci rady, tylko ostatni diabeł z rodu Mallorych.

– W takim razie lepiej długo ze mną wytrzymaj – szepnęła. – Albo dogonię cię w zaświatach, a wtedy pożałujesz.

– Ty także. – Roześmiał się. – Nie ustąpiłabyś nawet u bram piekła, nie ulękłabyś się ziejących ogniem diabłów. Zrobię jednak wszystko, co w mojej mocy, by ta wyprawa była ostatecznością.

– Proszę tylko, byś dał z siebie wszystko.

– Możesz być tego pewna. Zrobię wszystko, by zostać pierwszym długowiecznym Mallorym. – Pogłaskał ją po brzuchu. – Jestem też srodze ciekaw, jakiegoż demona zdołamy spłodzić.

Położyła rękę na jego dłoni.

– Ja także. To byłby niezwykły traf, gdybyśmy dali życie dziecku pierwszego dnia w tym domu, w tym łóżku. Dziecku, poczętemu z miłości, w promieniach złotego słońca… – Uśmiechnęła się. – I w oparach szaleństwa.

– Nie wiem, czy można począć dziecko tak szybko – mruknął namiętnie.

Przyciągnęła jego twarz do swojej. W jej zimnych błękitnych oczach płonął ogień, który tylko on mógł zobaczyć.

– Może… – szepnęła – postarajmy się jeszcze raz? Żeby mieć pewność?

Pocałował ją.

– Możesz być pewna, moja pani, że uczynię, co w mojej mocy.

I uczynił.

Epilog

W tomie „Roczników” wydanym w 1829 roku, w rozdziale: *Lipiec – narodziny*, pojawiła się następująca notka:

20, Longlands, Northants, księżna Ainswood: syn i dziedzic.

Przyszły książę, ochrzczony imionami Edward Robert, był pierwszym z siedmiorga ich potomków obojga płci. Portrety ukazują dzieci jasno- i ciemnowłose, błękitno- i zielonookie.

Każde z nich było wcielonym diabłem, co do jednego.

Polecamy książki
Loretty Chase

Książę w lśniącej zbroi

cykl „Stylistki”:

Kuszenie w jedwabiu

Skandal w atłasach

Szelma w aksamicie

Książęta wolą blondynki

cykl „Rozpustnicy”:

Wojowniczka

Więźniowie nocy

Król łotrów

Zapraszamy do księgarni internetowej

www.wydawnictwobis.com.pl

Książę Ainswood dostał od losu wszystko – tytuł, bogactwo i szatańską urodę – tymczasem jego życiowym celem stało się trwonienie tych darów. Nieokiełznany, dziki i nieprzewidywalny, zmierza ku zatraceniu aż do dnia, gdy na jego drodze pojawia się piękna i odważna Lydia Grenville. W świecie jej wartości nie ma miejsca dla takich zepsutych dżentelmenów jak Ainswood. Ten jednak nie byłby sobą, gdyby nie podjął wyzwania, zwłaszcza jeśli rękawicę rzuca mu atrakcyjna kobieta wiecznie pakująca się w niebezpieczeństwo.

www.wydawnictwobis.com.pl